

Mateusz Śliwiński

↑	wyjście do miasta		↑
←	1	peron	1 →
↑	2	peron	2 ↑
↑	3	peron	3 ↑



LOWBA

Mateusz Śliwiński

LOWBA

BookEdit

Copyright © Mateusz Śliwiński, 2023

Projekt okładki: Dawid Duszka

Zdjęcie na okładce: Maja Stasinowska

Redakcja: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-67539-71-5

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl

Niniejsza książka jest objęta ochroną prawa autorskiego.
Całość ani żadna jej część nie mogą być publikowane
ani w inny sposób powielane w formie elektronicznej oraz mechanicznej
bez zgody wydawcy.

I

Spojrzała na kopię akt sprawy, które miała przejrzeć podczas podróży do Łodzi. Uśmiechnęła się niewinnie, szukając w torbie Snickersa. Wiedziała, że nie ma najmniejszego sensu wyciągać papierów. Jazda i tak ją uśpi, jak tylko pociąg zacznie nabierać prędkości.

Na początku swojej kariery próbowała z tym walczyć. Piła hektolitry kawy, które przegryzała cukierkami kopiko. W konsekwencji na niewiele się to zdawało. Nie chciała ryzykować, że powtórzy się sytuacja z czasów, gdy poszukiwała Wampira z Częstochowy. Wówczas przeglądając rozczłonkowane ciała kobiet, podczas podróży zasnęła w najlepsze, a foty zaspanej policjantki otoczonej makabrycznymi zdjęciami i aktami sprawy rozeszły się w ekspresowym tempie we wszystkich serwisach informacyjnych w całej Europie.

– Co ty odpierdalasz? – wydzierał się wniebogłosy Czyżyk. – Ile ty masz lat, że zasypiasz nad aktami? – Przełożony Blachy miał aż sine usta ze złości. Oczy nabiegły mu krwią, a ręce drżały. Blacha była przekonana, że gdyby nie była kobietą, to komendant by ją uderzył. – Dzwonił do mnie komendant główny, a do niego minister, do którego z kolei... – urwał w pół zdania i zdębiał z niedowierzania, gdy Blacha zwymiotowała na jego biurko.

Spojrzała na niego przeproszającymi oczami, których źrenice były czarniejsze niż kiedykolwiek.

Czyżyk wstał. Otarł spodnie z wymiocin i poprawił marynarkę. Kawałek nieprzetrawionego ogórka zwisał mu z krawata. Bez słowa otworzył drzwi gabinetu i wyszedł.

Mimo iż po tym incydencie w komisariacie otrzymał pseudonim „Ogórek”, to do rozmowy nie wrócili już nigdy. Blacha dostała naganę wpisaną do akt, a jako że

nie była to najdotkliwsza kara, to szef skierował ją jako pomoc policyjną przy organizacji Światowych Dni Młodzieży, do których przygotowywał się Kraków.

Z monitora umieszczonego nad głowami pasażerów można było się dowiedzieć o tym, co robić w Lublinie, jakie rarytasy oferuje pociągowy bar i z jaką prędkością porusza się pociąg. Sunął sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, kiedy Blacha opierała głowę o szybę. Obliczyła szybko, że przy tej prędkości powinni być w Łodzi za około dwie godziny.

– Dzień dobry. Proszę o bilet. – Usłyszała piskliwy głos konduktorki, który wyrwał ją ze snu.

Policjantka musiała się chwilę zastanowić, gdzie jest.

– Czy WARS jest czynny? – zapytała Blacha, wyciągając bilet z torebki.

– Tak. Trzy wagony do przodu proszę pójść.

W przedziale restauracyjnym Blacha z dziwnym dla siebie poczuciem patriotyzmu zastanawiała się nad skokiem, jakiego w jej mniemaniu dokonały polskie koleje państwowe. Większość drogi pociąg przejechał z prędkością przekraczającą sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, w restauracji mogła zapłacić kartą płatniczą i zjeść świeżo przygotowaną jajecznicę autorstwa mistrza Romana, jak sam siebie nazwał kierownik pociągowej restauracji.

– Proszę, oto kawa. Na koszt firmy – powiedział mistrz Roman, siadając naprzeciwko Blachy. – Pozwoli pani, że się przysiędę?

Nawet gdyby chciała zaoponować, to nie mogła. Miała usta pełne jedzenia. Jajecznica rzeczywiście była najlepsza, jaką kiedykolwiek jadła, i liczyła, że mężczyzna zdradzi jej, jak ją przyrządza.

– Jest pyszna! Niech pan powie, jaki jest jej sekret?

Mistrz Roman, mężczyzna starej daty, w opiętej na brzuchu czerwonej kamizelce z logo WARS, nie ukrywał radości z komplementu, jaki padł z ust drobnej brunetki. Pogładził łysiejącą głowę, upewniając się, że wtarta brylantyna na pewno tam jest, po czym uśmiechnął się raz jeszcze i bacznie patrzył w czarne oczy kobiety. Nie odpowiadał celowo. Wiedział, że „one to lubią”, kiedy on, mistrz Roman, udaje niedostępnego.

– A co będę miał z tego, że pani powiem?

– A co pan by chciał? – Blacha była wyraźnie rozbawiona podrywem starzejącego się kelnera. Nie umknęło również jej uwadze, że mężczyzna stale zerka na jej piersi podkreślone dopasowanymi ogrodniczkami.

– Od takiej kobiety jak pani, złotko, to mężczyzna może dostać i nic, a powinien być zadowolony.

– Zatem dam panu nic dwa razy, jeśli powie mi pan, jak przyrządza tę cudowną jajecznicę. Powiem więcej, za każdym razem będę wspominała pana, gdy będę ją przyrządzała rano w swojej kuchni.

Ostatnia obietnica była połączaniem ego mistrza pociągowej gastronomii. Wyprostował się i uśmiechnął szeroko.

Mimo wyraźnych braków w uzębieniu, Blacha doliczyła się braków dwójki i czwórki na górze oraz jedyńki i trójki na dole, mężczyzna wydawał się jej interesujący na swój sposób.

– Po tym jak jajko się lekko zetnie... – urwał i ściszył głos, rozglądając się teatralnie dookoła, czy nikt ich na pewno nie podsłuchuje – dodaje jeszcze pół łyżeczki masła.

– To jest genialne! Jak pan na to wpadł? – zapytała, nachylając się w stronę mężczyzny, który nieco posmutniał.

– Niestety, nie ja na to wpadłem, a moja świętej pamięci duszyczka. Żona znaczy się. Jadzia. To ona mnie tak rozbawiła. – Poklepał się po brzuchu, gdy Blacha zastanawiała się, jak zrobić unik, gdyby guzik z kamizelki nagle mu wystrzelił. – Tym mnie w sobie rozkochała. Nie na darmo się mówi przez żołądek do serca. Była podobna do pani, dlatego się dosiadłem. Tutaj, w pociągu, spotyka się tysiące ludzi, a człowiek i tak jest samotny. Proszę się nie gniewać, że tak mówię. Po prostu, moja Jadzia, gdy ją poznałem oczywiście, też się tak uśmiechała jak pani. Ach! Co to była za miłość. Życzę pani takiej z całego serca. Pracowałem jako sleepingowy i tam poznałem moją kruszynkę. Zasnęła biedaczka w pociągu relacji Warszawa–Kijów. Ominęła swoją stację, gdzie czekał na nią samochód, którym miał pojechać do szpitala do ojca. Zakochałem się w tych jej oczach w mniej

niż sekundę. Były smutnoczarne, jak pani. Zamyślane i pełne nadziei... – Mistrz Roman urwał w pół zdania i oddał się wspomnieniom.

Pociąg wyraźnie zwolnił, zbliżając się do jednej ze stacji pośrednich. Blacha spojrzała na siedzącego naprzeciwko siebie mężczyznę i skarciła się w duchu. Myślała, że „starszawy facio” będzie ją podrywał, jak większość napotkanych napaleńców w pociągach, którzy naoglądali się za dużo pornosów i łudzili się, że tym razem zaliczą w kiblu. Mistrz Roman chciał jedynie się wygadać komuś, kto przypomniiał mu młodzieńczą miłość. Uśmiechnęła się do mężczyzny. Upiła łyk przyniesionej kawy, z rozczarowaniem stwierdzając, że jest gorzka i podała mu kubek. Chciała powiedzieć coś pokrzepiającego. Uznała jednak, że milczenie i picie z jednego kubka będzie najlepszym, co może zrobić.

Pociąg zatrzymał się na stacji. Blacha niemal poczuła smak ogórków w ustach, stwierdzając, że są w Częstochowie. Zabrała kubek gorzkiej kawy z rąk mistrza i upiła spory łyk.

– Nie jest pani zwykłą kobietą. Czym się pani zajmuje? – zagałł kucharz.

– Poza pić kawy z obcymi mężczyznami w pociągowym barze? – zapytała, nie kryjąc zadowolenia z wymyślonego przez siebie żartu. Nie czekając na ripostę ze strony rozmówcy odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Jestem policjantką. Konkretnie pracuję w Wydziale Dochodzeniowym w Krakowie.

Widząc zdziwienie przeplatające się ze strachem na twarzy mężczyzny, Blacha podała mu kubek kawy, który przekazywali sobie jak fajkę pokoju, i zmusiła do upicia łyka.

– Czy to panu przeszkadza, mistrzu? – zapytała z dobrotliwą miną.

– Chciałem zapytać, dokąd pani jedzie, ale domyślam się, że w Łodzi nas pani pożegna.

Nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tylko, układając włosy za uchem jednocześnie złorzecząc sobie, że znowu nie wzięła gumki do włosów.

– Słyszałem o tych morderstwach. Łódź to moje rodzinne miasto, a ja mieszkam niedaleko dworca. Podobno ten zboczeniec – mistrz Roman ściszył głos, jakby

ponownie miał zdradzić tajny składnik swojej jajecznicy – wkłada swoim ofiarom paski od mopa w miejsca intymne.

Blacha ponownie nie odpowiedziała. Spojrzała na mężczyznę, siląc się jedynie na uśmiech. Jeden z tych chłodnych, policyjnych, który mówi wszystko i nic jednocześnie.

– Podobno ostatnia ofiara miała dwadzieścia lat. Widziałem w „Faktach” jej zdjęcie. Śliczna jak aniołek. Macie już jakiś trop?

– Jak pan się domyśla, mistrzu, nie odpowiem na pytanie, ale chętnie się dowiem, co mi pan powie o Łodzi. W Krakowie krążą straszne legendy o tym mieście i jestem przerażona nie jakimś zbrodniarzem, jak pan go nazwał, a zwykłym spacerem ulicami.

Nim pracownik kolei zdążył otworzyć usta, do baru weszła kobieta, którą musiał obsłużyć. Otrzymałszy od mistrza Romana batoniki, chrupki i cukierki, klientka odeszła w swoją stronę.

– Gdybym mógł się powołać na klauzulę sumienia, nie sprzedawałbym takim gabarytom słodyczy – powiedział, taksując odchodzącą, otyłą kobietę.

– Może jest chora – zaproponowała Blacha, lecz mistrz Roman przerwał jej w pół zdania.

– Ta, chora na cukierozę! Widziała pani, ile tego wzięła. Nakupiła słodyczy za pięćdziesiąt złotych. – Mężczyzna zacisnął wargi w geście milczenia, gdy tylko spostrzegł, że Blacha patrzy na jego brzuch. Poklepał się po nim, po czym kontynuował. – My w Łodzi też słyszeliśmy wiele niedobrego o Krakowie, a mimo to jeździmy do was i jeszcze nikt nie zginął. Ostatnio rozmawiałem tutaj z pewnym Amerykaninem, który mieszka w Polsce od piętnastu lat. Zapytałem go, czy w USA jest niebezpiecznie, jak zwykliśmy widywać to w filmach. Wie pani, co odpowiedział?

Policjantka pokręciła przecząco głową. Niesmak wywołany komentarzem na temat otyłej kobiety już jej minął i ponownie uśmiechała się serdecznie do pociągowego kucharza.

– Ano tyle, że w każdym kraju i mieście są miejsca, gdzie nie powinno się chodzić. I ja się z tym absolutnie zgadzam. Jednym z takich miejsc jest dworzec kolejowy w nocy. Wszystkie spośród czterech ofiar...

– Pięciu. – Policjantka nie zdążyła się ugryźć w język.

Mistrz Roman nie mógł wiedzieć o piątej ofierze. Została znaleziona dopiero wczoraj w nocy i właściwie to ona była ostatecznym powodem podróży kobiety do Łodzi.

Media nazwały Łowcę seryjnym mordercą, a politycy, chcąc załagodzić i obniżyć poziom społecznego lęku, zdecydowali o wysłaniu najsłynniejszej polskiej śledczej, która rozwiązała sprawę Wampira z Częstochowy w czternaście dni. Wówczas wpadła na trop, przeglądając akta sprawy, które znalazły się na jej biurku przez przypadek. Tym razem zadzwonił do niej sam minister i dał jej siedem dni, bo ofiar jest o połowę mniej.

Blacha gardziła władzą polityczną, więc jedynie przytakiwała do słuchawki, zapewniając ministra, że zrobi wszystko, co w jej mocy. Polityk nakazał informować się bezpośrednio o postępach pracy, podając jej swój prywatny numer komórki. Ktoś inny uznałby to za awans, ale Blacha wiedziała, że zbliżają się wybory i szanowny pan minister w garniturze, za publiczne pieniądze będzie chciał się ogrzać w blasku jej pracy. Tym bardziej w rejonie, gdzie obóz władzy, z którego wywodził się polityk, nie miał szerszego społecznego poparcia.

– Pięć? – Mistrz Roman przerwał ciszę. – Kiedy znaleziono piątą? Przepraszam, że dopytuję, mam wnuczkę w wieku tych biednych dziewczyn.

Blacha spojrzała pytająco.

– Patrycja ma dziewiętnaście lat. Nie muszę pani mówić, że bardzo się o nią martwię... – Kucharz wyjął zdjęcie wnuczki z portfela i podał je policjantce.

Urszula Krawczyk przyglądała się blondynce na zdjęciu. Ubrana w chabrową sukienkę uwydatniającą jej, za duży jak do drobnej budowy ciała, biust uśmiechała się do aparatu, pokazując duże, białe zęby. Prawą rękę miała podniesioną w geście wiktorii.

– Bardzo ładna kobieta.

– Moja gwiazdeczka.

– Domyślam się. Doskonale pan jednak wie, że nie mogę odpowiedzieć na żadne pytanie. Wróćmy więc do Łodzi. Niech mi pan powie, co mam zobaczyć w pana mieście?

Mężczyzna był rozczarowany, że nie przekonał Blachy zdjęciem swojej wnuczki. Dla kogoś, kto tak jak on, żyje plotkami i podsłuchanymi rozmowami, możliwość wypytania policjantki byłaby gratką na kolejne długie podróże. Usłyszaną historią mógłby chwalić się następnym podróżnym, zatrzymując ich na kolejne cenne chwile w jego wagonie restauracyjnym.

– Może mi pani odpowiedzieć tylko na jedno pytanie?

– Nie wiem, jakie to pytanie, więc nie mogę obiecać, że na nie odpowiem.

– Łódzka policja jest aż tak beznadziejna, że potrzebuje pomocy z Krakowa?

– Nie! Policja w Łodzi jest tak samo dobra, jak w każdym innym mieście, a my jesteśmy jedną organizacją, która się wspiera. Panu pewnie też nie raz i nie dwa dali kogoś z innego pociągu do pomocy i było to normalne.

– Tutaj jest inaczej.

– Inaczej?

– Z pociągu, którym teraz jedziemy, wysiądę dopiero za pięć tygodni.

– To gdzie pan śpi?

– Chce pani, żebym jej pokazał? – Mistrz Roman puścił do policjantki oczko.

– A tak poważnie.

– Na końcu pociągu mam wydzielony kawałek wagonu. Mam tam dwa łóżka, pralkę, telewizor i prysznic.

– Mówi pan serio?

– Nie mam powodów, żeby kłamać.

– Czyli mieszka pan w pociągu?

– Mieszkam i pracuję.

– Dzisiaj będzie pan przejeżdżał przez Łódź. Nie chciałby pan wysiąść, by choć przez chwilę pospacerować po swoim mieście?

Mistrz Roman uśmiechnął się i spojrział w okno, za którym przesuwały się krajobrazy. Praca w pociągu dawała namiastkę wolności. Po kilku godzinach podróży było się w zupełnie innym miejscu.

– Łódź to dziwne miasto – zaczął – pełne jest absurdów i dziwaków. Nie jest jednak miastem meneli, jak powiedział jakiś tam aktor. Zjeździłem pociągami całą Europę i wszędzie widziałem porównywalną liczbę pijaków, żebraków i sklepów monopolowych. – Wciągnął powietrze. – Jest kilka problemów.

– Na przykład?

– Z pewnością zauważy je pani podczas pobytu w Łodzi. Nie chcę pani zniechęcać do mojego miasta. Wręcz przeciwnie, dlatego z racji mojej pasji, którą jest gotowanie, mogę polecić pani idealne miejsce na późną kolację, a takich w Łodzi jest jak na lekarstwo, więc niech zapisze pani sobie adres.

Mężczyzna podał funkcjonariuszce adres, zachwalając jej makaron z borowikami i białym winem, które właściciel sam przywozi ze swoich corocznych wypraw do Toskanii.

– Proszę koniecznie powołać się na mistrza Romana. Nie dość, że dostanie pani zniżkę, bo właściciel jest moim serdecznym przyjacielem, to jeszcze na pewno ugości panią deserem à la Roman.

– Którego jest pan nieskromnym autorem. – Tym razem to policjantka puściła porozumiewawczo oczko do mężczyzny.

II

Mijając znak Łódź, pociąg stopniowo zmniejszał swoją prędkość, aż w końcu poruszał się żółwim tempem. Za oknem widać było jedynie łąkę porośniętą wysoką trawą. Podróżni odnosili więc często wrażenie, że pociąg stanął.

Mężczyzna ubrany w czarną podkoszulkę i ciemne dżinsy spojrzął na zegarek, klnąc pod nosem, że właśnie powinni wjeżdżać na stację Łódź Kaliska, a tu znowu jakaś awaria.

Blacha nie zwracała uwagi na wulgarnego mężczyznę. Delektując się ostatnim kęsem batonika, który podarował jej mistrz Roman, zapewniając, że przy jej figurze nie mógłby powołać się na klauzulę sumienia i nie sprzedać jej cukrowej przekąski. Kategoriecznie też odmówił przyjęcia pieniędzy, obligując tym samym kobietę do schwytania „zwyrodnialca”.

Po wyjściu z pociągu Blacha zauważyła cztery różne informacje. Napis „Łódź Kaliska” wręcz krzyczał do wysiadających. Na jednym ze znaków widniał napis o „jebaniu żydzewa”. Policjantka smutno pomyślała o bezrefleksyjnych stereotypach zakorzenionych w społeczeństwach. Pamiętała z czasów licealnych, jak zgłębiała historię budowania nienawiści do Żydów przez aparat hitlerowskiej propagandy. Pomyślała, że nienawiść jest tak silnym uczuciem, że przetrwa próbę setek lat.

Stojąca na środku peronu policjantka nie zważała na trącających ją współpasażerów, którzy się spieszyli. Śledczy zakładali, że sprawca działał w okolicach dworca Łódź Kaliska.

Blacha mimo trzydziestu paru lat wyglądała na jakieś dwadzieścia osiem, a obcisłe ogrodniczki, które włożyła celowo, odejmowały jej kolejnych kilka lat. Jeśli więc stało się tak, jak przypuszczała, sprawca obserwował ją z ukrycia. Miała

nadzieję, że podejdzie do niej i zgodnie z zakładanym scenariuszem uda jej się rozwiązać sprawę już pierwszego dnia. Uśmiechnęła się, gdy o tym pomyślała.

Po krótkiej chwili została sama na peronie. Zachrypnięty głos przez megafon informował, że pociąg Łódzkiej Kolei Aglomeracyjnej przyjedzie opóźniony o dziesięć minut, za co serdecznie się przeprosza i prosi o zachowanie ostrożności. Po tym komunikacie Blacha pomyślała, że zyskuje dodatkowe minuty na obserwację dworca, który mimo swojej makabrycznej legendy krążącej po mieście, od kiedy znaleziono pierwszą ofiarę, wyglądał mocno przeciętnie. Trzy perony, sześć torów. Zejście do głównej i jedynej hali dworca było po schodach. Na peron trzeci, na którym wysiadła Blacha, wychodziły okna małego budynku technicznego.

Policjantka rozejrzała się za windą, której próżno było szukać. Trzeba dźwigać walizkę, co potencjalnej ofierze utrudnia zorientowanie się, że jest w niebezpieczeństwie.

Blacha wciągnęła powietrze, jakby chciała poczuć zapach sprawcy. Łódź pachniała naftą i smarem; uniwersalną dworcową wonią znaną każdemu, kto kiedykolwiek był na dworcu kolejowym.

Na sygnał nadjeżdżającego pociągu policjantka rozejrzała się z dezaprobatą. Sprawca się nie pojawił. Zastanawiała się, czy tak naprawdę wierzyła w to, że morderca ją zaczepi w biały dzień.

Z rozmyślań wytrącił kobietę wibrujący telefon. Nie zdążyła odebrać, ale zauważyła, że ma kilka połączeń z tego samego numeru. Zapewne był to przydzielony jej do współpracy Ed Żuchowski. Mężczyzna miał odebrać ją z dworca i zabrać bezpośrednio na miejsce piątej zbrodni.

Żuchowski wiedział, że Blacha jest z politycznego nadania. Nie sądził więc, aby praca z nią była łatwa. Ponadto obawiał się, że o każdym złamaniu regulaminu będzie informowany minister. Prosił nawet szefa, aby przydzielić policjantce do podwózek jakiegoś krawężnika, podczas gdy on zająłby się prawdziwą robotą.

– Ed, co się ciskasz? – próbował uspokoić podwładnego szef. – Ona jest jedną z najlepszych. Poza tym znalazłem ją na Facebooku, jest zajebiście zgrabna, więc będziesz miał na czym oko zawiesić. A może ci się poszczęści i...

Ed nie odpowiedział. Pokiwał obojętnie głową, tak samo jak teraz, gdy czekał w holu dworca, opierając się o popękaną skarbonkę na cele dobroczynne zbudowaną z kuloodpornego szkła.

Przed Blachą, gdy przechodziła z tunelu pod peronami do hali dworca Łódź Kaliska, rozsunęły się zielone drzwi. Na wprost niej stał dobrze zbudowany mężczyzna w średnim wieku, ubrany w gustowny, bordowy golf i idealnie pasującą do tego ciemną marynarkę. Opierał się o coś w rodzaju skarbonki, która ewidentnie mówiła „hej, zmierz się ze mną i kopnij”, bo była tak pokiereszowana po wszelkich próbach wydobywania z niej tych kilkudziesięciu złotych, które podróżni wrzucili z litości.

– Komisarz Żuchowski, jak sądzę – powiedziała Blacha z poważną miną, wyciągając rękę.

Ed Żuchowski uśmiechnął się serdecznie do kobiety, która od razu zauważyła, że jej nowy partner ma założony aparat ortodontyczny. Zawsze zastanawiała się, jak to by było całować się z kimś, kto nosi taki mechanizm na zębach.

– Pani Urszula Krawczyk. Ma pani znane nazwisko.

– Znane?

– O Krzysztofie Krawczyku nie słyszała pani?

Blacha nie zareagowała. Znała ten żart od czasów szkoły policyjnej. Położyła torbę z aktami na skarbonce i zaczęła rozglądać się po wymarłym dworcu. Spośród dwunastu okienek sprzedających bilety zamkniętych było jednaście. Na dworcu nie było żadnego kiosku ani sklepu. Podstawowe produkty spożywcze podróżnym zaczynającym wyprawę w Łodzi zapewniały trzy automaty z przekąskami.

Policjantka kręciła się wokół własnej osi. Miała poczucie, że coś przykuło jej uwagę. Zastanawiała się, czy jest to związane z budynkiem, czy bezdomnym mężczyzną, który ładował swój przestarzały telefon komórkowy w jednym z gniazdek elektrycznych znajdujących się na ścianie.

– Kiedyś te bary były czynne. – Żuchowski uchwycił jej konsternację. – Jako początkujący policjant często się tu stołowałem, jeśli można tak powiedzieć

o barszczu z proszku i starej przewędzonej kiełbasie. Na rogu, gdzie jest ta powyginana krata, stał kiosk. Pani Ilona, która tam sprzedawała, spędzała sen z powiek nie jednemu koledze. Potem mieścił się tam bar z hamburgerami i jadłodajnia.

– A teraz jest środek dnia i nie ma żywej duszy – dodała policjantka.

– Co dopiero w środku nocy.

– Co dopiero w środku nocy – powtórzyła kobieta.

Blacha zebrała swoje rzeczy ze szklanej skarbonki, dając nowemu koledze do zrozumienia, że oględziny dworca dobiegły końca. Żuchowski złapał za uchwyt walizki, patrząc pytająco na policjantkę.

– Dzentelmen.

– Moja mama dałaby mi w ucho, jakby zobaczyła, że idę z rękami w kieszeni, a kobieta dźwiga walizkę – zażartował.

Policjanci wyszli z budynku tymi samymi drzwiami, którymi kilka chwil wcześniej przechodziła Blacha.

Boczny tunel prowadzący na powierzchnię kończył się na wprost stadionu Łódzkiego Klubu Sportowego. Uwadze Blachy nie uszło, że stadion ma tylko jedną trybunę. Chciała nawet zażartować z tego, ale powstrzymała się, uznając, że nie czas i miejsce na głupie dowcipy.

Żuchowski nacisnął srebrny przycisk w pilocie i światła mijania zamigotały dwukrotnie. Wsiadając do starego volkswagena Eda, Blacha uznała, że robi on na niej dobre wrażenie. Mimo sędziwego wieku auto było zadbane w środku. Widać było, że właściciel regularnie w nim sprząta, co w autach policjantów było rzadkością. Zastanawiała się, czy powinna skomplementować kolegę. Powstrzymała się jednak, bo pewnych granic nie należy przekraczać, choć rudy komisarz od razu przypadł jej do gustu.

Samochód zatrzymał się na skrzyżowaniu; kolejnym, jak zauważyła Blacha.

– Liczba świateł w Łodzi jest zatrważająca – wtrącił Żuchowski, widząc ostentacyjną irytację kobiety. – Na usprawiedliwienie powiem, że to wszystko dla

bezpieczeństwa obywateli – skwitował z uśmiechem.

– Dla mieszkańców miastu zafundowano korki?

– Nie dla mieszkańców, a przez mieszkańców. Nie potrafią jeździć uprzejmie, na podporządkowanych robiły się korki, więc lokalne władze zainwestowały w sygnalizację i w system drogowy. Sam system kosztował ponad osiem milionów złotych. O urządzeniach nie wspomnę.

– I jak? Pomogło? – zapytała z ironią.

– Tak. Temu, kto wziął pieniądze za niedziałający system na pewno. – Żuchowski ponownie pokazał aparat ortodontyczny.

Blacha uznała, że Ed Żuchowski ma bardzo ładne dołeczki w policzkach, gdy się uśmiecha. Przygryzła wewnętrzną część wargi i skarciła się w duchu, zastanawiając się, kiedy ostatni raz była z mężczyzną.

Policjantka w milczeniu oglądała miasto zza szyby volkswagena. Żuchowski, nie zważając na nią nucił lejącą z radia piosenkę zespołu Bee Gees. Blacha szukała słynnych sklepów z alkoholami, które miały być w całym mieście. Tych, o dziwo, nie było aż tak dużo jak na krakowskich osiedlach. Uwagę jednak przykuwała różnorodność zabudowy. Z jednej strony można było zauważyć stare, sypiące się kamienice, które swoją świetność miały w ubiegłym stuleciu, a z drugiej nowoczesne budynki pokryte fasadą w kolorze antracytu z elementami szkła. Wzdłuż drogi biegła ścieżka rowerowa. System liczący informował, że tą drogą przejechało w ciągu ostatniej doby blisko pięćset rowerów.

– Jesteśmy – przerwał ciszę Żuchowski i wskazał na czerwono-fioletowy blok, w którym znaleziono ostatnią ofiarę.

Budynek położony był na osiedlu znajdującym się kilkanaście minut drogi samochodem, w godzinach popołudniowych, od dworca Łódź Kaliska. Nie wyróżniał się niczym szczególnym. Ot, wielka płyta pokryta pstrokatymi kolorami.

Pod wieżowcem roiło się od gapiów. Wszyscy mieszkańcy osiedla potrzebowali nagle wyprowadzić psy albo zapalić papierosa w oknie. Blacha z rozżaleniem zauważyła wozy transmisyjne czołowych stacji radiowo-telewizyjnych. Wiedziała, że media otrzymały „anonimowy” telefon od kogoś, kto

miał jedynie zabezpieczyć wejście do klatki. Ten ktoś dostał kilkaset złotych na konto matki lub kochanki, a społeczeństwo kolejny powód do paniki. Mimo że Blachę irytowała taka postawa, nie było to dla niej nic nadzwyczajnego. To dzięki jednemu z policjantów, który brał marginalny udział w sprawie, prasa ochrzciła sprawcę morderstw kobiet w Łodzi „Łowcą”. Policjant zabezpieczał dworzec podczas oględzin miejsca przez Michalczuka.

– Sprawca wydaje się czekać na ofiary na dworcu. Jak myśliwy, który obserwuje, a następnie łowi odpowiednią zwierzynę – perorował psycholog.

Za złamanie tajemnicy śledztwa policjant został ukarany naganą, jego przełożony odebrał telefon pełen szorstkich słów od komendanta głównego, ale przydomek przyjął się od razu i to nie tylko w prasie. Sami policjanci zaczęli używać tego pseudonimu.

– Tak jak sobie życzyłeś, Ed. Nikt nic nie ruszał do czasu twojego powrotu – powiedział na przywitanie policjant zabezpieczający wejście do klatki. – Kończąc zdanie, uśmiechnął się do Blachy.

Na klatce schodowej policjantka rozejrzała się za włącznikiem światła. Nie zauważając żadnego, podniosła głowę, tuż nad nią przymocowany był biały czujnik ruchu.

– Co z tym światłem? – zapytała Żuchowskiego.

– Przepalona żarówka? – Mężczyzna wskazał jej zejście po schodach do piwnicy.

Lastrykowe schody okazały się śliskie. Blacha dwukrotnie ratowała się przed upadkiem, łapiąc za chropowatą strukturę ściany. Piwnica okazała się istnym labiryntem. Kilkanaście klatek połączono podziemnymi tunelami ciągnącymi się pod całym blokiem.

Żuchowski poprosił policjantkę, aby szła za nim.

– Masz chusteczkę?

– Nie miewam katarów ani przeziębień – odpowiedziała, zastanawiając się, jak Żuchowski może pytać o takie rzeczy w chwili, gdy pierwszy raz jest na miejscu

zbrodni.

– Nie chodzi o katar.

– A o co?

– Ciało leży tu jakieś piętnaście godzin. Widzisz te duże rury? Płynie w nich gorąca woda zasilająca cały blok. Hektolitry wrzątku. Ciało zaczęło się już rozkładać i wydziela nieprzyjemny zapach.

– Dziękuję za troskę. Poradzę sobie z zapachem rozkładających się zwłok.

– Nie wątpię – odciął się Ed, wyciągając mimo to w kierunku koleżanki rękę z chusteczką.

Śledczej wydawało się, że była przygotowana na makabryczny widok. Tego jednak, co zastała, się nie spodziewała. Przyłożyła do twarzy chusteczkę, którą podał jej Żuchowski. Pachniała lekką wonią cytrusowych perfum kolegi. Zaciągnęła się nimi. Stojąc na wprost zamordowanej kobiety, przyglądała się bacznie otoczeniu i słuchała informacji o tożsamości ofiary. Była to dwudziestoletnia Katarzyna Barańska.

Ręce ofiary przypięto do ściany za pomocą opasek samozaciskowych do kabli, które omal nie „amputowały” ich. Gdy kobieta się szarpała, te zaciskały się coraz bardziej i bardziej. Blacha zauważyła, że dziewczyna nie ma dwóch paznokci na prawej ręce. Zastanawiała się, czy sprawca zrobił to za jej życia, czy może wyrwała je walcząc. Na szyi miała zaciągnięty drut kolczasty, na którym zwisała oskalpowana skóra twarzy. Nogi kobiety były rozłożone. Z krocza wystawały paski od mopa.

Zapach perfum z chusteczki zamienił się w smród trupa. Blacha z trudnością mogła oddychać. Do tej pory widziała takie sceny tylko w filmach Tarantino. Odeszła na bok. Wzięła kilka głębokich wdechów. Wróciła już bez chusteczki przy ustach. Nie chciała się skupiać na swojej niewygodzie. Wiedziała bowiem, że odpowiedzi ma przed oczami. Musi jedynie po nie się schylić i poddać interpretacji.

– Co sądzisz? – zagaïła Żuchowskiego, który patrzył na zwłoki.

– Psychol. Paranoik. Dobrze zorganizowany. Portret psychologiczny przy poprzednich ofiarach stanowił, że będzie atakował brunetki o średniej budowie ciała, co się nie zgadza, bo Barańska jest blondynką.

Blacha słuchała kolegi i jedyne, z czym się zgadzała, to to, że sprawca jest „dobrze zorganizowany”, ewidentnie wiedział, co zrobić z porwaną osobą. Miał przygotowane miejsce.

– Naśladowca?

– Czemu?

– Kolor włosów.

– Niewykluczone. Choć myślę, że nie.

– Dlaczego tak myślisz?

– Paski od mopa wystające z... – Ed zrobił pauzę. – No wiesz, są takie same jak te znalezione przy poprzednich ofiarach.

– Są w każdym supermarkecie.

– Owszem, ale są rozłożone w ten sam sposób, z tą samą precyzją. Naśladowca mógłby jedynie trafić przypadkiem w ten sam typ.

Blacha przytaknęła koledze i przyglądała się zwłokom.

– Czyja jest ta pakamera? – przerwała ciszę.

– Jakiejś starowinki, która nie wychodzi z domu od pięćdziesiątego piątego roku.

– Ktoś z nią rozmawiał?

– Ja. Myślała, że jestem jej wnuczką i przyszedłem naprawić żyrandol. Nic konkretnego. Chyba już zapomniała, co przed chwilą widziała.

Blacha przyjrzała się ponownie ciału kobiety. Drut na jej szyi nie pasował do poprzednich zdarzeń.

– Jest wyjątkiem, czy Łowca przerzuca się na blondynki? – zapytał Żuchowski.

– Nie dowiemy się, dopóki nie znajdziemy kolejnej ofiary – zauważyła smutno Krawczyk. – Mam nadzieję, że ta biedaczka jest już ostatnią ofiarą i dlatego jej fizjonomia różni się od poprzednich.

– Pobożne życzenie.

Policjantka cofnęła się o dwa kroki i omal nie krzyknęła ze strachu, gdy światło w piwnicy nagle zgasło. Uprzytomniła sobie, że oparła się o włącznik i wyłączyła światło w całym labiryncie.

Wychodząc z bloku, Blacha zakręciła się wokół własnej osi. Robiła tak zawsze na miejscu zbrodni. Złośliwi mówili, że jest wiedźmą, która słucha szeptu duchów, a ona jedynie chciała mieć obraz otoczenia.

Rozejrzała się po twarzach ludzi, którzy obserwowali radiowozy z przerażeniem. Wcale im się nie dziwiła. Trup w piwnicy i seryjny morderca w mieście. Idealne połączenie na wieczorny spacer z psem.

Ruszyła wzdłuż podjazdu, którym podjechali. Osiedle miało swoje lata, co przełożyło się na brak monitoringu. Większość mieszkańców była w podeszłym wieku, co znacznie utrudniało znalezienie naocznego świadka, który przypadkiem w nocy włóczyłby się z psem lub wracał z zakrapianej, firmowej imprezy.

– Chcesz zobaczyć pozostałe miejsca? – zapytał Żuchowski i nie czekając na odpowiedź, dodał: – Proponuję się przejść. Pierwsze z nich kilka bloków stąd.

Osiedle wyglądało na wymarłe. Ludzie zajmowali się swoimi sprawami, a pogoda, choć słoneczna, nie zachęcała do zabaw na zewnątrz. Lekki wiatr smagał ciało i sprawiał, że było nieprzyjemnie.

– Na dwór? Tak się u was mówi?

Żuchowski spojrzał pytająco na koleżankę. Nie spodziewał się pytania dotyczącego frazeologii kilka minut po oglądaniu zarżniętej kobiety. Był przygotowany na grad pytań o miasto, specyfikę osiedla, przesłuchania świadków. Tymczasem Blacha nie zapytała nawet, jak znaleziono kobietę, skoro właścicielka mieszkania nie wychodzi poza swoje mieszkanie.

– Na dwór, a co?

– Tak się zastanawiam nad pogodą i brakiem ludzi na polu. To znaczy dworzu. Dworze – poprawiła się, nie wiedząc, czy dobrze.

– Na zewnątrz. – Żuchowski pospieszył z pomocą i puścił jej porozumiewawczo oczko, co wskazywało, że i on nie wie, jakiej formy użyć.

Blok, w którym znaleziono drugą ofiarę, Zuzannę Jabłońską, dziewiętnastoletnią studentkę Politechniki Łódzkiej pochodzącą spod Bełchatowa, nieznacznie różnił się od tego, w którym kilka chwil wcześniej policjanci oglądali zwłoki zamordowanej

kobiety. Pod budynkiem również ciągnęła się sieć podziemnych tuneli, a on sam był pokryty pstrokatymi kolorami.

– Lubicie w Łodzi stonowane kolory, co? – rzuciła policjantka.

– W latach dziewięćdziesiątych, kiedy upadał przemysł włókienniczy, ludzie masowo tracili pracę, bezrobocie sięgnęło czterdziestu procent, zrobiło się smutno i szaro. Kolejni politycy nie potrafili znaleźć rozwiązania na problemy mieszkańców. I nagle ktoś wpadł na pomysł, że trzeba rozweselić ludzi, tworząc tak zwane kolorowe osiedla.

– Polscy politycy są naprawdę geniuszami ekonomii – podsumowała kobieta.

Żuchowski nie odpowiedział. Uśmiechnął się smutno i pozwolił koleżance zostać z jej własną refleksją. Czuł, że w głębi duszy się zgadzają i mają podobne zdanie na temat malowania osiedli, gdy ludzie cierpią z powodu bezrobocia. Zaczynał wtedy jako młody policjant. Interwencje w postwłókienniczych domach były codziennością. Brak pieniędzy i alkohol prowadziły często do tragedii. Wciąż miał w pamięci, jak zostali wysłani do patologicznej rodziny, aby zabrać dwoje zaniedbanych dzieci. Chłopca wynosił na własnych rękach. Niedożywiony siedmiolatek nie miał siły chodzić. Wówczas myślał, że miasto nigdy nie podniesie się z ekonomicznych problemów.

Bliżej bloku Blacha zauważyła, że przed budynkiem znajdował się identyczny podjazd jak w poprzednim miejscu – najazd z lewej i wyjazd z prawej strony po okręgu.

– Podjazd.

– Co? – rzucił Ed.

– Podjazd jest identyczny jak w poprzednim bloku. Nie ma szans, że ktoś zastawi czyjś samochód, więc można szybko uciec.

Z akt sprawy wynikało, że ciało kobiety znaleziono na jedenastym piętrze. Zarówno drugą ofiarę, jak i trzy pozostałe, znaleziono na jedenastym piętrze, za każdym razem w pomieszczeniu, które służyło mieszkańcom do lat dziewięćdziesiątych jako pralnia. W późniejszym okresie uznano, że każdy powinien

mieć w domu swoją pralkę. Wchodząc do klatki, uwadze Blachy nie uszedł fakt, że światło się nie załączyło.

– Też spalona żarówka? – zapytała kolegi.

Nie mając nic na swoją obronę, Żuchowski jedynie wzruszył ramionami, a następnie wskazał windę. Stara winda z przypalonymi od zapalniczki przyciskami sunęła ku górze. Na suficie były naklejki Łódzkiego Klubu Sportowego informujące odbiorcę o lojalności kibiców względem honoru zespołu: „Zawsze dumni, zawsze oddani”.

– Dlaczego Łowca ryzykuje i decyduje się wywieźć ofiarę na samą górę tak wolną windą? – zainteresowała się Blacha.

– Większość seryjnych morderców chce, aby ich złapano. Może i tym razem tak jest.

– A może ryzykuje mniej, niż nam się wydaje – stwierdziła policjantka.

– Co masz na myśli?

– Jadącej do góry windy nie da się zatrzymać z zewnątrz.

– Słucham? – Żuchowski nie rozumiał.

– Jak będziesz na przykład na piątym piętrze, a ja będę jechała w górę, to twoje żądanie zatrzymania windy nie będzie działało. Jak jednak będę zjeżdżała już tak.

– Naprawdę tak jest?

Blacha zauważyła, że mijają szóste piętro i szybko nacisnęła siódmkę. Kabina windy się zatrzymała.

– Wsiądź, proszę, i wejdź piętro wyżej. Naciśnij przycisk i zobaczymy, czy się zatrzyma. Jeśli nie, za chwilę będę zjeżdżała, a ty naciśniesz ponownie.

Ed Żuchowski wbiegł po schodach i wykonał polecenie koleżanki. Winda minęła piętro, na którym czekał policjant, wjeżdżając na dziesiąte.

Blacha nacisnęła z powrotem siódmkę. Sunąca powoli w dół kabina zatrzymała się na ósmym piętrze. Żuchowski wszedł.

– Co nam to daje? – zapytał.

– Sprawca niekoniecznie ryzykuje złapaniem.

– Może tak, a może to tylko nasza nadinterpretacja.

– Może... – odpowiedziała lakonicznie Blacha, słuchając stukotu windy, która zatrzymała się ponownie na samej górze.

Pierwszy wysiadł Żuchowski. Przytrzymał koleżance drzwi i ruszył po schodach do góry. Winda nie dojeżdżała na ostatnie piętro. Tamte lokale dopiero w latach dziewięćdziesiątych zostały oddane do użytku mieszkalnego. Wcześniej były pustostanami, klubami i miejscem, w którym mężczyźni z bloku spotykali się na wódkę.

Idąc wąskim korytarzem prowadzącym do pralni, w której znaleziono ciało kobiety, policjanci przysłuchiwali się głosom dochodzącym zza drzwi mijanych mieszkań. W kilku bez problemu rozpoznali głosy bawiących się dzieci, w jednym głośne katolickie radio i ujadającego psa.

Podchodząc do drzwi pralni, Blacha sięgnęła do akt i wyciągnęła zdjęcia. Chciała porównać widziany na żywo około dwudziestometrowy pokój z wanną i wyżymaczką na środku z makabrycznym obrazem uwiecznionym na fotografii.

– Hałas słyszany z mieszkań jest wyraźny, a żadna z kobiet nie ma śladów po kneblu.

– Również myślę, że nie morduje tych kobiet w miejscu, w którym je porzuca.

– To gdzie to robi?

– W miejscu, którego jest całkowicie pewien. Gdzieś, gdzie krzyk nikogo nie zaalarmuje?

– W samej Łodzi takich miejsc mogą być setki.

– A w okolicy tysiące – dodał smutno Ed Żuchowski, wciągając głęboko powietrze, kontynuował: – Jednak z ostatnią ofiarą robi wyjątek. Zabija ją w miejscu, w którym ma nadzieję, że ją znajdziemy.

– Nie ma nadziei, że ją odnajdziemy. To jest doskonale zaplanowane.

– Da się to zaplanować?

– A ty czekałbyś na przypadek? – zapytała kobieta, podchodząc do stołu w rogu pokoju.

Układając na jego blacie zdjęcia kolejnych ofiar, pomyślała ze swoistą ironią o filmach ukazujących pracę śledczych. Większość pokazywała, że policjanci

wieszają kolejne zdjęcia na ścianach i łączą je nićmi połączeń i przełomowych wydarzeń, na które natrafiają w trakcie śledztwa. Prawdziwe życie wyglądało jednak inaczej. Większość momentów, które odmieniały losy dochodzenia, następowała przypadkowo lub była wynikiem nagłej refleksji. Na taką liczyła Blacha, przyglądając się odbitkom. Ciała ułożone były w różnych pozycjach. Policjantka wiedziała, że to coś mówi. Nie miała jednak pojęcia co.

Zerkała przez okno i znowu na stół. W końcu podszedł do niej Ed, spojrzawszy na jej ramienia na zdjęcia. Zrobił to mechanicznie, bo znał je na pamięć. Cały czas w nozdrzach czuł specyficzny zapach, którym pachniało miejsce zbrodni. Wyciągnął paczkę Marlboro. Blacha odmówiła i poprosiła, aby uchylił okno. Nie zносиła smrodu, jaki wydobywał się z papierosów. Może dlatego, że kojarzył się jej z dzieciństwem. Spała w jednym pokoju z ojcem i matką, którzy nie zważając na kilkuletnią córkę, palili papierosa za papierosem. Nawet w nocy.

Kobieta podniosła pierwsze zdjęcie. Ciało było ułożone na boku. W odróżnieniu od pozostałych nie było ani ponacinane, ani rozczłonkowane. Sprawca udusił swoją ofiarę. Jak ustalili śledczy, metalową linką grubości dziesięciu milimetrów. Taką samą można kupić na metry w każdym markecie budowlanym. Kobieta miała starannie uczesane włosy, zero makijażu. W krocze wepchnięto jej paski od mopa.

Obraz drugiej ofiary był mniej subtelny. Kobiecie odrąbano wszystkie kończyny. Patologowie nie znaleźli na ciele żadnych ran kłutych ani śladów po duszeniu, co pozwalało postawić hipotezę, że została okaleczona za życia, a śmierć nastąpiła wskutek wykrwawienia. Odrąbane ręce ułożono jedna na drugiej. Do dłoni przyłożono głowę z korpusem i ułożono je po przekątnej do krańca nóg. Z krocza wystawały paski od mopa.

– Fachowe cięcia. Bardzo ostrym nożem lub raczej maczetą – zauważył Ed, wyrzucając niedopałek papierosa przez okno.

Trzecia ofiara była ułożona podobnie do tej, którą Blacha widziała zaraz po przyjeździe do Łodzi. Z tym, że ręce były lekko rozchylone pod kątem

osiemdziesięciu stopni. Kobieta podobnie jak pozostałe była starannie umyta i uczesana. Z krocza wystawały jej paski od mopa.

– Czy któraś z nich była wykorzystana przed śmiercią lub po?

– Narządy kobiet są tak zdeformowane przez siłowe upychanie tych sznurków od mopa, że patolodzy nie są w stanie stwierdzić jednoznacznie. Michalczuk zakłada, że Łowca nie wykorzystuje swoich ofiar, co między nami mówiąc, wydaje się jeszcze bardziej pojebane. Dziewczyny są młode i piękne.

– Może właśnie to mu przeszkadza? Może razi go piękno? Może sam jest brzydki, może ma jakiś defekt...

– To nie jest „Milczenie owiec” – odciął się Ed. – Nie będzie tutaj ani Białego Kłosa, ani Hannibala Lectera.

– Nie mówię, że mamy tutaj Lectera. Mówię, że nasz sprawca ma jakieś problemy z pięknem, które z jednej strony go niewątpliwie pociąga, o czym mówi Michalczuk, a z drugiej odpycha i sprawia, że chce je unicestwić.

Policjant wzruszył jedynie ramionami. Zamknął okno, gdy uznał, że nie czuć już dymu z jego papierosa. Zapadał zmrok.

– Późno – powiedział, wskazując czarny zegarek na swoim nadgarstku. – Nie jadłem od jakichś dwunastu godzin. Jesteś głodna?

– Jak wilk! – wykrzyknęła Blacha z ekscytacją na myśl o zbliżającym się posiłku.

– Zapraszam zatem na obiadokolację.

Kobieta uśmiechnęła się, bo nie była pewna, czy kolega zauważył jej zbyt długie spojrzenie na jego klatkę piersiową.

– Najpierw jednak chciałabym podjechać do hotelu, wziąć prysznic i się przebrać. Mam wrażenie, że przesiąkłam tym dziwnym zapachem.

III

Blacha z radością stwierdziła, że jazda po Łodzi w godzinach wieczornych nie jest katorgą, jaką znała z Krakowa. Około dziewiętnastej, jak wyjaśnił jej Żuchowski, miasto wyłączało część światel, co usprawniało jazdę po głównych ulicach i nie było korków.

– Poza tym koroposzczurki są już w domach lub marketach – tłumaczył, żegnając się z koleżanką, i rzucił do wysiadającej z samochodu kobiety, że przyjedzie po nią za około godzinę.

Mimo iż policja borykała się z problemami finansowymi, Blacha zatrzymała się w jednym z najlepszych hoteli w mieście. Czyżyk nie potwierdzał, ale i też nie zaprzeczał, że jest to mobilizujący prezent od ministra. Otrzymała pokój z widokiem na park i dziwną kładkę przebiegającą nad sześcioma pasami głównej ulicy, która łączyła wschód z zachodem miasta. W parku stały klimatyczne latarenki, a z góry widziała wijące się alejki, które przypominały jej te z Paryża, gdzie przebywała na rekonwalescencji. Oficjalnie wyjechała do Francji z powodu sprawy związanej z Wampirem. W praktyce jednak chciała uciec przed trudnym związkiem z mężczyzną, którego myślała, że kocha.

Przyglądając się ludziom spacerującym po parku, obiecała sobie, że przed wyjazdem spędzi kilka chwil w tym urokliwym miejscu. Uśmiechnęła się na tę myśl. Nic nie sprawiało jej takiej przyjemności, jak czas na świeżym powietrzu. Ładowała wtedy swoje wewnętrzne baterie.

Lejąca się z prysznic, niemal wrząca, woda wypełniła całą łazienkę parą. Blacha miała już wchodzić pod prysznic, kiedy jej telefon zawibrował. Numer zaczynał się na dwadzieścia dwa, co wskazywało, że dzwonił ktoś ze stolicy.

– Dobry wieczór – usłyszała spokojny i stonowany męski głos ministra.

Zawsze ją fascynowało idealne wyszkolenie ludzi związanych z polityką. Grunt mógł im się palić pod stopami albo mogli tonąć w szambie swoich przekrętów, a i tak zachowywali spokój i dystans, jakby sprawa ich nie dotyczyła.

– Dobry wieczór, panie ministrze. Nie dzwoniłam, bo dopiero co udało mi się zameldować w hotelu – zaczęła wyjaśniać, ale mężczyzna przerwał jej w pół zdania.

– Pani Urszulo, absolutnie nie musi się pani tłumaczyć. Domyślam się, że w kilka godzin nie złapała pani Łowcy. Chciałem się dowiedzieć, czy wszystko pani ma, czy podoba się pani hotel, jak współpracuje się pani z komisarzem Żuchowskim. To jeden z najlepszych specjalistów w Łodzi! Poza tym elegancki gość i tego mu odmówić nie można. – Minister zaśmiał się serdecznie do słuchawki po ostatnich słowach.

Tymczasem Blacha była pełna uznania dla jego wiedzy. Widać było, że trzyma rękę na pulsie. Lubiała profesjonalistów, choć politykami gardziła z zasady.

– Ed – urwała w pół zdania – to znaczy komisarz Żuchowski jest bardzo bystrym i kompetentnym policjantem. Prowadzi tę sprawę od samego początku i zapewne jego obserwacje będą bardziej pomocne, aniżeli same akta. Na razie nie chciałam poznać jego opinii. Obejrzałam dwa miejsca, w których znaleziono ciała kobiet. Niczym specjalnym się nie różnią, a zdjęcia wskazują, że pozostałe trzy są niemalże identyczne. Zresztą, jak pan wie zapewne, ciała znaleziono na tym samym osiedlu.

– Wiem – potwierdził ze spokojem, podpalając papierosa. – Czy zastanawiała się pani, dlaczego morderca wybiera tak dziwne miejsca, aby porzucić swoje ofiary? Większość seryjnych szuka poklasku i sławy. Czy myśli pani, że o to może chodzić?

– Zastanawiam się nad tym, od kiedy usłyszałam pierwszą wzmiankę, trzy tygodnie temu, na ten temat. Niestety, nie znajduję odpowiedzi, choć wydaje się być kluczowa do rozwiązania całej sprawy.

– Myślę, że spokojnie znajdzie pani i na to pytanie odpowiedź, pani Krawczyk. Dziękuję za zaangażowanie – dodał minister.

Chciała odpowiedzieć, lecz polityk zdążył już odłożyć słuchawkę.

Gorący prysznic był tym, czego potrzebowały jej plecy, które ciągle przypominały o sprawie z Częstochowy. Rozmasowała łądźwie i wtarła w nie chińską maść, kołała ona ból lepiej niż najsilniejsze nawet tabletki, na które jej organizm zdążył się już dawno uodpornić.

Stojąc nago w półmroku rozważała, w co ma się ubrać. Nie wiedziała przecież, dokąd na kolację chodzą policjanci śledczy w Łodzi. Przez chwilę poczuła się, jakby szła na randkę, a nie na służbową kolację. Minister miał rację, że Ed jest eleganckim mężczyzną, w dodatku wysportowanym i przystojnym. Przymknęła oczy i zastanowiła się, czy chciałaby, aby wieczór skończył się w jej hotelowym pokoju. Wizja wydawała się aż nazbyt pociągająca. Blacha pokręciła głową i uśmiechnęła się sama do siebie. Nie karciała się za takie myśli. Nie była z mężczyzną od tak dawna, że z czasem przywykła do swoich niegrzecznych myśli. A Ed z pewnością może podobać się kobietom. Policjantka mogłaby się założyć, iż miał wiele adoratek. Nie była jednak pewna, czy to typ mogący posiadać żonę i dzieci.

W końcu porzuciła myślenie o seksualności kolegi z pracy i wróciła do rozważań na temat kolacji. Gdyby śledztwo toczyło się w jej rodzinnym mieście, zabrałaby Eda na Kazimierz do jednej z włoskich knajp, gdzie przepłaciliby za wino, ale atmosfera byłaby wspaniała, bo kto, jak kto, ale Włosi znają się na kuchni i odpowiedniej atmosferze.

Wahała się przez chwilę. Rozważała klasyczną czarną sukienkę lub dżinsy i białą bluzkę. Zdecydowała się na klasykę i buty na płaskim obcasie. O szpilkach mogła jedynie pomarzyć ze względu na kręgosłup.

Żuchowski czekał na nią w foyer. Blacha z zadowoleniem stwierdziła, że dobrze wybrała strój. Jej kolega ubrany był w czarny, dobrze dopasowany golf, spodnie w tym samym kolorze i popielaty płaszcz. Nie umknął jej też zapach jego perfum, który mieszał się z wonią Marlboro. W drodze do samochodu Blacha przypomniała sobie myśli na temat zakończenia tego wieczoru. Nie była pewna, czy byłaby w stanie oprzeć się mężczyźnie.

– Mięso? – zapytał Żuchowski, przekręcając kluczyk w stacyjce volkswagena.

– Słucham?

– Czy jadasz mięso?

– A dlaczego miałabym nie jadać? – zapytała nazbyt zadziornie, od razu karcąc się w myślach.

– Bo teraz taka moda. Nie jada się ani mięsa, ani glutenu.

– Moda?

– Ludzie zawsze lgnęli do tego co modne. Znam masę mięsożernych wegan.

– Jadam – odcięła się, wsłuchując się w piosenkę lejącą w radiu.

Parkując, Żuchowski co rusz obracał głowę do tyłu, żeby sprawdzić, czy nie uderzy zderzakiem w jedną z granitowych donic z roślinami. Blacha zastanowiła się, czy powinna zaproponować mu pomoc. Widząc jednak rosnącą irytację Eda, postanowiła milczeć i cierpliwie czekać na polecenie opuszczenia samochodu. Bawiła ją reakcja mężczyzny. Sama zaparkowałaby pewnie niechlujnie, licząc, że mandat wypiszą policjanci z zaprzyjaźnionej komendy. Po kilku poprawkach Żuchowski przekręcił w końcu kluczyk w stacyjce i silnik zgasł.

Po drodze do restauracji Blacha ze zdumieniem przyglądała się klimatycznej uliczce. Ten widok nie pasował do obrazu osiedla, na którym była wcześniej. Żeliwne latarnie delikatnie oświetlały wybrukowaną drogę. Policjantka przyglądała się ludziom siedzącym w mijanych lokalach. Robiła tak zawsze. Lubiła patrzeć na ludzi i zastanawiać się, kim są, zgadywać to po ubiorze. Na betonowych schodkach prowadzących do restauracji zwróciła uwagę na portret Żyda wiszący przy drzwiach.

– Koszerna? – rzuciła do Żuchowskiego, który stanął w pół kroku.

– Jesteś z Krakowa i nie lubisz Żydów?

– A powiedziałam, że nie lubię?

Żuchowski pokiwał głową przepaszająco. Był zmieszany. Nie powinien oceniać koleżanki, bo zapytała o restaurację, w której mieli zjeść obiad.

Nacisnął klamkę i przepuścił ją w drzwiach. Usiedli przy stoliku dla dwóch osób. Tłąca się lampka nadawała nastrojowy klimat. Kobieta z niecierpliwością czekała na menu. Miała ochotę na włosko-żydowski makron, który zawsze brała

w swojej ulubionej restauracji na krakowskim Kazimierzu. Kartkując menu, z rozczarowaniem stwierdziła, że musi obejść się smakiem.

– Często tutaj jadasz? – zapytała kolegę.

– Widzisz ceny?

– Czyli nie za często – stwierdziła ostatecznie.

Żuchowski puścił porozumiewawczo oczko i się uśmiechnął.

– Zdaję się na twój gust – powiedziała Urszula Krawczyk, podnosząc się z miejsca.

Przed wejściem do łazienki usłyszała jeszcze dźwięki pianina. Przystanęła przy instrumencie wsłuchana we „Fly me to the Moon” Barta Howarda. Z powrotem zaś średniej budowy mężczyzna zaproponował jej kieliszek bimbrowej własnej roboty. Trunek okazał się niezły, ten, kto go robił, na pewno znał się na rzeczy, stwierdziła.

Z daleka zauważyła, że Żuchowski wskazuje na szafę, którą mija, a z ruchu jego warg odczytała „otwórz”. Pchnęła drzwi mebla, które okazały się przejściem do małej sali. Policjantka pomyślała, że to idealne miejsce na romantyczną randkę, gdy ma się ochotę pobyć tylko we dwoje.

– Tajne przejście do Narni?

– Albo zostało im to z okupacji.

Blacha wybuchła śmiechem. Podobał jej się żart kolegi. Sama też o tym pomyślała.

– Widziałem, że Wojtek poczęstował cię bimbrem. Grzeje, co?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo korpulentny mężczyzna pojawił się przy ich stoliku. Uśmiechając się do Żuchowskiego, wyciągnął rękę i mężczyźni serdecznie się przywitali.

– Nie było tu Eda od lat, a teraz odwiedza mnie z najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem – powiedział, jak się okazało, restaurator, polewając kobiecie kolejny kieliszek bimbrowej. – Jakież to grzechy pani popełniła, że spotkała pani właśnie jego?

– A może on popełnił? – uśmiechnęła się szeroko. – Pańska restauracja cudownie wygląda.

– Zaintrygowała mnie pani. – Mężczyzna poklepał Eda po ramieniu. – To co, bimbru?

Blacha nie odpowiedziała, podnosząc jedynie kieliszek. W trakcie nalewania alkoholu mężczyzna wnikliwie przyglądał się policjantce, a przy tym komplementował to jej urodę, to jagnięcinę, którą wybrali jako danie główne. Nie mogąc się zdecydować, co jest bardziej apetyczne, przyjaciel Żuchowskiego zostawił funkcjonariuszy w niedopowiedzeniu i ruszył do kolejnych gości z tym samym bimbrem. Uwadze Blachy nie uszedł fakt, że mężczyzna jedynie polewał. Nie pił z żadnym z gości. Chciała zapytać, czy to taka żydowska tradycja, czy też właściciel jest abstynentem, kiedy na stole pojawiła się apetycznie pachnąca jagnięcina.

Nie rozmawiali podczas jedzenia. Każde pograżone w swoim świecie zastanawiało się nad tym, kim jest Łowca i kiedy znowu zaatakuje, bo nie mieli najmniejszej wątpliwości, że niebawem ponownie to zrobi.

– Kiedy wysiadłam z pociągu, chciałam, żeby Łowca mnie obserwował. To dlatego ubrałam się tak nieprofesjonalnie – zaczęła, przerywając ciszę. – Po kilkunastu obrotach, jakie wykonałam na peronie, jestem niemal pewna, że sprawca nie zaczepia kobiet na stacji, a jedynie w okolicach.

– Skąd ta pewność? Po dziesięciu minutach na peronie?

– Kamery! Cały peron jest monitorowany. Jak się schodzi do podziemi, również są kamery. W holu też je zauważyłam. Jutro trzeba podjechać na dworzec i obejrzeć zapis.

– Kamery nie działają – wyszeptał Ed, nachylając się do koleżanki.

– Jak to, kurwa, nie działają?!

– Też jesteśmy w szoku. Sytuację wyjaśnia komendant główny z prezesem Polskich Kolei Państwowych.

– Ale nie ma o tym wzmianki w raporcie, w aktach... – wyjąkała.

– Nie ma, bo wiem o tym tylko ja, mój szef i komendant główny. Z informacji, jakie ustalił ten ostatni, kamery, które widać, to atrapy.

– Jak to atrapy?

– Miasto wybudowało drugi dworzec. Wydało na niego miliardy złotych, więc na tym, który ma być odcięty od świata za pół roku, zdecydowano się nie montować dodatkowych kamer ze względów oszczędnościowych. Sprawa jest dodatkowo utrudniona, bo naprzeciwko rozbudowują stadion piłkarski i koparka przecięła wiązkę kabli. Jak już pewnie się domyślasz, uszkodzając kamery miejskie.

Sytuacja z kamerami wyjaśniała policjantce, dlaczego nie znalazła w raporcie wzmianki na temat tego, czy ofiary w ogóle wysiadły z pociągu. Czytając dokumenty, wielokrotnie szukała informacji o zabezpieczeniu monitoringu. Przekartkowując bezskutecznie kolejne strony, zastanawiała się, czy policjanci z Łodzi są tak nieudolni, że nie sprawdzili zapisu z kamer, czy po prostu jest to tak oczywiste, że pisząc raport nie wspomnieli o braku jakichkolwiek śladów na nagraniach.

Żuchowski streścił jej, że osobiście zabezpieczał nagrania z kamer na stacjach pośrednich, aby upewnić się, czy kobiety wysiadły. Nie dopatrywał się, żeby którakolwiek z ofiar bądź osoba podobna, wysiadała. Żuchowski przejrzał całą trasę, jaką pokonał pociąg, również po opuszczeniu Łodzi. Nie zauważył niczego podejrzanego, nie zlokalizował również kobiet w oknie.

– Czyli wracamy do punktu wyjścia. Sprawca może „łowić” zarówno na dworcu, jak i w okolicach.

– Michalczuk twierdzi, że na dworcu. Jako argument, nomen omen słuszny moim zdaniem, podaje, że poza dworcem szansa, iż kobiety dałyby się zaczepić obcej osobie, spada kilkunastokrotnie. Wszystkie wysiadały lub miały wysiąść z pociągu w środku nocy i biegłyby albo na pobliski dworzec autobusowy, albo do taksówki. Na dworcu natomiast jest łatwo kogoś zaczepić. Może to być pierdoła typu godzina lub prośba o wskazanie toalety.

– Załóżmy zatem, że zaczepiasz kobietę na dworcu w środku nocy. Co mówisz?

– Jestem ostatnim człowiekiem, którego powinnaś o to pytać! Nie znam się na podrywaniu. Widziałem, jak patrzył na ciebie policjant pod blokiem i jak ślinił się na twój widok restaurator, to może ty powiedz, jak cię podrywali.

– Dlaczego zakładasz, że zaczepia, podrywając?

– Nie wiem. Może dlatego, że mnie się z tym kojarzy zaczepianie kobiet.

– Czyli pytając kogoś o godzinę czy o drogę, mamy do czynienia z podrywem?

Żuchowski zamyślił się przez chwilę, zatrzymując wzrok zdecydowanie za długo w oczach koleżanki. Blacha poczuła lekki dreszcz przebiegający po jej plecach i dyskretnie skrzyżowała nogi, zaciskając lekko uda.

– Nie wiem, co mam ci odpowiedzieć. Może ten podryw to po prostu skrót myślowy?

– Mniejsza o nomenklaturę. – Blacha machnęła ręką. – Załóżmy, że podszedłby do mnie i zapytałby, czy może postawić mi kawę.

– Pamiętaj, że na dworcu nie ma kawiarni – zripostował Żuchowski.

– Może zatem zaproponowałby mi kawę, ja bym się na nią zgodziła, a po stwierdzeniu, że nie ma kawiarni na dworcu, zaproponowałby, żebyśmy gdzieś podjechali?

Policjantka chciała zapytać o Michalczuka, lecz nagle rozległy się głośne dźwięki skrzypiec i klarnetu. W ważnych partiach granego utworu instrumenty cichły, aby dać pierwszeństwo nostalgicznemu brzmieniu pianina, przy którym niedawno sama stała.

Muzyka zaczęła powoli cichnąć, a gdy umilkła całkowicie i w lokalu zapanowała cisza, zaczął się mocny śpiewa właściciela – a cappella utwór w języku jidysz.

Ani Blacha, ani Żuchowski nie rozumieli słów śpiewanej piosenki, lecz była zaintonowana tak lirycznie, że oboje mieli ciarki na plecach.

– Czy możesz zorganizować spotkanie z Michalczukiem – zapytała kolegę, gdy umilkły brawa po występie.

– Z tym akurat nie ma najmniejszego problemu. Michalczuk jest człowiekiem starej daty i nie liczy sobie za każde pytanie. Choć wszystko masz w aktach. – Żuchowski upewnił się, że koleżanka zaznajomiła się dokładnie z dokumentami.

– Wiem, czytałam. A wręcz znam na pamięć. Mam jednak kilka pytań dotyczących portretu sprawcy.

Żuchowski przytaknął, tym samym dając znać, że zorganizuje spotkanie z profilerem. Znał się z nim od lat, więc równie dobrze mógłby zadzwonić w tej

chwili. Postanowił jednak nie wtajemniczać kobiety w swoje prywatne znajomości.

– Naprawdę nigdy nie podrywałeś dziewczyny? – zapytała Blacha, czym wprawiła Eda w osłupienie. Z jednej strony chciała poznać męski punkt widzenia, z drugiej zaś była najzwyczajniej ciekawa, jak zrobiłby to komisarz.

– Dobiegam czterdziestki. Taka dwudziestolatka mogłaby być moją córką, więc dlaczego miałbym podrywać taką młodą dziewczynę? Mam siostrzenicę w podobnym wieku, więc trudno byłoby mi zagadywać.

Blacha nie uwierzyła w czystość intencji kolegi. Znała męską naturę zbyt dobrze. Nie tak dawno sama miała dwadzieścia lat i podrywali ją głównie panowie czterdziestoletni. Zaczepiali ją częściej niż jej rówieśnicy. Teksty, jakimi ją raczono, były wszelakie, lecz najczęściej sprowadzały się do jednego: mam pieniądze. Takie uprzedmiotawianie od zawsze ją odstręczało.

– A gdybyś miał teoretyzować?

– To nie robiłbym tego na dworcu. Znasz kodeks, wiesz, że to można podciągnąć pod molestowanie...

Blacha zaśmiała się serdecznie, przyznając Edowi rację. Pamiętała, jak nieraz koledzy z obyczajówki żalili się, że mają masę papierkowej roboty, bo jakieś rozhisteryzowane nastolatki składają skargę, że ktoś je zaczepiał. Z biegiem śledztwa, które ograniczało się do odbycia rozmowy z poszkodowaną, najczęściej okazywało się, że domniemanym sprawcą był mężczyzna, który nieudolnie zapraszał na kawę.

– Poza tym mamy dwudziesty pierwszy wiek i ludzie korzystają z aplikacji internetowych – odciął się Ed, jednocześnie zdając sobie sprawę z tego, co właśnie powiedział.

IV

Hotelowe łóżko okazało się być najwygodniejszym, w jakim policjantka do tej pory spała. Puchowa pościel tuliła ją całą noc, a kiedy budzik w telefonie zawibrował, czuła się wyspana, co zdarzało się raz na kilka lat. Blacha przeciągnęła się na łóżku, skupiając uwagę na plecach. Z entuzjazmem zauważyła, że tego ranka ból po prostu znikł. Choć wiedziała, że za kilka godzin wróci, uśmiechała się szeroko, ciesząc się tą chwilą. Czasami ból był tak duży, że nie pozwalał jej podnieść się z łóżka.

Leżąc z rękami pod głową, przypomniała sobie, jak pierwszy raz ból zniknął przed kilkoma miesiącami. Było to również po nocy spędzonej w drogim hotelu. Wówczas pomyślała, że ból nie jest spowodowany pozostałościami po Wampirze z Częstochowy, lecz materacem w domowym łóżku. Wybrała się więc do jednego z droższych sklepów w mieście, aby nabyć odpowiedni. Jego zakup musiała wspomóc kredytem na zero procent. Po dwóch kolejnych nocach, które okazały się być dla niej bardzo bolesne, musiała przyznać, że sama siebie naciągnęła na dwudziestomiesięczny kredyt.

Usiadła na brzegu łóżka. Pocierając stopą po delikatnym białym dywanie, przeczytała esemesa od Żuchowskiego. Dowiedziała się więc, że o dziewiątej zabierze ją spod hotelu na spotkanie z Michalczukiem.

Policjantka postanowiła skorzystać z gościnności ministra. Konkretnie z jego lekkiej ręki do wydawania publicznych pieniędzy. Zamówiła śniadanie do pokoju. Czekając na serwis, rozłożyła na łóżku zdjęcia zamordowanych kobiet. Tym razem w takiej kolejności, w jakiej odnaleziono ich ciała, dłuższą chwilę stała i przyglądała się ułożeniu ciał. Wiedziała, że sprawca chce coś przekazać, lecz nie potrafiła jeszcze rozszyfrować co. Przekręcała zdjęcia i rozrzucała je w przypadkowej kolejności. W pewnym momencie z myśli wyrwało ją pukanie do

drzwi. Wzdrygnęła się i podbiegła otworzyć zasuwę, na którą zawsze zamykała hotelowe drzwi od środka. Nauczyła się tego po makabrze w jednym z hoteli w Karpaczu. Recepcjonista, pełniący jednocześnie funkcję nocnego stróża, otwierał drzwi do pokoju gości uniwersalnym elektronicznym kluczem i zadźgał w ten sposób dwadzieścia dwie osoby. Przeżyły trzy, które miały zaryglowane drzwi na zasuwę.

Pokojówka postawiła na stoliku śniadanie. Jajecznica, mimo że wspaniale wyglądała, nie smakowała nawet w połowie tak dobrze, jak ta, którą wczoraj zaserwował jej w pociągu mistrz Roman. Za to kawa była idealna. Czuć było, że nie należała do najtańszych i jeszcze raz Blacha wspomniała ministra, patrząc na park znajdujący się za oknem.

Równo o dziewiątej funkcjonariuszka pojawiła się w hotelowym holu. Wyrzała przez duże szklane drzwi i przed wejściem zobaczyła Żuchowskiego. Uśmiechnęła się, patrząc, jak delectuje się on smakiem papierosa. Zerknęła też na jego strój: zielony, opięty golf i sportowa marynarka przypadły jej do gustu. Jej uwadze nie uszła staranność, z jaką Żuchowski dobierał obuwie. Nie kryła swojego zdziwienia. Większość mężczyzn w jej wydziale nosiła stare, zużyte „najki”.

– Dzień dobry – przywitała się cieplej, niż ich relacja by na to wskazywała.

– Dzień dobry. Jak się spało? W takim hotelu to przyjemność, co?

– Iście królewska. Ciekawa jestem, czy równie wygodne są hotele w Krakowie.

– Jak przyjadę kiedyś rozwiązać sprawę waszego mordercy, to ci powiem – dogryzł jej lekko. – A teraz zapraszam do karocy, bo Michalczuk nienawidzi spóźnialskich.

Silnik starego volkswagena odpalił po pierwszym przekręceniu kluczyka, z czego jego właściciel był najbardziej dumny. Ed Żuchowski chwalił się, że auto ma dwa plusy. Pierwszym jest fakt, że nie ciąży na nim żaden kredyt, czyli jest spłacone, a drugi, że choć kopciuch diesel, to odpala za pierwszym razem niezależnie od pory dnia, nocy i roku.

– Wczoraj po powrocie do domu zainstalowałem aplikację, o której rozmawialiśmy – powiedział Ed, sięgając po telefon, który leżał w schowku pod radiem. – Świetnie pomyślane, wiesz, jak to działa?

Blacha skłamała, że nie. Wstydziła się, że parę miesięcy temu była na kilku randkach za pośrednictwem aplikacji. Myślała, że pozna miłego, zaradnego mężczyznę, którego pokocha z wzajemnością. Z czasem jednak musiała spojrzeć prawdzie w oczy, że za pośrednictwem internetowej aplikacji do randkowania można jedynie umówić się na seks, pod warunkiem że partner w ogóle się pojawi. Na pięć umówionych spotkań odbyły się dwa. Jedna z mężczyzn, który ciągle opowiadał o swojej byłej żonie i zarzekał się, że nigdy już z taką suką się nie ożeni. Imienia drugiego Blacha nawet nie pamiętała.

– Zatem logujesz się za darmo – kontynuował policjant, wrywając koleżankę z zamyślenia. – Dookreślasz swoją lokalizację, wrzucasz zdjęcia i robisz opis. Potem oglądasz profile innych i jak ktoś ci się podoba i ty jemu, możesz do niego napisać.

Blacha otworzyła aplikację na telefonie kolegi. Była zdumiona, gdy ujrzała, że Żuchowski zalogował się jako Alinka, dwudziestoletnia brunetka o piwnych oczach. Opis przypadł jej do gustu, bo był wzorowany na wspólnych cechach ofiar. Alinka była więc kobietą wesołą i radosną, uwielbiała podróże i czerpała z życia pełną piersią. Żuchowski wspominał też o studiach i dojazdach na zajęcia, a to policjantka uznała za dobre posunięcie.

– Ładne zdjęcie – skomplementowała. – Nie wiedziałam, że masz warkoczyki – dodała, wybuchając śmiechem.

– Nie sądziłaś chyba, że zaloguję się jako komisarz Ed Żuchowski, lat czterdzieści? Przypomnę, że nie ja szukam tam miłości, a my. – Policjant wskazał palcem na siebie i Blachę. – Szukamy tam sprawcy. Jak będziemy mieli odrobinę szczęścia, to może Łowca odpisze.

– Skąd masz zdjęcie?

– Z internetu. Ściągnąłem fotkę przypadkowej dziewczyny, chyba z Australii.

– To nie jest zakazane? – upewniała się policjantka.

– Pewnie jest. Zakładam jednak, że dziewczyna nie będzie w najbliższych dniach szukać samej siebie w Polsce. – Puścił porozumiewawczo oczko i się uśmiechnął.

O dziewiątej trzydzieści policjanci zjawili się w gabinecie Michalczuka, który mieścił się na jedenastym piętrze jednego z bloków, co Blacha uznała za chichot losu.

Drzwi otworzył mężczyzna w podeszłym wieku z lekko przerzedzonymi siwymi włosami i o wąsie w takim samym kolorze. Głos miał spokojny, trochę monotony, wprowadzający w trans. Uśmiechał się szczerze, co bardzo przypadło policjantce do gustu. Rzadko miała okazję widywać szczerzy uśmiech. Gdyby chciała opisać starszego mężczyznę jednym zdaniem, powiedziała by o nim; dobry tata, który przytula swoje dzieci.

I taki właśnie był zawód Michalczuka. Przytulić rozentuzjasmowane dusze i naprowadzić je na prawidłowe tory.

– Urszula Krawczyk – powiedziała, ściskając dłoń mężczyzny.

– My się znamy. Współpracowaliśmy przy sprawie z Częstochowy – powiedział psycholog, trzymając dłoń kobiety. – Być może pani nie pamięta, ale opiniowałem stosunek sprawcy do dewocjonaliów.

– Oczywiście, że pamiętam! – niemal wykrzyknęła. – Pański raport uzmysłowił mi, gdzie szukać sprawcy. Dziękuję raz jeszcze za pomoc – dodała, kiwając lekko głową.

– Cieszę się, że mogłem pomóc. Zapraszam dalej.

Pokój, w którym przyjmował psycholog, był jasny i przesadnie ciepły. Znajdowały się w nim dwa krzesła i leżanka rodem z hollywoodzkich filmów. Na biurku paliła się lampka, a pod nią leżała książka, której czytanie mężczyźnie ewidentnie przerwano.

– Napiją się państwo czegoś? – zapytał terapeuta, wskazując im miejsca.

Oboje pokręcili przecząco głowami.

– Przejdźmy od razu do rzeczy – zaproponował Żuchowski, zasiadając na krześle przy biurku.

Ula zajęła miejsce naprzeciwko terapeuty, wyglądając bardziej na pacjentkę niż na policjantkę, która szuka najbrutalniejszego sprawcy w dziejach miasta.

– Oczywiście – zaaprobował terapeuta. – Pan Żuchowski – ciągnął dalej – stwierdził, że ma pani kilka pytań dotyczących mojego opisu psychologicznego sprawcy, proszę zatem pytać.

– Pytań absolutnie do pana nie mam, bo raport jest napisany sumiennie i rzetelnie. – Połechtala ego psychoanalityka, aby zyskać jego przychyłność jeszcze bardziej. – Zastanawiam się jednak, skąd tak usilne przekonanie w panu, że sprawca grasuje na dworcu...

– Była pani na dworcu, jak mniemam... Co przykuło pani uwagę?

– Poza czterema napisami informującymi o tym, że jestem na Łodzi Kaliskiej, Łodzi Kaliskiej, Łodzi Kaliskiej... – wyliczała.

– Tak.

– To chyba nic szczególnego. Dworzec jest raczej mały jak na miasto, które ma ponad pół miliona mieszkańców. Wszystko jest na nim pozamykane. Nie ma nawet informacji ani kiosku, w którym można kupić batonika. – Ostatnie słowa policjantka dodała z lekką irytacją.

– Jednym słowem, można powiedzieć, że jest wymarły.

– Tak. Jest jeszcze jedna rzecz, która kłuje w oczy. Mianowicie brak windy. Trzeba zejść po schodach, co trochę mnie dziwi, bo dworzec był do niedawna używany jako „główny”.

– Otóż to! Brak windy pozwolił wysnuć mi hipotezę, że sprawca ma jakąś ułomność ruchową, która w łatwy sposób pozwala mu zaczepić ofiary. Te z kolei czują się wówczas bezpieczniej. Człowiek zawsze czuje się bezpieczniej przy kimś z dysfunkcją, bo sam wydaje się wówczas silniejszy.

– Panie Czesławie, proszę nie zrozumieć mnie źle, ale na ułomność ruchową można również zaczepić w parku czy w supermarkecie. A pana zdaniem sprawca grasuje na dworcu. Dlaczego?

– Po pierwsze kobiety wsiadają do pociągu na stacji startowej. Po drugie to miejsce, gdzie najłatwiej zaczepić nieznaną osobę w tak młodym wieku. Stąd też moje założenie, że sprawcą jest dojrzałym mężczyzną. Na pewno jest też zadbany, co znowu wnioskuję po wyglądzie tych młodych kobiet. Z obdartusem nie chciałoby rozmawiać. Jak to mówi dzisiejsza młodzież; nie ta liga. Rozumie pani?

Blacha przytaknęła głową i uśmiechnęła się do rozmówcy, zachęcając go do kontynuowania wywodu.

– Zatem sprawca podchodzi do młodej kobiety i prosi ją o pomoc w zniesieniu bagażu i dostarczeniu go do auta, bo jak pani widziała, wystarczy zejść z peronu, skręcić w boczne wyjście i jest się na ciemnym parkingu pod peronami.

– Idealne miejsce, żeby kogoś porwać, wrzucając go do auta – wtrącił Żuchowski.

Czesław Michalczuk przytaknął spokojnym skinieniem głowy.

Blacha założyła nogę na nogę. Uwadze psychologa nie umknął cień bólu, jaki przeszył jej twarz podczas tej prostej czynności. Chciał zapytać, czy wszystko w porządku, ale wycofał się w ostatniej chwili, dając wygrać zawodowemu nawykowi zostawiania ludziom przestrzeni.

– Ma pan słuszną hipotezę, nie mogę pojąć, dlaczego dworzec, skoro ofiary znajdowane są w dość znacznej odległości od stacji.

– Jeśli dokonała pani oględzin miejsc, w których znaleziono kobiety, to z pewnością zauważy pani, że prawdopodobieństwo, iż były one mordowane w miejscu ich odnalezienia, jest znikome. Innymi słowy, pani Krawczyk, sprawcy nie robi różnicy, jak daleko od dworca kolejowego zostawia swoje ofiary. One już wtedy nie żyją.

– Zastanawiał się pan, dlaczego akurat to jedno osiedle? – dociekała policjantka.

– Myślę, że odpowiedź jest bardzo prozaiczna. Mianowicie, sprawca zna to miejsce.

– Mieszka tam...

– Możliwe. Równie dobrze mógł tam dorastać.

- Lub pracować – wtrącił Żuchowski.
- Jakiś dozorca? – odpowiedziała pytająco Blacha.
- Muszę przyznać, że jest to jakaś hipoteza – pospieszył z odpowiedzią psycholog.

Ed nie czekał na koniec wypowiedzi Michalczuka. Wyszedł z gabinetu i wybrał numer do swojego szefa. Poprosił o sprawdzenie firm sprzątających osiedle i wytypowanie potencjalnych sprawców. Chciał, aby koledzy skupili się głównie na dewiantach, chorych psychicznie, a przede wszystkim na ludziach, którzy mieli już zatarg z prawem. Rzadko kiedy zdarzało się, że pierwszą zbrodnią popełnioną przez kogoś było morderstwo. Komendant obiecał, że zajmie się tym osobiście. Ed uśmiechnął się na tę informację i pomyślał, że zainteresowanie ministra potrafi wykrzesać energię do pracy nawet z jego otyłego szefa.

Ed oparł się o ścianę i zapalił papierosa. Czuł napięcie w karku, które zawsze towarzyszyło mu podczas dużego stresu. Wiedział, że zostało im niewiele czasu. Liczba ofiar zaczęła gwałtownie rosnąć. Rzucił niedopałek na podłogę i zdusił go butem. Odczekał chwilę, aż zapach papierosów się ulotni i wszedł z powrotem do środka.

– Właśnie opowiedziałam panu Michalczukowi o twoim pomysle z aplikacją – zagaiła Blacha, gdy Ed stanął w drzwiach.

– I co pan o tym sądzi? – Żuchowski skierował wzrok na Michalczuka, który siedział z nogą założoną na nogę, jak zwykle spokojny i uśmiechnięty.

Policjant zwrócił uwagę, że Michalczuk ma gołe stopy, a na nich klapki. Na spotkanie w tak ważnej sprawie ubrany w ten sposób mógł przyjść tylko ktoś, kto naprawdę nie ma problemu z poczuciem własnej wartości.

– To zmieniłoby całkowicie rys psychologiczny sprawcy. Teraz może nim być każdy, kto potrafi prowadzić auto i obsłużyć komputer. – Psycholog spojrzął przed siebie z nieukrywaną bezsilnością.

Milczeli przez dłuższą chwilę, w końcu Michalczuk bez słowa podniósł się ze swojego miejsca i poszedł do toalety. Gdy wrócił, zapach mydła wypełnił cały

pokój. Blacha bez trudu rozpoznała zapach mydła w kostce, którego używało się w jej rodzinnym domu.

Żuchowski sprawdził w internecie, że aplikacja, którą zainstalował, szczyli się tym, że ma ponad dwa i pół miliona aktywnych użytkowników w Polsce. Był to jeden z najlepszych wyników w Europie Środkowo-Wschodniej. Po zapoznaniu się ze statystyką cała trójka musiała przyznać, że znalezienie sprawcy, to jak szukanie igły w stogu siana.

Mijały kolejne minuty i żadne się nie odezwało. Blacha chowała włosy za ucho i obiecała sobie, że pierwsze, co zrobi po wyjściu z gabinetu, to zakup kilogramowej torby z gumkami do włosów.

– Rozumiem, że chcecie sprowokować potencjalnych sprawców do kontaktu – zagaił Michalczuk.

– Mamy taką nadzieję, że się odezwie – zaczął Żuchowski i pokazał stworzony przez siebie opis w aplikacji.

– Bardzo dobry. Pasuje do profilu. Wzmianka o pociągach również bez precedensu. – Psycholog pstryknął palcami.

Kilka godzin po zainstalowaniu aplikacji telefon Żuchowskiego wskazywał ponad czterdziestu zainteresowanych kontaktem.

– Panie Czesławie, jak spośród czterdziestu ludzi wyselekcjonować tego jednego?

– Możemy również pokierować rozmową w ten sposób, że sprawca sam nam o tym powie – skonkludowała Blacha.

– W jaki sposób? Przyzna się, że jest mordercą – zapytał bez cienia ironii Ed.

Michalczuk klasną w dłonie i delikatnie się wyprostował. Bał się, że rozmowa policjantów przeistoczy się w kogucią walkę o lepszy pomysł. Jako specjalista z zakresu ludzkich zachowań wiedział, że wydłuży to jedynie śledztwo i do niczego dobrego nie doprowadzi. Kłótnie z reguły nie prowadzą do niczego dobrego, mimo że niosą ze sobą uwolnienie ładunku negatywnej energii i oczyszczają atmosferę, przeważnie komplikują relację na kilka kolejnych dni.

– W każdej rozmowie będziemy podkreślać, że wracamy do Łodzi za dwa dni. Sprawca sam wskaże dworzec, z którego może odebrać naszą Alinkę – powiedział Michalczuk.

– To może Blacha będziesz odpowiedzialna za rozmowy? – Ed wyciągnął w kierunku koleżanki telefon.

– Wręcz przeciwnie. – Psychoanalityk poderwał się na równe nogi. – Myślę, że pan zrobi to lepiej od koleżanki, bo...

Ed zrobił się czerwony na twarzy. Serce chciało wyskoczyć mu z piersi. Bał się, że Michalczuk mimowolnie ujawni jego sekret. Sekret, z którym przyszedł do gabinetu lata temu i którego mimo terapii nie potrafił wyjawić nikomu.

– Bo zna pan miasto i jego specyfikę – dodał pospiesznie Michalczuk, puszczając oczko do swojego byłego pacjenta.

Ed sprawdzał dodatkowe funkcjonalności aplikacji. Ku jego zdziwieniu usługa „komunikacji” była płatna. Nie chciał robić z siebie błazna i prosić o refakturę poniesionego kosztu na kwotę stu złotych, więc podał numer swojej karty kredytowej. Gdy tylko płatność została pobrana, uszczuplając jeszcze bardziej finanse policjanta, mógł sprawdzić, kto zaczął obserwować stworzony fikcyjny profil.

– Wytypowanie potencjalnego sprawcy wydaje się być jednak łatwiejsze – zaczął Żuchowski. – Zapłaciłem za dostęp premium i mogę od razu zobaczyć, kto jest moim adoratorem. Spośród czterdziestu paru połowę mogę skreślić od razu.

Michalczuk i Blacha patrzyli na policjanta ze zdziwieniem. Żuchowski odwrócił w ich kierunku telefon tak, że mogli widzieć wszystkie profile potencjalnych sprawców.

– Bo to dzieci. Ten tutaj ma chyba z piętnaście lat, ten siedemnaście, ten wygląda na czternaście – wyliczał Żuchowski.

– Nie wiedziałam, że dzieci mogą korzystać z takich aplikacji – wtrąciła Blacha, biorąc od Żuchowskiego telefon. – Ten tutaj to ma chyba z trzynaście.

– Kłamię pewnie w sprawie wieku. Jak się rejestrowałem, to musiałem podać dokładną datę urodzenia.

– Pan też skłamał – zripostował Michalczuk. – Świat już jest tak skonstruowany, że ludzie kłamią. Zresztą proszę sobie wyobrazić świat bez kłamstw. Czy byśmy w ogóle rozmawiali ze sobą? – Michalczuk zakończył retorycznym pytaniem. Chciał kontynuować wywód, lecz wiedział, że to nie czas i miejsce na filozoficzne dywagacje. Wziął telefon Żuchowskiego do ręki i pomógł policjantom zrobić wstępną selekcję spośród pełnoletnich użytkowników portalu. Oglądał poszczególne zdjęcia, wykazując się ogromną wiedzą z zakresu mowy ciała. Podpowiedział Żuchowskiemu, żeby dawał każdemu szansę napisania do „Alinki” i nie dyskredytował nikogo.

Po kilkunastu minutach i iluś przeczytanych opisach Michalczuk wytypował dwóch mężczyzn, którzy, jak się wyraził, wyglądają podejrzanie.

Blacha przyjrzała się profilom. Na jednym z nich był mężczyzna ubrany w brązowopopielaty garnitur w niebieskie prążki. Miał idealnie dopasowaną koszulę. Niebieski krawat, który dodawał mu powagi i elegancji. Wyglądem przypominał sprzedawcę z dobrego salonu samochodowego. Mężczyzna uśmiechał się nieśmiało do zdjęcia wykonanego w lustrze.

– Dlaczego akurat on? – zagaiła Michalczuka.

– Proszę spojrzeć, jak stoi.

Rzeczywiście mężczyzna stał nierówno. Jedno z kolan miał wygięte w bok, co mogło oznaczać zarówno dysfunkcję ruchową, jak i ułożenie ciała do zdjęcia.

– Poza tym – ciągnął Michalczuk – facet nie patrzy ani w lustro, ani w kamerę, ma mętny wzrok, jakby nie chciał się zobaczyć. Pod postem napisał, że prowadzi dobrze prosperujący biznes, czym od razu sugeruje, że szuka tylko przygody.

– Myśli pan, że powinniśmy napisać do niego pierwsi? – zapytał Żuchowski, czując odpowiedzialność, która spoczęła na jego barkach.

– Proponuję poczekać chwilę – zaczął Michalczuk. – Jeśli to nasz sprawca, a my zaczniemy się mu narzucać, to możemy go spłoszyć. Nie zakłócajmy jego rytmu. Myślę, że morderca nie jest aż tak nieśmiały, aby pierwszy nie zacząć rozmowy.

Zapadła cisza. Zebrani w gabinecie czuli, że zbliżają się do czegoś, co może okazać się przełomowe w śledztwie. Chcąc rozluźnić atmosferę, psycholog

zapropował swoim rozmówcom kawę. Gdy Michalczuk zniknął w sąsiednim pokoju, Blacha ponownie rozejrzała się po pomieszczeniu. Na podłodze stały oparte winylowe płyty z muzyką z lat sześćdziesiątych. Przejrzała kilka pozycji. Pokręciła głową z uznaniem, co do gustu psychoanalityka. Wśród wykonawców odnalazła wykonawców takich jak The Beatles, Elvis Presley czy Brenda Lee.

Michalczuk wszedł bezszelestnie i zaczął obserwować kucającą przy jego płytotece policjantkę. Pomyślał, że jest bardzo ładną kobietą, której niewątpliwie jakiś mężczyzna kiedyś wyrządził krzywdę, o czym świadczyło jej bezpardonowe, wręcz bezczelne patrzenie prosto w oczy. Świdrowała źrenice rozmówcy, jakby szukała w nich duszy, którą ktoś kiedyś jej ukradł.

– Widzę, że przypadła pani do gustu moja kolekcja płyt? – zagaił.

Blacha, podnosząc się, przytaknęła.

– Nikt tak nie przeproszał w historii muzyki jak Brenda Lee. Myślę, że ten komu pisała tę piosenkę, musiał być kimś wyjątkowym.

– To fakt. Miłość jest jedyna i niepowtarzalna w swoim rodzaju. Napędza do ekspresji artystycznej, bo przez tę uwalniają się emocje.

Blacha nie skomentowała. Odłożyła trzymaną w rękę płytę Brendy Lee i spojrzała prosto w oczy terapeuty. Michalczuk wytrzymał to spojrzenie. Był przyzwyczajony do wyzywających ludzkich spojrzeń. Lata pracy w zawodzie uodporniły go na zaczepki ludzkich oczu. Podobnie jak nie reagował na obelgi słowne i groźby. Wiedział, że pod agresją kryje się ciche wołanie o pomoc. Nikt nie rodzi się agresywny. To świat, który go otacza, tworzy go takim.

– Pani Krawczyk – zaczął po drugim łyku kawy Michalczuk – powiedziała pani, że ma kilka pytań dotyczących portretu Łowcy, jaki stworzyłem, słucham kolejnego.

– Czy widział pan zwłoki ofiar?

– Tak widziałem. Uważam, że one coś mówią. Nie wiem jednak co.

– Badania patologów nie potrafią odpowiedzieć, czy kobiety były wykorzystane seksualnie. Uniemożliwia to znaczne zdeformowanie pochwy. Końcówki mopa są nasączone jakąś żrącą substancją, którą trudno ustalić. Myśli pan, że on je wykorzystuje i chce to ukryć? Nie chce być uznany za kolejnego dewianta?

– Sposób układania ciał, staranność, z jaką są umyte z krwi, dokładność w uczesaniu włosów, a nawet pomalowanie ust szminką jednej z ofiar nie wskazują na to, aby chciał cokolwiek ukryć. Myślę, że to jakaś wielka wizja. Manifest.

– Manifest?

– Pamięta pani sprawę masowego mordu młodzieży na wyspie Utoya?

– Oczywiście. Każdy chyba pamięta sprawę Andersa Breivika. Wielka tragedia, która obiegła cały świat i też go poruszyła choć na chwilę.

– A czy wie pani, że masowy mord wykonany przez wspomnianego mężczyznę był fikcją literacką powstałą dwadzieścia lat przed zamachami?

– Chce pan powiedzieć, że Łowca wtyka kawałki mopa kobietom w miejsca intymne, dlatego że coś przeczytał? – wtrącił Żuchowski.

– Dla pana, komisarzu, wszystko, co pan czyta, jest tylko fikcją. Ma pan prawidłowo działające filtry, które mówią, co jest dobre, a co złe. W przypadku morderców, gwałcicieli oraz pedofilii filtry poznawcze nie działają prawidłowo. Często potrafią sobie uargumentować w logiczny dla nich sposób, że to, co robią, znajduje usprawiedliwienie.

– Krzywdzą w imię większej idei – dokończyła myśl Blacha, spoglądając na Żuchowskiego, który poprawiał golf.

– Czy zatem znacie jakieś książki, filmy, piosenki lub cokolwiek innego z szeroko rozumianego świata kultury, co powiązane byłoby z tym, co robi Łowca? – W głosie Żuchowskiego czuć było lekką irytację.

Matka Blachy była polonistką, więc kobieta miała do czynienia z książkami od maleńkości. W domu rodzinnym nie było telewizora, więc każdy wieczór i dzień wolny spędzała z książką. W okresie wolnym od szkoły potrafiła pochłonąć pięć książek tygodniowo. W osiedlowej bibliotece nie było pozycji, z którą by się nie zaznajomiła, więc często musiała wracać do książek, które już kiedyś czytała. Nie przypominała sobie jednak, aby czytała jakąkolwiek prozę, która opisywałaby zabójstwa kobiet z wpychaniem im czegośkolwiek w krocze. Być może była za młoda na tego typu lektury. Po szybkim zastanowieniu uznała jednak, że wątek grzebania w literaturze nie ma większego sensu.

– Myślę, że to nie to – odpowiedziała koledze. – Wątek literacki ma sens, ale na kartach powieści Zafóna. Co zatem Łowca chce zamaniestować pana zdaniem? – Skierowała wzrok na psychologa.

– Tego nie wiem. Myślę, że przekaz jest banalny, bo i forma niewyszukana. Najdłużej zastanawiałem się nad tym, co ma symbolizować ów mop. – Terapeuta zawiesił głos. Gdy odpowiedź na niezadane pytanie nie przychodziła, skonkretyzował je. – Czym dla was jest mop? – Teraz Michalczuk założył nogę na nogę, wchodząc w rolę terapeuty, który pyta i pozwala wyciągnąć wnioski swoim podopiecznym.

– Narzędziem? – zapytała Blacha.

– Przykrym obowiązkiem – dodał pół żartem Ed.

– To oczywiste, że narzędziem – Michalczuk spojrzał na kobietę – ale do czego?

– Do mycia? – odpowiedziała niepewnie Blacha.

– Ciała są umyte z zewnątrz. Na żadnej z ofiar nie znaleziono ani grama krwi. Włosy mają starannie uczesane i umyte. Makijaż poprawiony – dodał Żuchowski.

– Ale co z tym mopem? – zapytała Blacha.

– Właśnie tego nie rozumiem – odparł szybko Michalczuk i pogрузił się w swoich myślach.

Milczeli, dopijając kawę. W pokoju można było usłyszeć jedynie załączający się dźwig windy, który wiozł mieszkańców do ich mieszkań. Blacha spojrzała przez okno. Zza chmur przebijało się słońce.

– Łowca myje swoje ofiary od wewnątrz. – Michalczuk skonkludował, wyprostowawszy swoją sylwetkę. Już nie siedział z założoną nogą. Był czujny, bo czuł, że zbliżają się do czegoś, co przyczyni się do ukierunkowania śledztwa. Popchnięcia go do przodu.

– To chore. Myć kobiety od środka.

– Chore jest to, czego nie robi większość. Większość ludzi, chwała Bogu, nie morduje innych ludzi, więc od razu możemy założyć, że mamy do czynienia z chorym

człowiekiem. – Michalczuk pokrótce przytoczył definicję choroby psychicznej i kontynuował: – Pytanie jest zasadnicze, dlaczego sprawca to robi?

– A jak pan sądzi?

– Obawiam się, że nie mam zielonego pojęcia. Jak już wspomniałem, większości chodzi o manifestację problemu, który jest dla nich ważny z takiej czy innej przyczyny.

– Sprawca wlewa mocny środek żrący w swoje ofiary. Nie jest to kwas, więc zakładamy, że produkt można kupić w sklepie osiedlowym – policjantka dywagowała – może to być środek drażniący rury lub do mycia toalet. Trudno określić, gdyż większość produktów tego typu ma ten sam składnik żrący.

– Ale mają jedną wspólną cechę – wtrącił podekscytowany Żuchowski i spojrzał koleżance prosto w oczy.

– Są środkiem żrącym? – zapytała z lekką ironią Blacha.

Michalczuk otworzył usta i chciał zadać pytanie. Zamilkł jednak. Nie chciał wybijać swojego byłego pacjenta z myśli. Doświadczenie zawodowe po raz kolejny dało o sobie znać. A mówiło, że drugiemu człowiekowi zawsze należy dać czas i przestrzeń, a sam znajdzie rozwiązanie problemu.

– Czy manifestem, o którym pan wspominał, może być hasło? Slogan? – zapytał Żuchowski i nie prosząc o pozwolenie, sięgnął po kartkę i flamaster leżące na biurku.

– Manifestem mordercy może być wszystko, co niesie dla niego jakiś przekaz. Wizję czegoś większego – powtórzył Michalczuk, gdy Ed coś kreślił na kartce. – Odnajdując manifest, odnajdzie pan pobudki, a odnajdując pobudki, jest duża szansa, że znajdzie pan sprawcę, bo jego życie toczy się wokół tylko tej sprawy.

– To chyba mamy slogan tego manifestu – powiedział Żuchowski, odwracając kartkę w kierunku swoich rozmówców:



< Z Y S T

Blacha i Michalczuk spojrzeli po sobie. Ślepo patrzyli w kartkę, nie wiedząc, jak interpretować bazgroły Żuchowskiego.

– Cechą wspólną wszystkich środków żrących jest nadanie czystości – zaczął tłumaczyć swój tok rozumowania Ed. – Wszystkie znane mi reklamy, które promują produkty tego typu, mówią o odzyskaniu „śnieżnej bieli”, o wannie czystej jak nowa itepe. Może zatem nie powinniśmy nazywać sprawcy Łowcą, a Czyścicielem, bo ewidentnie ten aspekt jest dla niego ważny. Ofiary mają na przykład umyte ciała.

– Więc hipoteza z myciem od środka zaczyna mieć sens...

– Otóż to – potwierdził Ed i ponownie wskazał na swój rysunek. – Myślę, że to jest manifest sprawcy. Układa z ciał napis. Pierwsza ofiara leżała na boku, czyli w „C”, druga miała rozczłonkowane ciało, ale ułożone w „Z” – kontynuował swoją wypowiedź mężczyzna.

Blacha przestała go słuchać. Wiedziała, że mają trop. Poczwała lekką zawiść, że to nie ona na to wpadła, a kolega, za którego miała rozwiązać sprawę.

– Jak w piosence YMCA? – zapytała Blacha, wskazując na płyty Michalczuka.

– Dokładnie – odpowiedział Ed, rozkładając zdjęcia z akt na podłodze gabinetu i kreśląc na nich odszyfrowane wyrazy: C – Z – Y – S – T.

– Boże – zachnęła się Blacha – to naprawdę popierdolone!

– Panie Czesławie – zaczął Ed – jeśli Łowca ułoży szukane słowo z ciał ofiar, to, czy jest szansa, że zaprzestanie swojego rytuału?

Psycholog się zastanawiał, gładząc siwiejący włos. Wewnątrz był zadowolony z Eda i lekko poirytowany swoją osobą jednocześnie. Nie pomyślałby, że łódzki sprawca sięgnie po trik rodem z taniego horroru lat dziewięćdziesiątych. Zastanawiał się nad odpowiedzią dla Żuchowskiego i przez chwilę przemknęła mu przez głowę myśl, czy nie przecenił sprawcy podczas wizji lokalnej na dworcu kaliskim.

– Historia niesie – zaczął terapeuta – że seryjni mordercy nie przestają popełniać zbrodni z dnia na dzień. Nawet jeśli wstrzymują, że się tak wyrażę, swoje działania, to tylko na moment. Czasami rok, czasami dekada, ale większość z nich wraca do swojej profesji. Wówczas, co jest dobrą informacją, popełniają błąd,

który pozwala ich złapać. Czują się bowiem bezkarni, bo skoro wtedy mi się udało, to i tym razem musi.

Żuchowski spojrział na psychologa, który bez problemu odczytał strach, jaki przemknął po twarzy policjanta. Czekanie przez kolejne miesiące, o ile nie lata, nie wchodziło w grę. Strach wśród mieszkańców Łodzi, presja rządu i całego kraju były zbyt ogromne.

Sprawą Łowcy interesowali się już jacyś dziennikarze zza granicy, co podnosiło rangę śledztwa, a w konsekwencji prowadziło do jeszcze większego problemu. Policja będzie musiała wytypować kozła ofiarnego. W czasach Polski Ludowej wybierano kogokolwiek, kto był niewygodny. Wskazywało się palcem, że jest sprawcą i nim ktokolwiek zdążył zaprotestować, delikwent wisiał na linie w jakimś garażu chwilowo zaadaptowanym na miejsce kaźni. W dwudziestym pierwszym wieku, w świecie dostępu do mediów społecznościowych ani rząd, ani policja nie podjęliby takiej rozpaczliwej próby. Winnym będą oni, policjanci prowadzący śledztwo, i to na nich spadnie społeczna krytyka. Z rozmyślań wyrwała go sylabizująca koleżanka, która po kolei wyliczała.

– Czystka, czyste, czysty, czyszczenie, czystka...

– Czystość – powiedział zimno Ed.

– Czystość wszechobecna jest moim zbawieniem i celem moim – dodał psycholog, a gdy rozmówcy spojrzeli na niego, pospieszył z wyjaśnieniem. – Państwo są za młodzi, żeby pamiętać czasy peerelowskiej propagandy, ale jednym ze sloganów tejże było: „tęp muchy”, które odnosiło się do czystości w barach, jadłodajniach, kuchniach i temu podobnych przybytkach.

Jeśli Ed miał rację i morderca chce ułożyć z kobiet napis „czystość”, to będzie szukał kolejnych trzech ofiar, co stanowiło minimum. Jeśli zaś, jakimś cudem, sprawca był związany z gastronomią peerelu, ofiar mogło być jeszcze czterdzieści osiem.

Cała trójka siedziała w milczeniu przerywanym sporadycznie szeptanym słowem „czystość”. Ed zastanawiał się, o jaką czystość może chodzić. Wpisał hasło w internecie. Pojawiła się reklama znanego odplamiacza. Policjant przypomniał

sobie jeden ze sloganów przeczytanych na łódzkiej kamienicy: „Była plama, nie ma bluzki, bo ten proszek był od Ruskich” – i uśmiechnął się szczerze, szukając krzyżyka do zamknięcia reklamy. Wyszukiwarka podpowiedziała kilkaset stron ze słowem „czystość”. Po przejrzeniu kilku Żuchowski spojrzał na kompanów. Każde z nich pogrążone było w swoich myślach. Blacha patrzyła pusto w ścianę, na której wisiał oprawiony w drewnianą ramę wycinek z gazety, do której Michalczuk lata temu udzielił pierwszego w swoim życiu wywiadu. Terapeuta zaś siedział wyprostowany na krześle i błędził wzrokiem po ciele policjantki.

– W internecie – zdecydował się przerwać ciszę – jest napisane, że czystość to porządek i ład. Czystość jest postrzegana jako ład, czyli harmonia i uporządkowanie społeczne.

Po tych słowach Blacha się ożywiła. Oderwała oczy od ramki z wycinkiem gazety, której treść znała już na pamięć.

– Tylko, co ma harmonizować społeczeństwu zabicie kilku młodych dziewczyn?
– Blacha zadała to pytanie bardziej sobie niż Żuchowskiemu. – Pytanie, co ma harmonizować i dlaczego.

Ed chciał odpowiedzieć, kiedy jego telefon zawibrował w kieszeni.

Michalczuk i Blacha spojrzeli na siebie, jakby wiedzieli, że ten telefon nie wróży nic dobrego.

V

Volkswagen Żuchowskiego pędził wąskimi ulicami śródmieścia z prędkością dwukrotnie przekraczającą dozwoloną. Policjant wiedział, że muszą być pierwsi na miejscu znalezienia szóstej ofiary. Jeśli pojawią się po prokuratorze, zastaną zdeptane ślad i wozy transmisyjne największych stacji informacyjnych w kraju.

Tajemnicą poliszynela była współpraca poszczególnych prokuratorów z mass mediami. Płacili całkiem nieźle, a mając na uwadze pensje w budżetówce, Ed się nie dziwił, że chcą w ten sposób dorobić.

Żuchowski wybiegł z niechlujnie zaparkowanego auta, nie oglądając się za koleżanką. Schylił się pod taśmą policyjną, która zabezpieczała wejście do klatki i machinalnie przywitał się z pilnującym wejścia policjantem. Był to ten sam, dobrze zbudowany mężczyzna, którego spotkali dzień wcześniej.

W tym samym czasie Blacha stała spokojnie oparta o samochód Żuchowskiego, przyglądając się miejscu, w którym się znalazła. Wiedziała, że nie musi się spieszyć. Mniej więcej spodziewała się, co tam zastanie. Niekoniecznie musiała szybko oglądać kolejne rozczłonkowane ciało.

Jeśli trop Eda był prawidłowy, tym razem należało spodziewać się litery „O”. Podjazd pod blok miał ten sam charakterystyczny układ. Swoim zwyczajem zaczęła kręcić się wokół własnej osi, przyglądając się bacznie otoczeniu. Wyliczała w myślach: ludzie w oknach, drzewa, ptaki, kilka klatek schodowych, podjazd, chmury, śmietnik, trawa... Zatrzymała się po kilku obrotach, przyglądając się uważnie lokatorom, stwierdziła, że w oknach, na chodnikach i balkonach znowu są sami starsi ludzie. Co wbrew powszechnie panującej opinii, że starsi ludzie wszystko widzą i słyszą, bo stale obserwują osiedle, utrudniało znalezienie naocznego świadka. Doświadczenie Blachy niosło, że ludzie z wiekiem stają się na

powrót małymi dziećmi i zasypiają popołudniami przed telewizorami lub z gazetą w rękę. Stanie w oknie jest rozrywką na dwie minuty i pozwala otworzyć w domu dyskusję na temat bólu kolana, stawów i konieczności umówienia się do lekarza.

Urszula Krawczyk uśmiechnęła się do ostatniej myśli, która przypomniała jej o babci, która za każdym razem narzekała na ból nóg.

– Czy wszystkie łódzkie osiedla są zaprojektowane w ten sposób? – zagała policjanta pilnującego wejścia do klatki.

– Łódź jest dość zróżnicowanym miastem. W swoim obecnym kształcie powstała ponad sto lat temu. Dzięki rozwiniętemu przemysłowi nie została zbombardowana podczas drugiej wojny światowej, dlatego osiedla różnią się wyglądem i charakterem. Dajmy na to śródmieście nie ma podjazdów ani przejazdów, bo nadbudowywano kamienice powstałe w dziewiętnastym wieku... – Blacha przerwała w pół zdania policjantowi, który najwidoczniej był pasjonatem miasta, któremu służył.

– A to osiedle? – zapytała przepaszająco, widząc rozczarowanie w oczach mężczyzny.

– Cała dzielnica powstała w czasach peerelu, więc nie ma tu mowy o romantycznym duchu budowy. Nie jest tajemnicą, że zarówno sztuka, jak i budownictwo były użytkowe. Wystarczy się rozejrzeć. – Policjant zakreślił krąg dłonią, niczym telewizyjny sprzedawca wskazując na otaczające bloki. Zrobił krótką, teatralną pauzę i kontynuował. – Innymi słowy, całe osiedle ma ten sam układ.

Policjantka podziękowała za odpowiedź, uśmiechając się ciepło do rozmówcy. Gdy drzwi od klatki miały się zamknąć, za plecami usłyszała niepewny głos mężczyzny, który w ostatniej chwili, niejako desperacko, acz adekwatnie do sytuacji, co nie uszło uwadze kobiety, zaproponował wspólną kawę, aby móc poopowiadać jej o Łodzi.

Urszula Krawczyk, nie odpowiadając, wbiegała po schodach, aby dostać się do windy.

– Światło na klatce schodowej nie działa – zaczął Żuchowski, jakby chciał się zrehabilitować za poprzednie razy, gdy tylko koleżanka dołączyła do niego na jedenastym piętrze.

Ciało nie było rozczłonkowane, co w pewnym sensie ucieszyło funkcjonariuszkę. Zwinięte było w okrąg i oparte o ścianę, co dobitnie potwierdzało hipotezę Eda Żuchowskiego.

– Myślałam, że będzie rozcięta... w „O”.

Ed popatrzył na koleżankę przenikliwie. Nie myślał, że kobieta będzie rozcięta. Zastał ją dokładnie w takiej pozycji, w jakiej sam ułożyłby z ciała literę „O”. Jedynym, czego nie przewidział, to przyklejenie ciała do ściany.

– Cieszymy się, że Łowca oszczędził nam tego widoku – zaczął – choć mnie zastanawia nie sam widok, a pośpiech, bo do tej pory nie atakował z dnia na dzień.

– I drugi raz wybrał blondynkę – wtrąciła Blacha.

– I drugi raz wybrał blondynkę – powtórzył Żuchowski słowa koleżanki.

– Jak sądzisz, po co przykleił ciało do ściany? Miał za dużo czasu? Chce nam coś zakomunikować? – dociekała śledcza.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Ed. – Może chodzi o to, że ciało leżące na podłodze nie byłoby już literą.

Blacha zamyśliła się na chwilę nad tym, co właśnie powiedział Żuchowski. Kiedy chciała zapytać, co sądzi o tak szybkim pojawieniu się nowej ofiary, słowa stanęły jej w gardle, gdyż w tym samym momencie ciało odkleiło się od ściany i upadło z hukiem na lastrykową posadzkę.

Policjanci podeszli bliżej leżących zwłok. Kobieta miała posiniaczone plecy, jakby ktoś zbił je pałką. Spojrzeli po sobie, jakby czytali sobie w myślach.

– Do tej pory Łowca nie znęcał się nad swoimi ofiarami – zaczął Żuchowski – a ta kobieta niewątpliwie została przez kogoś mocno pobita.

– Mamy jakieś informacje o ofierze? – zapytała Blacha, jakby nie usłyszała komentarza kolegi.

– Nie – odparł szybko Ed i dodał: – Czekamy na techników i psychologa dla kobiety, która znalazła ofiarę.

Blacha była zdziwiona. Policja rzadko sama z siebie przysyłała psychologów. Było ich jak na lekarstwo ze względu na wieczne niedostatki pieniędzy. Spojrzała pytająco na kolegę, który wyjaśnił jej, że kobieta jest w tak wielkim szoku, że nie mówi.

– Siedzi podobno w łazience i patrzy martwo przed siebie – dokończył mężczyzna to, czego udało mu się dowiedzieć od policjantów zabezpieczających miejsce zbrodni. – Postawiliśmy przed jej mieszkaniem jednego z naszych ludzi, żeby poczuła się bezpieczniej.

– Do czasu przyjazdu techników nic tu po nas, więc może spróbujemy.

– Nic nie tracimy.

– Dokładnie. Najwyżej nam nie odpowie.

Wchodząc do mieszkania, policjanci stwierdzili, że rzeczywiście kobieta zwinięta jest w pozycji opisanej przez Żuchowskiego. Ślepo wpatrzona w jeden punkt nie zauważyła nawet wchodzącej pary. Wyglądała na około trzydzieści lat. Miała kruczoczarne, źle ufarbowane włosy oraz najpełniejsze usta, jakie policjantka widziała kiedykolwiek w życiu. Blacha pomyślała z zazdrością, że mężczyźni muszą szaleć na widok jej wydętych warg. Odegnęła tę myśl równie szybko, jak się pojawiła, karcąc się jednocześnie za kolejne nawiązania do seksu.

– Dzień dobry – zaczęła. – Nazywam się Urszula Krawczyk i wraz z moim kolegą, komisarzem Żuchowskim, prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa kobiet przez... – urwała w pół zdania, zdając sobie sprawę, że kobieta jej nie słyszy.

Urszula Krawczyk przykucnęła obok i stwierdziła, że kobieta używa podobnych perfum co ona. W innej sytuacji pewnie skomplementowałyby gust rozmówczyni, teraz jednak próbowała rozluźnić uścisk dłoni zaciśniętej na ramieniu. Paznokcie były wbite tak mocno, że z ramienia sączyła się krew. Po chwili mocowania policjantce udało się rozplątać ręce dziewczyny, która spojrzała na nią ciemnopiwnymi oczami. Była w nich pustka, jaką wywołuje jedynie strach.

– Dzień dobry. – Blacha uśmiechnęła się. – Dobrze, że pani do nas wróciła. Ja naz się Krapani wczyk, a tam w drzwiach stoi komisarz Żuchowski. Wspólnie

pracujemy nad rozwikłaniem zagadkowych śmierci kobiet. Pewnie słyszała pani o tym w mediach.

Kobieta nie odpowiedziała. Przelykając głośno ślinę, skinęła głową.

– Niestety, obawiamy się, że to pani znalazła jedną z ofiar, dlatego chcielibyśmy z panią porozmawiać.

– Ale ja nic nie wiem – wykrztusiła i się rozplakała.

Blacha objęła kobietę. Głaszcząc ją po plecach, spojrzała na kolegę, który wysilił się jedynie na bezradną minę. Jego oczy zdawały się mówić: a nie mówiłem, żeby poczekać na psychologa. Po chwili kobieta zaczęła się uspokajać. Spróbowała nawet podnieść się z podłogi, lecz bezskutecznie.

– Może nam pani opowiedzieć, jak to się stało, że natrafiła pani na tamtą kobietę? – zapytała Krawczyk.

– Jestem fotografką – zaczęła – i pracuję nad serią zdjęć „Dekada Łodzi”, być może słyszeli państwo o pomysle? – Kobieta spojrzała na rozmówców z naiwnością dziecka, lecz ci pokręcili głowami w przeczącym geście. – Nieistotna jest idea, chodzi o to, że poszłam na górę jak co dzień od blisko roku, aby zrobić zdjęcie osiedla. Ustawiam aparat zawsze w tym samym miejscu i o tej samej porze. Pstrykam zdjęcie i uciekam do dalszej pracy. Zawód fotografa to trudny kawałek chleba.

– Opowie nam pani, co zastała na miejscu? – zapytała Blacha tym razem bardziej służbowym tonem.

– Nie byliście na górze? – Kobieta znowu spojrzała na policjantów, nie kryjąc już swojej irytacji.

– Oczywiście, że byliśmy, ale chcemy poznać pani wersję zdarzeń. Być może zobaczyła pani coś, czego wczoraj nie było? – Żuchowski uspokoił kobietę.

– Na górę weszłam po schodach, jak zawsze zresztą, bo wyrabiam kroki w moim smartfonie. Pierwsze drzwi, te przy maszynowni, były otwarte.

– A zawsze są zamknięte?

– Pomyślałam, że wczoraj ich nie zamknęłam.

– Zdarzało się wcześniej, aby ich pani nie zamknęła za sobą?

Kobieta się zamyśliła.

– Raz czy dwa – odpowiedziała niepewnie.

– Rozumiem. Co było dalej.

– Na korytarzu dziwnie pachniało, jakby ktoś przed chwilą zdezynfekował klatkę. Potem weszłam do pralni i... – Kobieta ponownie się rozpląkała.

Blacha zacisnęła rękę na jej ramieniu. Wiedziała, że musi być teraz szorstka i zdecydowana. Jeśli pozwoli kobiecie na słabość, ta jej wymknie się w świat strachu i lęku, gubiąc po drodze być może cenne informacje.

– Powiedziała pani, że uderzył ją zapach?

– Myślę, że dozorca umył klatkę. To nawet dobrze, bo na górze było wiecznie dużo kurzu, co tylko pogłębiało moją alergię.

– Czy czuła pani wcześniej ten zapach na klatce?

– Od zawsze klatka schodowa po umyciu pachniała w ten właśnie sposób. Trochę cytryn pomieszanych z lizolem.

Blacha spojrzała na kolegę, który stał ze zdziwioną miną, patrząc w telefon. Chciała zapytać, czy wszystko w porządku, uznała jednak, że zrobi to później. Pomogła wstać swojej rozmówczyni i zaprowadziła ją do dużego pokoju, w którym znajdowała się tylko jedna kanapa. Minimalistycznie, pomyślała Blacha. Kobieta usiadała w rozkroku, opierając dłonie o kolana. Policjantka zaproponowała, że przyrządzi jej herbatę.

– Dziękuję. Bardzo pani miła.

Urszula Krawczyk skierowała swoje kroki do małej kuchni, która niewiele różniła się od pokoju. Oprócz zlewu i kuchenki gazowej znajdował się w niej stolik z Ikei z koszem ze świeżymi owocami.

Czekając aż woda na herbatę się zagotuje, Blacha wróciła do pokoju i przykucnęła przy pochylonej kobiecie.

– Powiedziała pani, że od roku prowadzi pani prace na jedenastym piętrze. Czy zauważyła pani coś podejrzanego? Może widywała pani kogoś regularnie?

Kobieta pokręciła przecząco głową.

– Żadnych obcych osób? Otwartych drzwi? Nowych zapachów? – zapytał Żuchowski.

– Żadnych. Do pralni mają dostęp wszyscy mieszkańcy bloku. Drzwi otwiera się tym samym kluczem co klatkę, ale z tego, co wiem, ja jedna tam chodziłam.

– Nie bała się pani?

– Wchodzić na jedenaste piętro we własnym bloku?

– Tak.

– Mieszkam tutaj, od kiedy pamiętam. Znam wszystkich. Czego miałabym się bać?

Żuchowski wzruszył ramionami, uznając pytanie kobiety za zasadne.

Słyszając, że woda się zagotowała, Blacha wyszła do kuchni po herbatę. Wracając z gorącym kubkiem, spojrzała wymownie na kolegę; wiedzieli, że kobieta nie wniesie niczego nowego do śledztwa. Upewnili się jeszcze, że mogą zostawić ją samą i wyszli z mieszkania, dziękując za rozmowę.

– A może by przejrzeć jej zdjęcia – zagaił Żuchowski na klatce schodowej.

– Myślisz, że znajdziemy na nich coś ciekawego?

– Nigdy nie wiadomo. Może pstryknęła zdjęcie, na którym jest sprawca. Zawsze warto sprawdzić. – Policjant odwrócił się plecami do koleżanki i wbiegł na klatkę.

Nim Blacha odpowiedziała, drzwi się zamknęły. Czekaając na kolegę, podeszła do policjanta, z którym niedawno rozmawiała. Spojrzała mu prosto w oczy, jakby chciała wyczytać z nich całą historię jego życia. Młody aspirant w przeciwieństwie do Michalczuka nie umiał wytrzymać aż tak głębokiego spojrzenia w oczy. Uciekając wzrokiem, przełknął głośno ślinę.

– Pana zaproszenie jest nadal aktualne?

– Kiedy tylko ma pani ochotę, a ja nie będę miał dyżuru.

– Spotkamy się służbowo, aby mógł pan wyjaśnić mi topografię osiedla, więc proszę się zastanowić, czy rzeczywiście jest pan specjalistą z tego zakresu. – Policjantka starała się przyjąć poważną minę.

Mężczyzna się nie odezwał. Przytaknął ochoczo i spojrział tym razem pewniej w brązowe oczy swojej rozmówczyni. W lekko drżących źrenicach policjant bez trudu odnalazł tęsknotę pomieszaną z odrobiną strachu.

– Świetnie. Czy ma pan czas jutro? – kontynuowała Blacha, przerywając ciszę.

– Jutro jestem na służbie do godziny czternastej. Później jestem do dyspozycji.

– Świetnie – powtórzyła to słowo, karcąc się w myślach – może zatem tu w okolicy jest jakaś kawiarnia, w której będziemy mogli porozmawiać.

– Oczywiście, że jest. Co prawda nie jedna z moich ulubionych, którą zapewne by pani pokochała, ale możemy się wybrać do tej po drugiej stronie ulicy.

Para domawiała szczegóły, kiedy z klatki wybiegł Żuchowski. Spojrzął pytająco na Blachę, potem na policjanta i znów na Blachę. Policjantka nie odpowiedziała. Młody aspirant również. Wymienili się uprzejmymi uśmiechami.

Odprawiając wzrokiem swoją rozmówczynię, aspirant nie mógł się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na jej pośladki. Przyznał sam przed sobą, że to jedna z najładniejszych pup, jaką widział od dłuższego czasu. Zastanawiał się nawet przez krótką chwilę, czy Blacha ćwiczy regularnie na siłowni.

Opierając się o maskę volkswagena, Żuchowski wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki paczkę Marlboro. Jedną ręką klepał się po kieszeniach spodni w poszukiwaniu zapalniczki, a drugą mechanicznie wyciągnął w kierunku koleżanki, żeby ją poczęstować. Na widok odmownego spojrzenia szybko cofnął rękę.

– Stare przyzwyczajenie. Poza tym, rzadko się zdarza, żeby śledczy nie palił. – Włożył papierosa do ust i kontynuował: – Fajny ten młody policjant. Pracowaliśmy razem na kilku zleceniach.

– A co o nim wiesz?

– O Tarnowskim? Cóż, młody i ambitny. Pracuje w policji, bo to taka rodzinna tradycja. Po godzinach uczy dzieciaki grać w piłkę. Jakbyś mnie zapytała, czy można mu ufać, to odpowiedziałbym, że raczej cię nie skrzywdzi.

– Myślisz, że to był flirt? – zapytała Blacha.

– Byliście dość zmieszani na mój widok.

– Zmieszani? – zdziwiła się kobieta.

– Uciekłaś wzrokiem, jeśli mam być szczery.

– I widziałeś to z takiej odległości?

Żuchowski przytaknął skinieniem głowy.

– Cieszę się, że masz dobre mniemanie o tym chłopaku, bo idziesz ze mną jutro na spotkanie z nim o piętnastej!

– Nie wyglądasz na kogoś, kto potrzebuje przyzwoitki – odciął się Żuchowski na ironiczny ton koleżanki.

– Ja nie idę z nim na randkę! Nie sądzisz chyba, że będę się migdalić z aspirantem Tarnowskim, gdy na głowie mam seryjnego mordercę, mojego szefa, ministerstwo i media.

– Nie złość się. – Żuchowski uspokajał koleżankę. – To był żart.

– Tarnowski deklaruje, że zna miasto i chętnie opowie nam o osiedlu, na którym znajdujemy kolejne ciała młodych dziewczyn. Chcę z nim porozmawiać, bo tak jak ty wiem, że to osiedle nie jest przypadkowe.

Ed podniósł ręce w poddańczym geście, kiwając głową. Zaciągnął się papierosem i wydmuchnął dym nad głowę.

– Myślisz, że lizol to jest właśnie nasz środek żrący? – zapytała Blacha.

– Nawet jeśli, to i tak niczego nie zmienia poza naszą ciekawością. Sprawdziłem w internecie i taki środek można kupić na pierwszej lepszej aukcji internetowej. – Żuchowski sięgnął po telefon, pokazując stronę. – Pierwsza z brzegu aukcja to czterdziestu siedmiu kupujących, kolejna dwudziestu dziewięciu, na tej mamy osiemdziesięciu... – Urwał w pół zdania, gdy przechodzący obok nich bezdomny zaczepił go i poprosił o papierosa.

Zdziwienie Blachy było wielkie, gdy kolega bez słowa wyjął paczkę i podał całą mężczyźnie. Ten ukłonił się z gracją i wychwalając dobroć policjanta, odszedł, pchając przed sobą dziecięcy wózek przerobiony na transportowiec do kartonów.

– A drzwi? – Kobieta spojrzała pytająco na kolegę.

– To już prędzej, choć nie do końca wierzę pani fotograf. Zdjęcia ma udostępnić mi w chmurze, jak tylko dojdzie do siebie. Zobaczymy, czy coś na nich

jest.

Blacha usiadła na krawężniku i schowała głowę w ramiona. Czowała, że umyka jej coś ważnego. Przy takich sprawach odpowiedź kryje się tuż za rogiem. Nie wiedziała jednak jeszcze, w którą stronę ma iść. Spojrzała pytająco na Żuchowskiego, który podsumował fakty.

– Mamy sześć ofiar. Są to kobiety, około dwudziestoletnie, młode i atrakcyjne. Sprawca układa z ciał jakiś manifest, który jest niewątpliwie związany z czystością, o czym świadczy pozostawianie zwłok w pralniach.

– Poza jedną – wtrąciła Blacha.

– Wszystkie kobiety – kontynuował – są z Łodzi. Tu też znajdujemy ich ciała. Łączy je jeszcze jedno, a mianowicie wszystkie w dniu zaginięcia miały wysiąść z pociągu na stacji Łódź Kaliska.

– Czyli wszystkie są w podróży – dodała śledcza.

– Co ma podróż do czystości? – zastanowił się Żuchowski.

– Podróż też oczyszcza na swój sposób – podsunęła myśl Blacha.

– Co masz na myśli?

– Boję się latać samolotem, a mimo to wsiadam w niego kilka razy w roku. Za każdym razem przeżywam oczyszczenie i zbliżam się do wszystkich świętych, gdy samolot wpada w turbulencje, skręca czy po prostu obniża pułap. – Blacha spojrzała na kolegę, którego zdziwiony wyraz twarzy sygnalizował jasno, że jej nie rozumie. – Chodzi o to, że podróż zmienia perspektywę. W moim przypadku zmienia się patrzenie na codzienne problemy. W obliczu lęku stają się błahe.

– I to jest twoje oczyszczenie?

– Z emocji.

– Rozumiem.

– Może więc Łowca szuka swoich ofiar dlatego w pociągu? – zapytał Żuchowski.

– Może... – wyszeptała.

Policjanci milczeli przez chwilę. Blacha przyglądała się starszej kobiecie niosącej żółtozielony kubeł na śmieci. Zastanawiała się, czy też go wyściela gazetą,

tak jak robiła to jej babcia.

Kobieta skinęła głową na przywitanie przypatrującej się jej policjantce. Blacha poczuła, jakby ktoś złapał ją na podglądaniu. Chcąc uciec od krępującej wymiany spojrzeń, zwróciła się do Żuchowskiego.

– Myślę, że to jedynie atrybut czystości, o czym mówił Michalczuk. Owszem, niewyszukany. Zwróć jednak uwagę na sposób ułożenia tych pasków. Są starannie rozłożone na ofiarach, zawsze świeżo pachną, co więcej są nowe.

– A wszystko, co nowe kojarzy się z czystością.

– Otóż to! – Ed przyznał rację, zapalając trzeciego pod rząd papierosa.

W tym samym momencie policjanci zauważyli parę techników wchodzących do klatki.

– Czekamy, aż się rozłożą i może nam coś powiedzą?

– A mamy inne wyjście. – rzuciła od niechcienia Blacha.

– Myślę, że mamy... – Żuchowski otworzył drzwi od volkswagena i podał koleżance rękę, żeby pomóc jej wstać z krawężnika, na którym siedziała.

Za kierownicą policjant wyjął ze schowka słuchawki i wpiął je do swojego telefonu. Zadzwoił do przełożonego i się zameldował. Mężczyźni rozmawiali rzeczowo i konkretnie. Uwadze Blachy nie uszedł fakt, że jej kolega jest nazbyt uprzejmy w stosunku do swojego przełożonego. Przysłuchując się im, zastanawiała się, czy ona również ma tak spokojny ton głosu w kontaktach z szefem. Podczas trwającej kilka minut rozmowy Ed Żuchowski podsumował wszystko, co udało im się do tej pory ustalić. Nie wspomniał jednak o aplikacji randkowej, co uznał zapewne na tym etapie za nieistotny element śledztwa, który być może nie doprowadzi donikąd.

Kolejny telefon, który wykonał, był już w zupełnie innym tonie. Policjant rozmawiał ze starym znajomym z wywiadu. Z przebiegu rozmowy wynikało, że znajomy Żuchowskiego ma na nazwisko Kamiński. Choć mógł to być również pseudonim. W służbach mundurowych agencji często zwracali się do siebie w ten sposób.

Ed Żuchowski poprosił kolegę, aby ten sprawdził firmy sprzątające na osiedlu – dokładnie o to samo przed paroma godzinami prosił swojego szefa. Jednak niedawna rozmowa z przełożonym uświadomiła mu, że ten nie zajmie się tym mimo deklaracji, jaką złożył kilka godzin temu.

– No wiesz, stary, sprawdzasz te same wątki, co w każdym kryminale nakręconym w USA w latach osiemdziesiątych – przeszłość kryminalna, jakieś gwałty. – Ed uśmiechał się szeroko, pokazując aparat ortodontyczny.

Blacha zastanawiała się, co tak zabawnego mógł odpowiedzieć Kamiński, że uśmiech nie schodził z ust Żuchowskiego. Chciała o to zapytać, lecz w ostatniej chwili uznała to za duży nietakt.

Kolejne telefony dotyczyły innych śledztw, w których Ed brał do tej pory udział i został od nich odsunięty przez sprawę Łowcy.

Urszuli Krawczyk podobał się profesjonalizm Eda Żuchowskiego. Sama lubiła prowadzić kilka spraw naraz. Zresztą nigdy nie widziała w tym nic złego. Myśli na temat spraw i tak krążyły swobodnie w głowie i najczęściej same się dopasowywały. Traktowała je jak puzzle. Usilne wpatrywanie się w stół z rozrzuconymi kawałkami nie przynosiło przeważnie efektu, bo wszystkie elementy z czasem stają się do siebie bardzo podobne. Zostawienie kawałków na stole i podchodzenie do nich co jakiś czas dawało świeże spojrzenie, nie nużyło i pozwalało zaangażować się w stu procentach na tych kilka chwil. Blacha wiedziała, że wystarczy jedna dobra myśl, aby z rozrzuconych elementów ułożyć cały obraz.

Żuchowski kończył ostatnią rozmowę, gdy zabudowa miasta stawała się coraz rzadsza. Policjantka obserwowała zza samochodowego okna niknące w oddali wieżowce ustępujące miejsca budynkom fabrycznym i dużemu cmentarzowi.

– Dokąd jedziemy? – zapytała.

– Do kogoś, kto odpowie nam na pytanie, czym jest czystość – rzucił szybką odpowiedź Ed.

– Stary znajomy?

– Jeden z najlepszych przyjaciół!

– Orlen!

– Nie macie w Krakowie stacji benzynowych? – Żuchowski dziwił się podekscytowaniu koleżanki.

– Głodna jestem, a na Orlenie są najlepsze hot dogi. Zjedź, proszę.

Ed Żuchowski zahamował przy dystrybutorze paliwa. Blacha weszła do budynku, gdy policjant tankował samochód i przyglądał się z nostalgią centrum handlowemu mieszczącemu się na tyłach stacji. Jako młody chłopak pracował tam przy wykładaniu towaru w nocy. Nie lubił tej pracy, ale nie skarżył się. Wiedział, że tylko pracą może pomóc matce związać koniec z końcem. Wdzięczność widziana w jej oczach dodawała mu wówczas sił. Widząc, jak matka niknie w oczach po każdej kolejnej chemioterapii, nie łudził się, że będzie dobrze. Chciał odciążyć ją, jak mógł. Spojrzał na niebo i uśmiechnął się szczerze. W głębi duszy wierzył, że matka odwzajemnia jego uśmiech.

– Tobie też wzięłam kawę i hot doga. – Blacha wyrwała kolegę z rozmyślań. – A teraz skoro już nie rozmawiasz przez telefon, powiedz, proszę, jaki masz pomysł.

– Przepraszam cię za te telefony – tłumaczył Żuchowski. – Oddelegowali mnie do sprawcy, ale innych z biurka mi nie sprzątnęli... – urwał swoją wypowiedź, gdy spostrzegł zrozumienie w oczach koleżanki. – Wracając do naszej wyprawy, pomyślałem, że nie rozważyliśmy aspektu czystości z metafizycznego punktu. Michalczuk w swoim raporcie wspomina, że często seryjni mordercy to osoby o wielkiej wierze, wręcz zaburzone.

– Ja na przykład jestem wierząca i nie czuję się zaburzona.

– Nie o takie zaburzenie chodzi. Michalczuk wspomina, iż ci ludzie głęboko wierzą w sens swoich czynów. Może mordercą jest ktoś, kto zabija w imię boga. Tego szeroko rozumianego boga – dodał policjant, widząc niepewną minę koleżanki.

Rozmowa między policjantami była ożywiona i toczyła się przez całą drogę. Blacha zasugerowała, że może chodzi o czystość w formie wstrzemięźliwości.

VI

Parafia księdza Andrzeja mieściła się w małej i urokliwej wsi pod Łodzią. Kościół położony był na niewysokiej górze. Zbudowany z czerwonej cegły i otoczony malowniczym parkiem. Blacha pomyślała, że to dobre miejsce na ślub.

Wysiadając z samochodu, jej uwagę przykuła pasieka. Żółto-niebieskie ule stojące w szeregowej zabudowie dodawały miejscu klimatu.

– Jeden z księży jest mistrzem pszczelarstwa. Podobno miód jego wyrobu otrzymywał specjalną przesyłką polski papież.

– Poważnie?

Żuchowski wzruszył ramionami i nacisnął mosiężną klamkę jedynych otwartych o tej porze drzwi. Po trzech krokach byli w niewielkiej kancelarii parafialnej, gdzie większość przestrzeni zajmowało masywne, dębowe, biurko, za którym, o dziwo, siedział szczupły ksiądz o szczurzej twarzy.

– Szczęść Boże – zagaił Żuchowski. – Szukamy księdza Andrzeja Bednarka.

– Szczęść Boże. Ksiądz Bednarek wyjechał na *ultimum officii*.

– Czy to ultimum długo potrwa – wtrąciła żartobliwie Blacha.

– A któż wie, kiedy pan wezwie do siebie? – zapytał spokojnie ksiądz.

Na to pytanie kobieta nie miała riposty. Stwierdziła, że odda inicjatywę Żuchowskiemu.

– Ksiądz Andrzej to mój dawny przyjaciel. Jestem komisarzem łódzkiej policji i aktualnie jego pomoc będzie mi bardzo potrzebna. Gdyby chodziło o modlitwę za powodzenie w sprawie, poprosiłbym księdza o pomoc i nie byłoby o czym gadać, ale chodzi o coś zgoła innego. Czy zatem może ksiądz do niego zadzwonić?

– Pan raczy żartować? – obruszył się duchowny. – Ksiądz Bednarek jest na ostatniej posłudze, aby pomóc wiernemu zmierzyć się z nieznanym śmierci

i przygotować go na spotkanie ze stwórcą.

Ed Żuchowski pokiwał głową, karcąc się w myślach za żarty nie na miejscu. Uśmiechnął się do swojego rozmówcy i zapytał, gdzie mogą poczekać, aż ksiądz Bednarek wróci. Ksiądz Edward, kanonik z piętnastoletnim stażem, zaproponował gościom, aby poczekali na plebani. Nalał im ciepłej zupy ogórkowej i dał chleba z masłem. Wskazał szafkę z kawą, a sam wrócił do kancelarii, której w czasach dyżuru nie mógł zamknąć.

Ed po zjedzeniu hot doga na stacji nie miał apetytu, za to ze zdziwieniem obserwował koleżankę, która od razu zasiadła do talerza.

– Tak dobrej zupy ogórkowej nie jadłam od dzieciństwa! – chwaliła Blacha, przegryzając pajdą chleba. – Stara szkoła, nie ma co.

W czasie, gdy Blacha pochłaniała drugi talerz zupy, Ed wstawił wodę na kawę. Spojrzał w telefon i odpisał komuś na komunikatorze randkowym. Czajnik gwizdem zakomunikował, że woda jest już gotowa, lecz ani Blacha, ani Ed nie zwrócili na niego uwagi. Pochłonęło ich czytanie tekstów z opakowania tabletek znalezionych obok kawy. Według informacji na opakowaniu miały leczyć lęk i stres, zapobiegać kłótniom w małżeństwie, a młodzieży pomagać zahamować chęć masturbacji. Dodatkowo walczyły ze złym wpływem szatana i umacniały komunikację z Bogiem. Przyklejona etykieta z ceną wskazywała, że koszt trzydziestu tabletek to czterdzieści złotych, co Żuchowski uznał za największy absurd.

– Myślisz, że ktoś je tutaj bierze czy się na nich dorabia?

– Pewnie jedno i drugie. Cena jest zawrotna.

– Biznes jak każdy inny.

– Taki sam, jak na tych wszystkich suplementach diety, które zdominowały polskie sklepy. Wchodzisz do sklepu i półki uginają się od paraleków na wszystko. Na wypadające włosy, na lepsze samopoczucie, z witaminą taką, a taką.

– Nigdy nie zwracałam na to uwagi. Może jestem za młoda? – Blacha puściła koledze oczko.

– Sugerujesz, że ja jestem za stary?

– Absolutnie – ponownie puściła oczko – myślisz, że działają?

– Które?

– Te z supermarketu.

– Pewnie tak samo powstrzymują wypadające włosy, jak te tutaj chęć masturbacji – odciął się Żuchowski, śmiejąc się serdecznie ze swojego żartu.

– Wiara czyni cuda, Ed. – Policjanci usłyszeli męski głos za swoimi plecami.

Dwoma szybkimi krokami policjant znalazł się przy księdzu Andrzeju. Mężczyźni padli sobie w ramiona. Blacha obserwowała to przyjacielskie przywitanie i zastanawiała się nad przekornością losu. Ktoś taki jak Żuchowski, silny i wysportowany mężczyzna, który w swojej pracy zмага się z najbardziej zatwardziałymi zbirami, pokornieje nagle w obliczu niskiego i siwiejącego starca, który bez najmniejszego oporu klepie go po policzku, uśmiechając się przy tym szczerze.

W księdzu Andrzeju było coś, co ludzie nazywają dobrem. Jak później stwierdziła Blacha, były od niego spokój i szczerść, które tak rzadko goszczą w świecie policjantów wydziału dochodzeniowego. Oni częściej obcują z duchami zmarłych.

– Andrzeju – zaczął Żuchowski – to moja koleżanka po fachu, Urszula Krawczyk.

Kobieta podała rękę kanonikowi. Dłonie miał miękkie i delikatne, a uścisk mimo swoich lat nadal silny i zdecydowany. Blacha, patrząc w błękitne oczy mężczyzny, zastanowiła się, jakie koleje losu sprawiły, że ci dwaj się zaprzyjaźnili.

– Miło panią poznać, pani Krawczyk. – Kaznodzieja posłał jej najserdeczniejszy uśmiech, jaki widziała w życiu.

– Mnie również, proszę księdza.

– Dla przyjaciół Andrzej – rzucił szybko mężczyzna.

– Blacha. Też dla przyjaciół – dodała rozbawiona. – Jak widziałeś, właśnie zaczytywaliśmy się w znalezionych tabletkach. Skąd pomysł? To nie ma prawa działać.

– Jak już powiedziałem, sekretem jest wiara. Jeśli wierzysz, że coś zadziała, to choćby wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że to coś nie ma prawa się

udać, to wierzącemu się to udaje – odpowiedział spokojnym i stonowanym głosem bez nuty ironii ksiądz. – To samo dzieje się w szpitalach. Tylko że w świeckim świecie nazywa się ten efekt placebo.

Blacha się uśmiechnęła i przytaknęła mężczyźnie.

– Marcinek nie przyjechał po prostu mnie odwiedzić. Nie zakładam też, że chce się pani wyspowiadać ani że przyszłicie z zapowiedzią ślubu, więc w czym mogę pomóc? – zagaił ksiądz Andrzej, popijając łyk świeżo zaparzonej kawy.

Blacha poczuła nagłą irytację na Żuchowskiego, wysyłając mu wymowne spojrzenie tak, aby ksiądz tego nie zauważył. Zastanawiała się, jak ma pomóc im ktoś, kto ma demencję i nie wie, z kim rozmawia. Ksiądz Bednarek jakby czytał w jej myślach, z uśmiechem zwrócił się do Eda.

– Twoja koleżanka nie wie, że jesteś Marcinek, co Ed? – zagaił kaznodzieja. – A pani pewnie myśli, że postradałem zmysły.

Blacha zdołała jedynie wzruszyć ramionami, zastanawiając się, czy duchowny potrafi czytać w myślach. Czując, jak robi się jej gorąco, ściągnęła marynarkę, mimo iż miała na sobie tylko obcisłą bluzkę na ramiączka. Upewniwszy się, że bluzka zakrywa jej cały dekolt, usiadła na krześle, zakładając nogę na nogę.

– To nie ma teraz znaczenia – odpowiedział Żuchowski. – Mamy do ciebie sprawę, która oczywiście musi zostać między nami. – Ostatnie słowa wypowiedział przyciszonym głosem.

– Jak na spowiedzi. – Ksiądz Andrzej wykonał gest zapinanego zamka błyskawicznego na swoich ustach i jednocześnie puścił oczko.

Bez problemu można było rozpoznać, że niezapowiedziana wizyta dawnego przyjaciela sprawia mu radość. Co jeszcze bardziej upewniło Blachę w przekonaniu, że to dobry człowiek. Przeważnie ludzi denerwowało, gdy ktoś nagle przypominał sobie o nich w potrzebie.

– Jak zapewne słyszałeś, w Łodzi grasuje morderca – zaczął referować policjant. – Nie wdając się w brutalne szczegóły, które nie są zbyt istotne dla naszej wizyty u ciebie, a kogoś tak wrażliwego na ludzką krzywdę jak ty mogłyby boleć do końca życia, to odkryliśmy, że z ciała swoich ofiar układa wyraz lub zdanie.

– Mógłbyś jaśniej, Ed?

– Sprawca po morderstwie podrzuca ciało, które jest literą.

– Jak w pantomimie?

– Mniej więcej. Zakładamy, że będzie to słowo „czystość”. Blacha sugeruje, że może chodzić o czystość duchową, coś w rodzaju wstrzemięźliwości. Mnie zaś wydaje się, że to fanatyzm religijny, jakiś rodzaj segregacji. Na tym etapie nie odrzucamy jednak żadnej hipotezy. – Ed zrobił pauzę, by upewnić się, że mówi zrozumiale. – Nie znam człowieka, który wiedziałby o czystości więcej niż ty, stąd też nasza niezapowiedziana wizyta. – Ta wzmianka nie była łechtaniem ego rozmówcy. Żuchowski naprawdę uznawał swojego przyjaciela za wybitnego teologa. Znał też historię mężczyzny i wiedział, że czystość nie jest mu obca. Tak samo zresztą jak i jej brak, na co swego czasu kuria spuściła zasłonę milczenia.

– O co chcesz dokładnie zapytać, Ed...

– O czystość w tym kościelnym, ale i uniwersalnym znaczeniu. O to, jak ty widzisz czystość i czym ona jest dla twojego zawodu.

– W kościele katolickim czystość sama w sobie jest uniwersalnym bytem. Przypomnę, że Jezus został stworzony w czystości i w niej samej Maryja pozostała do końca swoich dni.

– Dlaczego mówi się, że Maryja była wieczną dziewicą, skoro jest wiele przekazów o tym, że Jezus miał rodzeństwo? – Blacha zadała to pytanie ostrzej, niż powinna.

Ksiądz Andrzej po raz kolejny się uśmiechnął.

– Jeśli nawet Jezus miał rodzeństwo, to owe dziewictwo należy interpretować jako czystość. Maryja do końca swojego życia pozostała czysta, czyli wierna Bogu i jego przykazaniom. Kolejnym istotnym aspektem jej dziewictwa była prostota jej życia, które jest cnotą. Zarówno słowo „cnota”, jak i dziewictwo nawet dzisiaj traktujemy jako synonimy, a przecież Biblia pisana była wieki temu.

Blacha przytaknęła oczami, dając księdzu znak, że się z nim zgadza i prosi, aby kontynuował swój wywód.

– Zwrot „Maryja zawsze dziewica” odnosi się nie tylko do tego, co powiedziałem wcześniej. Jest on również mocno powiązany z miłością. Czyste serce Maryi związane jest z bożą obecnością w jej życiu.

– Chodzi o czystość intencji? – zapytał Ed.

– Raczej sposobu na życie – kontynuował ksiądz. – Człowiek, który żyje w czystości, stawia osobę nad przyjemnością. Tą osobą w życiu Maryi był Bóg – Jezus.

Ed i Krawczyk popatrzyli na siebie. Nie byli przekonani, żeby o taką czystość chodziło Łowcy.

– Czystość – kontynuował ksiądz Andrzej – ma trzy wymiary. Pierwszy jest teologiczny, drugi osobisty, a trzeci społeczny.

– Zaczniemy od społecznego.

– Nie da się zacząć od któregośkolwiek, bowiem przenikają się wzajemnie na różnych płaszczyznach, ale spróbujmy. Czystość społeczna to postawa osoby względem społeczeństwa. Konkretniej rzecz ujmując, tego, jak się zachowuje, ale też co myśli. Ludzie często mylą powierzchowność z prawdziwą intencją, ale to zakrawa o czystość osobistą. Niemniej, czystość społeczna to dobro ogółu, jakie ja czynię dla niego właśnie. Człowiek czysty zarówno społecznie, jak i osobiście to taki, który stawia innych ponad siebie. Nie chce ich wykorzystać w żaden sposób. Szczególnie seksualny. Żyjemy w świecie, w którym pornografia zdominowała świat. Czasami wydaje mi się, że łatwiej umówić się z kimś na seks niż na kawę.

– Czyli czym jest czystość?

– Czystość to miłość – odpowiedział spokojnym głosem ksiądz Bednarek. – Jan Paweł II mawiał, że czystość ma za zadanie wyzwalać miłość.

– Innymi słowy, nie mylcie miłości z seksem – dodał Żuchowski, a ksiądz poklepał go radośnie po plecach, dając znak, że trafił w dziesiątkę.

– Sprawca myje swoje ofiary, wlewa im środek żrący w krocze, a na koniec wtyka tam paski od mopa. – Blacha nie zważała na wspomnianą wrażliwość księdza.
– Czy da się więc odzyskać czystość przez umartwianie ciała?

– Asceza nie jest pewnie ci obca, ale nie sędzę, aby to o nią chodziło, bo w tym nurcie, że się tak wyrażę, chodziło o umartwienie własnego ciała, nie zaś skazywanie kogoś na cierpienie. – Ksiądz rozłożył bezradnie ręce. Po chwili kontynuował: – Czystość to również wstrzemięźliwość, a ta jest powiązana z żeńskim układem rozrodczym. Ten z kolei jest nieodłącznie powiązany z czystością.

– Czy nie jest tak, że kuszenie odbywa się przez ciało kobiety. Dlatego muzułmanie mają oddzielne miejsca do modlitwy dla mężczyzn i kobiet.

– Owszem kuszenie jest brudne. – Ksiądz zakreślił znak cudzysłowu palcami. – Ale tylko czysta osoba może wydać na świat nowe życie.

– A życie bierze się z miłości – wyszeptała.

Ksiądz Bednarek się uśmiechnął. Wiedział, że policjantka zrozumiała.

Żeby pozbierać myśli, Blacha przeprosiła mężczyzn i wyszła na zewnątrz. Gdy rozważała różne aspekty czystości, zauważyła, że pod kościołem zaparkowało szare combi, z którego jakaś kobieta wypakowywała kwiaty. Uśmiechnęła się do niej, a ta odwzajemniła uśmiech, pokazując przesadnie duże, białe zęby.

Blacha się zastanawiała, czy kobieta będzie stroić kościół na ślub, czy też na pogrzeb. Widząc jednak eustomy zdecydowała, że chodzi raczej o ślub. Pomyślała o przewrotności życia. Za kilka godzin w kościele jakaś młoda para zacznie nowe życie w czasie, gdy kolejna ofiara może wydawać swoje ostatnie tchnienie.

– Piękne eustomy – zagaiła florystkę, gdy ta mijiała ją z nieschodzącym z twarzy uśmiechem.

– To prawda – odrzekła lekko zachrypniętym głosem kobieta – uwielbiam biel akcentowaną tym lekkim odcieniem różu. Myślę, że kwiaty ślubne odzwierciedlają obraz miłości, która powinna być czysta na co dzień i zaakcentowana od święta.

Kobieta postawiła pojemnik z kwiatami na ziemi i wyjęła z niego jedną gałązkę, podając ją policjantce.

W pierwszej chwili Blacha chciała odmówić, ale spojrzała w jej szczerze, niebieskie oczy. Choć była rzeczowa i pragmatyczna, zapragnęła przez chwilę zatracić się w tej głębi szczerzej radości, jaką niewątpliwie dawało dziewczynie

obdarowywanie kwiatami. Spojrzała jeszcze przez chwilę w jej oczy i uśmiechnęła się najszczerzej, jak tylko umiała. Dziewczyna skinęła głową i odeszła bez słowa.

Z gałązką eustomy w ręku Blacha przypatrywała się, jak kobieta znika za drzwiami kościoła, dźwigając pojemnik z kwiatami. Patrząc na biały kwiat zastanawiała się, czy sprawca kocha swoje ofiary. Roztrząsała, czy wystarczy mu chwila do zauroczenia się osobą, czy prowadzi obserwacje. Teraz myślała o Łowcy jak o szarmanckim mężczyźnie, który uwodzi swoje ofiary ubrany w drogi garnitur i pachnący eleganckimi perfumami. Wyobrażała sobie, jak jego oczy z lśniących stają się coraz bardziej opętane, gdy zaczyna rozpruwać ofiarę. Zastanawiała się, co muszą czuć kobiety, gdy wiedzą, że zbliża się koniec ich życia. Miała nadzieję, że są nieświadome tego, że nadchodzi nieuniknione. W końcu zaczęła przemyśliwać, czym jest czystość w jej rozumieniu. Jakie ma pierwsze skojarzenia i jedyne, z czym jej się to skojarzyło, to dozorca, co automatycznie skreśliło obraz mordercy w drogim garniturze. Z rozmyślań wyrwał ją Ed, który dołączył do niej, aby zapalić papierosa.

– Co o tym sądzisz? – zagaił.

– Sądzę, że Andrzej to świetny gość. Dużo wie, sporo mówi, ale nadal nie mamy odpowiedzi na temat czystości.

– Wkurzasz się? – Żuchowski spojrzał na koleżankę.

Blacha zdołała jedynie wzruszyć ramionami. Patrząc w kierunku zachodzącego słońca, poczuła rozczarowanie Andrzejem i tym miejscem. Miała żal do siebie o to, że nadal nie zbliżyli się do Łowcy nawet o pół kroku.

– Czy dziewczyny były w związkach? – Duchowny dołączył do policjantów.

– A czemu pytasz?

– Bo pomyślałem, że nie chodzi o czystość w sensie wstrzemięźliwości, a o czystość w sensie metafizycznym, czyli w kontekście miłości. Fakt, że żadna z kobiet nie była w związku, może być dla waszego sprawcy motywem do działania.

Policjanci nadal nic nie rozumieli. Oboje wybałuszyli oczy na księdza.

– Co jest przeciwieństwem miłości?

– Nienawiść – powiedział Żuchowski.

– Egoizm – poprawiła go Blacha – a konkretnie obojętność.

– Bingo! – Ksiądz Andrzej klasnął w ręce. – Chodzi o to, że nie ma ludzi czystych i nieczystych tak samo, jak nie ma ludzi złych i dobrych. Walka o to rozpoczyna się każdego dnia i może właśnie o to chodzi sprawcy. Chce przywrócić ludzi czystych światu. Pozbawić świat egoizmu.

Blacha i Ed Żuchowski spojrzeli sobie w oczy. Próbowali telepatycznie zapytać siebie, czy zgadzają się z hipotezą księdza Andrzeja. Ed lekko pokiwał głową.

– Kiwacie głowami, a nie do końca mnie rozumienie. Prawda? – zapytał ksiądz Bednarek, uśmiechając się porozumiewawczo.

Policjanci spojrzeli na siebie i po raz kolejny przytaknęli.

– Mnie chodziło o to, że czystość można odbudować. I może wasz sprawca próbuje naprawić zło, które te dziewczyny kiedyś wyrządziły. Spróbujcie zajrzeć w ich przeszłość. Może jest coś, co je łączyło, mimo że się nie znały.

Blacha spojrzała w oczy księdza Andrzeja. Bił z nich spokój. Nie było w nim pychy, która pojawia się w przeciętnym człowieku, który wie, że wpadł na coś przełomowego.

– Nie badaliśmy przeszłości dziewczyn – podjął Ed Żuchowski. – Uznaliśmy, że elementem łączącym jest pociąg. Tak też sugerował psycholog. Myślę jednak, Andrzeju, że masz rację.

Urszula Krawczyk chciała zapytać jeszcze o coś, ale telefon Żuchowskiego zakomunikował, że mają nową wiadomość na portalu randkowym.

– Co to, kurwa, ma być!?! – wykrzyknął Ed.

Blacha i ksiądz Bednarek spojrzeli skonsternowani najpierw na Żuchowskiego, potem na siebie.

– Cóż... – Żuchowski zaczął z pewną dozą nieśmiałości – są pewne rzeczy, których się nie spodziewałem.

– Mianowicie? – zapytała, czując narastającą niepewność.

– Mianowicie, nie zakładałem, że zamiast dzień dobry, ludzie wysyłają zdjęcie – urwał w pół zdania, jakby szukał odpowiedniego słowa – gołego pindola – dodał,

uznając, że słowo „pindol” będzie najbardziej adekwatnym do zdjęcia, które wyciągnął w kierunku koleżanki.

Blacha wybuchła śmiechem, którego nie mogła powstrzymać. Nie sądziła, że dorosły mężczyzna, który nie krzywi się przy oglądaniu zwłok kobiet, zawstydydzi się, mówiąc o penisie. Co więcej nazwie go pindołem.

Chciała dogryźć koledze, ale śmiech utrudniał jej wypowiedzenie choćby słowa. Ksiądz Bednarek pokiwał jedynie głową i odszedł, aby z florystką rozkładającą dekoracje omówić kwestie posprzątania kościoła po planowanym na następny dzień ślubie.

– To co robimy? – zapytał oschłym tonem Ed.

– Myślę, że powinniśmy podziękować twojemu przyjacielowi za podpowiedź i wracać do Łodzi, żeby sprawdzić, co ustalili technicy i twój znajomy.

Żuchowski nie odpowiedział. Wsiadł do volkswagena i przekręcił kluczyk. Nigdy nie żegnał się z księdzem Bednarkiem. Wiedział, że przyjaciel nie lubi pożegnań, bo są dla niego stratą czasu.

Silnik samochodu pracował jednostajnie. Słuchać było lekkie klekotanie charakterystyczne dla diesla. Radio RMF Classic puszczało właśnie jeden z najpopularniejszych utworów Antonina Dvořáka. Żuchowski chciał przerwać panującą między nimi ciszę i podzielić się wiedzą na temat tego utworu. Nie zdążył jednak powiedzieć, że prawdopodobnie był to najpopularniejszy po *Dla Elizy* utwór napisany na fortepian, gdy muzyka czeskiego kompozytora ucichła. Spiker zaś niespokojnym tonem podsycanym przejmującą melodią informował, że w Łodzi znaleziono kolejną ofiarę. Prezenter apelował przy tym do kobiet o zachowanie ostrożności. Potem przeprowadzono krótką rozmowę z właścicielem szkoły samoobrony. Dalsze wiadomości zdominowały wydarzenia z Łodzi. Zastanawiano się, czemu policja wciąż nie zatrzymała mordercy. Po tych kilkuminutowych oskarżeniach pod adresem służb mundurowych puszczo reklamę proszku do prania, leku na hemoroidy i włączono uverturę Webera do opery „Wolny strzelec”.

Żuchowski spojrział na ekran telefonu. Kliknął w ikonkę i odczytał adres bloku, w którym znaleziono ofiarę z wiadomości. Policjanci nie odezwali się do siebie ani

słowem. Każde pogrzyżyło się we własnych myślach.

Dojeżdżając pod blok zauważyli roje gapiów, wozy transmisyjne największych stacji telewizyjnych i radiowych rozstawione na trawnikach, a redaktorzy w czarnych garniturach mających podkreślić powagę sytuacji z jeszcze poważniejszymi minami relacjonowali przebieg wydarzeń, snując kolejne hipotezy.

Blacha szybko przeszła obok aspiranta Tarnowskiego, wymieniając z nim porozumiewawcze spojrzenie. Bała się posłać mu uśmiech, bo gdyby jakikolwiek dziennikarski aparat to uwiecznił, byłaby skończona jako śledcza. Oczami wyobraźni widziała nagłówki gazet mówiące o tym, że policjanci cieszą się ze znalezienia kolejnych zwłok.

Na twarzy Tarnowskiego rysowało się zmęczenie. Zniecierpliwionym głosem upominał dziennikarza, aby ten nie przekraczał taśmy.

Policjantka sama weszła na pustą klatkę schodową. Ed został w samochodzie, by ustalić, czego dowiedział się jego znajomy. Czekać na windę, Blacha przeczytała kilka obraźliwych obelg pod adresem klubów sportowych, a potem kilkanaście razy słowo „ZREMB” na guziku windy.

– Dzień dobry – powiedziała, wchodząc do pomieszczenia, w którym pracowali technicy. – Macie już coś ciekawego?

– Ofiara to dwudziestodwuletnia Karolina Grodzka. Studentka Politechniki Łódzkiej – jeden z techników zaczął wymieniać – trzy dni temu zgłoszono jej zaginięcie. Z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy stwierdzić, że zabójstwa dokonano w ten sam sposób, co poprzednio. Ciało ofiary zostało co prawda starannie umyte, tym razem jednak pod paznokciami znaleźliśmy obcy naskórek.

Blacha poczuła, jak jej serce zaczyna mocniej bić. Pierwszy raz pojawił się jakiś twardy dowód nieoparty na domniemaniu i przypuszczeniu.

– Posłaliście to już do analizy?

– Nadaliśmy mu priorytet, ale sama wiesz, jak działają laboratoria – tłumaczył technik.

– Jedno jest pewne – wtrącił drugi fachowiec – ofiara mocno kogoś drapnęła w twarz.

- Skąd pewność, że to była twarz? – chciała wiedzieć policjantka.
- Skóra na twarzy ma bardziej widoczne pory.
- Jest cieńsza?
- Mniej więcej o to chodzi.
- To mniej czy więcej? – poirytowała się Blacha.
- Bardziej, więcej. Ale poczekajmy na wyniki ekspertyzy.

Blacha wyszła na korytarz. Stała w ustronnym miejscu i wybrała numer telefonu do ministra. Przekazała informacje dotyczące śledztwa i poszlak. Wspomniała o laboratorium, na co dyplomata zapewnił, iż próbka będzie zbadana tej nocy.

Kobieta stała przez chwilę na korytarzu, wpatrując się w kładące się do snu miasto. Na wieżowcu naprzeciwko migąły czerwone lampki, które sygnalizowały schodzącym do lądowania samolotom o swoim istnieniu.

Blacha spojrzała na niższe piętra. Przyglądała się ludziom szykującym kolację. Gdzieś tam jakaś dziewczyna tańczyła przed telewizorem. Zapatrzona w obraz życia codziennego nie zauważyła nawet, że ciało zostało przygotowane do transportu i trafi do laboratorium kryminalistycznego, gdzie zostanie dokładnie przebadane.

W filmach zwykle komisarz policji jedzie do prosektorium, gdzie już po godzinie ma szczegółowy raport dotyczący denata. Blacha uśmiechnęła się smutno na tę myśl. Wiedziała, że medycy potrzebują czasu, który jej się kurczył coraz bardziej.

– Podobno była w ciąży – powiedział jeden z techników, smutno patrząc w oczy policjantki.

– Skąd wiadomo, że była w ciąży?

– Matka ofiary wykawiło to podczas zgłaszania zaginięcia. Znalazła test ciążowy w jej rzeczach. – Policjant podszedł do okna i podniósł z parapetu kopertę z przesłuchania matki ofiary. – Tutaj są wszystkie szczegóły – dodał, wręczając dokumenty.

– Tak szybko macie dokumenty? – zagaiła Blacha

– Byłem akurat na komisariacie, gdy dostałem wezwanie. Pomyślałem, że ostatnio zgłoszone zaginięcie może się z nim wiązać.

Blacha spojrzała na białą kopertę A4. Nie spodziewała się, że znajdzie w niej coś, co mogłoby naprowadzić ją na trop Łowcy. Większość zgłoszeń o zaginięciu miała ten sam charakter i była spisana w ten sam lekceważący sposób. Na komendzie dyżur pełni zazwyczaj zmęczony dniem i swoim życiem policjant, który ma za dużo zaległej pracy, aby z ochotą przyjmować nową sprawę. A tymczasem przed okienkiem dyżurki pojawia się rozhisteryzowana rodzina, która zaklina się na wszystkie świętości, że zaginiona osoba jest dobra i zawsze wraca do domu na czas. Policjant spisuje krótką notatkę ze spotkania i oddelegowuje to dalej, zajmując się na powrót zaległymi sprawami.

Blacha powoli wyciągnęła z koperty trzy drobno zapisane kartki. Na pierwszej stronie nie było nic szczególnego. Pojawiła się wzmianka o tym, kto zgłasza zaginięcie oraz kiedy dziewczyna wyszła z domu i kiedy planowała powrót. Na kolejnej spisano miejsca i listę osób, które mogły mieć kontakt z zaginioną. Policjantka przyglądała się nazwiskom, jakby miała przed oczami listę znajomych osób. Na ostatniej stronie dopisano długopisem, że w rzeczach prywatnych kobiety matka odnalazła pozytywny test ciążowy. Wskazała również, że dziewczyna nie miała chłopaka i nie ma podejrzeń, kto może być ojcem.

Urszula Krawczyk chowała z powrotem dokumenty do koperty w chwili, gdy na miejscu zbrodni pojawił się Ed Żuchowski.

Spojrzała na niego pytająco.

– Na osiedlu pracował dozorca, który miał kryminalną przeszłość – zaczął referować. – W latach osiemdziesiątych został skazany za gwałt na dziewiętnastoletniej sąsiadce. Podobno głośna sprawa. Pokazowy proces i tak dalej.

– Nie jesteś jednak przekonany?

– Jeśli mam być szczery, to nie. Facet wtedy miał już swoje lata. Odsiedział dwadzieścia i dzisiaj ma jakieś siedemdziesiąt pięć, może więcej.

– A mamy jego adres? – zapytała zmęczonym głosem Blacha.

– Mieszka kilka bloków stąd, dlatego o tym wspominam.

Blok dozorczy niczym nie różnił się od tego, z którego kilkanaście minut wcześniej wyszli policjanci. Na klatce nie działała żarówka, a w windzie były te

same nalepki wzywające do wierności łódzkiemu klubowi sportowemu. Mieszkanie dozorca mieściło się na dziewiątym piętrze. Jako jedyny na piętrze miał stare, niepomalowane drzwi z zaszpachlowaną od uderzenia pięścią dziurą.

Żuchowski nacisnął przycisk dzwonka, który ku zdziwieniu policjantów zabrzmiał utworem *Dla Elizy* Ludwika van Beethovena. Ed zerknął skonsternowany i wykrzywił usta, Blacha wysiliła się jedynie na grymas ust i zmarszczenie czoła.

– Kto tam? – zapytał słaby męski głos.

– Policja – odpowiedział w iście filmowym stylu Żuchowski. – Chcemy z panem chwilę porozmawiać.

– Ale w jakiej sprawie? I dlaczego o tej porze? – zapytał mężczyzna, w którego głosie dało się wyczuć niepokój.

Ed spojrzał na zegarek. Rzeczywiście dochodziła dwudziesta druga. Nawet nie zauważył, jak minął mu kolejny dzień. Kiedyś myślał, że zostanie go emerytura, a on nie zauważył, gdzie podziała się jego młodość. Bał się, że usiądzie samotnie przy stole w kuchni w bloku i zda sobie sprawę z tego, że nikogo obok niego nie ma.

– Proszę otworzyć. Mamy kilka pytań dotyczących pana pracy na osiedlu jako dozorca – powiedział Ed tym razem dużo spokojniejszym tonem.

– Dobrze – odpowiedział już pewniej mężczyzna i zaczął przekręcać zamek w drzwiach.

Gdy tylko uchyliły się drzwi, policjanci pożałowali, że zdecydowali się na odwiedzinę. Z mieszkania wydobywał się ostry zapach zgnilizny pomieszany z dawno niewietrzonym pomieszczeniem. W drzwiach stał osiemdziesięcioletni mężczyzna o wątlej postawie i łysej głowie. Ubrany był w stare, poplamione kalesony i koszulkę, która kiedyś była białą, a teraz pożółkłą poprzypalaną niedopałkami szmatą. Mężczyzna zrobił krok w bok i zaprosił policjantów do środka.

Blacha chciała krzyknąć, że jednak to pomyłka, lecz nie zdążyła. Ed popchnął ją lekko i z uśmiechem szepnął.

– Mówiłem, że to nie ten.

Mieszkanie przypominało składowisko śmieci. Od ziemi do sufitu leżały tam wszelkiej maści rzeczy, pomiędzy którymi wiły się ścieżki umożliwiające w miarę swobodne przejście do kolejnych pomieszczeń.

– O co chcecie spytać?

– Pewnie słyszał pan o ciałach kobiet, które zostały znalezione w okolicy – zaczął spokojnym tonem Ed Żuchowski, co Urszuli Krawczyk było zdecydowanie na rękę, bowiem nie miała zielonego pojęcia, o co chcą zapytać mężczyznę w podeszłym wieku, którego nawet nie podejrzewali, że może być sprawcą.

– Słyszałem! Pewnie, że słyszałem! Tak myślałem, że w końcu do mnie przyjdziecie. Sprawdziliście kartotekę sprzed czterdziestu paru lat i myślicie, że to ja?

– Nikt pana o nic nie oskarża – wtrąciła Blacha – wiemy, że był pan dozorcą na tym osiedlu przez piętnaście lat. Znał pan i ludzi, i ich domy. Pomyśleliśmy, że może nam pan coś opowie o mieszkańcach.

– A co pani chce wiedzieć? Czy znam na osiedlu kogoś, kto jest mordercą? – zapytał mężczyzna z nutą irytacji w głosie.

– Czy pamięta pan kogoś, kto był agresywny? – Blacha skonkretyzowała pytanie.

– To były lata dziewięćdziesiąte. W Łodzi było ogromne bezrobocie. Ludzie łoilili wódkę. Większość była agresywna. Pyta pani, czy ktoś tłukł żonę? Wszyscy tłukli żony. Myślę, że nadal tłuką, jak mam być szczery.

Policjanci pokiwali głowami. Chcieli, jak najszybciej wyjść z mieszkania i zaczerpnąć świeżego powietrza. Na jednej ze stert śmieci zauważyli biegnącego prusaka.

– Poza tym – kontynuował mężczyzna – masa ludzi się stąd już wyprowadziła albo poumierła. Większość zamieszkała tutaj po wojnie. Z przydziału. Wiecie, o co chodzi?

Policjanci przytaknęli.

– No, bo myślałem, że za młodzi. Tak jak już mówiłem, większość umarła. Był taki jeden wykidajło osiedlowy, Bukowski. Ten to umiał w mordę dać. Kiedyś, jak

żonie przypierdolił, to z pięć zębów jej wypadło. Zresztą córkę też tłukł. A jak popił, to tłukł wszystkich na osiedlu.

– Pamięta pan, gdzie mieszka ten Bukowski?

– A co mam nie pamiętać, panie! Jestem stary, ale nie głupi. Bukowski mieszkał pod piętnastką. Na czwartym piętrze. Ale tam go nie znajdziecie.

– A gdzie go znajdziemy? – zapytał poirytowany Żuchowski.

– Na Smutnej.

– W więzieniu?

– Na cmentarzu. Żona go dźgnęła, jak spał. Niby w afekcie, to ją uniewinnili. Wredna suka była. Zawsze go prowokowała, a na koniec posłała do piachu. Kobiety takie są. Nie daj się pan!

– A czy kojarzy pan kogoś, kto jednak żyje? – zapytała Blacha zdecydowanym tonem.

– Nikogo, kto mógłby wam podpasować. Wy szukacie zwyrola. Zwierzęcia, które żadne jest krwi, jak lew czy tygrys. A nie pijusa, który czasami pierdolnie swoją babę.

– A może pan nam powiedzieć coś bliżej o sprawie, za którą został pan skazany? – zapytał oschle Żuchowski.

Na to pytanie mężczyzna podniósł ręce w poddańczym geście. Dłonie miał brudne, jakby dopiero co skończył kopać w piachu.

– Aleś pan pierdolnął z kalibra! Ja zostałem skazany za niewinność. Wszyscy poświadczali, że dziewczyna się łąsiła do mnie przez całą imprezę. Piliśmy razem i razem się bawiliśmy. Poprosiła, żebym ją odprowadził. A wiecie, co to znaczy po imprezie. – Dozorca spojrzał pytająco na policjantów, lecz nie czekał na potwierdzenie i kontynuował: – Tak więc weszliśmy na klatkę i ona zaczęła się do mnie dobierać. Chciała ostre rżnięcie, to dałem jej ostre rżnięcie. Ja w tamtym czasie nie byłem dozorcą. Grałem w trzy karty na rynku. Pieniądze znaczy się miałem. Ona zaczęła mnie szantażować. Ja nie chciałem zapłacić. Zleciały się media i dla przykładu dojebali mi pajdę. – Mężczyzna posmutniał. Dało się zauważyć, że więzienie odcisnęło się na jego życiu.

Kiedy zapadła cisza, policjanci spojrzeli na siebie, dając sobie do zrozumienia, że niczego znamiennego dla sprawy się nie dowiedzą.

– Dziękujemy za rozmowę. Rzeczywiście niepotrzebnie pana nękaliśmy – powiedział Ed Żuchowski. Kiedy odwrócił się do drzwi, usłyszał za plecami głos koleżanki.

– Czy dozorca odpowiada za wymianę przepalonych żarówek?

– Dozorca to se może, proszę paniom. Tutaj jest zjebana instalacja i wymiana żarówek nie ma najmniejszego sensu. Każdy to wie, kto kiedykolwiek tutaj mieszkał. Ja zawsze chodzę z latarką w kieszeni.

Policjanci stanęli przed blokiem i delektowali się świeżym powietrzem. Ed zapalił papierosa i spoglądał w niebo. Noc była chłodna, więc podciągnął zamek kurtki pod szyję.

– Słyszałeś, co powiedział o świetle – zagała kolegę.

– Też to wyłapałem – potwierdził Żuchowski, wydmuchując dym. – W swoim raporcie Michalczuk wskazał, że sprawca musi dobrze znać osiedle, a teraz to...

– A myślisz, że był winny – zapytała z naiwnością w głosie Blacha.

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiedział bardzo poważnie Ed. – Mam nadzieję, że tak. Inaczej system sądowy zniszczył życie niewinnemu człowiekowi.

Lobby hotelowe przywitało Urszulę Krawczyk spokojem właściwym dla miejsc, które na ogół są nazbyt głośnie i nazbyt tłoczne. Poza młodym mężczyzną ubranym w dobrze skrojony garnitur i urzędowy uśmiech dopatrzyła się jedynej pary, która śmiała się odrobinę za głośno.

Blacha podeszła do młodego recepcjonisty i zapytała o możliwość skorzystania z hotelowej restauracji. Uśmiech mężczyzny zgasł na chwilę, gdy informował ją, że restauracja zakończyła już pracę i jedyne, czym może poratować, to słone przekąski z baru. Blacha spojrzała na menu i z lekką irytacją stwierdziła, że tej nocy pójdzie spać głodna. Nie miała ochoty na słone paluszki, a ewentualnie zamówione jedzenie na mieście dojechałoby zbyt późno.

Nie widząc w menu gorącej herbaty, zapytała młodego recepcjonistę, czy zrobiłby wyjątek i zalał jej kubek choćby swoją herbatą. Mężczyzna ochoczo przystanął na jej propozycję i już po chwili przed policjantką stał biało-czerwony kubek z logo polskiego związku piłkarskiego. Blacha podziękowała, posyłając mężczyźnie porozumiewawcze oczko, i oddaliła się w labirynt hotelowych korytarzy. Idąc po miękkim dywanie, zauważyła, że światła rozbłyskują tuż przed nią, a oświetlając drogę do pokoju, zachowują tę samą sekwencję; dwie lampy boczne, jedna górna. Przed drzwiami zaczęła intensywnie szukać elektronicznego klucza. Dość szybko zorientowała się, że po raz kolejny nie zabrała go ze sobą. W pierwszej chwili chciała wybuchnąć krzykiem, lecz zmęczenie okazało się silniejsze. Wracając do recepcji, minęła parę, którą widziała wcześniej w lobby. Pozdrowili ją roześmianym „dobry wieczór” i poszli do swojego pokoju.

– Czy może pan wydać mi nową kartę do pokoju? – zagadnęła recepcjonistę. – Jeśli trzeba zapłacić, proszę tę kwotę doliczyć do mojego rachunku.

– Nie pobieramy dodatkowych opłat za nową kartę-klucz.

– W niektórych hotelach życzą sobie nawet pięćdziesiąt złotych za nowy klucz!

– Zapraszam więc do nas jak najczęściej. – Tym razem to recepcjonista posłał jej oczko.

Blacha ruszyła z powrotem w labirynt hotelowych korytarzy. Przystanęła obok pokoju pary, którą poznała w lobby, gdy usłyszała głośnie jęki kobiety i mocne westchnienia mężczyzny. Kobieta krzyczała coraz głośnie, policjantka sama poczuła, że zaczyna się podniecać. Obejrzała się i stwierdziła, że nie wypada, aby ktoś ją przyłapał na podsłuchiwanie, szybszym krokiem ruszyła więc do swojego pokoju.

Naga w łóżku przekręcała się z boku na bok. Noc nie była dla niej łaskawa. Nie dość, że nie zasnęła tak szybko, jakby chciała, to jeszcze podsłuchana para wywołała u niej lawinę wspomnień. Zastanawiała się, czy coś poza dobrym seksem było warte tęsknoty za poprzednim partnerem, i znów nie znalazła odpowiedzi. Chciała nie myśleć o swoim byłym, a im bardziej odpychała tę myśl, tym usilniej ona powracała.

Tej nocy tęskniła bardziej niż zwykle, nie za Michałem, a za ciepłem drugiego człowieka, za możliwością wygadania się i zrzucenia balastu dnia. Chciała, żeby

ktoś ją zapytał, jak minął dzień i czy może w czymś jej pomóc. Ta wizja wydawała się jej tak odległa.

Tej nocy Urszula Krawczyk zasnęła, gdy świtało. Nic jej się nie śniło.

VII

Dzwoniący telefon wyrwał Blachę z krótkiego i mało kalorycznego snu. Spojrzała na numer i chciała cisnąć telefonem o ścianę. Wyświetlacz informował, że to minister.

– Tak? – odebrała zachrypniętym głosem.

– Chyba pani nie obudziłem? – zapytał z przekąsem polityk i kontynuował przyjaznym tonem: – Mamy wyniki badań.

Blacha poczuła, jak serce zaczyna pompować krew szybciej, a oddech lekko przyspiesza. Mimo że nie spodziewała się przełomu, to przy odrobinie szczęścia mogli mieć trop, a to już coś. Usiadła na łóżku. Przetarła oczy ręką, wciskając palce odrobień za mocno w oczodoły i słuchała rozmówcy.

– Ustalono, że naskórek pochodzi od białego mężczyzny, około dwadzieścia pięć do trzydziestu lat. Oczywiście zleciłem już poszukiwania w bazach policyjnych.

– Było dopasowanie?

– Niestety – odpowiedział minister.

Minister rozwodził się na temat bazy danych DNA, która w Polsce funkcjonowała od lat, lecz policjantka już go nie słuchała. Znała dokładnie ustawę z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, która pozwalała na gromadzenie danych DNA. Spojrzała za okno. Po dziwnej kładce jechała dziewczynka na hulajnodze, która ewidentnie dobrze się bawiła, uciekając przez ojcem. Uśmiechała się sama do siebie, zastanawiając się, czy byłaby dobrą matką. Przez krótki moment swojego życia chciała mieć dzieci, ale nigdy nie trafiła na odpowiedniego partnera, który podzielałby jej entuzjazm i zafascynowanie młodymi ludźmi.

– Pani Krawczyk, czy mnie pani słyszy? – upomniał rozmówczynię polityk.

– Tak, mówi pan o badaniach... – powtórzyła ostatnie słyszane słowo.

– Jak już wspominałem, badania potwierdziły również, że dziewczyna mogła być w ciąży. Miała zwiększony poziom HCG. Na ten moment niczego więcej nie wiem. Gdybym się czegoś dowiedział, na pewno dam pani znać. Proszę też mnie informować na bieżąco.

– Oczywiście – odpowiedziała do głuchego już telefonu.

Blacha zastanawiała się, jakie ma podjąć dalsze czynności. Wiedziała, że musi spotkać się z matką Karoliny Grodzkiej. Rozważała, czy powinna odwiedzić też rodziny pozostałych ofiar. Nie była pewna, czy może liczyć w stu procentach na to, co zapisał w raportach Żuchowski. Co prawda ofiary się nie znały, ale zakładała, że coś je łączy. Znalezienie tego ruszy śledztwo.

– Zawsze jest wspólny mianownik – powiedziała na głos sama do siebie, przypominając sobie sprawę Łomiarza z Warszawy, który potrafił zaatakować kilka kobiet dziennie, uderzając je tępym narzędziem w głowę. Wszystkie były fizycznie podobne do jego matki.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma trzydzieści. Spała więc niewiele więcej niż trzy godziny. W łazience zerknęła w lustro. Nie chciała na siebie patrzeć. Wiedziała, że po nieprzespanej nocy obfitującej w emocje wygląda koszmarnie. Postanowiła wyjątkowo zrobić makijaż.

Punktualnie o dziewiątej zeszła do hotelowego lobby. Żuchowski opierał się o maskę volkswagena i palił papierosa. Ubrany jak zwykle nienagannie uśmiechnął się tylko na widok koleżanki. Blacha zauważyła, że tym razem nie włożył golfu, lecz czarną koszulę i spodnie w delikatną kratę. Mimochodem pomyślała, że mężczyzna ma dobry gust. Ugryzła się jednak w język i postanowiła go nie komplementować.

– Dzień dobry. – Żuchowski uśmiechnął się, pokazując aparat na zębach. – Chyba ciężka noc, co?

Blacha była na tyle blisko, że poczuła zapach perfum wymieszany z dymem papierosa.

– Nie mogłam zasnąć. Zbyt wygodne łóżko.

– W Krakowie śpisz pewnie na pryczy? – Żuchowski puścił oczko.

– I to bez materaca.

– Muszę do ciebie przyjechać na wakacje.

– Zapraszam!

– Żebyś się nie zdziwiła.

– Mnie już niewiele zdziwi – odpowiedziała nazbyt poważnie. – Powiedz lepiej, jak randkowanie?

– Skąd wiesz, że od tego chciałem zacząć?

Blacha nie odpowiedziała. Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się niewinnie. Ponownie nie przyznała się, że sama korzystała z aplikacji randkowej i wiedziała, że życie na niej toczy się głównie wieczorami, gdy ludzi dopada samotność i pustka. Często prowadziła rozmowy z osobami, które otwarcie mówiły, że są już po kilku kieliszkach wina. Często wtedy myślała, jakie to smutne, że człowiek musi się podchmielić, żeby wyjść na internetowy podryw. Zazwyczaj taka znajomość kończyła się szybciej, niż się zaczęła. Jej rozmówca zachęcony alkoholem wysyłał zdjęcie swoich genitaliów lub wynurzał się zbytnio, co ją odstręczało i odpychało.

– Po powrocie do domu zjadłem kolację i zacząłem przeglądać. Bałem się odrobinę, że znowu ktoś wyśle mi swojego pindola. Tym razem tak się nie stało. Przeglądałem te profile, gdy napisał do mnie człowiek o pseudonimie XYZ.

– Oryginalny pseudonim. Równie dobrze mógł się nazwać Gall Anonim – dodała Blacha z ironią.

– Nieważne, jak się nazywa. Ważne, co pisze. – Ed Żuchowski wyciągnął z kieszeni telefon i podał go koleżance.

Blacha zbliżyła urządzenie do oczu i zaczęła czytać zapis rozmowy pomiędzy jej kolegą a XYZ'em. Początek jej nie zaskakiwał. Standardowe uprzejmości i ogólna wymiana relacji z minionego dnia. Potem rozmowa zesłała na zainteresowania muzyczne i podróżnicze. Podczas rozmowy wyszło, że XYZ dojeżdża do Łodzi pociągiem na uczelnię.

– To że korzysta z pociągu, jeszcze o niczym nie świadczy – stwierdziła kobieta.

– Czytaj dalej – ponaglił koleżankę podekscytowany Ed.

Z dalszej części rozmowy wynikało, że mężczyzna zna doskonale Łódź Kaliską. Narzekał również na brak windy na dworcu, której brak odnotowała Blacha w dniu swojego przyjazdu do Łodzi. Gdy Ed go zapytał, dlaczego nie przeprowadzi się do Łodzi, przyznał, że mieszkał w Łodzi, ale musiał się wyprowadzić ze względu na sytuację rodziną.

– Czy powiedział, gdzie mieszkał w Łodzi?

– Tak – odpowiedział Ed z poważną miną.

– Czy to jest to osiedle? Czy ty wiesz, co to znaczy – kontynuowała, czując, jak przyspiesza jej oddech, a nieprzespana noc odchodzi w zapomnienie.

Ed doskonale zdawał sobie sprawę, co to może oznaczać i podobnie jak Blacha był mocno podekscytowany możliwym przełomem w sprawie, którą żył cały kraj.

– To jeszcze nie wszystko. – Ed zrobił dramatyczną pauzę, jakby był aktorem na scenie. – Poprosiłem go, żeby dodał swoje zdjęcie do aplikacji.

Blacha przerwała czytanie niezbyt głębokiego dialogu pomiędzy XYZ'em a Żuchowskim i podała telefon koledze. Ed pokazał jej zdjęcie, które zdążył zapisać w formie zrzutu z ekranu, nim rozmówca je usunął. Na zdjęciu był dojrzały mężczyzna. Na pierwszy rzut oka wyglądał na dwadzieścia parę, maksymalnie trzydzieści lat. Zadbany, z kilkudniowym zarostem. Najbardziej jednak przykuwały uwagę jego duże, brązowe oczy. Uśmiechał się do zdjęcia, które sam sobie wykonał, pokazując białe zęby. Nie było widać wnętrza, w którym zdjęcie było zrobione, ale jeden szczegół na twarzy przykuwał uwagę policjantki. Było nim zadrapanie na wysokości skroni.

Blacha wstrzymała oddech i zamknęła oczy. Chciała się uspokoić i odgonić od siebie zazdrość, jaka na nią spłynęła, że to Ed miał pomysł z aplikacją i że to on pierwszy ma punkt zaczepienia. Zacerpnęła głęboko powietrze i spojrzała na kolegę. W tym samym czasie Ed Żuchowski wyciągnął rękę i podał jej z powrotem telefon, żeby mogła odczytać resztę rozmowy.

Blacha chciała zapytać Eda, dlaczego nie wziął numeru telefonu od XYZ'ta i nie zaproponował kontynuowania rozmowy na innym komunikatorze. Na portalu randkowym mężczyzna mógł ich usunąć lub nigdy już się nie odezwać. Sama

przerabiała to wielokrotnie, gdy korzystała z aplikacji. Ktoś, z kim prowadziła ożywioną dyskusję, znikał po chwili bez słowa pożegnania, by nigdy już nie wrócić do konwersacji. Rozmowa, w której Ed podszył się pod kobietę, szła świetnie. Widziała wiele okazji, by zaproponować zmianę komunikatora. Zastanawiała się, czy sama poprowadziłaby rozmowę inaczej.

Ed przyglądał się koleżance z uwagą, jakby starał się odgadnąć jej myśli.

– Nie zmieniłem komunikatora, bo ta decyzja musi wyjść od niego – powiedział Ed, zaciągając się kolejnym papierosem.

– Właśnie o tym pomyślałam, jak mam być szczerą. Umiesz czytać w myślach?

Ed Żuchowski pokręcił przecząco głową i zaśmiał się serdecznie.

– To skąd wiedziałeś, że o tym myślę.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – dopytał mężczyzna.

– Oczywiście!

– Z ruchu twoich ust.

Blacha spuściła wzrok i bez słowa wyciągnęła rękę, żeby oddać koledze telefon. Czuła się jak dziecko przyłapanie na robieniu czegoś zarezerwowanego dla dorosłych.

– Rozmawiałem z dziećmiakami, które korzystają z aplikacji. Wszystkie twierdziły, że dziewczyny są w większości bierne i zdystansowane. Rozumiesz, o co mi chodzi? – zapytał Żuchowski retorycznie i kontynuował: – Dlatego poczekam, aż to on do mnie napisze. Myślę, że zrobi to jeszcze dzisiaj. Maksymalnie jutro.

Blacha przypomniała sobie rozmowę w pokoju Michalczuka, kiedy terapeuta sugerował, że odpowiednią osobą do obsługi aplikacji będzie Ed. Chciała zapytać, jaka relacja łączyła go z psychologiem. Wycofała się jednak w ostatnim momencie, uznając pytanie za zbyt intymne.

– Masz rację. Przepraszam, jestem niewyspana i trochę zirytowana brakiem jakichkolwiek postępów – przyznała kobieta.

– Nie masz mnie za co przepraszać. Sam chciałem kilkakrotnie zaproponować spotkanie. Uznałem jednak, że warto poczekać – stwierdził Żuchowski. Ed nie czekał na aprobatę. Wiedział, że decyzja jest słuszna. Otworzył drzwi starego

volkswagena, gestem zapraszając Blachę do środka. Jazda po Łodzi w godzinach porannych nie należała do najprzyjemniejszych. Większość ulic była zakorkowana. Źle zsynchronizowane światła zapalały się kolejnymi barwami, skutecznie blokując ruch przecinających się ulic.

Policjanci nie rozmawiali. Ed nucił cicho pod nosem piosenkę Perfectu, a Urszula Krawczyk przyglądała się ludziom czekającym na przystanku tramwajowym. Po krótkiej obserwacji uznała, że mieszkańcy Łodzi różnią się stylem od tych, których oglądała w innych dużych miastach Polski. Kolorowe włosy, długie niepasujące do pory roku płaszcze i zdecydowanie za duże torebki były czymś, co na pierwszy rzut oka mogło odstraszać przyjezdnych. Policjantka pomyślała o wielokulturowości, z której od zawsze słynęło to miasto, uznając, że pewne tradycje trwają przez setki lat, nawet wtedy gdy nikt się już o to nie stara.

Samochód w żółtym tempie sunął do kolejnych świateł. Na wysokości przystanku autobusowego uwagę Blachy przykuła grupka ludzi, wszyscy byli wyraźnie czymś ożywieni. Starając się odgadnąć, co tak rozbawiło przechodniów, sama po chwili uśmiechała się szeroko na widok stojących pawi.

- Widziałeś – zapytała Żuchowskiego spoglądającego w telefon.
- Przeważnie tutaj spacerują – wyjaśnił spokojnie.
- Jak to?
- Za ogrodzeniem jest ogród zoologiczny. – Policjant wskazał palcem. – Pawie przeskakują ogrodzenie i chodzą sobie po okolicznym parku.
- I to powinno być wizytówką miasta!
- Pawie?
- Nie. Swoboda, z jaką można tutaj żyć.
- A można? – zapytał skonsternowany Żuchowski.
- Przyglądając się dzisiaj ludziom, tak właśnie pomyślałam.
- Skąd takie wnioski? Jeśli można wiedzieć...
- Nie wiem. Wszyscy są tak różni i tak wystrzeleni, a jednak funkcjonują ze sobą wzajemnie.

– Może coś w tym jest... – Żuchowski nacisnął pedał gazu, chcąc przejechać na żółtym świetle.

Blacha posłała mu wymowne spojrzenie i puściła porozumiewawcze oczko.

– Wiem, wiem! – Podniósł rękę w przepaszającym geście, skręcając jednocześnie na wybrukowaną ulicę, gdzie mieścił się dom szóstej ofiary Łowcy.

Dom był typowym szeregowcem wybudowanym w latach dziewięćdziesiątych. Lekko zagrzybiała elewacja mówiła, że lata świetności ma już dawno za sobą. Na szczytowej ścianie budynku wisiało coś, co przykuło uwagę policjantów. Była to wykuta z żelaza tabliczka symbolizująca postaci mężczyzny, kobiety, dziecka i psa mające ewidentnie symbolizować domowników.

Żuchowski nacisnął przycisk domofonu. Po krótkiej chwili elektrozamek w furtce zaczął brzęczeć, a policjanci byli na podwórku, które podobnie jak elewacja wymagało gruntownego remontu.

– Dzień dobry. – Blacha przywitała stojącą w drzwiach kobietę, która darmo siliła się na uśmiech.

Matka Karoliny Grodzkiej nie spała od kilku dni i już samo to sprawiało, że wyglądała jak cień człowieka. Ostatnia noc musiała być najgorszą w jej życiu. Wówczas dowiedziała się, że jej córka została zamordowana.

– Państwo z policji, tak?

Para pokiwała potakująco głowami i z poważnymi minami weszła do mieszkania, które okazało się być w dużo lepszym stanie niż na zewnątrz. Na ścianach wisiały rodzinne zdjęcia, na których można było zobaczyć uśmiechniętą Karolinę Grodzką.

– Napiją się państwo czegoś?

– Nie dziękujemy – odpowiedziała spokojnie Blacha. – Chcielibyśmy z panią chwilę porozmawiać i nie robić jakichkolwiek problemów.

– To żaden problem, ale rozumiem. Zapraszam zatem do salonu. – Kobieta wskazała drogę ręką i nie oglądając się poszła przodem.

Policjanci obiegli wzrokiem salon urządzony w stylu lat dziewięćdziesiątych. Zielona, nazbyt masywna rogowa kanapa zajmowała znaczną część pomieszczenia. Na stoliku leżały zdjęcia. Kobieta zauważyła, że Blacha przygląda się tym fotografiom.

– Tylko to mi zostało. Kilka zdjęć po mojej córeczce. – Kobieta schowała twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

Patrzący z boku policjanci mieli wrażenie, że kurczy się na ich oczach. Blacha ze smutkiem pomyślała, że ta kobieta straciła sens życia. Nie pytając o zgodę, usiadła obok niej i delikatnie pogłaskała ją po plecach, na co ta podniosła zapłakane oczy, z których padało nieme pytanie, czy to na pewno prawda, że jej córka została brutalnie zamordowana. Gdy znalazła potwierdzenie w oczach policjantki, podniosła się z miejsca i wyszła z salonu. Gdy wróciła, włosy miała związane w kitkę, a oczy otarte z łez. Usiadła w fotelu naprzeciwko kanapy. Blacha wiedziała, że ta kobieta jest na skraju wytrzymałości i należy działać szybko, bo zaraz rozmowa w ogóle może się nie odbyć.

– Może nam pani opowiedzieć o tym, jak wyglądał dzień, w którym Karolina wyszła z domu po raz ostatni? – Blacha starała się zadać pytanie najdelikatniej, jak umiała.

– Ale ja już mówiłam, jak wyglądał jej dzień i w co była ubrana – odpowiedziała pewniejszym głosem kobieta.

– Wiem, ale chciałabym usłyszeć to od pani. Dowiedzieć się, czy mówiła, dokąd i z kim wychodzi. Czy podejrzewa pani ewentualnie, z kim mogła się spotkać.

– Wie pani, moja córka jest... – Kobieta urwała w pół zdania. Przełknęła ślinę i kontynuowała: – To znaczy była dorosłą osobą, nie tłumaczyła mi się od wielu lat, gdzie i z kim wychodzi, a ja nie miałam powodu, aby o to pytać. Zawsze informowała mnie, gdy miała nie wrócić na noc do domu i dopiero wtedy mówiła, u kogo była. To był poranek jak każdy inny. – Przymknęła oczy. – Karolinka była mocno zabiegana. Twierdziła, że wstała za późno i spóźni się na uczelnię. Dziwiło mnie to, bo było około ósmej rano, a zajęcia zaczynała około dziesiątej. Nie pytałam

jednak, żeby nie prowokować niepotrzebnej awantury. Wicie państwo, jak to jest między rodzicami a dziećmi. Wzięła prysznic i wybiegła.

– A jak Karolina docierała na uczelnię? – Tym razem pytanie zadał Żuchowski, który siedział na drugim fotelu w lekkim rozkroku opierając przedramiona o kolana.

– Szła przeważnie piechotą na skróty – najpierw przez park Zdrowie, aż do dworca kaliskiego, a potem przez park Poniatowskiego. Pytałam jej nawet kiedyś, dlaczego nie jeździ autobusem, ale śmiała się tylko, że w ten sposób robi ćwiczenia, na które nie ma czasu.

Żuchowski narysował w swojej głowie mapę. Doskonale wiedział, że parki łączą się niemalże w jeden i tylko krótki odcinek betonu je przecina. Spacer obok dworca kaliskiego też potwierdzał hipotezę odnośnie obszaru działania Łowcy.

– I tak docierała zawsze? Nawet zimą? – Żuchowski lekko naciskał.

– Tak. Chyba tak. – Kobieta szczerze się zastanawiała. – A dlaczego pan pyta?

– A wracała z uczelni w ten sam sposób? – odpowiedział pytaniem policjant.

– Myślę, że tak. Czasami pokazywała mi zdjęcia wykonane w parku. A to złapała w migawkę aparatu wiewiórkę wspinającą się po drzewie, a to Straż Miejską jadącą konno. Kiedyś miała nawet zabawny filmik z małym biało-rudawym psem, który za wszelką cenę nie chciał oddać patyka swojemu panu. Innym razem opowiadała o starszym mężczyźnie, który regularnie biega po parku, zonglując maczugami. – Kobieta uśmiechnęła się do obrazu przywołanego w swojej głowie.

– Czy tego poranka, gdy Karolina wyszła z domu tak wcześnie, nie zauważyła pani czegoś innego. Na przykład, że nie zabrała ze sobą takich rzeczy jak zwykle, może wzięła inną torebkę, a może ktoś po nią przyjechał. – Ed nie ustępował i starał się przywołać obraz poranka przed oczami kobiety.

– Tego poranka, jak nigdy przyszła do mnie i mnie przytuliła. Jakby wiedziała, że to nasze ostatnie pożegnanie. – Kobieta ponownie skryła twarz w dłoniach i zalała się łzami.

Policjanci nie reagowali. Czekali, aż kobieta się uspokoi. Blacha rozejrzała się po raz kolejny po salonie. Na masywnym kredensie stała ramka z trzema

fotografiami. Przedstawiała Karolinę Grodzką z trzech różnych okresów jej życia: jako niemowlaka, w dniu komunii świętej ubraną w białą suknię i w dniu matury.

– Przepraszam – tłumaczyła się kobieta – nie panuję nad sobą. Jest mi tak źle, że wolałabym już nie żyć.

– Rozumiemy i nie dziwimy się. Przepraszamy, że niepokoimy, ale pani pomoc może okazać się bezcenna przy poszukiwaniach człowieka, który to zrobił. – Blacha starała się uspokoić kobietę, na co ta pokiwała głową.

– Przeszukałam jej pokój. – Po twarzy kobiety przebiegł cień wstydu. – Myślę, że nie była na uczelni tego dnia. Zawsze zabierała ze sobą komputer, a tym razem został na biurku. Dlatego zaczęłam grzebać głębiej i pod stertą ubrań znalazłam test ciążowy. Czy to był jej test ciążowy?

– Nie wiemy tego – skłamała Blacha – a gdyby to był jej test ciążowy, to kto mógłby być ojcem?

– Wstyd się przyznać, ale nie wiem. – Kobieta pokręciła przecząco głową. – Nigdy nie przyprowadzała żadnych chłopaków do domu. Rzadko ktokolwiek się pojawiał. Zresztą taka jest dzisiejsza młodzież. Za moich czasów siedziało się ze znajomymi w domu. Teraz młodzi idą na kawę do kawiarni.

– A może jakaś jej przyjaciółka mogłaby nam pomóc?

– Karolina nie dogadywała się z dziewczynami. Miała charakter po ojcu i lepiej jej szło z płcią przeciwną. Jej przyjaciel mieszka obok. Mogą państwo tam z nim porozmawiać. Jest chyba w jeszcze gorszym stanie niż ja.

– Może to on jest ojcem? – zapytał Żuchowski i dopiero gdy usłyszał na głos swoje pytanie, zdał sobie sprawę z jego niefortunności.

– Karolina raczej go nie interesowała. Karol lubi swoją płęć, jeśli wie pan, co mam na myśli.

Żuchowski cieszył się, że kobieta nie użyła żadnego pejoratywnego określenia na homoseksualistę. Zawsze brał osobiście, gdy ludzie przedrzeźniali zachowania osób o odmiennej orientacji.

– Karol i Karolina – wypowiedziały oba imiona mimowolnie na głos Blacha.

– Nie będziemy pani już nękać. Wiemy chyba wszystko, co powinniśmy na ten moment. Gdyby się coś pani przypomniało, proszę się z nami skontaktować. Wystarczy wykłócić numer sto dwanaście i powiedzieć w jakiej sprawie.

Policjanci byli już przy furtce, gdy usłyszeli otwierające się za nimi drzwi, w których stała matka Karoliny. Mieli wrażenie, że przez niespełną minutę postarzała się o kolejnych dziesięć lat.

– Czy możemy coś dla pani zrobić? – zapytał Żuchowski z troską.

– Możecie mi powiedzieć, czy Karolina była w ciąży. Na pewno zrobiliście takie badania. Proszę. Muszę znać odpowiedź.

Blacha podeszła do kobiety. Spojrzała jej prosto w zalane łzami oczy. Patrzyła tak przez ułamek sekundy, lecz czuła, jakby minęła cała wieczność. Zastanawiała się, czy powiedzieć kobiecie prawdę, że jej córka była prawdopodobnie w ciąży i złamać jej serce do końca, czy ją okłamać i dać jej odrobinę wytchnienia w najtrudniejszym okresie jej życia.

Uśmiechnęła się delikatnie i położyła rękę na ramieniu kobiety, mówiąc najspokojniej, jak tylko umiała, kłamstwo, które chciała usłyszeć jej rozmówczyni.

– Żadne z badań nie potwierdziło, że pani córka była w ciąży.

Na te słowa kobieta się rozpogodziła. W głębi duszy nie chciała się dowiedzieć, że zabito jej córkę i wnuka. Kobieta uściśnęła na pożegnanie Blachę i zamknęła za sobą drzwi.

Urszula Krawczyk opuściła głowę i rzuciła wymowne spojrzenie.

– Dobrze zrobiłaś – przyznał Żuchowski na pocieszenie. Nie komentował kłamstwa koleżanki, której wcale nie zazdrościł. Nie wiedział, jakby zachował się na jej miejscu.

Z zewnątrz dom przyjaciela Karoliny Grodzkiej niewiele różnił się od poprzedniego. Na ogrodzeniu widniał napis, że domofon nie działa. Żuchowski pchnął furtkę i po chwili policjanci byli pod drzwiami, które były już otwarte.

– Pani Grodzka pisała, że państwo do mnie idziecie. – Chłopak otworzył szerzej drzwi i zaprosił policjantów do środka.

– Chcemy chwilę porozmawiać, jeśli ma pan czas – zagaiła Blacha.

– Proszę mi mówić po imieniu, jeśli to nie problem. Jestem Karol. – Chłopak uściskał dłonie policjantom. – Napiją się państwo kawy?

– Nie chcemy robić problemu – automatycznie odmówił Żuchowski.

– A ja chętnie – wtrąciła Blacha – jeśli to nie problem, rzecz jasna.

Chłopak wskazał policjantom salon, a sam poszedł szybkim krokiem do kuchni zaparzyć kawę.

Salon był urządzony zgoła inaczej niż ten, który policjanci oglądali przed chwilą. Pokój był sterylnie czysty i pusty. Na białych ścianach nie wisały żadne obrazy ani zdjęcia. Pod oknem stała szara kanapa i szklany stolik kawowy. Przeciwległy koniec pokoju zajmowało czarne pianino Legnica.

– Grasz? – zapytał Ed Żuchowski chłopaka, gdy ten wszedł do pokoju z tacą, na której miał świeżo zaparzoną kawę, filiżanki i starannie ułożony kopiec ciastek.

– Czasami. Kiedyś więcej – odpowiedział Karol, stawiając tacę na stoliku.

Policjanci siedzieli na kanapie. Chłopak podszedł więc do pianina i dźwignął ławę, która przy nim stała. Kiedy wracał, gibając się pod jej ciężarem, Ed chciał wstać i pomóc.

Chłopak usiadł na ławie i skrzyżował nogi. Uniósł prawą brew i spojrzał pytająco na policjantów. Na co Blacha pokiwała potakująco głową i zaczęła rozmowę z nadzieją, że dowie się, kto był ojcem dziecka Karoliny Grodzkiej.

– Jak długo znałeś Karolinę?

– Od urodzenia – stwierdził Karol z całą stanowczością. – Nasze matki znały się jeszcze przed naszymi narodzinami i zaszły w ciążę w tym samym czasie. Przyszliśmy na świat tego samego dnia, więc dano mamy takie same imiona. Wychowywaliśmy się też razem. Ojciec Karoliny odszedł kilka lat po jej narodzinach. Lgnęła więc do mojego. Brakowało jej ojcowskiej miłości. – Ostatnie zdanie wypowiedział z melancholią i zrozumieniem nieadekwatnymi do swojego wieku. Upił łyk kawy i poprawił pozycję, w której siedział.

Żuchowski zachęcił go gestem twarzy, aby opowiadał dalej. Młody mężczyzna nie oponował. Mieszkał sam i przeżywał tragedię sam. Możliwość porozmawiania

z kimś była dla niego zbawienna. W swojej krótkiej historii zanurzył się w najdalsze zakątki dzieciństwa.

– Mieliśmy po sześć czy siedem lat – opowiadał z lekkością – rodzice pozwolili nam bawić się tylko przed domem, ale ja namówiłem Karolinę, żebyśmy poszli do parku po drugiej stronie ulicy. Tam rozebraliśmy się do bielizny i kąpaliśmy razem z kaczkami. Dzisiaj wiem, jakie to było nierozważne i nieroztropne, ale wtedy czuliśmy się jak bohaterowie jednej z bajek. Pani Grodzka do tej pory o tym nie wie. Karolina była dla niej wszystkim – chłopak zrobił pauzę i przełknął łzy – dla mnie zresztą też – kontynuował: – Jak pomyślę, że już nigdy nie pójdziemy do parku na spacer i nie posiedzimy na górcie pod dębem. – Nastąpiła cisza. Karol, który do tej pory trzymał się całkiem nieźle, załamał się pod wpływem wypowiedzianych obaw. Płakał, ocierając łzy rękawem.

Żuchowski spojrzał na koleżankę, która wzruszyła ramionami, dając tym samym znać, że trzeba pozwolić, aby chłopak się wypłakał. Nie przerywali jego cichego łkania. W tym płaczu była uwalniająca moc, która oczyszczała z nienawiści, budując jedynie tęsknotę.

– Przepraszam – zaczął Karol, gdy trochę się uspokoił. – Państwo zapewne nie przyszłicie tutaj słuchać wspomnień. Proszę powiedzieć zatem po co?

– Matka Karoliny w jej rzeczach znalazła test ciążowy – zaczął Żuchowski – chcielibyśmy zapytać, czy wiesz, kto jest ojcem.

Karol spuścił głowę. Patrzył w pusty kubek, którym kręcił na boki i milczał.

– Milczysz – wtrąciła oschle Blacha – czyli wiesz. Czemu jednak boisz się powiedzieć?

Młody mężczyzna podniósł głowę i spojrzał w twarze policjantów. Był poważnie zalekniony. Chciał się odezwać, lecz za każdym razem słowa grzęzły mu w gardle. Ed Żuchowski podniósł się z kanapy i przykucnął obok chłopaka, który ponownie ślepo patrzył w kubek.

– Karolu – zaczął – zapewniam cię, że możesz nam zaufać. Jeśli powiesz nam, kto był ojcem, to ta informacja zostanie między naszą trójką.

Młody mężczyzna pokiwał głową potakująco, sygnalizując, że rozumie. Wziął głęboki wdech i się wyprostował.

– Nie chodzi o to, że ja się kogoś boję – zaczął – chodzi o to, że ta informacja nie może nigdy, ale to nigdy dotrzeć do pani Grodzkiej. Rozumiemy się?

– Rozumiemy – odpowiedział spokojnie Ed, nie dając odczuć chłopakowi, że jego agresja mu się nie podoba.

– A pani obiecuje – zwrócił się bezpośrednio do Blachy, która przytaknęła skinieniem głowy. – Sprawa między Karoliną a ojcem jej dziecka zaczęła się dawno temu, kiedy ona miała piętnaście, może czternaście lat. Nie było więc mowy o tym, aby z kimkolwiek poszła do łóżka, a tym bardziej nie z mężczyzną starszym od niej o kilkadziesiąt lat. Zabierał ją więc na spacer, przejażdżki rowerowe. W piątek do kina. Zbliżali się do siebie, a wszyscy wokół to akceptowali, bo przecież znali się niemal całe życie. Pewnego dnia, chyba w sierpniu, bo było gorąco, Karolina napisała mi esemesa, żebym do niej szybko przyszedł, bo musi ze mną o czymś porozmawiać. Byłem już w pijamie i mi się nie chciało, ale ona nalegała, więc poszedłem. Jak zwykle wszedłem do jej pokoju przez okno od tyłu. Podbiegła do mnie, gdy tylko wszedłem, mocno mnie przytuliła. Rzadko to robiła. Musiała mieć naprawdę ważny powód, aby kogoś przytulić. Najczęściej robiła to, gdy czegoś się bardzo bała. Tym razem była bardzo podekscytowana, wręcz podniecona. Było późno, więc półszeptem zapytałem, co się stało i co jest tak ważnego, że nie może poczekać do rana. Pamiętam, jakby to było dziś, jak spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała: „Ja go kocham”. Odpowiedziałem, że wiem i cieszę się, że ich stosunki układają się dobrze. Nie zrozumiałem w pierwszym momencie, że ona go zaczęła kochać, nie jak opiekuna, a jak mężczyznę. Tej nocy dowiedziałem się również, że Karolina miała pierwszy w życiu seks. – Chłopak urwał w pół zdania. Zacisnął dłoń w pięść i siedział nieruchomo.

– Gdzie zatem znajdziemy twojego ojca, Karolu? – zapytał Żuchowski, przerywając głuchą ciszę.

Chłopak uniósł wzrok. Myślał, że spotka go ze strony policjantów pogarda. Tymczasem oboje uśmiechali się porozumiewawczo. Blacha dała mu znak oczami,

że go rozumie i upiła łyka zimnej kawy. Odprowadzając policjantów, mężczyzna kilkakrotnie prosił, żeby niczego nie przekazywali matce Karoliny. Wiedział, że taka wiadomość złamałaby jej serce.

– Pani Grodzka nie wie, że jej córka była w ciąży – powiedziała Blacha, będąc już na schodach.

– I nie pytała, skąd test ciążowy w rzeczach Karoliny?

– Myślę, że nie chce tego wiedzieć i nigdy o to nie zapyta. Taka prawda jest wygodna dla jej umysłu, a my powinniśmy to uszanować i dać tej kobiecie przeżyć jej własną żalobę. Odwiedź ją po południu. Ani ona, ani ty nie powinniście siedzieć sami. Dobrze wam to zrobi!

Policjanci szli w stronę samochodu. Ed wyjął kluczyki i otworzył pilotem centralny zamek volkswagena. Auto błysnęło światłami, dwa razy sygnalizując, że zrozumiało komendę.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Ed, wkładając kluczyk do stacyjki. – Jedziemy do ojca czy reszty rodzin?

Blacha nie odpowiedziała. Myśłami była przy Karolinie Grodzkiej i jej tęsknocie do ojcowskiej miłości. Wiedziała, jak wielką pustkę powoduje brak jednego rodzica. Pamiętała dokładnie, w jakich okolicznościach widziała ojca po raz ostatni. Był środek nocy, rodzice się kłócili. Z początku trzymali nerwy na wodzy, żeby nie obudzić śpiącej za ścianą córki. Z każdym kolejnym zdaniem emocje rosły, by w końcu wybuchnąć. Zza ściany słyszała, jak wzajemnie obrzucają się wyzwiskami i matka wpada w spazmatyczny płacz. Przepełniona dziecięcym strachem stała w drzwiach swojego pokoju. Ojciec zakładał buty i kurtkę. Nie odezwał się do niej ani słowem. Wyszedł, zatrzaskując za sobą drzwi. Urszula pobiegła do pokoju, w którym przed chwilą rodzice się kłócili. Matka siedziała na podłodze z podkulonymi nogami. Podniosła głowę, z nosa kapała jej krew, patrząc prosto na córkę, przytuliła ją do siebie.

– Halo! – Żuchowski wyrwał Blachę z zamyślenia. – Pytam, co robimy?

– A jak nasz XYZ? – zapytała policjantka, zbywając milczeniem swoje zamyślenie.

Ed wyjął z kieszeni telefon. Przejrzał powiadomienia, wśród których nie znalazł informacji o nowych wiadomościach. Odwrócił telefon w stronę koleżanki, która zdobyła się jedynie na wydęcie dolnej wargi w geście dezaprobaty. Żuchowski zapuścił silnik volkswagena. Spojrzał na kobietę, która ponownie wydawała się być nieobecna. Podjął więc sam decyzję o tym, gdzie powinni pojechać.

Sąsiad i przyszywany ojciec Karoliny Grodzkiej mieszkał na osiedlu, które znacznie różniło się wyglądem od pozostałej części miasta. Wysokie kolorowe budynki ustawione były bez ładu, ciągnąc się w nieskończoność, przechodząc jeden w drugi. Niektóre bloki nie miały drogi dojazdowej, a jedyną możliwością dotarcia do nich były wąskie chodniki. Żuchowski wyjaśnił, że osiedle było budowane kilkadziesiąt lat temu rękami ludzi, którzy nie chcieli czekać w nieskończoność na swoje „em”.

– Najzabawniejsze jest to – mówił tonem właściwym przewodnikom muzealnym – że ci ludzie w ogóle nie byli związani z branżą budowlaną. Wśród budowniczych bloku byli lekarze, aptekarze, adwokaci. Wszyscy wycofali swoje pieniądze z tak zwanych książeczek mieszkaniowych i zabrali się do roboty.

– To stąd taki dziwny układ osiedla. – Blacha udawała zaniepokojenie, widząc, jak dużą frajdę sprawia Żuchowskiemu opowiadanie o jego rodzinnym mieście.

– Tak. Nikt się wówczas nie przejmował tym, że trzeba będzie mieć drogę dojazdową czy parking. Ważne było, żeby jak najszybciej zamieszkać we własnych czterech kątach. Dla wielu była to ostatnia szansa. Niektórzy budowniczowie mieli ponad pięćdziesiąt lat.

– Polacy to jednak przedsiębiorczy naród – podsumowała Blacha w chwili, gdy Żuchowski parkował przed blokiem.

Kobieta wysiadła z auta i rozejrzała się po okolicy. Przed blokiem rysowała się wąska ulica, wzdłuż której ciągnął się parking strzeżony z blaszanymi garażami. Żuchowski sprawdzał coś na swoim telefonie. Wykorzystała więc moment, aby zadzwonić do ministra i poprosić o nieinformowanie opinii publicznej o tym, iż ofiara była w ciąży. Prosiła, aby ukryć tę informację w trosce o dobro śledztwa.

Rozmowa z politykiem trwała krótko i nie była tak uprzejma jak poprzednie. Opinia społeczna domagała się schwytania sprawcy.

Urszula Krawczyk schyliła się do okna pasażera i lekko zastukała w szybę, ponagłając kolegę, który odwrócił telefon w jej stronę, pokazując, że właśnie rozmawia z XYZ'tem. Pokiwała głową z aprobatą na znak, że sama porozmawia z „ojcem” Karoliny Grodzkiej.

Podeszła do klatki. Drzwi były otwarte. Mimo to nacisnęła przycisk domofonu. Minęła dłuższa chwila i nikt nie podniósł słuchawki. Domofon zamilkł. Blacha pomyślała, że mężczyzna może być w pracy. Postanowiła spróbować jeszcze raz. Tym razem po drugiej stronie usłyszała zaspany męski głos.

– Kto tam?

– Dzień dobry, Urszula Krawczyk, wydział dochodzeniowy policji, chciałabym z panem porozmawiać. – Blacha przyjęła pozę oziębłej służbistki. – Czy możemy teraz, czy woli pan na komendzie za pół godziny.

– Piąte piętro – odpowiedział mężczyzna i zwolnił elektrozamek.

Mimo iż osiedle nie przypominało tego, na którym znajdowano ofiary, to klatka schodowa niczym się nie różniła – pomalowana do połowy ściana i podrapane drzwi od windy. Naklejki fanów piłki nożnej wychwalały inny klub sportowy. Uwagę policjantki przykuł napis nad lustrem wykonany niezmywalnym mazakiem. Napis informował, że Maniek to wybitny konfident.

Winda zatrzymała się na piątym piętrze, o czym informował kobiety głos płynący z głośnika zamontowanego tuż nad przyciskami. Blacha wysiadła z windy. Na piętrze znajdowały się trzy mieszkania. Drzwi prowadzące do jednego z nich były już otwarte. Policjantka pomyślała o Karolu, który również czekał przy otwartych drzwiach, a czego z pewnością nauczył się od ojca.

Mężczyzna w niczym nie przypominał swojego syna. Miał endomorficzną budowę ciała i przerzedzone włosy. Był ubrany w spodnie dresowe i biały podkoszulek. Blacha pomyślała, że wygląda jak większość ludzi będących w domu i niespodziewających się gości. Nie był zaniedbany, a mimo to poczuła do niego ogromną niechęć. Uśmiechał się niepewnie, oparty o futrynę.

– Dzień dobry – powiedział pierwszy.

Blacha wyjęła odznakę i się wylegitymowała. Nie robiła tego prawie nigdy, tym razem jednak chciała zaszachować rozmówcę. Tylko ona wiedziała, że nie mają na niego nic i nie może go zatrzymać. Przecież nie oskarży go o romans z dwudziestolatką ani o pedofilię. Jego syn wyjaśnił, że Karolina nie była już dzieckiem, gdy pierwszy raz uprawiał z nią seks. Ale mężczyzna nie miał o tym pojęcia. To był jej as w rękawie.

Ojciec Karola zaprosił policjantkę do mieszkania. To była typowa męska jaskinia, w takich kryją się około pięćdziesięcioletni mężczyźni, którzy przeżywają drugą młodość. W oczy rzuciła się wielka, dwudrzwiowa lodówka, z odpowiedniej półki cenowej. Blacha pomyślała, że urządzenie spokojnie pomieściłoby jedzenie dla pięcioosobowej rodziny. Zakładała jednak, że w środku znalazłaby kilka butelek wódki i jakieś przekąski.

Naprzeciwko kuchni umiejscowiony był salon ze ścianą wyłożoną cegłą z designerskim zegarem i telewizorem włączonym na jednej z czołowych stacji informacyjnych. Właśnie pokazywano rozmowy z mieszkańcami Łodzi z osiedla, na którym dochodziło do morderstw kobiet.

Policjantka usiadła na fotelu, który wskazał jej gospodarz. Omiotła jeszcze raz spojrzeniem pomieszczenie i poprosiła mężczyznę, aby ściszył telewizor. Ten uśmiechnął się przepaszająco i wyłączył odbiornik. Cisza, jaka nastąpiła, była zbawienna dla uszu kobiety. Sama nie miała w domu telewizora. Dla niej to strata czasu, a przy tym uważała, że media żerują na ludzkiej naiwności.

Mężczyzna usiadł obok. Blacha usłyszała, że głośniejszy oddycha. Zastanawiała się, czy się stresuje wizytą policji, czy to z powodu otyłości.

– Jak pan się zapewne domyśla – zaczęła służbowym tonem – przychodzę w sprawie Karoliny Grodzkiej. Według jej matki przez większość jej dzieciństwa był pan dla niej jak ojciec – skłamała policjantka na temat źródła informacji.

– A może pani jaśniej – twarz mężczyzny zrobiła się czerwona – nie do końca rozumiem, czemu miałbym się domyślać. Czy coś się stało? – Podniósł się z fotela

i podszedł do okna, żeby je uchylić. Wraz ze świeżym powietrzem do mieszkania wpadły odgłosy dzieci bawiących się na szkolnym boisku.

– Karolina Grodzka została znaleziona wczoraj martwa.

Blacha obserwowała, jak jej rozmówca osuwa się na ziemię, próbując złapać się parapetu. Kiedy do niego podeszła, z trudem łapał powietrze. Po chwili bezskutecznej walki twarz zaczęła mu sinieć.

– Komoda – powiedział ledwo słyszalnym głosem – leki.

Blacha rzuciła się we wskazane miejsce. Biała komoda z Ikei miała kilka szuflad. Otworzyła pierwszą, w której były dokumenty i komplet zapasowych żarówek, w drugiej znalazła kieliszki i szklanki. Kolejne dwie były puste. Blacha spojrzała za siebie, by upewnić się, że mężczyzna nadal się rusza. Odwracając wzrok z powrotem do komody, spostrzegła małe opakowanie leku na nadciśnienie. Wycisnęła jedną kapsułkę i podbiegła do leżącego na podłodze mężczyzny, aplikując mu tabletkę bezpośrednio do ust, przytrzymała żuchwę od dołu, żeby nie wypluł. Po chwili krztuszenia się mężczyzna połknął tabletkę i znieruchomiał. Blacha sprawdziła, czy oddycha i odetchnęła z ulgą. Ułożyła go w bezpiecznej pozycji na boku. Pamiętała z kursu pierwszej pomocy, że tak się robi.

Siedziała przez chwilę przy coraz spokojniej oddychającym mężczyźnie, aż w końcu zdecydowała się wybrać numer sto dwanaście.

– Proszę nie dzwonić po pogotowie – dobiegło z podłogi – to u mnie normalna reakcja na stres. Zaraz mi przejdzie. – Mężczyzna powoli wstawał. – W kuchni znajdzie pani szklanki. Proszę podać mi wody.

Blacha stwierdziła, że jak na samotnego mężczyznę ojciec Karola ma nieźle wyposażoną kuchnię. W jednej z szuflad znalazła nawet naczynie żaroodporne. Policjantka wróciła do pokoju ze szklanką zimnej wody i odetchnęła z ulgą. Człowiek, który przed chwilą omal nie umarł na jej rękach, siedział pod oknem oparty o ścianę. Wyciągnął drżącą rękę po wodę i wypił ją łapczywie duszkiem.

– Jak to się stało? – zapytał, przecierając brodę, którą oblał. – Czy popełniła samobójstwo?

– Zaraz do tego dojdziemy. – Blacha uspokoiła mężczyznę, myśląc, że może źle go oceniła. – Na razie niech pan powie, jak się czuje – zapytała z troską.

– Lepiej. Dziękuję. Uratowała mi pani życie. Mam duże problemy z ciśnieniem. Leki zawsze noszę w kieszeni, ale w domu czasami zapominam – wyjaśniał ojciec Karola.

Blacha pomogła mężczyźnie usiąść w fotelu. Podała mu drugą szklankę wody. Tym razem wypił ją dużo wolniej. Gdy zaczął oddychać spokojnie i kolor jego twarzy wrócił do naturalnego odcienia, policjantka zadała pierwsze pytanie.

– Skąd pan wie, że Karolina chciała popełnić samobójstwo?

– To było pierwsze, co mi przyszło na myśl. Może dlatego, że wczoraj oglądałem dokument, w którym mówiono, iż sześćdziesiąt dziewięć procent samobójstw popełniają ludzie pomiędzy dwudziestym a dwudziestym piątym rokiem życia.

– Przypuszczamy, że Karolina padła ofiarą Łowcy, o którym tak głośno w mediach.

Mężczyzna zmarszczył nos, podniósł brwi i westchnął głęboko.

– Ale co ja mam z tym wspólnego? Czy sądzi pani, że jestem Łowcą i zabiłem Karolinę? – W głosie mężczyzny dało się wyczuć niepokój.

– Gdybym sądziła, że to pan jest sprawcą, nie przyjechałabym sama, a przysłała antyterrorystów – odpowiedziała Blacha zgodnie z prawdą. – Matka Karoliny twierdzi, że był pan dla jej córki jak ojciec – skłamała ponownie. – Dlatego pomyślałam, że Karolina traktowała pana tak również w dorosłym życiu i może powie mi pan coś więcej o niej.

Mężczyzna skierował głowę ku górze, opierając się na fotelu. Chwilę siedział w takiej pozycji, zbierając myśli.

– Mój syn jest w wieku Karoliny, właściwie urodził się w tym samym dniu co ona – zaczął swój monolog. – Stary Grodzki, to znaczy ojciec Karoliny – poprawił się – porzucił rodzinę, gdy dzieci nie chodziły jeszcze do szkoły. Moja żona przyjaźniła się z matką Karoliny. W dziewięćdziesiątym trzecim roku pojawiła się możliwość zamieszkania w stojących obok siebie budynkach. Zamieszkaliśmy więc

na jednej ulicy w czwórkę. Po dwóch, może trzech, latach ojciec Karoliny znalazł sobie dużo młodszą dziewczynę i odszedł od żony. Grodzka bardzo źle zniosła rozstanie. Próbowwała nawet odebrać sobie życie. – Mężczyzna spojrzał na policjantkę, której twarz nie zdradzała emocji. – Kiedy Grodzka była w szpitalu psychiatrycznym, Karolina mieszkała u nas. Wie pani, to były lata dziewięćdziesiąte, nie było mowy o jakiegokolwiek opiekuńczej roli państwa. Sama policja zostawiła Karolinę pod naszą opieką. Po wyjściu ze szpitala Grodzka nie była tą samą kobietą co przedtem. Izolowała się, nie odbierała telefonów, nie otwierała drzwi. Moja żona wielokrotnie próbowała nawiązać z nią kontakt, lecz bezskutecznie. Czas płynął. Dzieci zaczęły dorastać, spędzały ze sobą coraz więcej czasu. Chodziły razem do szkoły, odrabiały lekcje w naszym domu. Karolina często zostawała na noc. Nie lubiła wracać do domu. Nawet jej się nie dziwię. Powiedziała pani, że byłem dla niej jak ojciec i to prawda. Od dnia, kiedy została u nas pierwszy raz, mówiłem, że mam dwoje dzieci. Brałem nadgodziny, żeby utrzymać dodatkową osobę.

Blacha słuchała mężczyzny i próbowała połączyć wątki. Zastanawiała się, jak człowiek, który pracuje tak ciężko, żeby utrzymać przysposobione dziecko, może pójść z nim do łóżka. Szukając odpowiedzi na to pytanie, nie zauważyła, że mężczyzna kontynuuje swoją pełną melancholii opowieść.

– Do czternastego albo piętnastego roku życia Karol i Karolina spali w jednym pokoju. Gdyby byli prawdziwym rodzeństwem, nie mielibyśmy z tym żadnego problemu, bo byli tak zżyci. Niestety, nie byli i w końcu żona uznała, że trzeba wygospodarować oddzielny pokój dla Karoliny. Z racji tego, że miałem lepszy kontakt z Karoliną, sam przeprowadziłem z nią rozmowę na ten temat – przerwał swoją opowieść, by upić łyk wody. – Nie było łatwo. Karolina nie chciała zgodzić się na takie rozwiązanie, a my wtedy nie wiedzieliśmy dlaczego.

– Bała się spać sama? – wtrąciła pewnie Blacha.

– Dokładnie – potwierdził mężczyzna – jak się później okazało, bała się być sama. Zapewniała mnie, że nic jej nie łączy z Karolem. Mówiła, że to tylko jej brat. Wierzyłem, ale niestety przyłapaliśmy Karola, jak ją podglądał. Mój syn próbował nawet udawać geja. A prawda była taka, że był zakochany w Karolinie po uszy.

W końcu oboje uznali, że to ja rozbijam ich braterską więź. Karolina pojawiała się coraz rzadziej, a syn powoli oddalał się ode mnie – przerwał wypowiedź i z przepaszającą miną wyszedł z pokoju odebrać telefon, który nagle rozdzwonił się w kuchni.

Blacha siedziała w fotelu nieruchomo. Gdy mężczyzna wrócił i zasiadł na uprzednio zajmowanym miejscu, zadała pytanie.

– Czyli rozumiem, że później nie miał pan już dobrego kontaktu z Karoliną?

– Ona dorosła – zaczął – a ja nie miałem żadnego prawa domagać się kontaktu. Skłamałbym jednak, gdybym powiedział, że nie liczyłem na odrobinę wdzięczności. Pewnego dnia, gdy byłem w domu sam, Karolina weszła bez pukania. Usiadła na kanapie. Nie widziałem jej od ponad roku, a ona nie wyglądała już jak dziewczynka, która przychodziła do mnie pokazać swoje zabawki. Opowiadała o tym, co się działo u niej, i o tym, jak bardzo tęskniła za naszym domem. Była czymś bardzo przygnębiona i samotna. Zapytała, czy może czasami przyjść i posiedzieć. Wie pani, myślę, że chciała spokoju, który kojarzy się nam z domem rodzinnym. Od tego dnia Karolina przychodziła do nas. Siadała na kanapie i nie odzywała się ani słowem. Czasami czytała książkę albo gazetę, albo oglądała coś na telefonie. Nie przeszkadzałem i zajmowałem się swoimi sprawami. Kiedyś podeszła do mnie i zapytała, czy może się przytulić. Objąłem ją mocno. Zaczęła płakać. Mówiła, że bardzo tęskniła za domem i za mną. Trzymając ręce na jej ramionach, zapytałem, czemu nie chce przychodzić, gdy są pozostali domownicy.

– Czy powiedział pan o tych spotkaniach żonie? – zapytała spokojnym tonem Blacha.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

– Dlaczego? Miał pan coś do ukrycia? – Policjantka ze spokojem w głosie dodała: – Z prawnego punktu widzenia nic panu nie grozi. Zapewniam!

– Pani sugeruje, że byłem kochankiem Karoliny. Wiem, że na pierwszy rzut oka tak to może wyglądać. Zapewniam jednak, że traktowałem Karolinę jak córkę.

– To dlaczego nie poinformował pan żony o odnowieniu kontaktu – naciskała Blacha.

– Bo moja żona nienawidziła Karoliny – przyznał mężczyzna z nutą wstydu w głosie. – Myślała, że bardziej obchodzi mnie Karolina niż szczęście syna. Karol przez wiele lat udawał przed Karoliną, że jest gejem. Tylko po to, żeby mieć z nią kontakt, a moja żona za wszystko winiła mnie i Karolinę.

– A może był pan zazdrosny o to, że Karolina interesuje się przybranym bratem, a nie panem. – Nie ustępowała Blacha, obserwując czujnie, czy ciśnienie mężczyzny ponownie nie zacznie rosnać.

– Pani już wydała wyrok. – Ojciec Karola wzruszył ramionami.

– Karolina widywała się z panem potajemnie. To dlatego mieszka pan teraz tutaj? – Policjantka stawiała kolejną hipotezę.

– Tak. Pewnego dnia moja żona wróciła do domu i zastała Karolinę w salonie. Było upalnie. Ja byłem na górze w sypialni, a Karolina siedziała bez bluzki na kanapie. Co było później może sobie pani wyobrazić. Karolina miała wtedy tylko siedemnaście lat, więc proszę nawet nie myśleć, że uprawiałem z nią seks.

– A co na to pański syn?

– Karol właściwie mnie nie zauważał. Mijał mnie obojętnie od czasu, gdy zapadła decyzja o zakazie dzielenia przez niego pokoju z Karoliną. Był też świadkiem, jak żona oskarża mnie o to, że podrywam Karolinę. Uznał, że specjalnie ich rozdzieliłem. Próbował odnowić przyjaźń z Karoliną. Wmawiał jej, że jest gejem tylko po to, żeby nie czuła zagrożenia z jego strony. Tak naprawdę bała się mężczyzn. Nie umiała im zaufać, bo każdy mógł zniknąć jak jej ojciec. Karol kochał Karolinę i nie chcę sobie wyobrażać, co on teraz czuje.

– A kiedy widział się pan z Karoliną po raz ostatni? Czy tutaj też przychodziła posiedzieć? – zapytała Blacha bez cienia ironii w głosie.

– Pięć dni temu – odpowiedział mężczyzna z kamienną twarzą – spotkaliśmy się u mnie w mieszkaniu. Była tu pierwszy i, jak się okazuje, ostatni raz w życiu. – Wykrzywił usta w grymasie bólu na myśl o śmierci tej młodej kobiety. Nie chciał pokazać policjantce swoich uczuć, niemniej Blacha zakładała, że mężczyzna bardzo to przeżywa i gdy tylko ona przekroczy próg mieszkania, da upust swoim emocjom. Zrobiło jej się szczerze żal tego człowieka.

– Czemu nie odwiedzała pana w nowym mieszkaniu? Z pana słów wynika, że jest pan jej przyjacielem i ojcem w jednym. – Blacha nie odpuszczała, czując, że mężczyzna coś ukrywa.

– Karolina czuła się winna rozpadu mojego małżeństwa i tego, że straciłem kontakt z synem. Na darmo próbowała przekonać moją żonę i syna, że nic jej ze mną nie łączy. – Mężczyzna spuścił głowę i spojrzał na dłonie, które ścisnął na kolanach.

Policjantka odniosła wrażenie, że zaraz dowie się, jaki sekret niesie za sobą piękna historia o heroicznym ojcostwie. Mężczyzna otworzył jednak usta i nim wydobył się z nich jakiś dźwięk, zamknął je. Blacha postanowiła wszystko na jedną kartę.

– Pan wie, że Karolina była w ciąży, prawda? – Kobieta patrzyła kamiennym wzrokiem na rozmówcę.

Mężczyzna pokiwał potakująco głową. Nie odezwał się ani słowem. Nie podniósł też wzroku, by na nią spojrzeć. Zacisnął wargi, łzy ciekły mu po policzku.

– Czy to było pan dziecko? – zapytała policjantka.

Czas zdawał się zatrzymać. W mieszkaniu panowała absolutna i niezmacona niczym cisza. Blacha wstrzymała oddech, licząc na to, że mężczyzna się przyzna. Nie mogła oskarżyć go, niby o co, że był zwykłym łajdakiem, który wykorzystał dziewczynę.

– Nie – zawyrokował mężczyzna – nie ja byłem ojcem tego dziecka, choć byłem z nim spokrewniony. Byłem jego dziadkiem.

Blacha czuła, jak krew odpływa jej do nóg. Niczego już nie rozumiała z tej zagmatwanej rodzinnej historii. Myślała tylko, dokąd ją to zaprowadzi i zaczęła wątpić, czy w ogóle ta rozmowa ma sens.

– Może pan jaśniej? – zapytała Blacha nieco za głośno.

Mężczyzna westchnął głęboko. Oparł się ciężko o fotel i zamknął oczy.

– Mój syn był bardzo zakochany w Karolinie, ale ona zaczęła go unikać. Był gotów na wszystko, byleby tylko przy niej być, nawet udawał geja. Kiedy żona – kontynuował – oskarżyła mnie o romans, Karolina próbowała przekonać Karola, żeby wyznał prawdę. Ten jednak wykorzystał okazję i w końcu przespał się

z Karoliną. – Mężczyzna zacisnął pięści z całych sił. – Zażądał, aby udowodniła, że nic jej nie łączy ze mną i poszła z nim do łóżka. Karolina nie chciała ulec jego manipulacjom, więc ją zgwałcił. – Mężczyzna wybuchł spazmatycznym płaczem.

Błacha patrzyła na niego i zastanawiała się, ile jest prawdy w tej opowieści. Z jednej strony chciała mu wierzyć, z drugiej zaś historia była tak nieprawdopodobna, że nie mogła mu ufać.

– Karolina przyjechała do mnie – szlochał – i opowiedziała o wszystkim. Nie chciała tego dziecka, znalazła w Katowicach nielegalnie działającą klinikę, żeby usunąć ciążę. Przekonywałem ją wiele godzin, żeby tego nie robiła. Zagroziła jednak, że jeśli nie dam jej pieniędzy, najpierw zgłosi gwałt, a potem rzuci się pod pociąg. Wzięła pieniądze i wyszła bez słowa.

– Czy wie pan, co to za klinika?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową, a Błacha nie miała zamiaru go dociskać. Wiedziała, kto zna odpowiedź.

Żuchowski zaparkował volkswagena tuż przed domem Karola. Błacha pchnęła furtkę i pewnym krokiem weszła na podwórko. Nacisnęła dzwonek, lecz odpowiedziała jej cisza. Zapukała więc do drzwi. Spojrzała na Żuchowskiego, który wzruszył ramionami. Zapukała mocniej i bardziej zdecydowanie, lecz znowu nikt nie otwierał. Złapała za klamkę i drzwi się otworzyły.

– Karolu – krzyknęła – tutaj Urszula Krawczyk z policji. Widzieliśmy się dzisiaj.

Ponownie odpowiedziała jej cisza. Wejście do czyjegoś mieszkania bez jego zgody lub nakazu to pogwałcenie wszystkich możliwych paragrafów. W przypadku oskarżenia o kradzież byłaby więc na przegranej pozycji. Nie uchroniłby jej nawet immunitet, jakim legitymował się minister delegujący ją do schwytania Łowcy. Mimo to zdecydowała się wejść do środka. W mieszkaniu nic się nie zmieniło. W salonie na stoliku stała taca z trzema filiżankami i nietkniętymi ciastkami.

W tym samym czasie Żuchowski pokonywał schody prowadzące na piętro. Pierwsze piętro było równie sterylne jak partner. Białe ściany i białe drzwi zlewały

się. Żuchowski pchnął lekko uchylone drzwi i rozejrzał się po pustym pokoju. W tym czasie Blacha po upewnieniu się, że na parterze nikogo nie ma, również dotarła na górę. Gdy Żuchowski sprawdzał drugi pokój, ona otworzyła drzwi do łazienki. Tutaj też było sterylne. Białe kafle na ścianach i podłodze. Jedyнным elementem, który rzucał się w oczy, była srebrna deska klozetowa. Trzeci pokój wyglądał zgoła inaczej. Poza tym, że były tam meble, to panował w nim spory nieporządek. Ściany przyozdobiono licznymi grafikami streetartowych twórców.

Żuchowski przeglądał rzeczy na biurku.

– A może wyszedł tylko po coś do sklepu? – zapytał retorycznie, zdając sobie sprawę z naiwności takiego myślenia.

– Zastanawiam się, dlaczego w domu jest tylko jeden pokój z rzeczami. Gdzie jest sypialnia jego matki – dywagowała Blacha na głos.

Na korytarzu zauważyła mały właz w suficie prowadzący na strych. Wskazała go Żuchowskiemu, przykładając palec do ust. Ed kiwnął głową porozumiewawczo. Podszedł bliżej i podskoczył, starając się złapać za uchwyt umożliwiający opuszczenie schodów. Po trzech nieudanych próbach w końcu sięgnął po krzesło wciśnięte pod biurko.

Blacha wchodziła ostrożnie po stromych schodach. Ed czekał na dole na wypadek, gdyby właz się zamknął. Na strychu czuć było zgnilizną. Policjantka zakryła usta i nos rękawem i zaczęła się rozglądać. Pod stertą ubrań znalazła rozkładające się ciało kobiety.

– Ed – krzyknęła – biegnij do domu pani Grodzkiej!

Ed Żuchowski zbiegał ze schodów co dwa stopnie. W niecałe trzydzieści sekund znalazł się pod domem matki Karoliny. Pchnął furtkę, ale była zamknięta. Przeskoczył ogrodzenie i rzucił się do drzwi. Nie szukał ani dzwonka do drzwi, ani nie pukał. Złapał za klamkę i drzwi odpuściły. Wbiegł do znajomego salonu. Pani Grodzka leżała w kałuży krwi.

– Uważaj – krzyknęła z całych sił Blacha, która dotarła do domu chwilę później.

Żuchowski zdążył uchylić się przed ciosem. Karol zamachnął się kijem, którym najprawdopodobniej wcześniej rozłupał czaszkę matki swojej przyszywanej siostry. Teraz cofnął się pod okno, a policjant próbował go uspokoić. Niewiele jednak osiągnął, bo chłopak znów się zamachnął. Blacha stała w korytarzu i rozglądała się za czymś, czym mogłaby powstrzymać sprawcę. W końcu sięgnęła po znajdującą się obok schodów szufłę do wybierania popiołu z pieca. Wbiegła do pokoju i stanęła obok Żuchowskiego, który nadal próbował bezskutecznie uspokoić chłopaka. Policjant chwycił szufłę i rzucił się na młodego mężczyznę. Z tej szamotaniny wyszedł zwycięsko i już po chwili obezwładnił chłopaka. W tym czasie Blacha podbiegła do pani Grodzkiej. Kiedy stwierdziła, że kobieta żyje, sięgnęła po telefon komórkowy i wybrała numer sto dwanaście.

Obezwładniony Karol próbował wyrwać się Żuchowskiemu, straszy mężczyzna okazał się jednak dużo silniejszy.

– Wiem, że Karolina była w ciąży z tobą i że ją zgwałciłeś – powiedziała nerwowo Blacha do leżącego na ziemi chłopaka. – Prokurator oskarży cię o zabójstwo Karoliny i pięciu pozostałych dziewczyn.

– Ale ja ich nie zabiłem!

– Swojej matki też nie? Resztę życia spędzisz w więzieniu o zaostrowym rygorze – urwała – możesz jednak poprawić swój byt, odpowiesz teraz na pytanie, w której klinice w Katowicach Karolina miała usunąć ciążę?

Karol milczał dłuższą chwilę. Dopiero słysząc podjeżdżające na sygnale radiowozy, podał adres kliniki.

VIII

Żuchowski oparł się o maskę oznakowanego radiowozu i wyciągnął z bocznej kieszeni marynarki paczkę Marlboro. Zaciągnął się papierosem i myślał o tym, jak ciężkie i trudne życie musiała mieć Karolina Grodzka. Najpierw została porzucona przez własnego ojca, a potem, gdy znalazła azyl i mogła czuć się w miarę bezpiecznie, traciła to, gdy nabierała kobiecych kształtów. Pomyślał, że gdyby był wierzący, mógłby pokusić się o stwierdzenie, że ktoś na górze musiał naprawdę nie lubić Karoliny Grodzkiej.

Blacha zdawała raport jakiemuś umundurowanemu policjantowi. Dopalając papierosa, Ed wyciągnął telefon i wybrał numer do informatora.

– Cześć, stary – zaczął – masz coś do pisania?

Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki zapisał dane kliniki aborcyjnej, której nazwę podał Karol. Obiecał oddzwonić, gdy tylko czegoś się dowie. Ed nie silił się na pożegnanie. Wiedział, że jego znajomy już dawno odłożył słuchawkę.

Policjant wsiadł do samochodu. Czekać na Blachę, włączył radio. Przeważnie słuchał lokalnej stacji, w której puszczano kawałki mniej znanych grup, często byli to lokalni twórcy, których nierzadko znał osobiście. Po krótkim bloku reklamowym z głośników poleciało „Do stracenia” łódzkiej grupy rockowej Normalsi. Ed nucił utwór, kołysząc głową w takt.

Kiedy Blacha wsiadała do auta, z głośników słychać było solówkę graną na gitarze przez frontmana i wokalistę zespołu. Nie była znawczynią muzyki rockowej. Słuchała jej czasami, sprzątając mieszkanie lub jadąc szybko samochodem. Muzyka rockowa dawała jej poczucie wolności i niezależności.

– To Normalsi. – Ed przedstawił koleżance wykonawcę, ścisząc radio. – Wokalista ma jeden z najlepszych głosów w tym kraju, a mimo to nadal nie jest znany

szerszej publiczności – skwitował z lekką nutą nostalgii.

– Może nie nadszedł jego czas?

– Może. – Ed wzruszył ramionami i włączył silnik volkswagena. Ruszył na spotkanie z Tarnowskim, które według zegarka miało zacząć się za dwadzieścia minut. Po drodze zreferował swoje spostrzeżenia odnośnie udostępnionych przez fotografkę zdjęć. Stwierdził nawet, że podobny cykl zdjęć wykonał kiedyś Zdzisław Beksiński.

– Zrobione wówczas zdjęcie miało być niejako symbolem, że malarz wyjrzał przez okno – podsumował Ed.

Blacha spojrzała na kolegę z zaciekawieniem. Nie bardzo interesowała ją postać Beksińskiego, ale wszechstronna wiedza, jaką wykazywał się Żuchowski, imponowała jej. Coraz bardziej intrygował ją nowy partner.

– A co z XYZ’tem? – zagaiła po chwili ciszy. – Napisał coś?

Żuchowski pokręcił przecząco głową.

– Myślę, że odezwie się wieczorem. Tak jak wczoraj – odpowiedział pewnie mężczyzna.

– A jeśli nie? Myślisz, że technicy mogliby namierzyć IP jego komputera?

Ed pokiwał głową z dezaprobatą i nie odpowiedział na zadane pytanie. Nacisnął mocniej pedał gazu i przyspieszył. Nie lubił się spóźniać. W miarę nabierania prędkości zaczął zastanawiać się, czy jednak policyjni technicy mogliby namierzyć rozmówcę. Rozwazał również, jak mieliby to umotywić przed sądem, który musiałby wydać zgodę na taką inwigilację. Po chwili refleksji uznał, że to byłby najmniejszy problem. Taką zgodę zapewne mógłby zorganizować minister sprawiedliwości.

Żuchowski skręcił w lewo. Pod kawiarnią, znajdującą się w ciągu pawilonów handlowych, stał aspirant Tarnowski. Niewysoki brunet ubrany w dżinsy i białą obcisłą podkoszulkę w niczym nie przypominał policjanta, z którym Blacha rozmawiała dzień wcześniej. Na widok parkującego volkswagena uśmiechnął się szeroko i pomachał ręką. Wydawał się być sympatyczny.

Wysiadając z auta, Żuchowski spojrział na zegarek. Była piętnasta zero dwie. Dojechali na czas. Tarnowski wskazał restaurację, w której mieli rezerwację, i ruszył za Blachą, na końcu szedł Żuchowski, sprawdzając coś w telefonie.

Przed lokalem stały małe, okrągłe stoliki z wiklinowymi krzesłami, na których siedziało kilkoro gości całkowicie pochłoniętych swoimi sprawami. W środku lokal niczym nie przypominał tego, co Blacha spodziewała się ujrzeć. Kolorowa sala główna pękała w szwach, a zza turkusowego baru uśmiechała się do nich młoda brunetka. Za jej plecami na całej długości mogli przeczytać okazałe menu. Pracownicy dwoili się i troili, żeby zadowolić licznych o tej porze klientów.

Tarnowski przywitał się z barmanką i dopytał o zarezerwowany na jego nazwisko stolik.

Mężczyźni zdecydowali się na białą kawę. Blacha, która ostatni posiłek jadła zeszłego dnia, wybrała bajgla z jajkiem sadzonym, sok pomarańczowy i sernik.

Tarnowski taksował wygląd policjantki, gdy ta dodawała kolejne potrawy do zamówienia, i spojrział pytająco na Żuchowskiego, który jedynie wzruszył ramionami. Po dokonaniu płatności ekspedientka wręczyła policjantom numerek piętnaście.

- Ciekawe miejsce – odezwała się Blacha, siadając na kanapie.
- Właścicielka otworzyła już pięć lokali, w których można naprawdę fajnie spędzić czas – przyznał Tarnowski. – To było jej marzeniem.
- Marzenia się nie spełniają – wtrącił Żuchowski – marzenia się spełnia.
- Musi tu być ciekawie, gdy pada deszcz. – Policjantka pokazała palcem na blaszany dach.

Jeszcze przez chwilę rozmowa dotyczyła samego lokalu, aż w końcu przerwał ją młody, wytatuowany chłopak w wiśniowej koszulce z narysowanym rowerem i napisem informującym, iż w Łodzi łatwiej o ścieżkę amfetaminy niż o rowerową, który przyniósł zamówione dania i zabrał numer ze stolika. Uwagi policjantów nie uszło to, że obdarzył on szerokim uśmiechem Blachę, spoglądając jednocześnie kobiecie prosto w oczy. Nie zrobiło to wrażenia na policjantce, która skoncentrowała się na posiłku i jedzenie znikało w szybkim tempie z jej talerza.

W końcu oparła się o kanapę i delektowała uczuciem sytości. Założyła nogę na nogę i spojrzeniem dała znak, że czas porozmawiać o sprawie Łowcy.

Tarnowski pokiwał głową potakująco. Ściszył głos na tyle, na ile było to możliwe w gwarnym lokalu i nachylił się do swoich rozmówców.

– Na miejsce odnalezienia pierwszego ciała – zaczął – trafiłem przypadkowo. Akurat rozpoczynałem zmianę, kiedy oficer dyżurny zapytał mnie, czy odczuwam strach przed śmiercią. Myślałem, że pyta o to, czy boję się zginąć na służbie. Przyznałem, że nie noszę kamizelki kuloodpornej, bo nie sądzę, żeby ktoś strzelał do mnie podczas patrolowania Piotrkowskiej. Zazaczyłem jednak, że nie chciałbym zginąć ugodzony nożem przez jakiegoś pijaczka. Kierownik, bo tak mówimy w komendzie na dyżurnego, pokiwał głową. „Ja pytam, Tarnowski, czy wy się boicie oglądać śmierć”, uściślił z pełną powagą. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, bo nie miałem pojęcia, o co chodzi, a jedyną zmarłą, jaką oglądałem, była babcia. Odpowiedziałem więc zgodnie z prawdą, że nie bardzo boję się oglądać zwłoki, o ile nie są to zwłoki moich bliskich. „Dobrze. – Kierownik mlasnął i oblizał usta. – Pojedziesz zatem jako zmiennik przy zabezpieczeniu morderstwa. Pamiętaj, Tarnowski! Ściśle tajne”, powiedział i poklepał mnie po plecach. Osiedle, które jest dokładnie tam – Tarnowski wskazał kciukiem za swoimi plecami – było mi do tego czasu całkowicie nieznane. Ot, jedno z tych wielkich zbudowanych w czasach PRL-u, na którym próżno szukać czegokolwiek wartościowego. Dzień był naprawdę ciepły. Poluzowałem więc kołnierzyk koszuli i zdjąłem furażerkę. Zza okien radiowozu obserwowałem, jak ludzie patrzą na nas z niechęcią. Takie nastawienie do policjantów zawsze mnie zastanawia. Przecież to po nas dzwonią, gdy coś złego dzieje się w ich życiu. I nie oszukujmy się, to prewencja jest pierwsza przy każdym zdarzeniu. Kiedy wysiadłem z auta, pod blokiem było pełno gapiów, łódzkie media i stała już karawana pogrzebowa, nasłana najpewniej przez jednego z policjantów pilnujących zdarzenia. Przed czarnym autem zakładu pogrzebowego stał volkswagen Eda. Miałem pilnować, żeby gapie nie przekraczali wyznaczonej taśmy. Jeśli ktoś deklarował, że ma mieszkanie w tym bloku, musieliśmy to potwierdzić. Nie uwierzycie, ile ludzie są gotowi zrobić, żeby zobaczyć trupa. Gdy wynoszono ciało,

kręcili filmiki i pstrykali zdjęcia. Niektórzy na pewno sprzedawali je mediom, gdy sprawa zrobiła się głośna. Po zabraniu ciała pilnowałem, żeby nikt nie wchodził na jedenaste piętro, dopóki technicy nie skończą pracy. Siedziałem więc kolejnych pięć godzin na klatce schodowej, słuchając rozmów techników, którzy rozwodzili się na temat linki, którą uduszona miała być kobieta. „Dobra – stwierdził jeden po pewnym czasie – niech w laboratorium to sprawdzą, a my lecimy”. Po czym zabrali swój sprzęt, opieczętowali drzwi taśmą policyjną i mogliśmy wrócić do normalnych czynności.

– Kolejnych kilka dni minęło spokojnie, aż Kierownik ponownie wezwał mnie do siebie. Zapytał, jak było ostatnim razem i jak się z tym czułem. Byłem zdziwiony, że troszczył się o mój stan psychiczny. Wszyscy mieliśmy go za bezdusznego sukinsyna. Opowiedziałem mu, jak wyglądał przebieg mojej służby. Mając na uwadze, że ktoś z uprzejmych kolegów mógł mu donieść, przyznałem się, że tego dnia wysikałem się za śmietnikiem. Na co Kierownik się uśmiechnął i w charakterystyczny dla siebie sposób mlasną ustami, a ja wiedziałem, że nie wróży to nic dobrego. A on po raz kolejny wysłał mnie do morderstwa. Pomyślałem, że coś dziwnego dzieje się w mieście. Do tej pory morderstwa zdarzały się tutaj rzadko. Wsiadłem więc do radiowozu i ku mojemu zdziwieniu po raz kolejny wylądowałem na tym samym osiedle, tyle że kilka bloków dalej. Procedura wyglądała jak przy pierwszym morderstwie. Z tym, że tym razem nie pozwolono nam wpuszczać nikogo na klatkę. Jeśli ktoś deklarował, że mieszka w danej klatce, musieliśmy go odprowadzić pod same drzwi. Podobno dziennikarze podszywali się pod lokatorów, byleby tylko sforsować klatkę i cyknąć fotkę. Ludzie gromadzili się tłumnie. Zachowywali się okropnie. Kiedy akcja dobiegła końca, zamiast wrócić na komendę postanowiłem się przejść po osiedlu. Z początku moje zainteresowanie socrealistycznym kompleksem budynków było wywołane zamięłowaniem do historii łódzkiego budownictwa. W końcu poczułem się jak w jakimś filmie, gdzie wszystko wygląda identycznie. Jednakowe rozstawienie bloków, takie same podjazdy i jednokierunkowe drogi. Nawet drzewa sadzone w ten sam sposób. Tego dnia obszedłem osiedle jeszcze trzy razy, postanawiając, że zgłębię historię jego

powstania. Przeszukałem internet, w którym niewiele było na temat łódzkiej architektury, a jeszcze mniej o dzielnicy czy też osiedlu. W Urzędzie Miasta dowiedziałem się, że miasto nie dysponuje archiwalnymi planami zagospodarowania przestrzennego i polecają sięgnąć po archiwalne numery gazet. Odwiedziłem więc Wojewódzką Bibliotekę Publiczną. Było to pierwsze miejsce, które przyszło mi na myśl. Z radością stwierdziłem, że zmodernizowano system wyszukiwania. Przeszukiwanie gazet zajęło mi cały dzień. Byłem głodny i zmęczony. Miałem poczucie zmarnowanego dnia. Szukałem czegoś, ale sam nie wiedziałem czego. Położyłem wszystkie gazety na wózek i odwiozłem je bibliotekarce siedzącej za kontuarem. Porównując numery albumów z tymi, które widniały w systemie, stwierdziła, że jednego brak. „Więcej nie dostałem” – zapewniłem, uśmiechając się szczerze, ale kobieta mi nie wierzyła. Zagroziła, że wezwie policję, więc sięgnąłem do kieszeni po odznakę. Mina jej zrzędała. Po chwili zadzwoniła do magazynu i dostałem brakujące materiały. Wtedy natrafiłem na zdjęcie uśmiechniętej blondynki na tle osiedla, które mnie interesuje. W nagłówku informowano, że dziewczyna została zgwałcona i brutalnie zamordowana. Podobno wyszła z domu około osiemnastej na spotkanie ze znajomymi w klubokawiarni. Na miejsce już nie dotarła. Kilka godzin później jej zwłoki znalazła przypadkowa osoba. Miała podobno zaciśniętą na szyi pętlę i odrąbane siekierą wszystkie kończyny. – Aspirant Tarnowski zakończył historię, patrząc na twarze swoich rozmówców.

Blacha zastanawiała się, jak sprawa z przeszłości mogłaby się łączyć z obecnie prowadzoną i nie widziała żadnego związku poza wiekiem ofiary i miejscem. Zastanawiała się również, jak specyficzny układ osiedla wpływa na dobór lokalizacji przez sprawcę i z lekką irytacją stwierdziła, że Tarnowski również tego nie wskazał w swojej barwnej opowieści.

- Kto zabił – zapytała Tarnowskiego.
- Nie wiadomo. Temat w gazecie został ucięty po tej jednej publikacji.
- Nie sądzisz chyba – zaczęła Blacha – że ktoś, kto zabił dziewczynę czterdzieści lat temu, postanowił teraz dokończyć dzieło?

Tarnowski pokręcił głową przecząco.

– Wydaje mi się, że kluczem do rozwiązania zagadki nie jest to morderstwo, a układ osiedla.

– Ale co ma układ osiedla do tego – wtrąciła Blacha z irytacją.

– Byłem w grupie zabezpieczającej wszystkie miejsca – zaczął Tarnowski – i myślałem, że to kwestia podjazdów i łatwej drogi ucieczki. Podczas zabezpieczania trzeciego morderstwa podeszła do mnie starsza kobieta, która poprosiła o przepuszczenie jej do mieszkania. Jak już wspominałem, nie mogłem jej puścić samej, więc poszedłem za nią. Po drodze dowiedziałem się, że mieszka tutaj od początku powstania tego bloku i że to nie pierwsze morderstwo w tym miejscu. Wsiadliśmy do windy w milczeniu. Kobieta patrzyła na mnie z uśmiechem. Kiedy wysiadała z windy, rzuciłem, żeby się nie martwiła, bo niedługo złapiemy sprawcę. Odwróciła się do mnie i odpowiedziała. „Ja się nie martwię. To już nie pierwsze morderstwo na tym osiedlu. A sprawcy tak jak poprzednio nie złapiecie”. „Od tamtych wydarzeń minęło bardzo mało czasu – zacząłem, myśląc, że chodzi jej o dwa poprzednie morderstwa. – Śledztwo jest złożonym procesem, więc w kilkanaście dni czy też kilka tygodni ciężko jest kogoś złapać”. „Ja nie mówię o tym, co się stało tutaj na przestrzeni ostatniego miesiąca, czy nawet roku. Mówię o tym, co tu się dzieje od kilkudziesięciu lat”. Wsiadłem z windy i rozejrzałem się po klatce schodowej. Drzwi do mieszkań ukryte były w głębi korytarzy, a te z kolei były zakratowane. „Wszystkie klatki schodowe tak wyglądają” – zapytałem z ciekawością. „Tak – odpowiedziała z powagą – kiedyś to było bardzo niebezpieczne osiedle. Różne mendy się tu kręciły. – A co ma pani na myśli, mówiąc, że to nie pierwsze morderstwa?” Kobieta rozejrzała się po klatce. Wyraźnie podenerwowana moim pytaniem, ostatecznie zaprosiła mnie do domu na herbatę. Tam wyjaśniła, że ściany mają uszy, a sąsiad obok pracował z tymi, którzy budowali osiedle, bo te bloki powstały dla ludzi ze służb, zaufanych władzy. Dla takich, którzy wychodzą z pracy i wracając do pracy. Ci ludzie pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie wychodzili do biur, jak ich koledzy urzędnicy, tylko wsiadali do windy i wjeżdżali na jedenaste piętro wieżowca. Tam mieli biura. Po to wybudowano te wieżowce. Z opowieści tej kobiety wynikało, że

około pięćdziesięciu lat temu, gdy miała jakieś dwadzieścia dwa lata, wyszła za mąż za lekarza na usługach bezpieki. Zaraz po ślubie mąż zakomunikował jej, iż dostał awans, a wraz z nim mieszkanie. Myślała, że jak wszyscy będą czekać miesiącami, a może latami na przydzielenie lokalu, tymczasem po kilku tygodniach dostali swój przydział. Mąż otrzymał znaczną podwyżkę i namówił ją do rezygnacji z pracy. Od niego też dowiedziała się, że pracuje przy tajnym projekcie dotyczącym bezpieczeństwa państwa. Żeby agenci obcych mocarstw nie wpadli na ich trop, zdecydowano się urządzić biura na jedenastym piętrze w wieżowcach. Stąd taka konstrukcja budynku – klatki się ze sobą łączą, a w każdym bloku pierwsza była niezamieszkała. Jej mąż wychodził do biura na jedenastym piętrze i tam spędzał całe dnie. Wówczas nie widziała nic dziwnego w tym, jak zaprojektowane jest osiedle. Nie widziała również nic dziwnego w tym, że pierwsza klatka we wszystkich blokach była niezamieszkała. Myślała, że czeka na zasiedlenie. Po latach, gdy ustrój się zmienił, a dni jej męża były policzone, gdyż chorował na nowotwór złośliwy, przytulił się do niej i zaczął płakać. „Nie martw się” – powiedziała, poradzimy sobie z chorobą – uspokajając jego, uspokajała siebie, bojąc się stracić człowieka, którego kochała ponad życie. „To kara – wymamrotał jej mąż ze szlochem – to kara za to, ile złego zrobiłem w życiu”. Nie wierzyła wtedy, że mąż lekarz mógł kogoś skrzywdzić, ale tuż przed śmiercią wyznał jej, że to osiedle to cmentarz wielu istnień. Mieszkania schowano w głębi klatek schodowych, żeby przez wizjer nie można było dojrzeć, kto schodzi po schodach. Jedenaste piętro jest wygłuszone, żeby nie było słychać krzyków i jęków ludzi, których tam więziono. Nie było to jednak zwykłe więzienie, a szpital laboratorium i tam pobierano narządy na handel. W ten sposób władza Polski Ludowej odkładała sobie na emeryturę. Proszę spojrzeć na osiedle z lotu ptaka. Jest zbudowane w kształcie gwiazdy życia. Podjazdy rozłożone w ten sposób, żeby żaden samochód nie przecinał sobie drogi. Osiedle leży zaledwie osiem minut jazdy samochodem od lotniska. Nawet drzewa tak posadzono, że z okien przeciwległego bloku nie widać podjazdów i klatek schodowych. Chciałem wiedzieć, czy dziś ciała podrzucają ci sami ludzie. Kobieta nie umiała odpowiedzieć, ale była pewna, że ma to coś wspólnego z wydarzeniami z tamtych

czasów. Nawiązałem też do morderstwa młodej kobiety, której ciało znaleziono jakieś czterdzieści lat temu na tym osiedlu, a o mordercy nic nie wiadomo. Okazało się, że denatka mieszkała na tym osiedlu i była bliską znajomą mojej rozmówczyni. Jej ojciec mieszkał i pracował w bloku naprzeciwko. Był w pracy, kiedy dowiedział się, że ktoś zgwałcił i porąbał jego córkę, Ankę. Wziął służbowy pistolet i dobijał się do wszystkich mieszkań, szukając winnych. To miała być podpucha, bo chciano się dostać do niego. Biegał więc z pistoletem po bloku, aż jeden z jego kolegów zdecydował się interweniować, strzelając mu podobno prosto w głowę. Sprawę umorzono bez śledztwa. Młodszy brat Anki zrobił donos do prasy. Puścili jedną notkę i na tym się zakończyło. Miałem wrażenie, że kobieta bała się kogoś, kto nadal w bloku strzegł tajemnicy minionych lat. Po powrocie ze służby zadzwoniłem do kolegi, który lata dronem na weselach. Pojechał ze mną na osiedle, które z lotu ptaka rzeczywiście wygląda jak gwiazda życia. – Aspirant Tarnowski miał na twarzy wypieki, kiedy skończył opowieść. Był zadowolony z efektów swojego śledztwa i cieszył się, że w końcu mógł opowiedzieć historię, która spędzała mu sen z powiek przez ostatnie dni. Czekał na pytania.

Blacha próbowała połączyć wszystko w jedną całość. Spojrzała na Żuchowskiego i z niemal stuprocentową pewnością mogła założyć, że myśli o tym samym.

– Próbowałeś znaleźć coś w aktach – zwróciła się Tarnowskiego.

– W lokalnych, do których mam dostęp, niczego nie ma. Jeśli coś, to w Instytucie Pamięci Narodowej, ale to już nie mój level.

– A rozmawiałeś o tym z kimś z komendy? Może Kierownik mógłby pomóc?

– Jego interesuje tylko, ile mandatów wypiszemy w ciągu dnia. Z tego jest rozliczany i na to ciśnię. Poza tym wątpię, że takie dokumenty, o ile w ogóle istnieją, są w jego zasięgu. – Tarnowski ściszył głos i ponownie nachylił się do swoich rozmówców. – Jesteście pierwszymi, z którymi o tym rozmawiam. Cała historia wydaje się być na tyle nieprawdopodobna, że nie zamierzam jej upubliczniać.

Policjanci przyznali rację Tarnowskiemu. Znali skostniałe procedury policyjne i wiedzieli, że szefowie nie wzięliby na poważnie opowieści aspiranta.

Kiedy policjanci wyszli przed kawiarnię, zapadał zmierzch. Żuchowski przypalił papierosa i poczęstował Tarnowskiego, który kategorycznie odmówił, wyciągając rękę na znak protestu. Blacha zwróciła uwagę na umięśnioną rękę aspiranta, czując lekkie podniecenie. Odeszła na chwilę, zostawiając Eda i Tarnowskiego sam na sam, żeby mogli omówić swoje sprawy. Stała naprzeciwko tajemniczego osiedla. Próbowwała wyobrazić sobie odjeżdżające samochody, które wiozą narządy do przeszczepu. Uśmiechnęła się ironicznie do tej myśli, zastanawiając się, ile prawdy jest w opowieści, którą Tarnowski przed chwilą się z nimi podzielił i jak łączy się ona z morderstwem młodych kobiet.

– Co o tym sądzisz? – zapytała Żuchowskiego, kiedy Tarnowski wsiadał do swojej czarnej alfy romeo.

– Nie wiem, co powiedzieć. Z jednej strony wierzyć się nie chce, że ktoś buduje imperium zła w centrum miasta, z drugiej zaś pięćdziesiąt lat temu to nie było miasto.

– Zastanawiałam się przed chwilą, jak sprawa sprzed pięćdziesięciu laty może łączyć się z naszą.

– Wymyśliłaś coś?

Blacha pokiwała przecząco głową. Policjanci stali chwilę, patrząc na zachodzące nad blokami słońce.

Blacha położyła się w hotelowym łóżku z pilotem od telewizora w rękę. Przeskakiwała z kanału na kanał, poszukując czegoś wartościowego. Po zapętleniu wszystkich kanałów zmieniła oczekiwania i spróbowała znaleźć program, który by jej nie irytował. Po trzecim zapętleniu poddała się i wyłączyła odbiornik. Sięgnęła po telefon. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Wybrała warszawski numer ministra.

– Dobry wieczór, pani Urszulo – polityk przywitał się łagodnym tonem – czy ma pani dla mnie jakieś informacje?

– Właściwie to pan może pomóc mnie.

– W jaki sposób?

– Chciałabym sprawdzić coś w aktach Instytutu Pamięci Narodowej.

– Pani Urszulo – minister mówił nadal tym samym stonowanym głosem – czy chce mi pani powiedzieć, że odpowiedź dotycząca Łowcy znajduje się w aktach IPN? Czy jest pani pewna, że chodzi o IPN. Raczej nie ma tam nowych dokumentów.

Blacha zamilkła na chwilę, zastanawiając się, czy wtajemniczyć ministra w historię, którą zaledwie kilka godzin temu usłyszała od aspiranta Tarnowskiego. Wyobraziła sobie zdziwienie po drugiej stronie słuchawki połączone z niedowierzaniem. Sama nie do końca wiedziała, co myśleć. Postanowiła, że odpowie wymijająco.

– Oczywiście, panie ministrze, że wiem, czym jest IPN – zaśmiała się delikatnie. – Pomyślałam, że przejrzę archiwalne dokumenty, w których być może będzie wzmianka o podobnych morderstwach. Psycholog, który tworzył rys sprawcy, twierdzi, że może to być naśladowca – skłamała.

– Zakładam, że lokalne zbiory IPN może pani przejrzeć w lokalnym oddziale bez większego problemu. Proszę sprawdzić, a gdyby okazało się, że jest problem, wówczas proszę o telefon. Zobaczę, co da się zrobić.

Kolejne minuty Blacha poświęciła na historię szóstej ofiary, jak nazywał Karolinę Grodzką minister. Po wysłuchaniu opowieści minister podziękował i nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę. Blacha się zastanawiała, czy jest tak zapracowany, czy niewychowany. Po chwili refleksji uznała, że ma ważniejsze sprawy na głowie.

Wstała z łóżka i sięgnęła do minibarku znajdującego tuż przy łóżku. Wyjęła jedną z mikroskopijnych buteleczek i wlała do szklanki. Pijąc białe wino o gorzkim posmaku, wyglądała przez hotelowe okno. Ulica powoli milkła i na kilkupasmowej drodze sporadycznie pojawiała się jakieś auto.

IX

Od kiedy Blacha zamieszkała w hotelu, minęło kilka dni, lecz pierwszy raz jadła śniadanie w restauracji. Wybrała miejsce w rogu sali. Ze szwedzkiego bufetu zgarnęła pokaźną ilość jaj gotowanych na twardo, suto przykrywając je majonezem. Na talerzu znalazła również miejsce na warzywa, których nie lubiła, ale jadła z rozsądku.

Kelner podał jej cappuccino i świeżo wyciskany sok z pomarańczy. Do przyjazdu Eda Żuchowskiego miała godzinę, którą zamierzała wykorzystać na relaks. Zajadając się świeżą bułką, położyła przed sobą telefon i czytała swój horoskop. Zwiastun przestrzegał ją, że jej czas nadchodzi, zapewniając, że ma się mieć na baczności, bo przełomowe momenty w życiu są elementarne i łatwo je minąć. O ile przełom miał nastąpić w pracy, o tyle w miłości czekała Blachę stagnacja, a wręcz rozczarowania. Policjantka wzruszyła ramionami. Nie czytała horoskopów dlatego, że w nie wierzyła. Czas poświęcony na lekturę nazywała odmóżdzeniem, usprawiedliwiając się przed samą sobą, że inni tracą więcej czasu, oglądając paradokumenty w telewizji. Poza tym kojarzyła horoskopy z czasem rekonwalescencji w Paryżu, gdy była na życiowym zakręcie i potrzebowała jakichś wskazówek i podpowiedzi dotyczących życia. A tylko te serwowane w formie ogólników były pod ręką.

– Przepraszam – zagaiła przechodzącego kelnera – czy mogę prosić o dwie białe kawy, ale na wynos.

Ed Żuchowski wjechał na hotelowy parking równo o dziewiątej. Z zadowoleniem stwierdził, że Blacha już na niego czeka. Wysiadł z nierówno

zaparkowanego auta.

– Dzisiaj to chyba ty nie spałeś – powiedziała na przywitanie Urszula. – Kawy? Żuchowski wziął kubek i upił duży łyk.

– Dobra! – zachwalał, wyciągając z bocznej kieszeni marynarki paczkę Marlboro.

– Nie spałeś służbowo czy prywatnie?

– Służbowo. Całą noc spędziłem na rozmowie z XYZ’tem, a właściwie Patrykiem. Wczoraj otworzył się przede mną. Rozmawialiśmy do piątej nad ranem. – Żuchowski sięgnął po telefon i wyciągnął w stronę koleżanki.

– Rozmawialiście siedem godzin. Nie sądzisz chyba, że teraz to wszystko przeczytam?

– Nie o to chodzi. W tej rozmowie nie ma nic wartościowego. Chodzi o to, że on nadal pisze. Rozkręcił się, rozumiesz?

Blacha przytaknęła z lekkim uśmiechem.

– Wczoraj – Ed ściszył głos, jakby miał zdradzić jakąś tajemnicę – weszliśmy na tematy seksu. Przyznam, iż żałowałem, że to ja dostałem to zadanie. Facet ma naprawdę bogatą fantazję, jeśli wiesz, o czym mówię.

– To znaczy?

– Opowiadał mi z najdrobniejszymi szczegółami o tym, co go podnieca. O pozycjach, jakie dają mu spełnienie.

Blacha chciała zapytać, co na to odpowiedział. Widziała jednak po jego zmęczonej minie, iż nie ma ochoty na żarty. Z relacji wynikało, że człowiek, z którym rozmawia, może być tym, kogo poszukują.

– Zaproponuj spotkanie człowiekowi, z którym rozmawiasz – powiedziała poważnym tonem Blacha.

– Nie mogę tego zrobić.

Blacha spojrzała pytająco i upiła łyka kawy.

– Dziewczyny pierwsze nie proponują spotkania na takiej aplikacji – odpowiedział równie poważnie Żuchowski.

– Jesteś tego pewien? Myślę, że ja bym zaproponowała. – Blacha naciskała na kolegę.

Ed wyjął z kieszeni telefon. Przeciągnął ekran i zaczął pisać wiadomość. Zawahał się jednak, uznając, że to nieodpowiedni moment.



POCIĄG

Mężczyzna schował telefon do kieszeni i szeroko się uśmiechnął do młodej kobiety stojącej naprzeciwko niego. Ubrana była w biały t-shirt z logo Guns N' Roses i czarne dzinsy z dziurą na prawym kolanie. Przez ramię przewiesiła dużą torbę z komputerem.

– Musi ważyć tonę.

– Przyzwyczaiałam się. – Dziewczyna się uśmiechnęła. – I tak wiem, że jest dwudziesty pierwszy wiek i że mogłabym mieć ultralekkiego laptopa, który ważyłby milionową część mojego staruszka.

– Nie musi się pani tłumaczyć, duszyczko. Stary człowiek doskonale wie, czym jest sentyment.

– Nie jest pan starym człowiekiem. Do tego niewątpliwie brakuje panu jeszcze dużo czasu. – Spojrzała na rozmówcę i zastanawiała się, ile może mieć lat. W przeciwieństwie do większości swoich koleżanek nie umiała oceniać wieku mężczyzn. Przeważnie wydawali się jej młodszy, niż byli w rzeczywistości. Dopiero w trakcie wymiany spostrzeżeń okazywało się, że nie zwróciła uwagi na przerzedzone włosy lub lekko pomarszczone czoło.

– Często pani podróżuje pociągami?

– Prawdę powiedziawszy, to moja pierwsza od kilku lat podróż. Przeważnie przemieszczam się samochodem. Zapomniałam już, jaką wolność i swobodę daje pociąg. Można przejść się pomiędzy przedziałami, porozmawiać z ludźmi. – Schyliła

głowę w kierunku rozmówcy. – I ten kojący stukot kół połączony z lekkim kołysaniem.

– Ja w przeciwieństwie do pani jeżdżę pociągiem niemal codziennie. I myślę, że rozmowy, które tutaj prowadzę, są najbardziej wartościowe.

Kobieta spojrzała pytająco.

– Chodzi o to, że w pociągu rozmowy są na chwilę. Obie strony o tym wiedzą. Starają się więc zawrzeć wszystko co najcenniejsze w swoich opowieściach. Nikt nie koloryzuje swoich historii, bo nie ma to sensu. Przecież za chwilę będzie stacja docelowa i każdy pójdzie w swoją stronę, by nigdy więcej się nie spotkać.

Dziewczyna zamyśliła się nad tym. Nie patrzyła w ten sposób na rozmowy z nieznanymi. Przeważnie stroniła od wynurzeń i przypadkowych pogaduszek. Wolą włożyć słuchawki w uszy i schować się za nimi. Nigdy nie uczestniczyła w konwersacjach, które w jej mniemaniu z góry były skazane na niepowodzenie.

– Miałam zamiar napisać kilka zdań – poklepała w komputer – ale wolę napić się kawy. Skusi się pan?

Pociąg rozpędził się na dobre, gdy dwoje nieznanymi piło rozpuszczalną kawę z papierowego kubka. Mężczyzna spojrzał za okno. Na łące wypasało się stado saren. Wyciągnął rękę, pokazując je z rozbawieniem.

– Wie pani, że sarny mają bardzo wrażliwe serca.

– Zakochują się w nieodpowiednich dupkach – powiedziała kobieta pół żartem.

– Zapewne jak każdy, zakochują się w nieodpowiednim samcu i potem cierpią i opowiadają historię swojego życia innym sarnom.

Dziewczyna zaśmiała się szczerze.

– Czyli można powiedzieć, że każdy z nas jest sarną?

– Zdecydowanie!

– To z moim doświadczeniem to jestem prastarą sarną – stwierdziła kobieta ze smutkiem.

– Oj! – Mężczyzna wykrzywił usta. – Proszę tak nie mówić. Jest pani młodą osobą. Nie ma pani nawet dwudziestu lat.

– Nie uwierzy pan, ale mam dwadzieścia dwa. Wyglądam na siedemnaście. A czuję się na pięćdziesiąt pięć po wydarzeniach ostatnich dni.

– Można powiedzieć, że średnio ma pani trzydzieści osiem i pół. To nadal mniej niż ja.

Kobieta spojrzała na miły wyraz twarzy człowieka, który próbował ją rozweselić. Było w nim coś magnetycznego. Zastanawiała się, czy chodzi o nadwagę, która mu dodawała uroku, czy też o jego otwartość i szczerłość.

– Daleko pan jedzie?

– A pani?

– Łódź. A konkretnie dworzec kaliski.

– UUU!

Dziewczyna spojrzała pytająco

– Nie słyszała pani, co mówią o tej stacji? O grasującym tam mordercy? Nie boi się pani?

– Piąte przez dziesiąte i jakoś szczególnie się tym nie przejmuję. Poza tym dojedziemy po południu.

– Tak, ale będzie już ciemno – wtrącił mężczyzna. – Mam nadzieję, że ktoś panią odbierze?

– Nie ma kto – odpowiedziała kobieta niemal mechanicznie – to znaczy, nie ma takiej potrzeb – poprawiła się. – W Piotrkowie Trybunalskim dosiada się do mnie mój przyjaciel.

Mężczyzna spojrzał w brązowe oczy swojej rozmówczynie. Starał się wybadać, czy dziewczyna naprawdę się nie boi. Wiedział, że historia o dosiadającym się przyjacielu to błąf, jaki stosują wszystkie kobiety samotnie podróżujące. Pamiętał, jak matka uczyła tego siostrę za każdym razem, gdy ta wychodziła z domu.

– Czyli jest pani mentalnie starsza o dwa razy, nie boi się pani morderców i uwielbia podróże pociągami?

– Doskonale mnie pan opisał. Jakby znał mnie od zawsze. – Kobieta pokazała białe zęby. – A pan, co pan lubi?

– To dość skomplikowane pytanie. Zdaje pani sobie sprawę?

Kobieta przytaknęła, podnosząc kąciuki ust.

– Zatem lubię świat i ludzi. Uwielbiam dobrą kuchnię, co zresztą po mnie widać. Nie zatracam się w telewizji, a w książkach, a przede wszystkim uwielbiam podróżować pociągiem.

– Ja też nie oglądam telewizji. Tutaj mam całe centrum dowodzenia. – Wskazała na torbę z laptopem. – Tam jestem cała ja.

– A czym się pani zajmuje? Jeśli wolno spytać?

– Jeszcze dwa tygodnie temu opowiedziałabym, że studiowaniem i pisaniem wierszy. Dzisiaj mogę z pełną stanowczością stwierdzić, że zajmuję się szukaniem siebie. Jakkolwiek patetycznie to brzmi.

– Nie brzmi. Doskonale panią rozumiem. Na pocieszenie jednak powiem, że znalezienie siebie nie jest takie łatwe. Mnie zaraz stuknie sześćdziesiątka i nadal błędę. – Mężczyzna ponownie rozweselił dziewczynę. – Szukanie siebie – kontynuował – to jak podróż pociągiem, którą można się cieszyć lub potraktować jak przykry obowiązek.

Dziewczyna spojrzała na mężczyznę zaintrygowana. Pociągała ją filozoficzna natura rozmówcy, dlatego nie przerywając, pozwoliła mu kontynuować.

– Nie będzie odkrywczym, jeśli porównam życie do podróży. Nie zapominajmy jednak, że podróż nie odbywa się bez podróżnika. I to o niego chodzi, bo jeśli on nie odnajdzie swojej stacji docelowej, jego pociąg nigdy nie wyruszy. Życie utknie w miejscu, a koła zardzewieją.

– A jeśli się nie chce jechać dalej tym pociągiem? – zapytała młoda kobieta z nieukrywanym wzruszeniem.

– Wtedy można się zatrzymać na chwilę i obserwować inne pociągi, odkładając decyzję o kolejnej podróży w czasie.

– Jest pan bardzo mądrym człowiekiem.

Mężczyzna nie odpowiedział. Uśmiechnął się jedynie, zatracając się w krajobrazie za oknem. Nowo poznani znajomi milczeli przez dłuższą chwilę bez skrępowania. Gdyby ktoś obserwował ich z boku, odniósłby wrażenie, że znają się od lat.

Kobieta spojrzała na swoje odbicie w pociągowym oknie. Uśmiech, pod którym skrywała strach i smutek, zniknął, a ona nie zauważyła nawet, że po policzkach ciekną jej łzy. Zerknęła na mężczyznę siedzącego z nią w pustym wagonie jadalnym. Uśmiechał się, nie reagując na to, co działo się z jego rozmówczynią.

– Chce się pani wygadać, duszyczko? – przerwał w końcu ciszę.

– Tylko, że nie wiem, od czego zacząć – powiedziała, niepewnie ocierając łzy.

– Najlepiej od początku – podpowiedział spokojnym głosem mężczyzna – mamy sporo czasu. Najbliższy postój będziemy mieli za jakąś godzinę, a tutaj, jak pani widzi, nikt nam nie będzie przeszkadzał za bardzo. Poza tym kawy mamy pod dostatkiem.

– Od początku?

Mężczyzna pokiwał głową i upił łyk.

– Tomka poznałam na pierwszym roku studiów. Nie był ani najpopularniejszy, ani najprzystojniejszy. Raczej był mocno przeciętny. Włosy miał zawsze rozwichrzone, lekko zezujące oko i nosił powyciągane swetry.

– Ideał – wtrącił mężczyzna, ale widząc, że żart nie rozbawił rozmówczyni, przyłożył palec do ust na znak, że zamienia się w słuch.

– Ideałów nie ma. Są za to dobrzy ludzie. I taki właśnie był Tomek – kontynuowała swoją opowieść. – Mogłam zawsze na niego liczyć i zawsze mnie wspierał. Czasami nawet chodził za mnie na wykłady. – Puściła oczko. – Wie pan, jak to jest, gdy ma się dwadzieścia lat, człowiek nie jest zbyt doświadczony. Myśli, że może zmienić świat i aby to osiągnąć, wystarczy tylko tego mocno chcieć. Tomek bardzo chciał. Zamykał się więc w pokoju akademika, co było zgodne z jego introwertyczną naturą i uczył się wszystkiego, co uważał za przydatne.

– A pani podzielała tę pasję?

– Nie. Ja chciałam się bawić. Moja matka jest bardzo zaborczą osobą, jej życie zdominowała żądza władzy i miłość do pieniądza. W czasach licealnych nie wolno mi było nigdzie wychodzić, więc gdy tylko skończyłam osiemnaście lat i udało mi się uciec do Łodzi, chciałam nadrobić stracony czas. Chodziłam na imprezy kilka razy w miesiącu, czasami z Tomkiem. Robił to wbrew sobie! Jego rodzice byli

alkoholikami i każde głośne zachowanie kojarzyło mu się z awanturą. Mówiąc prościej, bał się otaczającego go świata i szybko chciał wracać do swojego azylu. Kłóciliśmy się o to bardzo często. On zarzucał mi egoizm, a ja nie chciałam wtedy widzieć prawdy. Po roku wychodziłam już sama – przerwała, gdy drzwi wagonu się rozsunęły.

Do baru podszedł dobrze zbudowany, dojrzały mężczyzna. Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę, czy wkładanie obcisłej czarnej koszulki ze świecącym logo Armani to wyraz pewności siebie czy kiczu. Porzuciła szybko przyglądanie się ubiorowi mężczyzny, gdy ten stanął do niej bokiem, pokazując zadrapaną twarz. Mężczyzna usiadł w drugim końcu wagonu. Dziewczyna ściszyła głos, kontynuując swoją opowieść.

– Po alkoholu nie kontrolowałam swoich zachowań. Na jednej z imprez ktoś zaproponował ecstasy. Miałam poczuć się bardziej wyluzowana i dać ponieść transowi muzyki. Nawet kaca miało nie być.

Mężczyzna nadal się uśmiechał, dobrotliwie czekając, aż jego rozmówczyni obetrze łzy.

– Chce pan wiedzieć, jak było naprawdę? – zapytała skruszonym głosem.

– To pani opowieść, duszyczko. Ja służę jedynie uchem, jeśli nie chce pani kończyć swojej opowieści, możemy porozmawiać na każdy inny temat. Proszę się nie zmuszać.

– Chcę dokończyć – powiedziała, zaciskając dłonie – skończyło się tym, że trzech facetów zabrało mnie do łazienki i ... – urwała.

– Została pani zgwałcona? – Mężczyzna był wyraźnie wystraszony.

– Dzisiaj chciałabym, aby tak było. Brzmi zabawnie, prawda? Kobiety obawiają się tego, od kiedy zaczną rosnąć im piersi, a ja wolałabym być zgwałcona, niż przyznać się, że doskonale wiedziałam, co robię i jaką sprawia mi to przyjemność. Tabletki rzeczywiście mnie wyluzowała, bo poczułam nagły przypływ miłości do całego świata. Pragnęłam kochać i być kochaną. Następnego dnia przyjechał do mnie Tomek. Nic mu nie powiedziałam. Po prostu zaczęłam go całować i się z nim kochać. Po dwóch miesiącach przestałam miesiączkować.

Mężczyzna nie odezwał się ani słowem, choć w pierwszej chwili chciał zapytać o ojca dziecka. Wyczuł jednak, że na tę odpowiedź przyjdzie czas

– Tomek nie doszedł podczas naszego stosunku. Był tak bardzo zestresowany, że w połowie stracił wigor, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Nie wiedziałam, co robić. Nie miałam się do kogo zgłosić o pomoc. Po tygodniu rozpaczania, niejedzenia i niepicia wpadłam na genialny, jak mi się wtedy wydawało, pomysł. Przestałam wychodzić na imprezy. Spędzałam czas tylko z Tomkiem. Kochaliśmy się regularnie. Mówiąc wprost, postanowiłam go uwikłać w ciążę. Po niespełna miesiącu powiedziałam, że jestem w ciąży. Tomek z początku się przejął. „Ale jak do tego doszło? – zapytał. – Nie wiesz, skąd biorą się dzieci?” Wyszedł z pokoju. Znałam go i wiedziałam, że musi sobie poukładać wszystko w głowie. Gdy jemu walił się świat, ja czułam się spokojna. Wiedziałam, że z nim na pewno sobie poradzę. Zadzwoiłam do niego po około czterech godzinach. Nie odebrał – przerwała, zalewając się łzami.

Mężczyzna siedzący w drugim końcu wagonu kończył posiłek i nie interesował się rozmawiającą parą. Zerkał co chwilę do telefonu i się do niego uśmiechał.

– Tomek odezwał się dopiero następnego dnia. Popłakał się i przeprosił mnie za swoje zachowanie. Pękło mi wtedy serce i myślałam, że nic gorszego w życiu nie mogę zrobić. Jakże się myliłam. Po zajęciach spędzaliśmy każdą chwilę razem. Tomek zastanawiał się, jak utrzymać przyszłą rodzinę. Przeglądał oferty pracy, rozważał rzucenie studiów. Od dnia, w którym powiedziałam Tomkowi o ciąży, minął tydzień, a on schudł kilka kilogramów. Stawał się cieniem tego, kogo znałam. Nagle przestał interesować się światem. Starłam się mu wytłumaczyć, że to przecież nie koniec świata. Zapewniałam go, że na pewno sobie poradzimy. Ale to na nic. Odpowiadał tylko „Na pewno sobie poradzimy”. W drugim tygodniu nie wytrzymałam jego smutku. Powiedziałam mu o wszystkim, co się wydarzyło i od kiedy tak naprawdę wiem, że jestem w ciąży. Pocałował mnie w czoło i wyszedł, nie odzywając się do mnie ani słowem. Rano dowiedziałam się, że skoczył z okna swojego pokoju na piątym piętrze. Zapłakana i zdezorientowana wbiegłam do szpitala, udało mi się dowiedzieć, że właśnie go operują. Kolejne

godziny spędziłam na korytarzu w szpitalu, tam uświadomiłam sobie, że jestem złym człowiekiem. Nienawidziłam siebie i tego dziecka. Rzadko się modłę, ale tym razem obiecałam bogu, że jeśli pozwoli Tomkowi odzyskać zdrowie, zniknę z jego życia raz na zawsze. – Kobieta otarła z oczu łzy, uśmiechając przeprasząco. – Widzi pan. Stracił pan tylko czas. Nie jestem ani zabawna, ani warta uwagi.

– Ma pani prawo tak sądzić. Proszę jednak pamiętać, że to pani, a nie moje zdanie.

Pociąg delikatnie zwolnił, kobieta zatraciła wzrok w pustej filiżance po kawie. Mężczyzna bez słowa podszedł do baru i po chwili wrócił z pełnym kubkiem wrzącej kawy. Podał go kobiecie bez słowa. Nie był pewien, czy będzie chciała dokończyć swoją opowieść, więc na wszelki wypadek wolał milczeć.

– Tomek przeżył operację. Lekarze zapewnili mnie, że będzie chodził, lecz pozostanie mu lekki niedowład lewej ręki. Dotrzymałam słowa danego bogu. Wyszłam ze szpitala i poszłam na najdłuższy spacer w swoim życiu. Po kilku godzinach miałam też wszystkie niezbędne informacje. Wystarczył jeden telefon. – Kobieta wpadła w spazmatyczny płacz. Nie przejmowała się mężczyzną siedzącym naprzeciwko niej ani tym, którego miała za plecami.

– Już dobrze, duszyczko. – Mężczyzna złapał dziewczynę za rękę i gładził ją do czasu, aż się uspokoiła.

Gdy podniosła głowę, tusz spływał jej po policzkach.

– Pójdę do łazienki i poprawię się trochę. Przepraszam – dodała, prosząc o wybaczenie bardziej za swoją opowieść niż za odejście od stolika.

Próbując utrzymać się na nogach w pociągowej łazience, dziewczyna patrzyła z politowaniem w lustro. Obmyła sobie twarz i usunęła resztkę makijażu, bez którego wyglądała młodziej. Oparła się o umywalkę i próbowała pozbierać myśli, zastanawiając się, dlaczego zwierzyła się obcemu mężczyźnie.

Pociąg zaczął zwalniać, zbliżając się do stacji. Przez okno łazienki dało się słyszeć odgłosy ludzi na peronie. Dziewczyna postanowiła, że poczeka, aż pociąg ruszy i dopiero wyjdzie z łazienki.

Konduktor dał znak do odjazdu. Pociąg delikatnie szarpnął i zaczął nabierać prędkości. Kobieta wróciła do wagonu restauracyjnego. Rozejrzała się i stwierdziła, że nie ma już mężczyzny, z którym przed chwilą rozmawiała. Nie było też drugiego, który siedział w drugim końcu.

Usiadła przy stoliku w nadziei, że jej rozmówca poszedł do łazienki. Odczekała kolejne kilkanaście minut i uznała, że mężczyzna widocznie wysiadł na stacji, gdy ona była w łazience. Założyła torbę z ciężkim laptopem na ramię, wzięła swoją kawę do ręki i skierowała się do swojego przedziału. Z radością stwierdziła, że jest w nim sama. Usiadała więc wzdłuż, zajmując wszystkie miejsca i popijając kawę o metalicznym posmaku, patrzyła na krajobraz za oknem.

Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Chciała usiąść, żeby nie zasnąć, lecz nie zdążyła. Zapadając w sen, dostrzegła w drzwiach przedziału mężczyznę. Uśmiechał się do niej szyderczo.

XI

Żuchowski zaparkował volkswagena przed hotelem. Spojrzał na zegarek, który informował, że jest przed czasem. Tak samo, jak nie miał w zwyczaju się spóźniać, tak samo nie ponaglał nikogo, gdy był wcześniej. Godzina to godzina, mawiał. Zgasił silnik i wysiadł z samochodu. Oparł jedną nogę o przednie koło auta i przypalił papierosa. Wydmuchując dym, podniósł głowę i przyglądał się szklanej konstrukcji hotelu, w którym mieszkała Blacha.

Na studiach marzył o byciu prawdziwym podróżnikiem. Niemal obsesyjnie śledził poczynania czołowych światowych odkrywców i zastanawiał się, skąd biorą oni na to fundusze. Czy ludzie, których wówczas podziwiał, nocowali w takich luksusowych hotelach podczas swoich eskapad. Przeważnie były to budżetowe przybytki, w których za kilkanaście euro dziennie można było w miarę bezpiecznie zostawić rzeczy i się przespać.

Marzył, żeby zwiedzić cały świat. Z czasem jednak, gdy coraz bardziej zatracił się w pracy, marzenie zaczęło gasnąć. Poza tym z pensji policjanta nie mógł sobie pozwolić na podróże po całym świecie. Był więc zadowolony, gdy przez trzy tygodnie mógł sobie pozwolić na przejechanie Stanów Zjednoczonych historyczną drogą numer sześćdziesiąt sześć. Uśmiechał się do tych wspomnień, nie zauważając, że Blacha stoi obok niego. Ubrana była w ciemnogrnatowe jeansy i sportową bluzę z kapturem. Żuchowski wyczuł delikatną woń słodkich perfum, innych niż dotychczas używała.

– Nie zauważyłem cię – powiedział na przywitanie.

– Patrząc w górę, było ciężko. Poza tym dzisiaj przyszłam z drugiej strony. – Blacha wskazała palcem.

– Byłaś w kościele?

– Oglądałam dom, który tam stoi. – Blacha wskazała palcem drewniany dom z białymi oknami. – Z początku chciałam iść na spacer do parku, ale zorientowałam się, że nie mam wystarczająco dużo czasu. – Też bym poszedł na normalny spacer – odpowiedział Żuchowski z lekką nutą nostalgii.

– Po wszystkim pójdiesz – odparła Blacha z lekkim uśmiechem. – A jak z XYZ’tem? Wyglądasz, jakbyś znowu nie spał.

– Noc była trudna. On ma naprawdę coś nie po kolei w głowie albo ja jestem z innej epoki i nie wiem, że ludzie tak ze sobą dzisiaj rozmawiają. W nocy znowu opowiadał o swoich fantazjach i pragnieniach.

– To znaczy? – zapytała zaciekawiona Blacha.

– Proszę. – Żuchowski podał koleżance telefon.

Czy wiesz, gdzie mieszka dusza? – zaczął się wywód XYZ’ta.

„Buddyści wierzą, że dusza mieszka pomiędzy sercem a gardłem.

W miejscu, które delikatnie się unosi, gdy oddychasz. Piecze cię tam czasami, gdy jesteś radosna. Nie bez powodu mówi się, że raduje się serce i dusza. Jedno wymaga drugiego i jedno nie może żyć bez drugiego. Dlatego uważam, że aby człowiek mógł w pełni poczuć spełnienie, powinien dotrzeć do duszy przez serce. A to już łatwo zrobić, wystarczy dopieścić ciało. Serce przecież jest częścią ciała.

Blacha spojrzała na Żuchowskiego, który zaciągał się papierosem. Chciała powiedzieć, że jak na razie wydaje się być bardziej filozofem niż mordercą. Nie odezwała się jednak, zatracając się w dalsze wersy.

A jak najlepiej dopieścić ciało? Człowiek zastanawia się nad tym od tysięcy lat. Jedni próbowali ascezy, inni medytacji i zatracenia

w nicości. Dzisiaj człowiek upija swoje ciało alkoholem i narkotykami. I w tych wszystkich poszukiwaniach zapominamy, że ciało nie chce szukać przyjemności po świecie, bo ma tę przyjemność pod ręką. Nawet na wyciągnięcie ręki. Stań teraz proszę prosto i połów dłoń na swoim pępku. Jesteś dokładnie w środku drogi do szczęścia. Podnieś rękę i wsuń ją pod stanik, ściśnij swoją pierś. Pomasuj lekkimi okrężnymi ruchami. Twoje serce zaczyna bić mocniej, weseli się i zaczyna ten sygnał wysyłać do twojej duszy. Wróć teraz ręką z powrotem do pępka. I zjedź na wysokość wzgórka łonowego. Czujesz, że zaczynasz być mokra? Pomasuj swoją łechtaczkę. Poruszaj palcami w lewo i w prawo delikatnym, acz zdecydowanym, ruchem. Czujesz, Alinko, jak twoje serce przyspiesza? Długość naszych rąk nie jest jednak przypadkowa. Więc masując swoją cipkę, nie próbuj wkładać palców do środka. Twoja dusza potrzebuje do tego drugiego człowieka. Tylko wtedy może nastąpić spełnienie, które wyzwoli duszę.

Zgodzisz się chyba ze mną, że seks jest spełnieniem? Jest zajrzeniem w drugiego człowieka. Podczas seksu zamykamy oczy, żeby lepiej widzieć, bo przecież człowiek w środku jest ciemny i nieprzenikniony. Gdy szukasz spełnienia duszy przez uniesienia cielesne możesz się pieprzyć całą noc, bo dusza nigdy się nie męczy.

Lubisz się dużo bzykać?

Blacha przeczytała odpowiedź, której udzielił Ed, zastanawiając się po raz kolejny, czy umiałaby poprowadzić tak rozmowę. Żuchowski idealnie odegrał rolę dziewczyny, którą stworzył na potrzeby śledztwa.

Podoba mi się twoja odpowiedź! Ja też uwielbiam to robić godzinami. Pieścić ciało kobiece, żeby pragnęło mnie bardziej i więcej! Pomyśl, ty i ja, ludzie o tak otwartych umysłach. Wylizałbym całe twoje ciało. Zaczynając od stóp przez plecy, delikatnie zjeżdżając językiem po kręgosłupie. Całował cię ktoś kiedyś po kręgosłupie? To bardzo erogenne miejsce. Wylizałbym ci pośladki, a ty unosząc biodra, rozchyliłabyś je, żebym mógł wsunąć w ciebie język. Schodziłbym niżej, pieszcząc uda, tył kolan i stopy. A kiedy chciałabyś na mnie usiąść, bo poczułabyś, jaki jestem twardy, nie pozwoliłbym ci na to! Dałoby ci to jedynie szybkie zaspokojenie dla chwili obecnej, ale nie pozwoliłoby twojej duszy urosnąć. Ona potrzebuje więcej rozkoszy ciała. Więc położyłbym cię na plecach i całował tym razem od stóp do góry. Gdy rozłożyłabyś nogi, żebym wylizał twoją łechtaczkę, nie zrobiłbym tego. To miejsce jest dla twoich rąk i twojego pobudzania duszy.

Blacha spojrzała pytająco na Żuchowskiego, a ten, żeby ułatwić jej czytanie, ominął opisy seksualnych fantazji XYZ'ta i przesunął tekst do rozmowy na temat rany na twarzy.

Ból też łączy! Możesz go nie chcieć, ale on jest naturalny jak oddychanie czy wypróżnianie. Ludzie udają, że te rzeczy nie

istnieją. Opowiadają o tym, że wstali rano i zrobili sobie kawę. Nikt nie mówi, że wstał rano i poszedł się wypróżnić, a taka jest kolej życia. Sprawy mają się podobnie z bólem. Mówimy „boli mnie głowa, boli mnie ząb”. Nikt nie opowiada o tym, że boli go odbyt podczas wypróżniania. Pytasz, czemu mam zadarcie na twarzy. Odpowiadam więc, bo lubię ból. Jest on drogą doznania ciała, spełnienia i formą oczyszczenia.

Policjantka uniosła wzrok, czytając ostatni wyraz i spojrzała na Żuchowskiego, który się nie odezwał, ale widać było, że również zwrócił na to słowo uwagę. Blacha po chwili doczytała, że kolega zapytał rozmówcę, czym jest dla niego czystość.

Zależy, w jakim sensie mówimy o czystości. Jeśli o umytej podłodze, to nie jestem pedantem. Jeśli jednak mówimy o oczyszczeniu czy też czystości w kontekście bólu i seksu, to mogę śmiało stwierdzić, że jest dla mnie drogą do spełnienia. Pozwala zapomnieć o terażniejszych troskach i pozwala odkupić przeszłość w tym życiu. Ustanie bólu to dopieszczenie ciała, a dopieszczenie ciała, jak już wspomniałem, to droga do duszy. Kiedyś długo zastanawiałem się, czy śmierć jest ustaniem bólu. Dzisiaj wiem, że tak.

- Nie zapytałeś go, skąd to wie?
- Stwierdził, że to może go spłoszyć.
- Stwierdził? – zapytała Blacha z wahaniem.
- Dobrze usłyszałaś – odpowiedział Żuchowski, wydmuchując dym z papierosa. – Jak widzisz, mój rozmówca się mocno uzewnętrzniał ze swoją filozofią

życiową. Nie wiedziałem, jak mam odpowiadać, żeby się nie zdradzić, więc poprosiłem o pomoc Michalczuka. Zadzwoiłem do niego z drugiego telefonu i czytałem wszystko, co XYZ napisał do mnie, a Michalczuk to analizował i dawał mi podpowiedzi lub wręcz dyktował konkretne zdania.

– Dobra decyzja – pochwaliła Blacha.

– Michalczuk, podobnie tak jak ty, uznał, że trzeba zaproponować spotkanie. Zrobiłem to.

Blacha spojrzała pytająco.

– I zniknął, nie odpisał na moją propozycję. Michalczuk stwierdził, że na pewno odpisze, tylko musi się zastanowić nad odpowiedzią. Rozmawialiśmy jeszcze chwilę na temat tego, co napisał XYZ. Psycholog stwierdził, że facet jest zaburzony i prawdopodobnie przeszedł w życiu wielką traumę, która zmieniła jego życie. Najczęściej dzieje się tak w wieku dziecięcym, gdy dzieciak traci rodzica. Być może jako młody chłopiec widział śmierć któregoś z nich, co Michalczuk czyta z fragmentów dotyczących odkupienia i oczyszczenia. Możesz poczytać.

Blacha pokiwała głową przecząco.

– Dalsza analiza Michalczuka wskazała, że nasz rozmówca czuje się bardzo zagrożony i niepewny. Dlatego miał podjąć decyzję o wyprowadzce z Łodzi i powrocie w rodzinne strony. Mimo iż dom rodzinny budzi w ludziach, którzy mieli traumatyczne przeżycia, bolesne wspomnienia, jest jednocześnie azylem. Budują na tym bólu swoją tożsamość. Stąd tak dużo mówił o ból. Bez niego jest obcym dla siebie człowiekiem. Michalczuk wskazał również, że w przypadku próby zatrzymania powinniśmy uważać, bo jest duże prawdopodobieństwo, że będzie uzbrojony. Może to być nóż lub pałka.

– Ale nadal nie wiemy, czy go zatrzymamy, bo on nie chce się spotkać – wtrąciła Blacha.

– Propozycja spotkania była dla niego czymś, czego się panicznie boi. Michalczuk twierdzi, że mimo upływu lat psychika tego mężczyzny może się nie starzeć. Tak więc, on może się czuć cały czas małym chłopcem, dla którego bycie miły jest podejrzane, bo przeważnie niosło ze sobą jakiś ból. Na przykład rodzic był

dla niego miły, gdy coś od niego chciał, a gdy to dostał, od razu odwracał się plecami.

– Czyli czekamy? – upewniła się Blacha, nie wiedząc, co odpowiedzieć na psychologiczny portret.

– Próbowałem zasnąć, ale zdenerwowanie mnie pokonało. Podczas tej rozmowy byliśmy naprawdę blisko umówienia spotkania, a on nagle zniknął. Myślałem nawet, żeby go zganić za lekceważenie. – Ed zrobił krótką pauzę i stłumił głos. – Około piątej nad ranem mój rozmówca odpisał, że padł mu internet i dlatego nie mógł od razu zaakceptować zaproszenia.

Blacha poczuła, jak zimny dreszcz przebiega jej po plecach. Chciała zapytać Eda o szczegóły domówionego spotkania i gdy otworzyła usta, kolega podał jej telefon, żeby sama mogła przeczytać miejsce i godzinę zaproponowanego spotkania.

– Łódź Kaliska, osiemnasta piętnaście.

Policjanci milczeli, układając w głowie plan działania na kolejne godziny. Do spotkania z XYZ’tem zostało dziewięć godzin. Zarówno Blacha, jak i Żuchowski wiedzieli, że to wystarczająco dużo czasu, aby przygotować akcję na dworcu. Nie musieli się spieszyć, a wręcz przeciwnie, powinni się wyciszyć i uspokoić. Od ruchów, jakie mieli podjąć, zależało powodzenie akcji.

– Myślałam o opowieści Tarnowskiego – przerwała ciszę Blacha. – Nie wiem czemu, ale chciałabym sprawdzić, co się tak naprawdę działo. – A masz jakiś pomysł? Tarnowski przegrzebał archiwum na komendzie.

– Możemy sprawdzić dokumenty w lokalnym IPN.

Instytut Pamięci Narodowej położony był w urokliwej części miasta, która mimo upływu lat w dalszym ciągu mogła być dobrym miejscem do życia dla mieszkańców. Wzdłuż ulic rosły stare drzewa liściaste, idealne schronienie dla ptaków, których głośny śpiew można było usłyszeć w aucie mimo zamkniętych szyb. Niektóre domy wyglądały na porzucone. Droga, którą policjanci mieli się dostać do celu, prowadziła wzdłuż rozległego parku z dwoma stawami pośrodku.

– Łódź to naprawdę miasto kontrastów – powiedziała Blacha, wskazując na park.

– Przed upadkiem komuny mieszkali tutaj najważniejsi z partii. Myślę, że w niejednym ogrodzie można by znaleźć zakopane dokumenty.

XII

Żuchowski zaparkował volkswagena pomiędzy starymi dębami, tuż przy żółtym piętrowym budynku, wokół którego rozciągał się zadbany ogród ze starymi dębami i klonami. Gdyby nie czerwono-biała tabliczka informująca o tym, iż jest to budynek rządowy, można by pomyśleć, że to jedna z willi któregoś z byłych dygnitarzy.

Biała furтка chroniąca wejścia na posesję była uchylona. Żuchowski pchnął ją. Z budynku dochodził cichy szum klimatyzatorów. Drzwi od budynku podobnie jak furтка były uchylone. W środku policjanci byli zdeorientowani. Spodziewali się, że Instytut Pamięci Narodowej wygląda jak znane im dotychczas urzędy. Tymczasem mieli przed sobą labirynt korytarzy z niezliczoną ilością pokoi połączonych jedną klatką schodową.

– Też spodziewałeś się jakiejś recepcji?

– Albo sali obsługi interesantów, a chociaż ludzi – przyznał Żuchowski lekko zagubionym głosem, po czym zapukał do pierwszych drzwi. Nie słysząc odzewu, pociągnął za klamkę. Gdy drzwi nie ustąpiły, spróbował z kolejnymi, a potem następnymi. – Nigdy wcześniej nie korzystałem z tego miejsca – przyznał Żuchowski półszepem. – Myślę jednak, że ktoś tu powinien być.

Blacha nie odpowiedziała. Dała koledze znać ręką i zaczęła wspinać się po schodach. Pierwsze piętro wyglądało jak kopia parteru. Blacha zapukała do drzwi naprzeciwko schodów.

– Proszę – odpowiedział miły żeński głos.

Urszula Krawczyk nacisnęła na klamkę i weszła do środka. Pokój, w którym się znalazła, był jasny i przestronny. Znajdowało się w nim jedno biurko i kilka kserokopiarek. Na parapecie spał kot, który zdawał się nie zauważyć wchodzących

policjantów. Dopiero, gdy Blacha zrobiła dwa kolejne kroki, a parkiet zaskrzypiał pod jej stopą, zwierzę podniosło się, żeby sprawdzić, co się dzieje.

– Dzień dobry. – Policjanci przywitani się z siedzącą za biurkiem kobietą.

– Dzień dobry – odpowiedziała niepewnie kobieta – czy mogę zapytać, kim państwo są?

Żuchowski wyciągnął i pokazał służbową legitymację.

– Przepraszam za moje bezpośrednie pytanie, ale nie miałam informacji o państwa przybyciu.

– Bo się nie zapowiadaliśmy – odparła z uśmiechem Blacha. – Przyjechaliśmy pod wpływem impulsu, licząc na to, że nam państwo pomożecie.

– Zatem słucham – powiedziała kobieta pewniejszym już głosem, zdejmując okulary.

– Nasza sprawa wymaga sięgnięcia do źródeł archiwalnych. Liczymy, że w państwa instytucie znajdziemy potrzebne dane. Chodzi o morderstwo kobiety na jednym z łódzkich osiedli.

– Nie prowadzimy ewidencji morderstw. Tym zajmuje się archiwum policyjne.

– Chodzi o morderstwo dokonane przez służby bezpieczeństwa.

Kobieta pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Jeśli ktoś mógłby państwu pomóc, to tylko archiwum. Proszę usiąść. – Kobieta wskazała fotele w rogu pokoju. – Zadzwońę po kogoś, z kim mogą państwo porozmawiać.

Policjanci usiedli na wskazanych miejscach. Żuchowski wyciągnął z kieszeni telefon, żeby sprawdzić, czy XYZ się odezwał. Brak kontaktu uznał za dobry znak. Najbardziej bał się odwołania spotkania w ostatniej chwili. Musiałby wyjaśnić szefowi, że poprosił o zorganizowanie akcji w oparciu o przeczucie i rozmowę na portalu randkowym. Wiedział, że przełożony nie dałby mu żyć przez kolejne tygodnie.

Mijały minuty, aż w końcu w drzwiach stanął młody mężczyzna ubrany w sztruksową marynarkę.

– Marku – kobieta zza biurka odezwała się spokojnym głosem – państwo są z policji i potrzebują kilku informacji. – Zabierz, proszę państwa, do czytelnicy i postaraj się im pomóc.

– Dobrze, pani dyrektor – odpowiedział flegmatycznie przybyły.

Marek Karwacki był świeżo upieczonym doktorem historii na Uniwersytecie Łódzkim. Blacha pomyślała, że gdyby wymienił metalowe oprawki okularów, mogłaby zwrócić na niego uwagę, mijając go na ulicy.

Prowadząc policjantów labiryntem korytarzy, wyjaśnił, że nie zastali nikogo na parterze, gdyż pokoje te zostały zaadaptowane na tymczasowe magazyny w związku z gruntownym remontem hali archiwum, która miała po remoncie być zmechanizowana.

– To ułatwi zdejmowanie akt z góry i przyspieszy pracę archiwum – wyjaśniał.

– Nie będę jednak ukrywał, że dzięki remontowi weszliście państwo do środka. Nie jesteśmy zwykłym urzędem, do którego się wchodzi z ulicy.

– To wyjaśniałoby zdziwienie pańskiej szefowej, gdy nas zobaczyła.

– Pani Janina jest dyrektorem instytutu od kilku tygodni. Wcześniejszy szef by państwa przegonił, jeśli nie byłiby państwo umówieni.

– A skąd pan wie, że nie jesteśmy? – zapytał Żuchowski.

– Bo byliby państwo umówieni ze mną – odciął się mężczyzna, odwracając głowę w kierunku policjanta.

Czytelnia IPN zdawała się być miejscem zupełnie innym od całego instytutu. Na ścianach wisiały propagandowe plakaty z czasów komunizmu. W szklanych gablotach ustawionych pod ścianami znajdowały się rzeczy użytku codziennego sprzed pięćdziesięciu lat. Żuchowski podszedł do gabloty, w której znajdowały się puste paczki papierosów, co mu przypomniało o chęci zapalenia.

– Proszę sobie usiąść i podpowiedzieć, w czym mogę pomóc? – Mężczyzna wskazał na drewniane krzesła, siadając na jednym z nich z nogą założoną na nogę.

– Chcielibyśmy sprawdzić, czy posiadają państwo w archiwach dokumenty służby bezpieczeństwa, w których byłaby mowa o zabójstwie sprzed czterdziestu

lat? – odezwała się Blacha.

– Z tego, co mi wiadomo, morderstwami zajmowała się raczej Milicja Obywatelska. Takich dokumentów u nas brak.

– Nam chodzi raczej o dokumenty służby bezpieczeństwa, w których może być wzmianka o morderstwie – kontynuowała Blacha.

– Państwo chyba nie do końca wiecie, jak działa instytut, prawda?

Policjanci wzruszyli ramionami i przytaknęli.

– Tak myślałem – kontynuował mężczyzna – zatem pozwolę sobie nakreślić kilka ważnych faktów. Po pierwsze Instytut Pamięci Narodowej nie jest urzędem jak każdy inny. Nie można przyjść z ulicy i prosić o akta sprzed czterdziestu lat, bo po pierwsze tych akt jest kilkadziesiąt tysięcy i ciężko byłoby tutaj przejrzeć rok czy dwa, nie poświęcając na to kilku miesięcy. Po drugie udzielenie jakiegokolwiek informacji wymaga przyjęcia od państwa formalnego wniosku, w którym umotywuja państwo potrzebę zaczerpnięcia informacji służbowej.

– Powiedzmy, że mamy wniosek – odezwał się Żuchowski lekko poirytowanym tonem – jak znaleźć to, czego szukamy?

– Jak już wspomniałem, muszą państwo wiedzieć, czego szukają. Czy wiedzą państwo, kiedy doszło do morderstwa? Kto był domniemanym mordercą?

– Możemy się dowiedzieć.

Żuchowski wyciągnął telefon i wybrał numer Tarnowskiego. Aspirant zastanawiał się przez chwilę, w końcu podał dokładną datę, którą zapamiętał z wycinka prasowego znalezionej w bibliotece. Ed poprosił o powtórzenie daty, bo nie usłyszał za pierwszym razem.

– Siedemnasty lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy – powtórzył za Tarnowskim i połączenie zostało zerwane.

Blacha spojrzała wymownie na Żuchowskiego, widząc jednak, że ten nie reaguje, poprosiła o powtórzenie daty.

– Siedemnasty lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy.

– Jesteś pewien, że siedemnasty lipca.

– Tak twierdzi Tarnowski – potwierdził – a co?

– Tego dnia znaleziono pierwszą ofiarę – odparła, czując, jak serce zaczyna bić jej szybciej.

Marek Karwacki udał, że nie usłyszał wypowiedzi policjantki. Odchylił się na krześle i splótł ręce na kolonach.

– Dobrze zatem – zaczął. – To już coś mamy. Proszę mi powiedzieć, kogo szukamy? Jakieś imię i nazwisko...

– Z tego, co wiemy, mordercy nigdy nie odnaleziono – przyznała Blacha.

– Dobrze zatem, czy wiedzą państwo, kto wówczas zajmował się tym morderstwem?

Blacha spojrzała ze zdziwieniem na doktora historii.

– To pozwoli nam dookreślić numery spraw prowadzonych przez tego funkcjonariusza, a w efekcie przyporządkować akta, w których ewentualnie mogą być potrzebne informacje. O ile takie tu są. – Mężczyzna podniósł palec wskazujący.

– Panie Marku – Blacha przyjęła uwodzicielski ton – jak już wspomnieliśmy, niewiele wiemy. Aktualnie posiadamy datę i informację, że została zamordowana młoda kobieta. Liczę jednak na pana wiedzę i erudycję. Zakładam, że nam pan pomoże.

Mężczyzna uśmiechnął się i podciągnął na krześle. Żuchowski zastanawiał się, co bardziej polectało jego ego, czy uwodzicielski ton Urszuli Krawczyk, czy wzmianka o inteligencji.

– Szanowna pani komisarz, każdy pracownik służby bezpieczeństwa miał swoje akta osobowe, tak zwane teczki. Owe teczki to nic innego jak kartoteki pracownicze, w których zaewidencjonowano prowadzone przez niego sprawy. Możemy tam znaleźć dane o rozpoznaniach, raportach i przebiegu służby. Jest więc duża szansa, że natrafimy na coś, co może państwa zainteresować.

Policjanci przytaknęli, że rozumieją.

– Pozwolę sobie również nadmienić – nachylił się w kierunku rozmówców – że dane w aktach osobowych pracowników służby bezpieczeństwa są jawne dla każdego obywatela, więc mogliby państwo przejrzeć je choćby dzisiaj. Po złożeniu

odpowiedniego wniosku, który musi zaakceptować pani dyrektor – dodał pośpiesznie.

– Czyli bez nazwisk niczego nie wskóramy? Nie można przeszukać akt po dacie?

Mężczyzna pokręcił głową przecząco i podniósł się z krzesła.

– Daty skrajne z uwzględnieniem anteriorów i posteriorów w aktach są rzadko spotykane. Dokumenty jednej sprawy skompletowane w jednej teczce można znaleźć jedynie w dokumentach Stasi.

– Niemiecka dokładność w rosyjskim wydaniu? – zapytał Żuchowski z lekką ironią.

– Mniej więcej jest tak, jak pan mówi. W polskim wydaniu mieliśmy model głęboko radziecki.

– To znaczy?

– To znaczy, szanowna pani komisarz, że w Polsce każdy donosił i pisał na każdego. Zatem jakieteczki mielibyśmy przeszukać po datach? Mamy akta kontrolne śledztwa, operacyjne, WSW, cudzoziemca, obserwacji, ogólnowojskowe. Akta operacyjne, operacyjne WSW, operacyjne osobowe...

Blacha spojrzała na zegarek. Nie sądziła, że przeszukanie archiwum Instytutu Pamięci Narodowej to tak skomplikowany proces. Pomyślała, że może tracić czas na szukanie igły w stogu siana.

W pomieszczeniu zapadła chwilowa cisza.

Mężczyzna podszedł do biurka, na którym stał komputer. Podniósł monitor laptopa, żeby wpisać hasło.

– Zapewne mają państwo teraz mętlik. Większość ludzi ma, gdy pierwszy raz spotyka się z naszą instytucją. Proszę pamiętać, że mamy dokumenty z dziesiątek lat, które musieliśmy posegregować, opisać i zarchiwizować. – Historyk zrobił krótką pauzę. – Postaram się pomóc, jak tylko będę umiał. Myślę, że powinniśmy zacząć od najprostszej rzeczy, którą możemy sprawdzić od ręki, czyli kto w owym czasie rządził tak zwanym Wydziałem. – Podczas przeszukiwania wewnętrznych katalogów tłumaczył policjantom, dlaczego postanowił zacząć od nazwiska. – Widzicie

państwo, służba bezpieczeństwa była mocno zhierarchizowana. Wspomniane przeze mnie wydziały tworzone były przy komendach Milicji Obywatelskiej. W owych wydziałach osobą zarządzającą był zastępca komendanta służby bezpieczeństwa. Gdy dokopiemy się do nazwiska tego oficera i zajrzemy do jego akt osobowych, to dotrzemy do listy spraw, które prowadził. Morderstwo od zawsze było jednym z najcięższych przestępstw, więc zakładam, że taką sprawą zajmował się najważniejszy w wydziale.

Policjanci przytaknęli. W dzisiejszych czasach morderstwem również zajmowali się najwyżsi stopniem policjanci.

– W punkt. – Mężczyzna zacisnął pięść w geście sukcesu. – Szukanym przez nas człowiekiem jest Leopold Brzeziński. Czy chcą państwo przejrzeć jego dokumenty?

Policjanci ponownie przytaknęli.

– Dobrze zatem. – Historyk wstał od biurka. – Trzeba będzie wypełnić wniosek.

Blacha uzupełniła wniosek, podając wszystkie dane. Dziwiła się, że wniosek jest aż tak szczegółowy.

– Rozumiem, że uda nam się przejrzeć te dokumenty dzisiaj? – zapytała Blacha po przeczytaniu pouczenia, w którym zapisano, iż wniosek zostanie rozpatrzony przez dyrektora Instytutu Pamięci Narodowej w terminie czterech miesięcy.

– Postaram się znaleźć dokumenty zaraz po tym, jak pani dyrektor podpisze zgodę. Nigdy nie robiła problemu policji. Zakładam, że i tym razem tak będzie.

Mężczyzna wyszedł z pokoju, zostawiając policjantów samych. Żuchowski wyciągnął telefon, aby sprawdzić aplikację randkową. XYZ nadal się nie odezwał. Do osiemnastej zostało mniej niż sześć godzin. Na tę myśl Ed poczuł skurcz żołądka.

– Zatrzymania zawsze mnie stresują.

Blacha przytaknęła. Wiedziała, o czym kolega mówi. Czują podobnie.

Zastanawiała się, czy mężczyzna, który pojawi się na dworcu, będzie tym, kogo szukają. Jeśli tak, to prawdopodobnie będzie uzbrojony. Skarciła się w myślach za przyjazd do Instytutu Pamięci Narodowej. Powinna razem z policjantami operacyjnymi planować akcję na dworcu, a nie szukać demonów przeszłości.

– Myślę, że powinniśmy jechać na dworzec, żeby dopilnować akcji – odezwała się do Żuchowskiego.

– Mamy jeszcze trochę czasu. Nie ma za bardzo co planować. Wszystkie wejścia obstawione naszymi ludźmi. Naprzeciwko peronu jest budynek, w którym będziemy czekać. Z peronu są dwa zejścia. – Ed uśmiechnął się do koleżanki, dając jej znać, że ma wszystko pod kontrolą.

– Myślałam przed chwilą, że on może być uzbrojony.

– Też przeszło mi to przez myśl. Nas jednak będzie więcej i też będziemy mieli broń.

– Wolałabym jej nie użyć – powiedziała niepewnie.

Ed spojrzał pytająco.

– W czasie zatrzymania Wampira wywiązała się strzelanina. Jeden z naszych ludzi zginął od kuli, drugi został postrzelony w nogę, a ja omal nie zostałam sparaliżowana od pasa w dół.

– Sprawca cię postrzelił?

– Poszliśmy na akcję w czwórkę. Ja wchodziłam pierwsza. Sprawca miał się nie domyślić, że to policyjna zasadzka, ale facet zauważył z okna, jak jeden z policjantów przeładowuje broń za samochodem. Weszłam do mieszkania, w którym się umówiliśmy. Powalił mnie jednym ciosem na ziemię. Zdążyłam jedynie krzyknąć i na krótką chwilę straciłam przytomność. Gdy się ocknęłam, zobaczyłam Wampira, jak dusi jednego z moich kolegów. Rzuciłam się na niego. Podniósł się, a ja na nim wisiałam. Zaciskałam przedramię na jego szyi. Kiedy zaczął się osuwać na ziemię, zacisnęłam jeszcze mocniej. Nie panowałam nad sobą. Chciałam go zabić. Kiedy myślałam, że go udusiłam – przerwała na chwilę i zaczerpnęła głęboko powietrza – on podskoczył, złapał mnie i zaczął biec do tyłu. Wypadliśmy przez okno z pierwszego piętra. Upadłam plecami na kamień, który pogruchotał mi kręgosłup. Wampir złamał obie nogi i miednicę, nie mógł uciekać. Leżeliśmy obok siebie. On wył z bólu, a ja nie mogłam złapać oddechu. Zaczął się czołgać w moją stronę. Ewidentnie chciał mnie dobić. Próbowałam się podnieść, ale nie mogłam. Kiedy był obok mnie i chciał chwycić mnie za gardło, kolega, którego przed chwilą ratowałam,

skoczył na połamane nogi Wampira. Reszty już nie pamiętam, bo straciłam przytomność. Obudziłam się w szpitalu. Wszczepiono mi w kręgosłup tytanową blaszkę rekonstruującą kości.

– Stąd Blacha? – Żuchowski uśmiechnął się do koleżanki.

– Po powrocie do pracy koledzy mnie tak ochrzcili – odpowiedziała z poważną miną. – Nie mam nic do tego przezwiska, bo w naszej pracy każdy jakieś ma. Niestety, przypomina mi o traumatycznych wydarzeniach z okresu, w którym bałam się, że będę przykuta do wózka inwalidzkiego przez resztę życia. – Urszula Krawczyk przerwała swoją opowieść w chwili, gdy otworzyły się drzwi od czytelnii.

– Pani dyrektor podpisała wniosek. – Historyk uniósł dokument. – A ja mam akta osobowe.

Mężczyzna położył na stole zbindowany zbiór dokumentów grubości ryzy papieru. Blacha pomyślała, że to, co ma przed sobą, teczką jest jedynie z nazwy na pierwszej stronie. Przyglądała się dokładnie temu, co do tej pory oglądała jedynie w formie fotosów z debat politycznych. Okładka miała kolor brązowy, a przez jej środek przebiegała biało-czerwona smuga. Stempel w prawym górnym rogu informował, iż dokumenty znajdujące się wewnątrz są tajne. Zakres dat wskazany na dole teczki odnosił się do lat tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt sześć, tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt siedem i tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt osiem.

– Dokumentów nie wolno skanować, kserować ani robić im zdjęć bez odrębnego wniosku, który zatwierdzany jest przez warszawski oddział naszego instytutu. Proszę zapoznać się z dokumentami, a gdybym mógł państwu jeszcze jakoś pomóc, będę w pokoju obok.

– Myślę, że pańska pomoc będzie nieoceniona, więc jeśli to nie problem, to proszę z nami zostać – odezwał się Żuchowski do historyka, który uśmiechnął się, unosząc lekko kąciki ust.

Ed pomyślał, że mężczyzna czekał na taką propozycję. Widział jego reakcję, gdy Blacha wspomniała o siedemnastym lipca. Policjanci otworzyli dokumenty. Na środku pierwszej strony widniał czarny napis:

Leopold Brzeziński

„Komendant”.

Każda ze stron była starannie ponumerowana i opieczętowana przez IPN. Na pierwszych stronach były podstawowe informacje o Leopoldzie Brzezińskim, który ukończył prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim, co nie uszło uwadze Blachy. Miał trójkę dzieci. Ojciec był oficerem Wojska Polskiego, a matka bibliotekarką. Leopold został wdowcem w wieku trzydziestu pięciu lat i później się już nie ożenił.

Pracownik Instytutu Pamięci Narodowej wyjaśnił, że kolejne strony, które mają przed sobą, to tak zwane teczki sprawdzeniowe dostarczane przez innych agentów na temat przyszłego komendanta Wydziału. Miała to być rutynowa akcja, jaką przeprowadzały organy ścigania czasów Polski Ludowej. Historyk wyjaśnił też, że prawdopodobnie komendant czytał te dokumenty, gdy wspinał się na sam szczyt.

– Dlatego wszędzie widzą państwo pseudonimy – tłumaczył mężczyzna. – Chodziło bowiem o to, aby ludzie nie bali się donosić na swoich kolegów.

Uwagę policjantów zwrócił jeden z donosów. Spisany został pół roku przed zabójstwem kobiety, o którym wspominał Tarnowski. Była w nim informacja, że Brzeziński spędził całe popołudnie w towarzystwie dwudziestoletniej, no może dwudziestoparoletniej, kobiety o blond włosach. Para spotkała się w osiedlowym parku i spacerowała tam przez półtorej godziny. Komendant od czasu do czasu dotykał pośladków kobiety. Następnie granatowo-białą syrenką należącą do milicjanta pojechali na kolację do restauracji Europa mieszczącej się w centrum miasta. Tam para spędziła ponad dwie godziny. Mężczyzna odwiózł kobietę do domu. W tym miejscu inwigilację zakończono ze względu na odgórny zakaz szpiegowania osób przebywających na Osiedlu Gwiazdy.

– Czyżby to była Anka? – zwróciła się Blacha do Żuchowskiego.

– Nie wiem. Może przejrzymy resztę donosów.

Kolejnych kilkanaście stron niczego nie wniosło. Były w nich wzmianki o codziennych zadaniach wykonywanych przez milicjanta, otrzymanych odznaczeniach i nagrodach, kilku wyjazdach służbowych, podczas których mężczyzna upijał się do nieprzytomności.

– Upijanie wysokich rangą dygnitarzy było w owym czasie czymś naturalnym, akceptowanym i wręcz normalnym – wyjaśniał historyk. – Po alkoholu ludziom rozwiązuje się język i łatwiej jest uzyskać od nich jakieś informacje. Poza tym, gwoli ciekawostki, spici urzędnicy to była rozrywka elit radzieckich. Stalin potrafił wezwać do siebie najważniejszych dygnitarzy, często prezydentów podległych krajów. Upijał ich, sam pił w tym czasie wodę i sprawdzał, komu jeszcze można ufać, a komu już nie. Podobno na jednym z takich spotkań upił prezydentów Rzeczypospolitej i Czechosłowacji, następnie kazał im tańczyć w takt *Suliko*, gruzińskiej pieśni, którą kochał ponad wszystko, a która rozślawiona została za jego sprawą. – Kończąc swoją opowieść, mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na policjantów. Miał nadzieję, że przytoczona ciekawostka zainteresuje ich i zadadzą kilka pytań.

Funkcjonariusze pochłonięci jednak kolejną notatką, która łączyła się z ich sprawą, rozczarowali historyka.

Godzina siódma rano: Leopold Brzeziński kieruje się w stronę pracy. Zakłada się, że jest nietrzeźwy, ponieważ kierowana przez niego syrenka, jedzie od lewej do prawej. Po około czternastu minutach jazdy pojazd zostaje zatrzymany przez patrol Milicji Obywatelskiej. Leopold Brzeziński okazuje legitymację służbową. Milicjanci salutują i oddalają się. Komendant zmierza w stronę osiedla z gwiazdą. Nie podejmuję żadnych działań zgodnie z rozkazem. Po około godzinie Leopold Brzeziński wyjeżdża z osiedla. Nie jedzie jednak syrenką, lecz jako pasażer ciężarówki kremowej furgonetki Barkas 1000. Furgonetka kieruje się w stronę południowo-zachodnią. Po kilkunastu minutach obiekt dociera do lotniska i znika za bramą wjazdową do załadunków handlowych. Po około godzinie furgonetka pojawia się ponownie w zasięgu wzroku. Leopold Brzeziński wraca na osiedle,

które opuszcza po około trzydziestu minutach w towarzystwie młodej blondynki w wieku około dwudziestu–dwudziestu pięciu lat...

Policjanci przeglądali kolejne strony, stwierdzając, że informacje się powielają. Dzień komendanta wyglądał niemal identycznie. Czasami jednak Leopold Brzeziński nie wracał po pracy do domu, a odbierał swoją towarzyszkę i zabierał ją na kolację lub wieczorny spacer po centrum miasta.

Godzina szesnasta: Leopold Brzeziński odebrał swoją towarzyszkę spod uczelni Politechniki Łódzkiej. Para udała się do pobliskiego parku na spacer. Tym razem nie spacerują pod rękę. Kobieta płacze i siada na ławce. Krzyczy na Leopolda Brzezińskiego i obrzuca go wyzwiskami. Mężczyzna oddala się, kobieta zostaje w parku. Leopold Brzeziński wsiada do syrenki i jedzie do pracy. Od informatorów z komendy wiadomo, że pobiera z magazynu broń oraz dwa magazynki amunicji. Następnie kieruje się na osiedle z gwiazdą. Obserwacja wstrzymana zgodnie z rozkazem.

– Dzień śmieci Anki – powiedział Żuchowski, wskazując datę w notatkach.

– Czyżby Leopold Brzeziński był zabójcą swojej kochanki?

Ed uniósł brwi i wzruszył ramionami, okazując tym samym dezorientację. Przerzucił stronę, licząc, że kolejna strona raportu udzieli odpowiedzi.

Ku zdziwieniu całej trójki strony zostały przez kogoś wyrwane, znaleziono więc jedynie meldunek stanowiący, iż Leopold Brzeziński za zasługi dla Rzeczypospolitej Ludowej zostaje przeniesiony do służby w Moskwie, aby rozwijać swoje dalsze kompetencje i wiedzę.

– Jak pan sądzi, gdzie podziały się brakujące strony. – Blacha zwróciła się do historyka.

– Powinny tu być. – Mężczyzna podciągnął się na krześle i oparł głowę na rękach.

Cała trójka milczała przez chwilę. Żuchowski, wykorzystując moment, wyciągnął z kieszeni telefon, żeby sprawdzić, czy XYZ się odezwał. Ku swojemu zadowoleniu stwierdził, że mężczyzna nie odwołał spotkania.

– Muszę zawiadomić panią dyrektor. – Historyk przerwał milczenie i podniósł się z krzesła.

– Nim pan wyjdzie – zagaiła Blacha – proszę o odpowiedź, kto może wyrazić zgodę na ksero tych dokumentów...

– Musi być przedłożony stosowny wniosek, który jest opiniowany na kilku szczeblach naszego instytutu. Zwykle taka procedura trwa od kilku do kilkunastu dni. – Mężczyzna wyszedł z pokoju wyraźnie przejęty zaistniałą sytuacją.

– Masz aparat w telefonie? – Blacha uśmiechnęła się do Żuchowskiego, który doskonale zrozumiał intencje koleżanki.

Urszula Krawczyk przerzucała kolejne strony, a Żuchowski pstrykał zdjęcia. Policjanci zdążyli zakończyć kopiowanie dokumentów, gdy w czytelnicy pojawiała się dyrektor instytutu.

Z wyraźną troską na twarzy obejrzała teczkę z dokumentami Leopolda Brzezińskiego. Sprawdziała strona po stronie z nadzieją, że to kwestia błędnego bindowania dokumentów. Po trzykrotnym przejrzaniu dokumentów odezwała się lekko łamiącym się głosem.

– Bardzo państwa przepraszam. Taka sytuacja nie zdarzyła się nigdy. Muszę ją teraz zgłosić do prezesa instytutu, bo nie wiem, co mam z tym zrobić.

Policjanci przytaknęli, dając kobiecie do zrozumienia, że rozumieją.

– Pan Marek – kontynuowała – wspomniał, że są państwo zainteresowani kopią dokumentów. Proszę więc wypisać odpowiedni wniosek, a ja postaram się, aby decyzja była jeszcze w tym tygodniu, jeśli zgodzą się państwo zostawić dla siebie to, co zostało tutaj odkryte.

– Proszę się nie obawiać, to tajemnica śledztwa. – Blacha uśmiechnęła się do kobiety. – Gdyby jednak państwo znaleźli brakujące strony, to czy możemy liczyć, że dacie nam znać...

Pracownicy Instytutu Pamięci Narodowej przytaknęli ochoczo. Ich zatroskane miny utwierdziły policjantów w przekonaniu, że nie zamierzają sprawy zbagatelizować i traktują ją osobiście.

Historyk odprowadził funkcjonariuszy do bramy wejściowej. Żuchowski wyciągnął paczkę papierosów, za które mężczyzna podziękował. Kiedy Ed delektował się chwilą dla siebie i ponownie sprawdzał telefon, Blacha zapytała historyka, czy istnieje możliwość, że dokumenty są w innym archiwum IPN.

– Teoretycznie mamy podział na dokumenty ściśle tajne dotyczące bezpieczeństwa państwa. Nadaje się im odpowiednią klauzulę tajności. Nie wyrywa się ich jednak z akt osobowych, przenosząc wskazuje się gdzie.

Policjanci pożegnali się z Markiem Karwackim, podziękowali za pomoc i podkreślili ponownie, że mają nadzieję na rychłe odnalezienie dokumentów. Po drodze przysłuchiwali się lokalnym wiadomościom, które donosiły o tym, że kobiety w Łodzi coraz częściej poruszają się parami. Stacja radiowa odwiedziła kilka szkół samoobrony, prosząc o wskazówki dla słuchaczek. Wiadomości zakończyły się prognozą pogody. Nad Łódź nadciągał ciepły front, więc wieczór miał być ciepły i bezchmurny.

Ed skręcił z trójpasmowej drogi w wąską aleję przecinającą rozległy park. Droga prowadziła bezpośrednio do dworca.

– Zaparkuję od strony wejścia na perony, czyli tak samo jak ostatnio.

Po kilku minutach volkswagen Żuchowskiego zatrzymał się na chodniku. Od wejścia do tunelu prowadzącego na perony policjantów dzieliło kilka metrów. Ed zgasił silnik i wciągnął mocno powietrze. Zawsze tak robił, gdy chciał się skupić.

Policjanci siedzieli chwilę, przysłuchując się zapowiedziom o nadjeżdżających pociągach. Kobięcy głos informował o podstawieniu komunikacji zastępczej w postaci autobusu. Blacha spojrzała w bok, widząc podjeżdżający Autosan. Tuż za nim rozpościerał się widok na znany jej sprzed kilku dni rozbudowywany stadion piłkarski.

Policjantów z zamyślenia wyrwało pukanie w okno samochodu.

– Wsiadacie? – Tarnowski uśmiechnął się na przywitanie.

– To jest całe nasze wsparcie? – zapytał Żuchowski z nutą ironii, wzruszył ramionami i wyciągnął papierosa. Przypalał go, gdy chrypliwy głos płynący z megafonu informował, że pociąg, na który czekają, wjedzie na tor drugi przy peronie pierwszym za około dziesięć minut.

XIII

Dwudziestodwulatka ocknęła się, gdy pociąg zaczął wytracać prędkość. Próbowała przypomnieć sobie, co się wydarzyło. Była całkowicie zdezorientowana. Do chwili, aż spróbowała się podnieść, była przekonana, że zasnęła w przedziale. Szybko zdała sobie jednak sprawę, iż ma ręce i nogi skrępowane, a usta zakneblowane i wtedy wpadła w panikę. Szamotała się przez moment, lecz z każdym szarpnięciem zaciski od kabli zaciskały się coraz mocniej, odcinając dopływ krwi i powodując przeraźliwy ból. Oddychała głęboko, żeby się uspokoić i rozeznąć w sytuacji. Ręce miała związane nad głową, a nogi skrępowane do boków. Pomieszczenie było małe, nad głową szumiały jej wentylatory komputerów, które sterowały elektroniką pociągu. Naprzeciwko miała drzwi, do których próbowała dosięgnąć nogą. Z każdym kolejnym ruchem zapięcia wrzynały się w nadgarstki coraz bardziej. Kobieta poczuła, jak po przedramieniu płynie jej stróżka krwi. Mimo przeraźliwego bólu próbowała dosięgnąć do lekko uchylonych drzwi. Po chwili zaczęły się otwierać szerzej i do pomieszczenia dostało się białe światło z zewnątrz. Dziewczyna zorientowała się, że to nie ona pchała je stopą, lecz mężczyzna stojący za nimi.

– O, nie śpisz – powiedział, kucając przy dziewczynie. – Nie szkodzi.

Mężczyzna z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął strzykawkę z igłą. Kobieta próbowała protestować, wierzgając całym ciałem, gdy oprawca wbijał jej igłę ze środkiem usypiającym w ramię. Nim straciła przytomność, wydawało jej się, że pociąg bardzo zwolnił.

Mężczyzna kuczał jeszcze jakiś czas przy kobiecie. Uderzył ją w twarz, żeby upewnić się, że jest nieprzytomna. Gdy nie zareagowała, otworzył drzwi i nacisnął

przycisk zwalniający zabezpieczenie drzwi przed otwarciem podczas jazdy. Rozejrzał się i podszedł do drzwi wejściowych. Pociąg jechał tak wolno, jakby stał.

Mężczyzna zaczerpnął łyk świeżego powietrza i splunął, przyglądając się przez moment miastu. Wracając pospiesznym krokiem, potknął się i omal przewrócił. Zaklął. Gdyby złamał lub zwichnął sobie nogę, jego plan byłby pogrzebany. Odciał zapięcia, którymi dziewczyna była zaczepiona do ściany pociągowego wagonu. Niosąc ją korytarzem, pogłaskał po głowie. Gdy pociąg zaczął lekko przyspieszać, pocałował ją w czoło i cisnął przed siebie. Kobieta upadała na małą łąkę pokrytą wysoką trawą, która szybko skryła ją w swoim wnętrzu.

Mężczyzna uśmiechał się, gdy pociąg zbliżał się do stacji Łódź Kaliska. Podał swojej ofierze tak dużo środka usypiającego, że miał spokojnie kilka godzin. Wiedział, że cel jest blisko. A wraz z nim obiecana nagroda.

Pociąg hamował już na peronie, gdy mężczyzna wszedł do łazienki, aby zmyć z siebie krew, którą się ubrudził, niosąc kobietę.

XIV

Chrapliwy głos w megafonie zdawał relację na temat wjeżdżającego pociągu, który mimo niewielkiej prędkości hamował z piskiem kół, zakłócając informacje płynące z megafonu. Z tego powodu większość pasażerów nie usłyszała zapowiedzi o nieplanowanej zmianie peronu i toru i teraz ludzie pospiesznie zbierali swoje rzeczy. Jakiś mężczyzna przeklinał głośno Polskie Koleje Państwowe, podnosząc z ziemi brązową torbę bazarową. Blacha pamiętała ją jako nieodłączny atrybut rosyjskich domokrażców, którzy w latach dziewięćdziesiątych przywozili do Polski wszystko, co dało się sprzedać. Żuchowski szybkim krokiem skierował się do tunelu, aby dostać się na sąsiadujący peron. Zaczął biec, przeciskając się pomiędzy podróżnymi spieszącymi się w tym samym kierunku.

– Przepraszam! – krzyczał Żuchowski.

– Co mnie pan pchasz, do kurwy nędzy – krzyknęła starsza kobieta.

– Przepraszam! – wrzasnął Żuchowski, uderzając barkiem dojrzałego mężczyznę w czarnej koszulce z błyszczącym logo Armani.

Wbiegając po schodach na sąsiedni peron, Żuchowski spojrzął za siebie. W tym samym momencie aspirant Tarnowski poślizgnął się na schodach. Aspirant splunął, czując metaliczny posmak krwi w ustach. Pogładził się językiem po zębach i stwierdził, że wybił sobie co najmniej dwa przednie.

– Widzisz go? – zapytała Blacha Żuchowskiego, próbując złapać oddech.

Żuchowski rozglądał się nerwowo. Był zły na siebie, że nie domówił szczegółowego miejsca spotkania. Pociąg składał się z szesnastu wagonów, przy których wysiadający ludzie przeciskali się pomiędzy tymi, którzy chcieli już za wszelką cenę wsiąść.

– Ty idziesz na tył pociągu, a ja na przód – powiedziała Blacha.

Żuchowski skinął głową, czujnie obserwując otoczenie. Był pewien, że mężczyzna, którego widział na zdjęciu w swoim telefonie, przemknął obok niego tego dnia.

Blacha spojrzała w dół schodów. Tarnowski stał oparty o ścianę z przyłożoną do ust chusteczką. Jakaś kobieta trzymała wyciągniętą w jego stronę butelkę z wodą mineralną, zachęcając do wypłukania ust.

Policjantka przeszła na drugą stronę peronu. Nie chciała przeciskać się wśród ludzi. Poza tym zakładała, że z oddali będzie miała lepszą perspektywę i będzie łatwiej zauważyć jej XYZ'ta. Wypatrywała człowieka, który będzie błdził wzrokiem, szukając wśród pasażerów stworzonej przez Żuchowskiego postaci. Blacha spojrzała za siebie. Na peronie było coraz mniej ludzi. Ci, którzy przyjechali pociągiem, zdążyli już dostać się do podziemnego tunelu i oddalić w kierunku przystanków autobusowych. Ci zaś, którzy mieli wyruszyć pociągiem w dalszą drogę, w większości wsiedli do wagonów.

Dochodząc do końca lokomotywy, chciała zawrócić. Od niechcienia spojrzała na peron, na którym przed chwilą stała z policjantami. Pośrodku, na tle budynków administracyjnych dworca, zobaczyła dobrze zbudowanego mężczyznę, który rozglądał się, jakby kogoś szukał. Policjantka poczuła, że przyspiesza jej serce. Mimo odległości pomiędzy platformami była niemal pewna, że to XYZ't.

Blacha spojrzała na torowisko, oceniając szansę przedostania się na drugą stronę. Wiedziała, że od podziemnego przejścia dzieliło ją około trzystu metrów. Musiałaby też stracić mężczyznę z oczu na co najmniej dwie minuty. Peron był wysoki na kilkadziesiąt centymetrów, więc zeskoczenie nie byłoby dla niej problemem. Wdrapanie się również. Zatrzymała się jednak w pół kroku, bo dopiero w tym momencie zauważyła wysoką siatkę pomiędzy torami. Chciała zacząć biec, lecz wyczuła spojrzenie mężczyzny na swoim ciele. Skręciła delikatnie głowę i miała rację. Mężczyzna przyglądał się jej wnikliwie. Zrobiła kilka kroków w przód, chowając się za zieloną lokomotywą. Mając pewność, że mężczyzna jej nie widzi, zaczęła biec w kierunku schodów prowadzących do tunelu.

– Ed! – krzyknęła do Żuchowskiego, który rzucił się biegiem za koleżanką.

Policjantka zbiegała po schodach. Tarnowski nadal stał oparty o ścianę z butelką wody. Gdy zauważył zbiegającą koleżankę, wypluł wodę i pobiegł za nią.

Blacha wbiegła na peron, który ku jej zdziwieniu był pusty.

– Nie rozumiem – powiedziała zdyszonym głosem. – Przed chwilą tutaj stał i się rozglądał. – Może wszedł do głównej hali dworca?

– Ja zostaję – powiedział Tarnowski, zakrywając usta chusteczką. – Wezwałem już pogotowie – dodał z wyczuwalnym gniewem w głosie.

Policjanci pokiwali głowami ze zrozumieniem. Aspirant miał łzy w oczach. Zastanawiali się, czy z bólu, czy ze złości.

Hala główna dworca była prawie pusta. Pod jednym z okienek kasowych siedział ten sam bezdomny mężczyzna ładujący swój telefon. Blacha uśmiechnęła się do myśli, że w dzisiejszym świecie można nie mieć domu, ale nie wypada nie mieć telefonu.

– Jesteś pewna, że go widziałaś?

– Myślę, że to był on. Ciemna koszulka. Wyglądał troszkę starzej niż na pokazanym przez ciebie zdjęciu, rozglądał się.

– Czy miał czarne spodnie i przewieszoną przez ramię torbę? Jak mężczyzna, który wsiada właśnie do taksówki? – Żuchowski wskazał palcem.

Nagle Blacha rzuciła się do biegu. Dopadła do ruszającej taksówki i uderzyła zaciśniętą dłonią w dach. Samochód stanął momentalnie. Wysiadł z niego starszy kierowca ubrany w zielony pulower i sztruksowe spodnie i skulony upadł na ziemię. Blacha się rozejrzała i zobaczyła Żuchowskiego z wyciągniętą bronią. Urszula usłyszała pisk hamujących opon. Z granatowej furgonetki wybiegli uzbrojeni w długą broń antyterrorystyczną. Okrążyli taksówkę, celując w mężczyznę siedzącego na tylnym siedzeniu.

– Policja! Ręce na widoku – krzyknął jeden z antyterrorystów.

Policjanci z jednostki specjalnej wolnym krokiem zbliżali się do taksówki. Blacha spojrzała na kulącego się na ziemi mężczyznę. Miała wrażenie, że ma mokre spodnie. Pomyślała ze smutkiem, że pewnie posikał się ze strachu.

– Ręce na głowę – krzyknął ten sam antyterrorysta.

Kiedy mężczyzna wykonał polecenie, policjanci otworzyli drzwi.

– Powoli, wysiadaj w moją stronę – powiedział policjant do pasażera, celując mu w głowę.

– Ale o co chodzi? Co zrobiłem? – pytał mężczyzna.

– Wysiadaj, kurwa – powtórzył policjant.

– Ale o co chodzi? Kim jesteście?

– Policja! Więcej razy nie powtórzę! Wysiadaj powoli, z rękami na widoku!

Mężczyzna powoli przesunął się po kanapie do otwartych drzwi. Kiedy stanął, widać było, że drżą mu nogi i jest zdezorientowany. Żuchowski podszedł bliżej, żeby przyjrzeć się wystraszonemu pasażerowi.

– Jak się pan nazywa? – zapytał spokojnym głosem.

– Patryk Jaskólski.

Żuchowski patrzył na mężczyznę, szukając podobieństwa do XYZ'ta. Patryk Jaskólski nie miał zadrapania na twarzy, ale to mogło się zagoić na przestrzeni ostatnich dni. Ed podszedł bliżej i sięgnął po telefon, żeby porównać obraz zapisany w telefonie z mężczyzną stojącym naprzeciwko. Odblokowując telefon, zauważył, że ma nieodczytaną wiadomość w telefonie.

Przedłużyło mi się w pociągowej toalecie, bo się czymś poplamilem. Na peronie już ciebie nie było. Poszedłem do parku na spacer i liczę, że do mnie dołączysz.

Żuchowski czuł, jak uginają się pod nim nogi. Wiedział, że z całej sytuacji wyniknie wielka medialna afera, a komenda, chcąc się wybielić, wskaże jego jako winnego zajścia.

– Obawiam się, że zaszło właśnie ogromne nieporozumienie... – zaczął wyjaśniać Żuchowski. – Wzięliśmy pana za kogoś innego. Jeden z kolegów wszystko panu wyjaśni oraz przekaze, jakie prawa w związku z tym panom przysługują.

Ed wraz Urszulą Krawczyk skierowali się na dworzec chwilę po tym, jak Żuchowski przekazał antyterrorystom instrukcje odnośnie zmiany lokalizacji. Wychodząc z przejścia podziemnego, policjanci minęli karetkę pogotowia, która zabierała Tarnowskiego do szpitala. Aspirant podniósł rękę w geście pozdrowienia i spojrzał z przeproszącą miną. Blacha pomyślała, że pewnie teraz młody funkcjonariusz nie będzie miał przyjemnego życia. W komendzie będą się z niego śmiali, że podczas najważniejszej akcji w historii miasta stracił zęby na schodach.

Policjanci przeszli na drugą stronę ulicy. Kierując się wzdłuż ogrodzenia stadionu piłkarskiego, spojrzeli za siebie. Z podziemnego parkingu wyjeżdżała furgonetka będąca gwarancją ich bezpieczeństwa, gdyby XYZ okazał się być tym, za kogo go brali.

Żuchowski wyciągnął telefon, żeby ustalić dokładne miejsce spotkania. Wiadomość nie dawała się wysłać. W aplikacji wyskakiwał błąd.

– Przynajmniej się przespacerujemy – rzuciła Blacha, wchodząc do parku, który okazał się pozostałością po puszczy.

– Lepiej, żebyśmy go namierzyli jak najszybciej. Za około godzinę zrobi się ciemno.

– Chyba nie boisz się ciemności?

– Nie o to chodzi – kontynuował z poważną miną Ed. – W tej części parku tuż po zmierzchu można spotkać mężczyzn, którzy umawiają się na schadzki.

– Gejowski seks w parku? – zapytała Blacha wprost, widząc, jak kolega próbuje wybrnąć z sytuacji.

– Seks i nie tylko. Dzisiaj masz aplikacje randkowe i możesz się umówić z osobą o tej samej płci, kilkanaście lat temu musiałś znaleźć miejsce. Rozumiesz?

– Relikt przeszłości?

Żuchowski przytaknął, próbując ponownie wysłać wiadomość. Odpowiedź pojawiła się po chwili.

Jestem na muszli koncertowej. Wiesz, gdzie to jest?

Ed przyspieszył kroku. Wiedział doskonale, gdzie iść. W okresie wakacyjnym odwiedzał to miejsce przynajmniej raz w tygodniu. Miasto rozstawiało tam mobilne kino. Łodzianie mogli legalnie wówczas wypić piwo w parku i obejrzeć niszowe artystyczne filmy, których trudno było szukać w telewizji.

– To on? – zapytała Blacha półszepem, wskazując na mężczyznę, który siedział na muszli koncertowej, zerkając w telefon.

– Mhm – odpowiedział Żuchowski, odpinając kaburę pistoletu.

Zatrzymanie XYZ'ta było mniej spektakularne niż to, które odbyło się na dworcu kolejowym. Żuchowski wyciągnął paczkę papierosów i skierował się do siedzącego na scenie muszli koncertowej mężczyzny.

– Przepraszam, czy ma pan może ogień?

Żuchowski wyciągnął paczkę papierosów w kierunku mężczyzny. Chciał się mu przyjrzeć. Nie chciał powtórki z dworca kaliskiego. Wiedział, że tylko z jednej pomyłki może udać mu się wykpić. Kolejna będzie kosztowała go posadę.

– Nie palę – odparł mężczyzna delikatnym niepasującym do jego budowy ciała głosem.

Żuchowski patrzył w brązowe oczy człowieka, z którym rozmawiał przez ostatnie dni.

– To zdrowo i mądrze. – Żuchowski uśmiechnął się do mężczyzny, gdy za jego plecami pojawili się uzbrojeni policjanci.

Ed stwierdził, że ma odpowiednie zabezpieczenie, zrobił krok w tył i wyciągnął policyjną odznakę.

Ku zdziwieniu policjantów mężczyzna nie zadał ani jednego pytania. Gdy czytano mu jego prawa i informowano, pod jakimi zarzutami zostaje zatrzymany, przytakiwał. O własnych siłach i dobrowolnie wsiadł do policyjnej furgonetki.

– Dziwne – powiedział Ed, zapalając papierosa. – Facet nie zająknął się ani słowem. Jakby wiedział, że go zatrzymamy.

Blacha nie odpowiedziała. Wciągnęła głęboko świeże powietrze.

XV

Nowoczesny budynek komendy miejskiej, do której przewieziono XYZ'ta, znajdował się w centrum miasta. Otoczony dziewiętnastowiecznymi kamienicami z krzykliwymi fasadami i ornamentami wyglądał jak wklejony.

Blacha pomyślała o rodzinnym Krakowie i czasach, gdy chciała być jeszcze inżynierem. Przez pierwsze dwa lata próbowano jej wpoić, że stal i szkło pasują do starych zabudów i są idealnym wypełnieniem miejskich przestrzeni.

Żuchowski zapalił papierosa i odruchowo spojrzął na telefon.

– Nie napisze – odezwała się policjantka.

Żuchowski pokiwał głową.

– A jak się okaże, że to nie jest człowiek, którego szukamy...

– To będziemy musieli sporządzić szczegółowy raport, a władze go zatwierdzą.

– Mówisz o ministrze sprawiedliwości?

– Nie wiem, co ci naopowiadano, Ed, ale nie jestem z politycznego nadania i nie przyjechałam was sprawdzać.

Żuchowski ponownie pokiwał głową i zaciągnął się papierosem.

– Jestem tutaj, bo mi kazano przyjechać. Po wydarzeniach w Częstochowie to ostatnie, czego chciałam.

– Mówisz o stracie kolegi? – zapytał Ed przeproszającym tonem.

– Nie. Mówię, że przez całą tę chorą sytuację straciłam prywatne życie.

– Rozumiem.

– Myślę, że nie rozumiesz, ale chyba nie czas i nie miejsce, żebyśmy dyskutowali o moim życiu prywatnym.

Wchodząc do środka, policjantka stwierdziła, że komenda jest urządzona typowo dla wszystkich jednostek, w których do tej pory bywała. Po wejściu była

sala dla oczekujących, a tam kolejka. Blacha przyjrzała się stojącym ludziom i uznała, że większość ma życiorys wypisany na twarzy. Bez trudu rozpoznała mężczyznę, który musiał się stawić w związku z przemocą domową.

Ed machnął ręką, witając się z kolegami w dyżurce.

– Sala przesłuchań jest na górze – poinformował koleżankę. – Idę do magazynu, zdać broń.

Blacha zastanawiała się, jak poprowadzić rozmowę z XYZ'tem. Pierwsze pytanie miała już w głowie, a każde kolejne powinno wynikać z toku rozmowy.

Kobieta odbyła wiele szkoleń ze sztuki przesłuchiwania. Przyznała więc tej komendzie plus za salę przesłuchań z lustrem weneckim.

Mniejszy pokój przygotowano na wzór amerykański. FBI zalecało, aby był wielkości dwa koma siedem metra na trzy koma sześć. Pamiętała, że nie powinno tam być rozpraszaczy, typu obrazki, książki, kodeksy. Przypomniała sobie anegdotę krążącą na szkoleniach, jak jeden z przesłuchiwanym miał podać nazwiska współników. Policjant śledczy, który prowadził przesłuchanie, zastanawiał się, skąd zna wymieniane nazwiska. Okazało się, że mężczyzna czytał je z grzbietów książek znajdujących się w pomieszczeniu.

Policjantka uśmiechnęła się do tej myśli, przyglądając się zza weneckiego lustra spokojnie siedzącemu mężczyźnie w średnim wieku.

– Metoda FBI?

Blacha wzdrygnęła się ze strachu. Nie zauważyła, kiedy Żuchowski pojawił się w pokoju.

– Przed Częstochową miałam inne plany – odpowiedziała, nie spuszczać wzroku z XYZ'ta. – Chciałam się piąć i być najlepsza.

– A co się nagle zmieniło?

Blacha spojrzała na kolegę.

– Jeśli wolno zapytać – dodał pośpiesznie Ed.

– Moje życie prywatne legło w gruzach. Sam wiesz, jaka jest specyfika naszej pracy. – Wzruszyła ramionami. – Wybierałam na partnerów coraz to dziwniejszych

mężczyzn. W końcu poznałam człowieka, który wydawał się być inny niż wszyscy, których znałam do tej pory. Był ciepły, opiekuńczy i troskliwy. Znasz ten typ?

Ed przytaknął i się uśmiechnął.

– Zamieszkaliśmy razem po krótkim czasie. Wszystko szło za szybko. Wiedziałam o tym, a mimo to brnęłam dalej. Po niespełna miesiącu zaczęło się sypać. Zamiast wieczoru ze mną spędzał czas na swojej działce pod miastem.

– Miał kogoś?

– Wątpię. Dzisiaj myślę, że karał mnie w ten sposób. Wiedział, że go potrzebuję. Czarna goryczy wylała się po Częstochowie. Odebrał mnie ze szpitala i zostawił samą w mieszkaniu, żeby załatwić jakieś ważne sprawy. – Policjantka zrobiła gest palcami imitujący cudzysłów.

– Znowu wyjechał na działkę?

Blacha przytaknęła i zamilkła. Żuchowski wyczuł, że została przekroczona granica, której koleżanka nie chciała przesuwać. Postanowił się zrewanżować, żeby przerwać niezręczną ciszę.

– Na pocieszenie powiem ci, że u mnie podobnie. Może nikt mnie nie potraktował w taki sposób jak ciebie, ale ułożenie sobie życia z kimś w naszej robocie graniczy z cudem.

Policjantka się uśmiechnęła. Wiedziała, że wewnętrzne wynurzenia w pracy kończą się podobnie do romansów. Unikała zatem tak jednych, jak i drugich.

Policjanci milczeli przez dłuższą chwilę, przypatrując się zatrzymanemu mężczyźnie.

– Śpi? – zapytał Żuchowski, bo mężczyzna miał przymknięte oczy i się nie ruszał.

– Nie byłabym wcale zaskoczona. Ten człowiek nie zapytał nawet, o co jest podejrzany i dlaczego go zatrzymujemy.

– Może myślisz, że wiemy, iż to on jest mordercą. Może to jest droga, którą powinniśmy pójść? – Ed zakończył wypowiedź retorycznym pytaniem.

– Może tak. Przekonajmy się.

Blacha, wchodząc do pokoju, poczuła, że temperatura jest zdecydowanie za niska. Pomyślała smutno, że ktoś naczytał się tanich poradników rozprawiających o sztuce przesłuchiwania i łamania oporu.

– Dzień dobry – odezwała się uprzejmym głosem. – Nazywam się Urszula Krawczyk.

Mężczyzna podniósł przymknięte powieki. Ku zdziwieniu policjantki spojrzenie nie było wrogie, a na jego twarzy nie widać było niepokoju.

– Nie za zimno, panu?

XYZ nie odezwał się słowem. Patrzył na policjantkę. Blacha zrobiła krok i wyciągnęła rękę na przywitanie. Chciała w ten sposób sprawdzić, czy mężczyzna ma spoczone lub zimne dłonie, które najczęściej oznaczały, że przesłuchiwana osoba jest zestresowana.

Mężczyzna nie wyciągnął ręki na przywitanie. Blacha usiadała przy biurku tuż obok mężczyzny. Zakładając nogę na nogę, poczuła paraliżujący ból w plecach. Z trudem powstrzymała się od krzyknienia z bólu. Z uśmiechem zagaiła ponownie.

– A mogę zapytać, jak się pan nazywa?

Gdy odpowiedziało jej milczenie, spojrzała prosto w oczy mężczyzny, w których ponownie odnalazła spokój.

– Mamy dwa wyjścia. Możemy spokojnie porozmawiać. Pan powie mi coś o sobie, ja odpowiem na pana pytania i być może rozstaniemy się za chwilę. Możemy jednak wybrać drogę trudniejszą, czyli ustalimy pana personalia w naszych bazach, potem pojedziemy do miejsca, gdzie pan mieszka i popytamy o pana. Proszę mi wierzyć – Blacha zrobiła pauzę, poprawiając pozycję, w której siedziała – po takiej wizycie ciężko wrócić do domu w spokoju.

Mężczyzna uśmiechał się przez chwilę, po czym wybuchnął serdecznym śmiechem.

Urszula Krawczyk patrzyła na swego rozmówcę, nie reagując. Zdawała sobie sprawę, że mężczyzna próbuje wybadać, na co może sobie pozwolić. Gdy śmiech mężczyzny zelżał, odezwała się poważnym tonem.

– Miałam pana za kogoś poważnego. – Podniosła się z krzesła. – Myślałam, że porozmawiamy na tematy, w których jest pan przecież specjalistą. Widzę jednak, że to tylko czcze gadanie.

Blacha zrobiła krok w kierunku drzwi. Naciskając klamkę, usłyszała delikatny głos mężczyzny.

– Jestem Patryk.

Uśmiechnęła się pod nosem.

– A jak ma pan na nazwisko, panie Patryku?

– Nie jestem panem Patrykiem. Jestem Patryk.

– Jak zatem masz na nazwisko, Patryku?

– Czy to ważne? Przecież możecie to sprawdzić. Żyjemy w świecie, w którym rząd wie wszystko o wszystkich, a wy nadal na ulicach pytacie ludzi o imię i nazwisko.

– A co jest dla ciebie ważne? – Blacha zlekceważyła atak mężczyzny na organy państwowe. Z rozmowy wniosowała, że jej rozmówca ma kartotekę w bazie policyjnej.

– Miłość. A dla ciebie?

– Prawda.

– Przecież prawda to też miłość.

Blacha spojrzała pytająco na swojego rozmówcę.

– W słowie miłość zawarte jest wszystko, co nacechowane jest pozytywnie. Miłość to uśmiech, radość, spokój, spełnienie... Miłość to pozwolenie światu na bycie takim, jakim jest. Na bycie prawdziwym!

– Dlatego nie zapytałeś policjantów, którzy cię zatrzymali, dlaczego to robią?

– Widzisz – mężczyzna pochylił się w stronę policjantki – ty byś zapytała, bo nie wierzysz w prawdziwość świata. Ja wiem, jaki jest, więc nie muszę tego robić.

– A jaki zatem jest?

– Taki, jakim go stworzysz. Dla jednych świat jest przeklętym miejscem, w którym z góry skazani są na śmierć. Dla drugich to miejsce rodem z obrazu Lucasa Cranacha, gdzie poddańczo trzeba bać się gromowładnego pana, który może nas

przepędzić z raju. Ludzie boją się tego, nie zadając sobie nawet pytania, czym jest raj?

Blacha uśmiechnęła się do mężczyzny, dając mu tym samym znać, że chętnie się dowie.

– Raj to synonim słowa „miłość”.

– A w słowie „miłość” zawarte jest wszystko.

– Dokładnie! – Mężczyzna skinął głową. – Zapytałaś mnie jednak o coś zgoła innego. Otóż, nie odezwałem się do was ani słowem, bo spodziewałem się tego. Znam swoje przeznaczenie i swoją przyszłość. – Mężczyzna spojrzął na policjantkę. – Uśmiechasz się sceptycznie, bo myślisz, że jestem pomyłony, ale o Jezusie też tak mówili.

– Jesteś jego następcą?

– Jezus myłony jest z bogiem. Był przecież zwykłym prorokiem. Takich jak on, bóg zesłał tysiące na przestrzeni istnienia świata. Nie jestem więc ani jego następcą, ani jego naśladowcą.

– Powiedz mi zatem, na jakiej podstawie spodziewałeś się zatrzymania?

– Przyśniło mi się to.

Blacha przytaknęła głową, zastanawiając się, czy nie lepszym rozmówcą dla mężczyzny byłby jednak Michalczuk. Mimo to postanowiła poprowadzić rozmowę dalej.

– Mówisz, że znasz przyszłość, zatem kim jesteś, Patryku?

– Nikim. Czyż to nie jest piękne?

– Zależy, jak na to spojrzeć. Dla mnie piękne jest to, że wiem, kim jestem.

– Czy na pewno wiesz, kim jesteś? Zapewne odpowiesz, jak większość ludzi, którzy budują swoją tożsamość na rolach, w które wcielają się każdego dnia. Odpowiesz zatem, że jesteś kobietą, policjantką i rozwódką. Ale zamknij oczy na chwilę i posłuchaj swojego serca. Co mówi? Kim jest Urszula Krawczyk? Czy tylko jedną z tych masek, które ma na sobie, siedząc w małym pokoju w postindustrialnym mieście, w kraju, w którym nikt nie wierzy, że będzie lepiej? A może z każdym uderzeniem serca krew jest pompowana po coś więcej...

– Czyli twoim zdaniem żyjemy wszyscy w fałszu?

Mężczyzna skinął głową.

– Rodzi się zatem pytanie, jak się z niego wyzwolić?

– Żeby się z niego uwolnić, trzeba najpierw zdać sobie sprawę z tego, że się w nim żyje. Kolejny krok to droga do szczęścia.

– Właśnie uświadomiłeś mi, że żyję w fałszu – powiedziała poważnie Blacha.

– Nie zapytasz, czy jestem szczęśliwa?

– Nie jesteś. Jak byś mogła być szczęśliwa, gdy na twojej twarzy rysuje się grymas bólu. Uśmiechasz się, myśląc, że możesz to zamaskować. Bólu jednak nie da się schować. Jest jak woda, która zbiera się w jednym miejscu, by w końcu się przelać. Spójrz na ludzi, którzy cię mijają na ulicy. Przekrzywione usta i zmarszczone czoła. To wszystko ból, który na przestrzeni lat został posegregowany. Jedni nazywają go złością, inni rozgoryczeniem, a w konsekwencji jest jednym i tym samym bólem. Dla naszego ciała nie ma znaczenia, dlaczego boli, ważne przecież, że boli.

– Masz rację. – Blacha oparła się wygodnie o krzesło. – Bolą mnie plecy. Ty jednak wspominasz o bólu egzystencjalnym, a mnie boli tylko ciało.

– Ból fizyczny prowadzi do bólu egzystencjalnego. Nerwice, depresje, stany lękowe, to wszystko zaczyna się od martwienia się o ciało. Czasami też nie jest to skorelowane z troską, a jedynie przypadkiem z niedowładem tego ciała. Kilkadziesiąt lat temu świat zmagał się z epidemią wirusa polio. Mnóstwo ludzi umarło, ale wielu zostało przykutych do łóżka. Po dziś za nich oddychają metalowe bańki. Patrzą na świat do góry nogami, z trudem walcząc o każdy łyk powietrza. Niektórzy zachorowali jako nastolatki, a teraz mają po sześćdziesiąt parę lat. Czy nadal twierdzisz, że to tylko ciało?

Blacha знаła historię ludzi chorujących na polio, którzy mimo choroby żyli pełnią życia. Pamiętała, że w jednym z wywiadów, który emitowano w publicznej telewizji, pokazano człowieka, którego choroba sparaliżowała od szyi w dół. Mimo to skończył studia prawnicze, nauczył się malować i napisał książkę.

Policjantka nie chciała jednak stawać w opozycji do twierdzeń swojego rozmówcy.

– Założmy, że poddam się leczeniu i pozbędę się bólu pleców. Czy wówczas stwierdzisz, że jestem szczęśliwa?

– A czym jest szczęście?

– Nie wie. Ale chętnie się tego od ciebie dowiem. – Blacha wzruszyła ramionami.

Mężczyzna wciągnął się głęboko powietrze, unosząc klatkę wysoko, jakby przygotowywał się do długiej przemowy. Ku zaskoczeniu policjantki odpowiedział jednym słowem.

– Miłością.

– Czyli bez miłości nie można być szczęśliwym.

– Ludzie często myślą szczęście z radością czy też byciem uśmiechniętym. Stąd tak szybki rozwój internetu. Można zatracić się w nim na wiele godzin, oszukując swój umysł, że niepotrzebna nam miłość.

– Ale w internecie można znaleźć również miłość.

– Mówisz o portalach randkowych?

Blacha przytaknęła.

– To narzędzie dla ludzi słabych. Większość z osób, jakie można tam spotkać, umawia się jedynie na seks.

– A jednak korzystasz z takiej aplikacji? – Blacha zaintonowała zadanie pytająco. Nie chciała informować mężczyzny, że brał udział w policyjnej prowokacji.

– Ja to co innego – mężczyzna założył nogę na nogę – ja szukam tam ludzi zagubionych w ich własnym życiu, aby im pomóc i pokazać, że miłość to coś więcej. Ja ich oczyszczam!

Słyszając ostatnie słowa, Blacha poczuła szybsze uderzenie serca. Miała nadzieję, że rozmowa skręca na właściwe tory i wsparcie psychiatrów nie będzie jej potrzebne.

– To znaczy... – kontynuowała wątek

– Wiem, że istnieje coś takiego jak przeznaczenie. Jeśli trafiam na kogoś niezależnie, czy w tak zwanym realnym życiu, czy w świecie wirtualnym to wiem, że zdarzyło się to po coś. Przez kilkadziesiąt lat swojego życia uczyłem się od ludzi. Studiowałem na wschodzie słuchanie boga. Chciałbym jednak, żebyśmy podobnie rozumieli słowo „bóg”, bo w Polsce jest często mylone z mężczyzną z siwą brodą o srogim spojrzeniu. A bóg to tak naprawdę wszystko, co nas otacza: komar, mrówka, planety. Mamy uniwersalne potrzeby, czy nam się to podoba, czy nie. Główną naszą potrzebą jest chęć dobrego samopoczucia. Rozmawiając z bogami, zrozumiałem, że aby to osiągnąć, trzeba pogodzić się z własną przeszłością. Pytasz mnie, jak oczyścić drugiego człowieka. Odpowiadam ci zatem, że rozmową. Zarzucasz mi korzystanie z portali randkowych, a nie wiesz, jak wielu cierpiących ludzi tam można spotkać. Dzięki nowym technologiom mogę rozmawiać z kilkoma osobami naraz. Czasami jednak sama rozmowa nie wystarczy i wówczas ktoś proponuje mi spotkanie.

– Ty nigdy nie proponujesz, że się z kimś spotkasz?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową. Założył lewą nogę na prawą i kontynuował.

– Podczas spotkania z drugim człowiekiem mieszają się energie. Na przykład ty, wchodząc tutaj, byłeś zaniepokojony. Poczuliś jednak ode mnie spokój i wyluzowałeś. Mnie to kosztuje jednak dużo wysiłku, bo angażuję się w pomaganie innym w stu procentach. Kiedy więc ktoś proponuje mi spotkanie, zastanawiam się chwilę, czy to ta właśnie osoba.

– Jak więc wybrać tę właściwą?

– Wystarczy to poczuć. Ludzie w ogóle nie wierzą intuicji. – Mężczyzna przełknął ślinę.

– Chcesz się czegoś napić?

Żuchowski patrzył na koleżankę zdezorientowany. Policjantka wzruszyła ramionami i podeszła do biurka, na którym stały butelki z wodą mineralną. Odkręciła jedną i oparła się o biurko, żeby rozmasować plecy.

– Lekko szurnięty, co? Może ściągniemy Michalczuka?

– Zastanawiałam się już. Myślę jednak, że niepotrzebny nam rysopis psychologiczny tego człowieka. – Blacha wskazała palcem na mężczyznę siedzącego za weneckim lustrem.

– Tarnowski napisał esemesa. – Ed wyciągnął telefon z kieszeni. – Ma wybite dwie jedynki na górze i ukruszone trójki. Lekarz powiedział, że powinien się cieszyć, że nie odgryzł sobie języka.

– Całe szczęście! – Blacha powtórzyła za kolegą. – Wstawi sobie implanty i nie będzie widać. Z językiem byłoby zdecydowanie gorzej. Pisał coś jeszcze?

– Pytał tylko, jak zatrzymanie, i przeproszał, że się tak stało.

Blacha machnęła ręką, dając do zrozumienia, że potknięcie na schodach mogło zdarzyć się każdemu. Przez chwilę wyobraziła sobie, że to ona jest na miejscu aspiranta Tarnowskiego i przeszedł jej po plecach dreszcz.

– Możesz poprosić kogoś, żeby podkreślił temperaturę? – Urszula zwróciła się do Eda, otwierając drzwi od sali przesłuchań. – Strasznie tam zimno.

Nie widziała reakcji kolegi. Specjalnie poprosiła o podniesienie temperatury przy otwartych drzwiach. Chciała, żeby przesłuchiwany poczuł, że dba o jego interesy.

– Masz problem z oczami? – zapytała mężczyznę, siadając na krześle.

– Po czym wnosisz?

– Bo przymykasz ciągle powieki, gdy mówisz. Jeśli potrzebujesz pomocy lekarza, to zaraz kogoś tutaj ściągnę.

– Nie mam problemów z oczami. Zamykam oczy, by lepiej czuć świat. W dzisiejszych czasach wszystko skupione jest na zmyśle wzroku. Na każdym kroku reklamy krzyczą swoimi pstrokatymi barwami. A przecież za każdym razem, gdy dzieje się coś naprawdę wartego zobaczenia, zamykasz oczy. Przypomnij sobie chociażby swój ostatni seks. Zamykasz oczy, by lepiej czuć, a nie dlatego, że nie chcesz widzieć swojego partnera.

Przez głowę policjantki przebiegła myśl o ostatnio odbytym stosunku i poczuła lekkie mrowienie w dolnej części brzucha. Postanowiła, że po zakończeniu sprawy

Łowcy znajdźcie sobie partnera.

– Mój seks jest mało ciekawy. – Blacha uśmiechnęła się do XYZ'ta.

– Bo seks sam w sobie jest mało ciekawy. Przeważnie niesie za sobą ból.

– Zgadzam się. A jak już o bólu mowa, to ciekawa jestem, co ci się stało w twarz? Takie zadrapanie musiało boleć.

Mężczyzna pogładził się po twarzy.

– Lekkie zadrapanie. Nie boli.

– Mam na myśli ból męskiej dumy, Patryku. Wygląda, jakby podrapała cię jakaś kobieta. Opowiesz mi o tym?

– Nie mam czegoś takiego jak męska duma. Mają ją słabi chłopcy, którzy są urażeni, bo usłyszeli słowo nie od osoby, która im się podoba. – Mężczyzna napił się łyk wody. – Mogę jednak opowiedzieć ci tę historię. Nie zatrzymaliście mnie po to, aby poznać moją filozofię, bo o tym moglibyście przeczytać w internecie lub przyjść na jedno z prowadzonych przeze mnie seminariów.

– Zamieniam się w słuch. – Blacha spojrzała w lustro weneckie z nadzieją, że Żuchowski skupi się na szukaniu prowadzonych szkoleń, o których wspomniał mężczyzna.

– Ludzie rozmawiają ze mną godzinami przez internet, powierzają mi swoje największe tajemnice. Wspomniałem wcześniej, że jesteśmy uniwersalni i to potwierdza moją teorię, bowiem ludzkie sekrety są w znacznej mierze takie same. Przeważnie dotyczą zdrady partnera. Większość psychologów oskarża o taki bieg rzeczy niekochających i nietroskliwych rodziców. Tym razem było tak samo. Była to młoda dziewczyna, która napisała do mnie na aplikacji randkowej. Korzystałaś kiedyś z takiej apki?

– Nie, ale wiem, jak działa – skłamała Blacha.

– Kłamiesz, a ode mnie oczekujesz szczerości – skarcił ją i kontynuował: – Nasze rozmowy trwały przez kilka tygodni. Dziewczyna była naprawdę pogubiona. Gdy była mała, odszedł jej ojciec. Matka nie umiała pogodzić się z faktami, znalazła winnego całej sytuacji. Zapewne domyślasz się, kto nim został. Dziewczyna, uciekając przed nienawiścią matki, znalazła azyl w domu oddalonym o kilka kroków

od swojego. Coraz więcej czasu spędzała u przyjaciół, aż pewnego dnia dowiedziała się, że człowiek, którego traktowała jak brata, chce być z nią w związku. Kilkakrotnie próbował siłą zmusić ją do seksu. Z czasem więc zaczęła spędzać czas sama. Zamknięta w swoim pokoju szukała pocieszenia w internecie. Gdy w końcu została sama w domu, pojawił się jej przyszywany brat. Dobijał się, a ona poprosiła mnie o pomoc. Pojawiłem się pod jej domem, kiedy on próbował wyważyć drzwi balkonowe. Wywiązała się szarpanina. Resztę widzisz na mojej twarzy.

– Czyli jesteś bohaterem? Uratowałeś niewinną dziewczynę przed gwałtem. Brawo. – Blacha klasnęła w ręce. – Zastanawiam się nad jedną rzeczą. Czemu twoja przyjaciółka nie zadzwoniła po policję. Bylibyśmy szybciej niż ty.

– Nie pytałem jej o to. Myślę jednak, że nie chciała robić problemów człowiekowi, którego kochała jak brata i którego rodziców traktowała jak własnych.

– Chętnie jej zapytam. Czy możesz podać jej dane?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

– Obiecałem, że nikt się o niej nigdy nie dowie. Nie mogę zatem powiedzieć ci, gdzie mieszka i kim jest. Zapewniam cię jednak, że jest w dobrym miejscu.

– Nie wątpię. Jednak nalegałabym, abyś mi odpowiedział na pytanie. Unikniemy w ten sposób wielu komplikacji. – Blacha wypowiedziała ostatnie zdanie z poważną miną.

– Wiem, że w dzisiejszym świecie dane słowo nic nie znaczy. Dla mnie jednak jest czymś cennym. Jak widzisz, nie chcę komplikować ci życia. Nie pytam nawet, co ja tu robię. Musicie mieć jakiś bardzo ważny powód. Jednak nie pytasz o mnie, a o kogoś, kto mi zaufał, a ja obiecałem, że będę milczeć. – Mężczyzna przejechał palcami po ustach, udając zapinanie zamka i przekręcanie klucza na końcu.

– Spójrz na mnie, proszę. – Blacha pochyliła się w stronę rozmówcy. – Mówimy o sześciokrotnym morderstwie. Rozumiem, że dane słowo dla ciebie jest ważne, ale myślę, że wolność ważniejsza. Z aresztu nie będziesz mógł pomagać ludziom, a odniosłam wrażenie, że robisz to z potrzeby serca.

– Nie mógłbym im pomagać, gdybym łamał dane im słowo.

– Ty pomogłeś tej dziewczynie. Ona to zrozumie, że jesteś w tarapatach i zapewne będzie chciała ci się odwzajemnić.

Mężczyzna zamilkł i przymknął powieki. Policjantka zrozumiała, że dalsza próba jakiegokolwiek rozmowy będzie nieudana. Podniosła się z krzesła i podeszła do drzwi. Trzymając rękę na klamce, odwróciła się w stronę mężczyzny.

– Jesteś pewien, że chcesz ścieżki formalnej? – Nacisnęła klamkę, gdy odpowiedziała jej cisza.

Żuchowski oderwał wzrok od ekranu komputera i spojrzał na wchodzącą do pokoju koleżankę.

– Masz coś? – zapytała.

– Na razie nic konkretnego.

– A rzeczy osobiste?

– Tylko telefon komórkowy zabezpieczony hasłem. Do czasu przyjęcia oficjalnej zgody na złamanie blokady telefon leży tutaj. – Żuchowski wskazał na urządzenie.

Blacha podeszła do telefonu i przeciągnęła palcem po ekranie. Na tapecie urządzenia znajdowało się zdjęcie posągu dobrze zbudowanego mężczyzny. Prawa ręka monumentu podniesiona była w błogosławiącym geście, zaś w lewej znajdował się trójząb z falistymi zębami. Na głowie postaci umieszczono muzułmański księżyc, obok którego siedziała gotowa do ataku kobra.

– Rozpoznajesz tego Posejdona? – Żuchowski puścił oko do koleżanki.

– To żaden Posejdon. Masz jednak rację, że to bóg – powiedziała Blacha, biorąc telefon do ręki i przyglądając się postaci.

– Byłoby łatwiej coś znaleźć, gdybyśmy znali jego nazwisko. – Żuchowski uderzył mocno w klawiaturę i odsunął się od komputera.

– Co powiedziałaś?

– Że trzeba dowiedzieć się, jak ma na nazwisko, bo nie da się nawet napisać raportu.

– Myślę, że nie unikał odpowiedzi, dlatego że się boi. Chciał zasygnalizować swoje przywiązanie do kultury azjatyckiej. Indonezyjczycy na przykład nie używają

nazwisk po dziś dzień.

– Do czego zmierzasz?

– Do tego, że postać, którą nazwałeś Posejdonem, to Sziwa jeden z najważniejszych bogów w hinduizmie.

Kiedy Żuchowski stanął obok koleżanki, poczuła lekko cytrusową woń perfum. Ceniła w ludziach umiejętność dobrania odpowiedniego zapachu. Wzięła głęboki wdech, żeby zmysły przyzwyczyły się do zapachu. Nie chciała, żeby teraz rozpraszała ją myśl o seksie.

– Czy zatem Sziwa powie nam, jakie jest hasło? – Żuchowski spojrzął na telefon.

– Trzeba wpisać same cyfry, a my wiemy jedynie, jak nazywa się bożek ze zdjęcia.

Żuchowski zaczął mówić alfabet na głos, odliczając poszczególne litery na palcach.

– „S” to dwudziesta czwarta litera alfabetu.

Blacha wpisała dwadzieścia cztery.

– „Z” to trzydziesta litera alfabetu.

– Obawiam się, że pisze się S–H–I–V–A. – Blacha przeliterowała imię boga, a Żuchowski zaczął odliczać ponownie.

Po chwili powtarzania alfabetu policjanci ustalili, że kod liczb przyporządkowanych poszczególnym literom to: dwadzieścia cztery – jedenaście – dwanaście – dwadzieścia siedem – jeden. Blacha wcisnęła przycisk okej, lecz telefon nie zareagował.

– Pamiętasz klawiatury w telefonach analogowych? Może spróbujemy w ten sposób?

– Możemy spróbować. Na zgodę i tak będziemy czekać w najlepszym przypadku do jutra. Informatycy usiądą do tego za dwa dni. Może uda się złamać kod za cztery.

– „S” jest pod siódmką, „H” pod czwórką, „I” pod czwórką, „V” pod ósemką, „A” pod dwójką. – Żuchowski dyktował poszczególne cyfry.

Gdy kod ponownie nie zadziałał, Ed rozważał przeprowadzenie prowokacji. Chciał podać mężczyźnie telefon pod pretekstem konieczności odpisania na wiadomości do ludzi, którzy go potrzebują. Wpisywanie kodu nagrałaby kamera monitoringu.

– O czym myślisz? – zapytała Blacha.

– O niczym, co warto byłoby powiedzieć na głos – rzucił Ed, a sam zganił się w myślach za nieracjonalne pomysły.

– Z tego, co pamiętam, bogowie hinduizmu mieli przeważnie po kilka imion. Nasz miał na pewno coś, co było związane z cyframi, ale nie jestem pewna jakimi.

Ed Żuchowski podszedł do komputera i wpisał nazwę bożka. Kliknął w identyczne zdjęcie posągu jak to, które znajdowało się na telefonie XYZ'ta.

– Tysiąc osiem imion – powiedział, patrząc na koleżankę.

Blacha pstryknęła palcami. Przypomniała sobie, że innym imieniem Shivy jest owe tysiąc osiem, które Żuchowski odebrał jako ilość nazw hinduskiego boga. Wpisała po kolei cyfry: jeden – zero – zero – osiem i nacisnęła okej. Po kilku sekundach położyła telefon na biurku, przy którym siedział Żuchowski. Policjant spojrział na świecące urządzenie. Tapeta z hinduskim bóstwem zniknęła, a ekran był odblokowany. Ed oderwał wzrok od telefonu i przeniósł go na koleżankę, która przysuwała sobie krzesło do niego.

– Znasz się nie tylko na wampirach, ale i na bóstwach.

– Zamiast się ze mnie śmiać, lepiej sprawdźmy, co słychać w telefonie Patryka.

– To był komplement – powiedział Żuchowski, klikając w menu urządzenia.

Ikony w telefonie były posegregowane kategoriami. Na górze znajdowały się trzy aplikacje pozwalające na dostęp do banku. Poniżej dwie aplikacje do słuchania muzyki i oglądania filmów online. Żuchowski przesunął palcem w lewo. Na drugiej stronie menu znajdowały się aplikacje biurowe, a tuż pod nimi aplikacje do randkowania.

Policjant kliknął w tę, za pośrednictwem której komunikował się z mężczyzną. Aplikacja informowała, że XYZ ma otwartych trzydzieści siedem konwersacji.

– Ewidentnie lubi blondynki – powiedział Żuchowski, przesuwając nagłówek konwersacji – są rażąco podobne do siebie.

– I wyglądają jak ofiary Łowcy – dodała Blacha.

W większości rozmów XYZ'ta policjanci odnaleźli podobną do znanej sobie retorykę wypowiedzi. Młode kobiety, żaląc się na swoje życie, otwierały się przed człowiekiem, który bardzo chętnie udzielał im rad i wspierał. W rozmowach mężczyzna nigdy nie mówił o sobie. Nawet pytany wprost lawirował i udzielał niejednoznacznych lapidarnych odpowiedzi.

– Michalczuk twierdzi, że unikanie reakcji na pytania wiąże się z jakąś obsesją XYZ'ta. To znaczy Patryka – poprawił się Żuchowski.

– Mówił z jaką? – Blacha zdała sobie sprawę z irracjonalności pytania dopiero po jego wypowiedzeniu na głos.

– Najprawdopodobniej skrywa jakiś sekret i boi się, że ktoś go rozgryzie i dlatego chowa się za tymi wszystkimi mądrościami.

– A może boi się zostać uznanym za głupiego?

Ed wydał wargi w geście dezaprobaty.

W trakcie czytania kolejnych wiadomości uwadze policjantów nie uszedł fakt, iż mężczyzna często zwyczajnie kopiował swoje wypowiedzi.

– W jednym się nie myli. – Żuchowski przerwał ciszę. – Kobiety same proponowały mu spotkania.

– Nie dziwię się, jeśli mam być szczerą. W tych rozmowach jest coś, co przyciąga młode kobiety. W naszym społeczeństwie od najmłodszych lat wmawia się dziewczynkom, że dojrzewają szybciej od chłopców. Dzięki temu dwudziestoletnia dziewczyna myśli, że jest już dojrzałą kobietą. Nie wpadnie na pomysł, że to tylko hormony. Nagle na drodze takiej zagubionej osoby pojawia się mądrze brzmiący mężczyzna, który ją rozumie. Opowiada o ezoteryce, a przede wszystkim erotyce, wiedząc, że kobiety również chcą seksu.

– A faceci o tym nie wiedzą?

– Myślę, że nieliczni. Większość żyje w przekonaniu z czasów szkoły podstawowej, gdy dziewczyny nie dawały się obmacywać na przerwach, bo

twierdziły, że nie są zainteresowane chłopcami.

– Czyli uważasz, że kluczem do kobiet jest słuchać ich seksualnych potrzeb?

– Myślę, że jest to również klucz do mężczyzn.

Gdy Żuchowski sprawdzał historię przeglądarki internetowej przeszłuchiwanego, Blacha oparła się o krzesło, żeby dać odpocząć plecom. Od kiedy wyszła z sali przesłuchań, minęło ponad pół godziny, a Patryk ani razu nie zmienił pozycji i wciąż siedział w wygodnej pozycji i spokojnie oddychał. Policjantka pomyślała przez chwilę, że być może mężczyzna zna jednak swoją przyszłość i jest spokojny o to, że niebawem zostanie wypuszczony z powodu braku dowodów.

W historii jego przeglądarki bardzo często pojawiały się strony z aukcjami internetowymi. Ed kliknął w jedną, strona internetowa zakomunikowała błąd czterysta cztery i przekierowała policjanta na stronę główną. Żuchowski nie był zdziwiony, że jest zalogowany do portalu aukcyjnego. Google było tak pewne swoich zabezpieczeń, że nie rekomendowało wylogowywania się na swoim urządzeniu.

– Cofnij na poprzednią stronę. Widzisz?

Żuchowski przyglądał się transakcjom, szukając tej, która zainteresowała Blachę. Czytając nagłówek, jego serce też przyspieszyło. Kliknął, żeby wejść w szczegóły transakcji, z których wynikało, że na przestrzeni miesiąca Patryk nabył od tego samego sprzedawcy ponad czterdzieści litrów lizolu.

– Jestem chyba zmęczony, że nie zauważyłem tej aukcji – tłumaczył się przed koleżanką. – Dobrze jednak, że ty ją wypatrzyłaś.

– Czy da się sprawdzić adres dostawy?

Po kilku błędnych kliknięciach przed oczami policjantów pojawiły się szczegółowe dane mężczyzny, którego zatrzymali. Jako adres dostawy Patryk Nikodemski wskazał Piotrków Trybunalski pod Łodzią.

– Aukcja internetowa to zdecydowanie za mało, żeby zrobić przeszukanie – powiedziała rozczarowana Blacha.

– Aukcja internetowa tak – rzucił podekscytowany Żukowski – ale kontakt o nazwie „Jabłońska Zuza” to już bardzo poważna sprawa.

Blacha spojrzała na kolegę. Ed oddychał głęboko, przeszukując kolejne kontakty.

Policjantka wiedziała, że jeśli numer telefonu zapisany w książce telefonicznej Patryka potwierdzi się z tym, którego używała Zuzanna Jabłońska, druga ofiara Łowcy, będą mogli wystąpić o areszt dla mężczyzny zatrzymanego w parku.

– Masz coś jeszcze?

– Pozostałe kontakty są zapisane skrótami. Trzeba sprawdzić po numerach telefonu. Można też ściągnąć billingi i sprawdzić historię połączeń – odpowiedział Ed, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Przedyktuj numer.

– Czyj? – Żuchowski spojrzał na koleżankę.

– Zuzy Jabłońskiej z kontaktu. Zadzwoń do niej. Jeśli ktoś odbierze.

Kiedy Ed dyktował ostatnią cyfrę numeru, Blacha poczuła, jak dreszcz niepewności przebiega jej po plecach. Z jednej strony pragnęła zakończenia sprawy i powrotu do domu, z drugiej nie wierzyła, że złapanie seryjnego mordercy może okazać się tak łatwe.

Nacisnęła zieloną słuchawkę. Na ekranie komórki pojawił się napis „łączenie”.

– Może być problem z zasięgiem – zauważył Żuchowski.

Po kilku sekundach telefon nawiązał połączenie z siecią, która informowała, iż abonent jest czasowo niedostępny i prosiła o kontakt w późniejszym terminie.

Policjanci próbowali kilkakrotnie nawiązać połączenie, za każdym razem osiągając ten sam rezultat. Żuchowski oparł się o krzesło i spojrzał pytającym wzrokiem na Urszulę Krawczyk.

– Nie mamy pewności, czy to druga ofiara Łowcy, czy zbieżność danych – przyznała Blacha.

– Trzeba to sprawdzić – stwierdził Żuchowski, podnosząc się krzesła.

Kilka sekund po wyjściu Eda z pokoju Blacha przesiadła się na jego miejsce. Chciała wykorzystać czas, żeby znaleźć informacje na temat Patryka Nikodemskiego. W wyszukiwarce Google po wpisaniu imienia i nazwiska podejrzanego wyskoczyło jej ponad dwanaście tysięcy haseł. Czytanie ich nie miało sensu, dlatego klikała

w obrazach. Zawsze tak robiła, gdy czegoś szukała. Algorytm internetowego giganta lepiej opisywał grafiki niż słowa. Przewijając stronę z obrazami w dół, nie znalazła niczego, co łączyłoby się z przesłuchiwanym mężczyzną. Przeszła więc na media społecznościowe. Poczła lekką irytację, gdy okazało się, że do przeszukania zawartości Facebooka trzeba się zalogować. Wzięła głęboki oddech i wpisała swój login i hasło. Witryna poprosiła jeszcze o wybranie kilku obrazków, na których jest samochód, aby policjantka udowodniła, że nie jest robotem, i po chwili niebieska strona pełna reklam, zdjęć znajomych, na których głównie są ich dzieci, była otwarta.

Blacha zauważyła, że ma dziewięćdziesiąt dziewięć powiadomień i trzy wiadomości do odczytania. Siłą nawyku kliknęła w wiadomości. Dwie pierwsze nie były istotne. Jedna z koleżanek zapraszała na kawę i skarżyła się na brak kontaktu, w drugiej jakaś obca osoba przesyłała łańcuszek grożący śmiercią w przypadku nieudostępnienia tegoż. Trzecia przyprawiła policjantkę o skurcz żołądka.

 Nie odzywałem się, bo potrzebowałem czasu, żeby przeanalizować to, co zaszło między nami. Zarzucałaś mi egoizm, nie widząc moich potrzeb. Ty miałaś swoją pracę, sławę w lokalnych mediach, a z czasem stałaś się ogólnopolską gwiazdą ścigającą bandytów. Po przepracowaniu tego z psychologiem wiem, że podświadomie mściłem się na tobie. Mówiąc wprost, zazdrościłem ci sukcesu.

 W owym czasie nie wierzyłem, że go odniosę...

Blacha przestała czytać wiadomość. Oparła się o krzesło, ślepo patrząc w monitor. Nie zauważyła nawet, jak do oczu napływają jej łzy. Do czasu przeczytania tej wiadomości była przekonana, że jej miłość do tego człowieka zakończyła się dawno, a jedyne, co do niego czuje, to niechęć. Zastanawiała się nawet, czy odpisać, ale skrajnie różne emocje przebiegające po jej głowie nie

pozwalają na logiczną odpowiedź. Policjantka otarła oczy z łez, głęboko wciągając powietrze. Chciała usunąć wiadomość, lecz wewnętrzna tęsknota okazała się silniejsza.

Facebook miał zdecydowanie większą bazę użytkowników o nazwisku Nikodemski niż Google. Blacha przejeżdżała coraz niżej, powoli tracąc nadzieję. Wybiórczo klikała w osoby bez zdjęć, aby sprawdzić, czy da się wyczytać coś z ich profili. Na jednej z podstron wyczytała, że użytkownik, który nie zamieszcza żadnych treści o sobie, zarządza stroną „Kami Adalah Tuhan”. Mimo iż orientalnie brzmiąca nazwa niczego nie mówiła policjantce postanowiła przejść na stronę, która w swojej miniaturce miała tę samą postać, którą Patryk Nikodemski na tapecie telefonu.

Strona Patryka Nikodemskiego była obserwowana przez ponad dwieście tysięcy osób. Autor publikował obszerne teksty, dotyczące zagadnień życia i śmierci. W jego twierdzeniach Blacha nie znalazła nic, co byłoby jej nieznanym.

Wychowywała się w małej wsi, gdzie niedzielna msza była obowiązkowym wydarzeniem i do uczestnictwa w niej zmuszała ją matka. Jako nastolatka zaczęła ćwiczenia jogi. Wtedy po raz pierwszy miała kontakt z osobą, która nie negowała żadnej religii i nie narzucała jakiegokolwiek wiary. Blacha poszukująca w owym czasie swojej tożsamości chętnie chodziła na zajęcia. Po roku regularnego uczestnictwa zaczęła zgłębiać religie świata. Nie była jednak osobą wierzącą. Nigdy też nie nazywała boga. Na bazie wielu doświadczeń zbudowała maksymę, której trzymała się przez całe dorosłe życie.

– Możesz robić wszystko, tylko nie krzywdź – powiedziała nieświadomie na głos.

– Słucham?

Blacha spojrzała za siebie. Przy drzwiach stał Żuchowski z aktami w ręku.

– Właściwie to nic – powiedziała z uśmiechem – co z tym numerem?

Żuchowski położył dokumenty przed Blachą. Poczowała woń świeżo wypalonego papierosa, która mieszała się z perfumami i miętowym zapachem gumy do żucia.

– Zadzwoń do matki Zuzanny Jabłońskiej. Numer, który znaleźliśmy, należał do jej córki.

Blacha chciała zapytać, czy kolega sprawdził kolejne numery. Nim jednak otworzyła usta, Ed oznajmił z poważną miną.

– Na dole jest kobieta, która złożyła właśnie zawiadomienie o zaginięciu córki. Podobno dziewczyna miała jakieś sprawy w Katowicach. Dzisiaj po południu zadzwoniła do matki, że wraca. Miała być w Łodzi o tej samej godzinie co Patryk. Kobieta czekała na dworcu na córkę, która nie wysiadła z pociągu.

– Rozmawiałeś z tą kobietą?

– Zamieniłem z nią jedynie kilka zdań. Powiedziałem jej, że my również byliśmy na dworcu i wiemy, iż pociąg wjechał na inny niż zapowiadany peron. Zasugerowałem, żeby sprawdziła, czy córka jest w domu.

– Córki pewnie w domu nie ma i telefon nie odpowiada. Prawda?

– Numer telefonu jej córki jest w telefonie Patryka Nikodemskiego. – Żuchowski spojrział na mężczyznę siedzącego spokojnie za weneckim lustrem.

XVI

Szum w głowie kobiety mieszał się z gwizdem przejeżdżających opodal pociągów. Dagmara Kocik otworzyła z trudem przyzwyczajające się do półmroku oczy. Przed sobą nie widziała niczego poza wysoko rosnącą trawą .

Skrepowane na plecach ręce przysparzały jej dodatkowego bólu, każde szarpnięcie tylko go wzmagало. Mimo to próbowała. Kiedy mechanizm krępujący zaciągnął się tak mocno, iż przeciął poharataną skórę, a kobieta poczuła ciekącą strużkę świeżej krwi, poddała się, układając głowę na ziemi.

Pozycja, w której była skrepowana, uniemożliwiała jej sprawdzenie, co dzieje się z nogami, którymi nie mogła poruszać. Przez chwilę pomyślała, że jest sparaliżowana. Odeгнаła jednak tę myśl, szybko zdając sobie sprawę, że w przypadku przerwania rdzenia nie czułaby ostrego bólu. Ku własnemu zdziwieniu nie panikowała. Przysłuchiwała się otoczeniu, próbując rozpoznać docierające do niej hałasy. Była pewna, że słyszy ulicę i przejeżdżające pojazdy. Nie była jednak pewna, czy to tramwaj, czy pociąg minął ją chwilę wcześniej.

Kobieta patrzyła na kołyszącą się na wietrze trawę, obierając plan działania. Poruszyła ciałem, sprawdzając, czy uda jej się doczołgać do ulicy, którą słyszy w oddali. Po kilku ruchach, okraszonych łzami bólu przesunęła się o kilka centymetrów.

Łapiąc oddech omiotła wzrokiem przód ciała. Rozdarcie na koszulce z logo Guns N' Roses odkrywało fiszbinowy stanik. Dagmara mimowolnie przypomniała sobie ciepły letni wieczór, w którym dostała go jako prezent od Tomka. Byli ze sobą wtedy od kilku tygodni.

Na odgłos nadjeżdżającego pociągu kobieta uniosła głowę. Skład mijał ją w zółwym tempie. W oświetlonych wagonach zauważyła ludzi podnoszących się

z miejsc i zdejmujących bagaże. Dagmara Kocik uświadomiła sobie, że musi być blisko dworca. Pomyślała, że gdyby ktokolwiek z pociągu ją zobaczył, byłaby uratowana. Zbierając całe siły, dźwignęła swoje ciało do góry, wciskając tym samym złamaną kość piszczelową w brudną ziemię. Aż zawyła w bólu i straciła przytomność. Nie ocuciły jej nawet pierwsze krople zaczynającej się letniej burzy.

XVII

Stojąc z kubkiem gorącej kawy w ręku, Żuchowski przypatrywał się przez weneckie lustro spokojnie siedzącemu mężczyźnie.

– Przeprowadziłem kilkaset przesłuchań – zagał, upijając łyk kawy – ludzie wezwani w charakterze świadków mieli czerwone twarze i przyspieszony głos. Wiedzieli, po co przychodzą, a i tak byli mocno zdezorientowani.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie rozumiesz, dlaczego on – Blacha spojrzała na Patryka Nikodemskiego – siedzi spokojnie i drzemie?

Żuchowski przytaknął głową.

– Z początku myślałam, że wciela się w rolę i gra spokojnego. Potem obejrzałam jego filmy w internecie i jest na nich taki sam. – Blacha podniosła się z krzesła i podeszła do Żuchowskiego. – Myślę, że on po prostu tak mocno uwierzył w swoją wyjątkowość, że ten spokój jest prawdziwy.

– Czyli tak, jak mówiłem wcześniej, lepiej, żeby obejrzał go Michalczuk. – Ed puścił porozumiewawczo oczko do koleżanki.

– Myślę, że lepiej, jak obejrzą go technicy i pobiorą materiał DNA do porównania z naskórkiem spod paznokcia Karoliny Grodzkiej.

– Jada – powiedział Ed Żuchowski, upijając kolejny łyk kawy.

Blacha pokiwała głową z aprobatą i podeszła do drzwi prowadzących do sali przesłuchań.

– Proszę – powiedziała, przepuszczając przed sobą Żuchowskiego.

Patryk Nikodemski nie zwrócił uwagi na wchodzących policjantów. Miał na wpółprzymknięte powieki i siedział wygodnie oparty.

– O czym myślisz, Patryku? – zagała Blacha.

– O niczym.

– Da się myśleć o niczym?

– Wiedziałem, że się zdziwisz. Ludzie przeważnie stale o czymś myślą. Skupiają się na swojej przeszłości, jakby bali się, że o niej zapomną.

– Często chcą zapomnieć – wtrącił Żuchowski.

– Skoro chcą zapomnieć, to po co o niej tak usilnie myślą? Wertują kolejne scenariusze sytuacji, które miały miejsce w dalekiej przeszłości lub martwią się o przyszłość. Stale unikają teraźniejszości.

– Może chcą zrozumieć przeszłość lub czemuś zapobiec w przyszłości.

– Przeszłość rozumie się sama przez się. Jezus mawiał: „nie troszczcie się więc zbyt o jutro, bo jutrzejszy dzień sam o siebie troszczyć się będzie”.

– Dostyc ma dzień swojej biedy – dodał Żuchowski. – Ewangelia świętego Mateusza rozdział szósty, wers dwudziesty czwarty do trzydziestego czwartego.

– Zbytne troski Mateusza dwadzieścia pięć do trzydzieści cztery. – Mężczyzna poprawił policjanta, uśmiechając się serdecznie.

– Czym zatem jest przyszłość, Patryku? – zapytała Blacha spokojnym tonem.

– Przyszłość to teraźniejszość odsunięta w czasie. – Patryk założył nogę na nogę i kontynuował: – Życie zawsze toczy się teraz, a najlepszym na to dowodem jest oddech. Nie oddychasz wczoraj ani jutro. To zawsze dzieje się teraz.

Blacha pokiwała głową, dając znak rozmówcy, że rozumie jego punkt widzenia.

– Przyznam ci, że nigdy nie patrzyłam na upływający czas z tej perspektywy.

– Ale czas nie upływa. On po prostu jest – wtrącił mężczyzna, przerywając policjantce.

– Czyli jeśli poznałeś kogoś, to nie upłynęły lata waszej znajomości?

– Znamy się od jakiegoś punktu wymyślonego przez człowieka. Ale zawsze znamy się teraz... – Mężczyzna urwał w pół zdania, słysząc delikatne pukanie w weneckie lustro. Blacha przesunęła krzesło, przepuszczając wychodzącego z pokoju Żuchowskiego.

– Patryku – policjantka podjęła, gdy tylko zostali sami w pokoju – za drzwiami znajdują się policyjni technicy, którzy przyjechali zabezpieczyć twoje DNA. Zgodnie z przepisami mamy prawo pobrać materiał genetyczny wbrew twojej woli. Przyznam

szczerze, że nie bardzo widzę szarpaninę pomiędzy tobą a nami. Chcąc więc uniknąć takich scen, zadam ci kilka pytań, na które będę oczekiwała szczerych odpowiedzi.

Błacha spodziewała się pytań od swojego rozmówcy. Tymczasem mężczyzna milczał. Policjantka spojrzała na siedzącego spokojnie mężczyznę. Wiedziała, że można kontrolować słowa, postawę ciała i ton głosu, ale nie da się zapanować nad źrenicami. Urszula Krawczyk spojrzała w oczy swojego rozmówcy, którego źrenice były rozszerzone do granic możliwości, co odczytała jako strach.

Opierając dłonie na udach, mężczyzna nachylił się do policjantki, dając do zrozumienia, że jest otwarty na rozmowę.

– Zuzanna Jabłońska – wypowiedziała policjantka, patrząc XYZ'towi w oczy. – Co cię z nią łączyło?

– To samo, co łączy mnie ze wszystkim ludźmi, którym pomagam.

– Tylko, że tamci ludzie żyją, a Zuzanna Jabłońska została zamordowana w bestialski sposób.

– Zużka nie żyje? – Mężczyzna podniósł się z krzesła.

– Twierdzisz, że jej pomagasz, a nie wiesz, że została porąbana siekierą? – Błacha odcięła się, nie kryjąc irytacji.

– A skąd mam wiedzieć? Jestem jak psycholog. Ludzie przychodzą do mnie, kiedy mnie potrzebują. Czasami nie odzywają się przez pół roku, a potem dzwonią codziennie.

– Bierzesz pieniądze za te porady?

– Nie!

– Robisz to za darmo?

Mężczyzna spuścił wzrok i zacisnął wargi.

– Patryku – zaczęła Błacha po dłuższej chwili milczenia – aktualnie prokurator przygotowuje akt oskarżenia o morderstwo sześciu kobiet, a zaginięcie siódmej właśnie zgłoszono. Jedyнным podejrzanym jesteś ty. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji, ale grozi ci dożywotnie pozbawienie wolności.

Patryk Nikodemski podniósł wzrok. Oczy miał zaszklone, a na polikach wypieki. Palce prawej dłoni wgrzyły się tak mocno w lewą, że poleciała mu krew.

– Ja nikogo nie zabiłem – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Chcę ci wierzyć. Naprawdę, ale potrzebuję informacji od ciebie. – Blacha poklepała mężczyznę po ramieniu i kontynuowała: – Zatem, pracujesz za darmo z tymi wszystkimi ludźmi, którym pomagasz. Znalazłam cię w internecie. Twoim spojrzeniem na świat interesuje się kilkaset tysięcy ludzi. Jeśli każdy zadałby ci chociaż jedno pytanie... – Blacha urwała, widząc, że mężczyzna się rozpromienia. Spojrzała pytająco.

– Około czterystu tysięcy na YouTube, ale to nie powód, żebym kogoś zabijał. – Patryk Nikodemski przełknął głośno ślinę i oparł się o krzesło. – Nie biorę od ludzi pieniędzy. Nie są mi potrzebne. Moja matka zginęła w wypadku lotniczym i żyję z jej polisy ubezpieczeniowej. Nie każda osoba, z którą się komunikuję, zadaje mi pytanie. Czasami ludzie piszą po prostu, żeby się przywitać, a czasami jedynie, żeby powiedzieć, że robię dobrą robotę.

– Zuzannie Jabłońskiej jednak pomagałeś.

– Tak. Jej tak.

– Dlaczego jej tak?

– Bo potrzebowała tego.

Blacha uśmiechnęła się z lekką ironią.

– Dlaczego zatem aplikacja randkowa, skoro przeszło czterysta tysięcy ludzi ogląda cię w internecie?

– Przez lata patrzyłem, jak mój ojciec znęca się nad matką, a ona udaje, że nic się nie dzieje. Zawsze ładnie umalowana, dobrze ubrana z odpowiednio dobranymi perfumami. Idealna żona dla dyrektora dużej państwowej spółki. Znasz ten typ?

Urszula Krawczyk przytaknęła. Jako młoda policjantka odbywała wiele rozmów z ofiarami przemocy domowej.

– Za każdym razem, gdy w domu działo się coś złego, ona uśmiechała się w ten jeden specyficzny sposób.

– Dlatego aplikacja randkowa? Szukasz kobiet, które będą się uśmiechały jak twoja matka?

– Uciekła z domu, gdy miałem dwanaście lat. Podobno stara miłość odezwała się do niej po latach i wsiadła w pierwszy samolot do Nowego Jorku.

Blacha starała się przypomnieć sobie najgłośniejsze katastrofy lotnicze z minionych lat. Jedyna, jaka jej przychodziła do głowy, to ta, w której zginęła piosenkarka Anna Jantar. Policjantka nie pamiętała, kiedy wypadek miał miejsce, była jednak przekonana, że Patryk Nikodemski jest za młody, aby jego matka mogła lecieć tym samolotem. Nie chcąc odbiegać od tematu zabójstw, postanowiła nie poruszać tego wątku.

– Jak wyglądała twoja matka?

Mężczyzna wzruszył ramionami i zaczerpnął głęboko powietrza.

– Nie pamiętam dokładnie. Miałem dwanaście lat, wtedy człowiekowi trzydziestolatek jawi się jako starzec.

– Nie masz jej zdjęć?

– Nie. Ojciec spalił wszystko, co mu się z nią kojarzyło.

Mężczyzna wstał z krzesła i podniósł koszulkę, pokazując ciało pokryte bliznami po oparzeniach.

– Przykro mi – powiedziała Blacha – wróćmy jednak do Zuzanny Jabłońskiej.

– Zużka jest ciepłą osobą, która potrzebuje akceptacji i ojcowskiego wsparcia. I ja jej właśnie to daję za każdym razem, gdy ona tego potrzebuje. Potrafi zadzwonić o czwartej nad ranem, żeby popłakać mi do słuchawki albo żeby powiedzieć, jaki wiersz właśnie wymyśliła. Ostatnio dzwoniła, żeby opowiedzieć straszny sen, który jej się przyśnił.

– A kiedy się widzieliście ostatni raz?

– Nigdy – odpowiedział mężczyzna bez wahania.

– Nigdy?

– A co w tym dziwnego?

– Mówisz, że dajesz komuś ojcowskie ciepło, ale się z nim nigdy nie widzisz. Ktoś do ciebie dzwoni nad ranem. Spójrz na to z boku. Nie wydaje ci się to dziwne?

Mężczyzna wyduł dolną wargę i oblizał usta.

– Mnie nic nie wydaje się dziwne. Wiem, jak wygląda świat, i wiem, jacy są ludzie. Czasami zamiast dotyku, wystarczy czyjś głos lub sama świadomość, że mamy do kogo zadzwonić.

Policjantka przytaknęła skinieniem głowy. Mimo iż zgadzała się ze zdaniem swojego rozmówcy postanowiła tego nie okazywać.

– Rozumiem zatem, że Zuzanna Jabłońska była twoją przyjaciółką online i nigdy się z nią nie spotkałeś?

Mężczyzna skinął głową.

– Dagmary Kocik też nigdy nie spotkałeś?

– Dużo wiesz o moich przyjaciółkach – odpowiedział Patryk Nikodemski z udawaną pewnością siebie. – A co do Dagmary to miałem się z nią spotkać pierwszy raz dzisiaj w parku, w którym mnie zatrzymaliście.

– Z tego, co wiem, to miałeś się spotkać z niejaką Alinką – odparła Blacha, nie kryjąc irytacji.

– Jak już powiedziałem wcześniej, dużo wiesz, ale jak się okazuje niezbyt dokładnie. W parku miałem spotkać się zarówno z jedną, jak i z drugą dziewczyną, bo obie mają podobne problemy i życie. Chciałem je poznać, aby później móc wykonać na nich ustawienia osobowości. Uważam, że nie ma szybszej drogi do odzyskania równowagi i znalezienia swojego ja!

Pierwszy raz w życiu Blacha spotkała się z terapią ustawień rodzinnych w jednej z czytanych książek kryminalnych. Teoria Berta Hellingera zakładała, że poprzez odpowiednie poprowadzenie osób można pomóc im pogodzić się z traumami z przeszłości. Policjantka niesiona ekscytacją, jaką wywołała w niej książka, udała się na kilka spotkań.

– Ustawienia, o których mówisz, wykonuje się na dwóch obcych osobach. Nie spokrewnia się ich wcześniej, żeby mogły bardziej oddziaływać na podświadomość.

Mężczyzna otworzył usta, chcąc odpowiedzieć na argumenty policjantki, lecz ta podniosła rękę w geście sprzeciwu i kontynuowała.

– Nie zatrzymaliśmy cię jednak, aby poznać twoją filozofię. Dagmara Kocik jechała z tobą pociągiem, a przed godziną jej matka zgłosiła jej zaginięcie. Zapytam

cię więc raz jeszcze i dla własnego dobra radzę odpowiedzieć szczerze. – Blacha zrobiła pauzę, patrząc na mężczyznę, na którego twarzy malowało się zdziwienie i kontynuowała: – Gdzie jest Dagmara Kocik?

– A skąd mam wiedzieć, gdzie jest? Była umówiona ze mną na spotkanie. Celowo nie mówiłem jej, że będzie również Alina. Mieliśmy zrobić ustawienia w muszli koncertowej. Sprawdź mój kanał na YouTube. Mam tam film o tym. Poza tym nie wiedziałem, że jedzie ze mną pociągiem.

– Przecież jest twoją przyjaciółką! – krzychała Blacha. – A ty nie wiesz, że jedziecie jednym pociągiem?

– Dagmara powiedziała, że chce się ze mną spotkać w Łodzi po osiemnastej, bo będzie to najgorszy dzień w jej życiu. Znam jej historię, więc jej uwierzyłem.

– Jesteś takim dobrym i empatycznym człowiekiem. Twierdzisz, że zależy ci na ludziach. Powiedz zatem, gdzie jest Dagmara. Jeśli żyje, to będzie aspekt łagodzący w sądzie.

– Nie wiem, w co mnie wrabiacie. – Patryk podniósł głos. – Ja nikogo nie skrzywdziłem.

– Na dole siedzi zapłakana kobieta, na oko jest w twoim wieku, która martwi się o swoje dziecko. Pomyśl o niej. Pomyśl, Patryku, co musi czuć ta biedna matka!

– Naprawdę nic nie zrobiłem!

Mężczyzna spojrział na policjantkę i otarł zaszklone od łez oczy.

– Patryku – zaczęła Blacha spokojnym tonem – spójrz na to chłodnym okiem. Mówisz, że się z kimś przyjaźnisz i masz się z nim spotkać. Jedziecie jednym pociągiem. Ty z niego wysiadasz, a Dagmara Kocik nie. Zgodzisz się ze mną, że jest to co najmniej dziwne.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– W twoim telefonie znajduję zapisany kontakt do kobiety, która została porąbana siekierą i opowiadasz mi historię Karoliny Grodzkiej. Czy ona również potrzebowała twojej pomocy?

– Nie znam takiej osoby.

– Możesz mi wierzyć lub nie, ale naprawdę cię polubiłam i chcę ci pomóc. Nie będę mogła tego zrobić, jeśli będziesz mnie okłamywać.

– Nie okłamuję cię. Nie mam powodów, żeby kłamać. – Mężczyzna odpowiedział głosem, w którym dało się wyczuć rezygnację.

Drzwi od pokoju przesłuchań otworzyły się z impetem i stanął w nich niewysoki, otyły mężczyzna ubrany w szary, poplamiony garnitur. Oddychając ciężko, patrzył w oczy Patryka Nikodemskiego.

– Taki jesteś mądry, kurwa? – wycedził przez zęby. – To użyj tej swojej mądrości i mów, co zrobiłeś z zaginioną dziewczyną.

– Kim pan jest i kto tu pana wpuścił? – Policjantka podniosła się z krzesła, zbliżając się do otyłego mężczyzny.

– Gdzie dziewczyna? – powtórzył otyły mężczyzna, ignorując Blachę, która spojrzała pytająco na Żuchowskiego stojącego obok. Ten jedynie wzruszył ramionami.

– Dobrze, chuju. Nie chcesz gadać. Pogadamy inaczej. Zaczniemy od DNA, które obecna tu pani Krawczyk powinna była pobrać już dawno. Zatem zgodnie z artykułem siedemdziesiątym czwartym paragrafu drugiego kodeksu postępowania karnego jesteś zobowiązany do poddania się analizie DNA. Możemy cię skuć i zrobić to siłą, a możesz sam otworzyć mordę. Co wybierasz?

Blacha podeszła do Żuchowskiego, kiedy technicy policyjni pobierali DNA od Patryka Nikodemskiego.

– Jeśli powiesz mi, że to szef komendy, to dzwonię bezpośrednio do ministra sprawiedliwości – wyszeptwała.

– Obawiam się, że to on go tu przysłał – odparł policjant.

Blacha oparła się o biurko, żeby się uspokoić. Zdawała sobie sprawę z tego, że jakakolwiek próba rozmowy z szefem Żuchowskiego na temat jego wtargnięcia nie ma już ani znaczenia, ani sensu. Wiedziała, iż chwila słabości, na jaką pozwolił sobie, płacząc przy niej XYZ, była nie do odbudowania i jeśli Patryk Nikodemski jest tym, za kogo go mają, szanse na odnalezienie Dagmary Kocik zmalowały niemal do zera.

Urszula Krawczyk wciągnęła głęboko powietrze i nie żegnając się z nikim, wyszła z pokoju przesłuchań. Schodząc po schodach, wyłączyła telefon komórkowy. Nie chciała wdawać się w dyskusje z ministrem, który jak zakładała, zadzwoni niebawem, aby omówić zatrzymanie Łowcy.

Czekając, aż policjant dyżurny otworzy drzwi dzielące poczekalnię od reszty posterunku, Blacha przyglądała się stojącym tam osobom. Nie była zdzwiona tłumem, jaki panował w holu. Wiedziała, że komendy żyją głównie nocami.

Pośród wszystkich osób, którym policjantka się przyglądała, jedna zdawała się nie pasować do otoczenia. Siedząca na skrajnym krześle drobna kobieta w średnim wieku patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. Urszula Krawczyk pomyślała smutno, że matka Dagmary Kocik czeka z nadzieją na wieści o córce, nie wiedząc, że policyjna machina jeszcze nawet nie wystartowała.

Elektrozamek w drzwiach zabrzączał i policjantka pchnęła drzwi. Chciała wyjść jak najszybciej, lecz matka Dagmary Kocik spojrzała na nią najsmutniejszymi oczami, jakie kiedykolwiek widziała. Blacha podeszła do niej z lekkim uśmiechem na twarzy.

– Dobry wieczór – zagaiła – zakładam, że pani Kocik?

– Właściwie Kotlarska. Jestem po rozwodzie – odpowiedziała kobieta, podnosząc się z miejsca. – Czy ma pani jakieś informacje o mojej córce?

Blacha pokręciła przecząco głową.

– Mogę panią zapewnić, że pracujemy, aby znaleźć Dagmarę jak najszybciej – skłamała. – Podeszłam jednak do pani, aby powiedzieć, że czekanie tutaj nie ma sensu. Gdy znajdziemy pani córkę, na pewno policjant dyżurny poinformuje panią o tym.

– Jeśli nie przeszkadzam, to wolałabym tutaj poczekać. – Kobieta usiadła z powrotem na swoim krześle i założyła nogę na nogę.

Uwadze policjantki nie uszły dobrze dobrane czarne botki Versace.

– Rozumiem. – Blacha uśmiechnęła się ciepło do kobiety. – Napije się pani zatem ze mną kawy?

– Chętnie. Dziękuję – odparła mechanicznie kobieta.

– Jestem tutaj tylko gościem – usprawiedliwiła się policjantka. – Zapraszam więc do automatu.

Stojąc przy maszynie vendingowej, funkcjonariuszka przyglądała się matce Dagmary Kocik. Kobieta miała około pięćdziesięciu lat, a mimo to wyglądała na dużo młodszą, co Blacha przypisała zabiegom chirurgicznym, które dało się zauważyć na jej twarzy.

Automat zapiszczał na znak, że napoje są gotowe. Policjantka podała kobiecie cappuccino i zaproponowała wyjście na zewnątrz, na co ta zgodziła się niemal mechanicznie.

Na dworze Blacha poczuła powiew ciepłego wiatru na swojej twarzy. Lubiła ten moment. Często z Michałem spacerowali po Krakowie w środku nocy, ciesząc się spokojem, jaki panował na mieście.

– Pozwoli pani, że zapalę? – Pani Kotlarska wyrwała policjantkę z rozmyślań.

– Oczywiście. Proszę się nie krępować. Z tego, co widzę, za panią jest popielniczka. – Wskazała ręką. – Większość ludzi, którzy tutaj przychodzą, w ten właśnie sposób rozładowuje stres.

Kobieta przykucnęła, żeby odstawić kubek z kawą na ziemi i sięgnąć po papierosy. Po chwili szukania wyciągnęła złotą papierośnicę w kierunku policjantki. Blacha pomyślała, że matka Dagmary Kocik ma nie tylko pieniądze, ale i klasę.

– Dziękuję, nie palę.

Kobieta wyciągnęła papierosa dla siebie i przypaliła go, ku zdziwieniu Urszuli Krawczyk, zapalkami.

– Często Dagmara jeździła pociągami? – zaczęła Blacha, gdy kobieta się wyprostowała.

– Właściwie to była jej pierwsza wyprawa. Nalegałam, że ją zawiozę do tych Katowic, ale ona kategorycznie odmawiała.

– A wie pani, po co Dagmara tam pojechała?

– Miała jakieś swoje sprawy. – Kobieta upiła łyk kawy, krzywiąc się na jej cierpkosć.

– I nie było to dla pani dziwne?

– Nie. Moja córka zawsze chciała żyć normalnie. Rozumie pani, co mam na myśli?

Blacha spojrzała pytająco, jednocześnie dając znać głową, że nie rozumie.

– Gdy tylko Daga skończyła osiemnaście lat i uznała, że może decydować za siebie, zrezygnowała z prywatnego liceum, przenosząc się do średniej klasy państwowej szkoły. Zacisnęliśmy zęby, uznając to za młodzieńczy bunt. Tak mówił mój eksmałżonek. Maturę napisała z wyróżnieniem. W nagrodę ojciec postanowił, że będzie mogła studiować w Londynie, lecz Daga ponownie zrobiła po swojemu i poszła na dzienne studia w Łodzi. – Kobieta znowu upiła łyk kawy i tym razem, nie kryjąc obrzydzenia, wyrzuciła kubek do śmietnika. – Na czym to ja skończyłam? A tak! Na pierwszym roku studiów Dagusia się zakochała. Mówiłam jej wielokrotnie, że to nie jest partner dla niej, ale wszystko jak grochem o ścianę. Ostatnio dowiedziałam się, że wyskoczył z okna.

– Czy wiadomo, dlaczego postanowił to zrobić?

– A kto go tam wie. Może jakieś problemy z głową. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Po tych wydarzeniach zmusiłam Dagę do powrotu do domu. Niestety, nie była już tą samą osobą.

Blacha zakładała, że sposób, w jaki kobieta opowiada o próbie samobójczej chłopaka swojej córki, wywołany jest szokiem po jej zaginięciu. Miała nadzieję, że rozmówczyni jest choć odrobinę bardziej empatyczna. Postanowiła więc nie komentować tego, co przed chwilą usłyszała.

Chciała zadać kolejne pytanie, lecz nim to zrobiła, upiła łyk kawy. Widząc grymas na twarzy policjantki, pani Kotlarska odezwała się z odczuwalnym w głosie tryumfem.

– Mówiłam, że niedobra.

Policjantka przytaknęła i wyrzuciła kubek.

– Czy Dagma miała jakąś przyjaciółkę, która być może wie, po co pojechała do Katowic? – zapytał Blacha po przełknięciu cappuccino.

– Pani koledzy już mnie o to pytali. Daga nie miała przyjaciół, których przyprowadzałyby do domu. Nie umiem więc odpowiedzieć na pani pytanie. –

Kobieta przypaliła drugiego papierosa i kontynuowała: – Mnie się jednak wydaje, że cel jej podróży nie wiąże się z jej zaginięciem. Ona wsiadła do pociągu dopiero po załatwieniu sprawa w Katowicach. Ponieważ długo nie dawała znaku życia, więc zadzwoniłam do niej. Złapałam ją w chwili, gdy wsiadała do pociągu.

– Opowiadała coś? A może wyczuła pani, w jakim była nastroju?

– Dagmara nie była zbyt wylewna. Powiedziała jedynie, że wraca i o której godzinie będzie. Powiedziałam, że przyślę po nią samochód, ale kategorycznie odmówiła, twierdząc, że tuż po przyjeździe ma się z kimś spotkać.

– Czy mówiła z kim?

– Nawet jej nie zapytałam. Od kiedy stała się pełnoletnia, jej życie stało się jej życiem. Oczywiście jedynie cytuję jej zdanie. Nie chcę, aby pomyślała pani, że jestem wyrodną matką...

Kobieta zapewniała, jaką jest dobrą matką, lecz Blacha już jej nie słuchała. Zanurzyła się w swoich myślach, zastanawiając się, czy osobą, z którą umówiona była Dagmara Kocik, był zatrzymany Patryk Nikodemski, który chwilę wcześniej również o tym wspominał podczas przesłuchania. Urszula Krawczyk wiedziała, że jeśli to okazałoby się prawdą, musiałyby przyznać się do błędu, którym było oparcie całego śledztwa o rys psychologiczny Michalczuka. Psycholog zakładał, że sprawca grasuje na terenie dworca, a policjanci podążyli ślepo za tą teorią, nie szukając winnego wewnątrz pociągu.

– Słucha mnie pani w ogóle? – zapytała kobieta z lekką irytacją, wyrывая policjantkę z rozmyślenia.

– Tak. Przepraszam ciężki dzień – skłamała. – Powiedziała pani, że Dagmara wróciła do domu po wydarzeniach ze swoim chłopakiem. Gdzie zatem mieszkała?

– Eksmałżonek kupił jej apartament z widokiem na park. Zupełnie nie wyglądało to jak mieszkanie w Łodzi. Dagmara nie spędziła tam nawet dwóch dni, bo uznała, że jej się nie podoba. Podziękowała i zamieszkała w akademiku na Lumumbowie.

– Zakładam, że nie dopytywała pani o numer pokoju.

– Nie musiałam jej pytać. Byłam u niej kilka razy, za każdym razem próbując ją przekonać, aby jednak wróciła do mieszkania przy parku. Numer pokoju utkwił mi w pamięci, bo składał się z kombinacji cyfr, które bardzo źle mi się kojarzą. Mianowicie jeden dwa osiem.

Na twarzy kobiety rysowała się niecierpliwość, jaką policjantka skojarzyła z małym dzieckiem, które czeka, drepcząc w miejscu, aby zadać mu pytanie, na które zna odpowiedź.

Blacha nie chciała wdawać się w dalszą dyskusję z matką zaginionej dziewczyny. Czuła, jak ogarnia ją znużenie i zapragnęła wrócić do hotelu i położyć się spać.

– Jutro z samego rana pojadę do akademika i spróbuję się czegoś dowiedzieć. Być może uda mi się zdobyć namiar do kogoś z przyjaciół pani córki.

Kobieta chciała odpowiedzieć, lecz przerwała w połowie wypowiedziane słowo, gdy obok niej stanął komendant.

– Mówiłem ci, kochana, że czekanie nie ma sensu. – Mężczyzna zwrócił się do pani Kotlarskiej, łapiąc ją za rękę. – Osobiście wszystkim się zająłem. Rano mam mieć wyniki DNA mężczyzny, którego udało nam się już zatrzymać.

– Wolałam zostać na wypadek, gdybyście mnie potrzebowali.

– Rozumiem. Gdyby chodziło o moją córkę, też bym nie ruszył się z miejsca. Myślę jednak, że teraz nie będziesz potrzebna na miejscu i możesz jechać do domu. Być może Dagmara wróci i sprawa się sama rozwiąże.

– Tak zrobię. Obiecaj jednak, że gdybyś się czegoś dowiedział, to do mnie zadzwonisz! – Kobieta zakończyła zdanie trybem rozkazującym.

– Nie muszę obiecywać. To się rozumie samo przez się! – Komendant uderzył się w pierś. – Dojedziesz sama, czy mam kogoś z tobą wysłać?

– Mam kierowcę. Dziękuję za troskę.

Matka Dagmary Kocik uścisnęła rękę komendanta i odeszła bez słowa pożegnania z policjantką. Gdy luksusowy SUV odjeżdżał spod komisariatu, Blacha zauważyła niebieskie tablice rejestracyjne. Nie była pewna, czy numery powyżej

pięćset oznaczają służbowe pojazdy rządowe, ale poddańczy ton komendanta i jego reakcja zostały właśnie wyjaśnione.

– Nie zamierzam się pani tłumaczyć. Chcę, aby jednak pani wiedziała, że rozumiem pani zdenerwowanie. – Komendant zwrócił się do Blachy, odprowadzając wzrokiem odjeżdżający samochód. – Chcę również, aby wiedziała pani, że normalnie się nie wpierdalam w przesłuchania. Tutaj sprawa staje się międzynarodowa.

Urszula Krawczyk wzruszyła jedynie ramionami i nie odpowiadając, ruszyła w kierunku ulicy, gdzie chciała złapać taksówkę.

– Krawczyk! – Zatrzymała się, słysząc głos mężczyzny za swoimi plecami. – Dla dobra nas wszystkich, lepiej, żeby ta dziewczyna znalazła się cała!

Ponownie nie odpowiadając, przyspieszyła kroku. Chciała, jak najszybciej znaleźć się poza wzrokiem komendanta.

Blacha rozejrzała się wzdłuż ulicy, którą kilka godzin temu przyjechali z Żuchowskim do komisariatu. Wówczas zakorkowana droga w środku nocy okazała się być pustą.

W pierwszym odruchu policjantka sięgnęła po telefon, aby znaleźć w internecie numer do taksówkowej korporacji. Po chwili jednak wpisała adres hotelu w GPS, który okazał się być oddalonym od komisariatu o pół godziny spacerem. Blacha przyjrzała się mapie i schowała telefon. Miała iść cały czas prosto i przy galerii handlowej skrócić w prawo. Wyludniona ulica miała w sobie ogromny spokój. Blacha pomyślała, że właśnie tego potrzebowała. Z każdym kolejnym krokiem zapomniała o bólu pleców, coraz bardziej oddając się radości ze spaceru i widoków miasta, jakie ją otaczały. Przystanęła pod oświetlonym kościołem, przyglądając się łukowatej fasadzie. Nie była pewna, czy łuki są charakterystyczne dla baroku, czy renesansu, gdy z myśli wybił ją męski zachrypnięty głos.

– Dobry wieczór! Zgubiła się pani?

Policjantka obejrzała się. Gdy poczuła odór moczu i alkoholu, jakim zionął mężczyzna, cofnęła się o krok.

– Czemu bym miała?

– Jest środek nocy, kurka wodna. Nie wygląda pani, kurka wodna, na kogoś, kto nie ma na taryfę, a obserwuję, że pani idzie aż od komendy.

– Jest pan dobrym obserwatorem, bo ja pana nie widziałam.

– Nie mogła pani, kurka wodna, bo ja mieszkam tam na pierwszym piętrze, a pani, kurka wodna, patrzyła tylko przed siebie. – Mężczyzna wyciągnął palec, żeby wskazać miejsce swojego zamieszkania.

Blacha zwróciła uwagę na jego palec. Nie była obrzydliwa, lecz ucieszyła się, że dawno nie jadła.

– Powinien pan pokazać ten gnijący palec lekarzowi.

– Byłem, kurka wodna, ale mnie nie przyjęli. – Mężczyzna roześmiał się serdecznie, pokazując braki w uzębieniu.

– Rozumiem. A proszę mi powiedzieć, w jakim celu mnie pan właściwie obserwował?

– Dla pani bezpieczeństwa.

– Czyli grozi mi niebezpieczeństwo i pan postanowił mnie ostrzec?

– Dokładnie, kurka wodna. Jeśli skręciłaby pani w tamtą ulicę, nie goniłbym pani, ale że zdecydowała się pani iść prosto, musiałem reagować, kurka wodna.

– Co mi zatem grozi?

– Ulicę dalej, kurka wodna, stoi trzech chłopaków. Rozumie pani, kurka wodna, co mogą pani zrobić?

Blacha pokręciła głową przecząco.

– Zgwałcić, kurka wodna. Proponuję zatem iść w stronę stacji benzynowej. Równoległe, kurka wodna, ma pani Piotrkowską i tam pełno kamer i jakaś psiarnia się też nawinie, kurka wodna.

– Skąd pan wie, że tam stoi jakiś element?

– Mieszkam tutaj, kurka wodna.

– Jest pan z Łodzi od urodzenia?

– Tak, a co?

– A mówi coś panu nazwisko Kotlarska?

– Nie, kurka wodna

– A Kocik?

– No mówiłem mojej, kurka wodna, że pani na pewno nie z Łodzi. Każdy zna tutaj Kocików, kurka wodna.

– A może mi pan coś o nich opowiedzieć?

– A znajdzie pani kilka groszy? W gardle zaschło, jak za panią biegłem.

Blacha sięgnęła do kieszeni i podała mężczyźnie banknot pięćdziesięciozłotowy.

– Dziękuję! – wykrzyknął, chowając pieniądz do kieszeni. – Na czym to ja?

– Kocik.

– A tak. Kociki to takie ciche skurwysynki. Na pewno wie pani, o czym mówię. W latach dziewięćdziesiątych, kurka wodna, był bum na plastikowe okna. Pamięta pani pewnie. No! To oni najpierw, kurka wodna, przywozili te okna z Niemiec, a po jakimś czasie, kurka wodna, postawili wielką fabrykę pod Łodzią. Sam mam okna od nich, kurka wodna. Mieli kupę kasy, kurka wodna, ale takim to zawsze mało i zaczęli budować galerie handlowe.

– Czyli są przedsiębiorcami i dlatego są znani.

– A chuj tam przedsiębiorcami, kurka wodna. Zwykli prywaciarze, kurka wodna. A znani są za sprawą starej Kocikowej.

– Dlaczego?

– Ona nosiła tam spodnie, kurka wodna, i gdy nadarzyła się okazja, zrobiła sobie bachora z jakimś Szwajcarem. Dyplomatą jakimś chyba był, kurka wodna. Potem biznes Kocikom szedł jak nigdy wcześniej. Kupili grunty pod miastem, kurka wodna, i mają teraz przy autostradach wielkie magazyny, kurka wodna. Czemu pani o to pyta?

– Dziękuję za miłą rozmowę i ratunek! – rzuciła, zaczynając biec do taksówki, która właśnie zatrzymała się na skrzyżowaniu.

– Hilton – powiedziała do kierowcy, gdy tylko zamknęła za sobą drzwi.

Mijając miejsce, przed którym ostrzegął ją mężczyzna, spojrzała w lewo. We wspomnianej bramie rzeczywiście stało trzech nieciekawie wyglądających

mężczyzn. Policjantka pomyślała, że opatrność nad nią czuwa i uśmiechnęła się do tej myśli.

Tej nocy Blacha spała niespokojnie. Śnił jej się krakowski rynek, na którym spotkała Michała w towarzystwie jej matki. Gdy policjantka chciała zapytać, dlaczego jej były chłopak spotyka się z jej matką, para zaczęła się całować. Następnie przeniosła się z powrotem do Łodzi, w której uprawiała seks z grupą nieznanymi mężczyzn w bramie, krzycząc z rozkoszy. Gdy zdała sobie sprawę z tego, że jednym z nich jest Żuchowski, obudziła się zlaną potem.

Urszula Krawczyk przecierała oczy, próbując wymazać z głowy obraz ze snów. Spojrzała na zegarek, który wskazywał godzinę siódmą trzydzieści dwie. Mimo iż spała niespełna pięć godzin, czuła, że dalsza próba snu nie ma najmniejszego sensu.

Podniosła się z łóżka i sięgnęła do torebki, wygrzebując z niej telefon. Po wpisaniu czterocyfrowego numeru pin telefon zawibrował na znak uruchamiania systemu operacyjnego.

Blacha wyglądała przez okno, czekając, aż mały ekspres znajdujący się w wyposażeniu pokoju zaparzy kawę. Po raz kolejny park po drugiej stronie ulicy przywołał w niej wspomnienia Paryża.

Upijając łyk kawy, odczytywała wiadomości w telefonie. Pierwsza z nich była od operatora, który informował, że w nocy Żuchowski kilka razy próbował się z nią skontaktować, w końcu zostawił wiadomość na poczcie głosowej. Blacha nacisnęła zieloną słuchawkę i po chwili w głośniku usłyszała głos kolegi.

Jak tylko odsłuchasz wiadomość, oddzwon do mnie!

Patryk Nikodemski uciek!

Blacha poczuła, jak krew odpływa jej z mózgu. Drżącą dłonią wybierała numer Żuchowskiego, gdy jej telefon zawibrował. Na wyświetlaczu rozpoznała numer

ministra. Odebrała. Obawiając się krzyku po drugiej stronie, odsunęła słuchawkę od ucha.

– Dzień dobry, panie ministrze – powiedziała zachrypniętym głosem.

– Czy może mi pani wyjaśnić, jakim cudem łapie pani Łowcę i do mnie od razu nie dzwoni?

– Po pierwsze, to nie wiemy, czy to Łowca. Po drugie, nie dzwoniłam, bo skończyłam przesłuchanie w środku nocy.

– Zatem powiem pani, że to Łowca, bo mam wyniki porównania DNA zatrzymanego przez panią człowieka z naskórkiem znajdującym się pod paznokciami Karoliny Grodzkiej.

– Czy to prawda?

– Sugeruje pani, że nie umiem czytać, czy że panią okłamuję?

– Przepraszam. Niczego nie sugeruję. Po prostu jestem w szoku.

– W szoku to zaraz pani będzie, jak się pani dowie...

– Że mężczyzna uciekł – dokończyła za ministra.

– I to właśnie moje drugie pytanie. Jak mógł uciec?

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze. – Gdy ja wychodziłam z komendy, Patryk Nikodemski tam jeszcze był.

– To po chuj pani z niej wychodziła? – Minister zacisnął zęby.

– Zostałam przegoniona przez komendanta.

– Byłego komendanta chciała pani powiedzieć.

Blacha nie odpowiedziała. W głębi jednak cieszyła się, że mężczyzna, który przerwał jej przesłuchanie, został zwolniony.

– Chciałbym, aby pani znalazła dla mnie tego człowieka, tak jak już raz pani to zrobiła. Gwarantuję pani, że nagroda będzie wielka.

– Właściwie pomysł na namierzenie Łowcy był Eda Żuchowskiego.

– Oczywiście razem z nim będzie pani pracować. Z tego, co wiem, to naprawdę dobry policjant. Jego nagroda również nie ominie. To się chyba rozumie samo przez się.

Blacha nie odpowiedziała.

– Zatem do zobaczenia niebawem, bo jestem dzisiaj na konferencji prasowej w Łodzi.

– Panie ministrze! – krzyknęła do głuchej słuchawki.

Urszula Krawczyk patrzyła na wygaszony ekran telefonu. Zastanawiała się, czy najpierw powinna zadzwonić do Żuchowskiego, czy jednak wziąć prysznic. Podniosła prawą rękę i stwierdziła, że kąpiel nie może czekać. Spała w ubraniu, co oznaczało, że strój, w którym była, miała na sobie ponad dobę.

Blacha zrzuciła ubrania na ziemię i nago poszła do łazienki. Odkręcając wodę pod prysznicem, usłyszała dzwonek telefonu. Mając wrażenie, że sygnał pochodzi z pomieszczenia, w którym się znajduje, rozejrzała się dookoła. Tuż nad wanną wisiał hotelowy telefon, którego wcześniej nie widziała. Podniosła słuchawkę.

– Pani Urszula Krawczyk? – Damski głos bardziej stwierdzał, niż pytał.

– Tak.

– Przepraszam, że niepokoję tak wcześnie, ale jest tu, to znaczy w recepcji, policjant, który prosił, abym do pani zadzwoniła.

– A powiedział, jak się nazywa?

Blacha usłyszała, jak kobieta pyta mężczyznę o imię i nazwisko.

– Żuchowski.

– Proszę mu podać słuchawkę.

– Cześć – powiedział Ed zdenerwowanym głosem. – Dzwoniłem do ciebie, ale bezskutecznie, więc postanowiłem przyjechać.

– Wiem, że dzwoniłeś. Przed chwilą skończyłam rozmowę z ministrem i chciałam wziąć szybki prysznic. Możesz wejść do mnie do pokoju albo poczekać chwilę.

– Wolałbym wejść i pogadać w cztery oczy. Czekać, zapytam, czy mnie wpuszczą.

Ed spokojnym głosem zapytał recepcjonistki, czy może wejść do pokoju koleżanki. Dowiedział się, iż jedyne, co musi zrobić, to podać swoje dane, aby odebrać elektroniczny klucz do windy.

– Słyszałaś?

– Tak! Zostawiam otwarte drzwi i sama wskakuję pod prysznic.

Blacha wyszła z łazienki ubrana jedynie w szlafrok. Ed, siedząc na kanapie, spojrzał na koleżankę i się do niej uśmiechnął na przywitanie.

– Przepraszam. Musiałam się wykapać, bo po prostu śmierdziałam.

Policjant pokręcił głową i nie zważając na strój koleżanki, zaczął jej opowiadać, co się wydarzyło minionej nocy.

– Komendant stwierdził, że do czasu wyniku badań DNA i zgody sądu na przeszukanie mieszkania Nikodemski zostanie przewieziony do aresztu śledczego. Auto podjechało pod samą komendę. Nie było sensu ściągać asysty, więc kilku policjantów będących na dyżurze zabezpieczało transport w komendzie. Facet szedł spokojnie i nie odzywał się ani słowem. Wsiadł do budy i auto odjechało.

– To kiedy uciekł?

– Jeszcze nie wiadomo kiedy, ale wiadomo jak. – Żuchowski przełknął ślinę, jakby krępował się tego, co ma powiedzieć. – Tylne drzwi były niedomknięte, więc Patryk Nikodemski wysiadł jak z taksówki.

Blacha usiadła na skraju łóżka. Sama nie wiedziała, czy bardziej z niemocy, czy zażenowania, jakie poczuła na wieść o braku odpowiedzialności kolegów Żuchowskiego.

– A jego mieszkanie w Piotrkowie?

– Mieszkanie obstawione, dworzec też. Każdy patrol ma zdjęcie i opis, ale zapadł się pod ziemię. – Żuchowski założył nogę na nogę. – Mam nadzieję, że DNA będą różne z tymi, które technicy znaleźli pod paznokciem Karoliny Grodzkiej.

– Minister twierdzi, że są identyczne.

– To wyjaśnia, dlaczego chciał się z nami spotkać przed konferencją prasową.

– A gdzie i o której?

– Za pół godziny. W tym hotelu.

Blacha pokiwała głową i spojrzała na zegarek. Dochodziła godzina ósma rano.

XVIII

Dagmara Kocik ocknęła się na odgłos zamykania metalowych drzwi. Nie była zakneblowana, uznała więc, że krzyczenie nie ma większego sensu. Zresztą nie miała nawet na to siły. Ból połamanych nóg paraliżował ją na tyle, że nie była w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Krzywiąc twarz, spojrzała na wystające kości piszczelowe, które ktoś owinął jej bandażem, żeby zatamować krew. Szarpnęła rękami i poczuła ten sam mechanizm zaciskowy na nadgarstkach, który ostatniej nocy omal nie zgilotynował jej dłoni. Postanowiła nie przysparzać sobie dodatkowego bólu.

Kobieta rozglądała się po ciemnym pomieszczeniu, próbowała odgadnąć, gdzie została zamknięta. Widząc przy drzwiach plastikowe grabie do liści oraz na jednej ze ścian niechlujnie powieszony wąż do podlewania, założyła, iż znajduje się w domku narzędziowym, jakie widywała na działkach u znajomych, gdy w czasach swoich imprez jeździła na grille pod miasto.

Dagmara Kocik zamknęła oczy i wyteżyła słuch, aby usłyszeć dźwięki dobiegające z zewnątrz. Pomimo szumu w uszach zdołała usłyszeć trele ptaków. Wstrzymała oddech, gdy uświadomiła sobie, że ktoś idzie.

Żelazne drzwi od szopy się otworzyły, wpuszczając dużą łunę światła. Dziewczyna zmrużyła oczy i spojrzała na mężczyznę stojącego w drzwiach.

– Cieszę się, że już nie śpisz!

Mężczyzna wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Miał zasłoniętą twarz i czapkę z daszkiem na głowie, lecz wydał się kobiecie znajomy. Będąc niemalże pewną, iż widziała go wcześniej, przyglądała się mu wnikliwie

– Dlaczego mi pan to robi?

– Co robię?

– Więzi mnie pan. Potrzebuję lekarza. Nie widzi pan, że mam połamane nogi!

– Wiem, że masz połamane nogi. Sam cię opatrywałem i wstrzykiwałem morfinę, żeby mniej bolało.

– Proszę mnie wypuścić. Obiecuję, że nikomu nie powiem, co się stało.

– Na pewno nie powiesz. – Mężczyzna zaśmiał się głośno. – To jak już ustaliliśmy, że musisz tutaj jeszcze jakiś czas zostać, powiedz mi, czy chcesz jeść?

– Chciałabym się czegoś napić.

Mężczyzna podszedł do stołu stojącego pod zasłoniętym oknem i wziął butelkę. Dagmara Kocik patrzyła w niebieskie oczy mężczyzny, który poił ją wodą. Ku swojemu zdziwieniu nie zauważyła w nich nienawiści ani szaleństwa.

– Dziękuję – powiedziała, dokańczając ostatni łyk. – Niech mi pan powie, jak długo mnie tu pan planuje trzymać?

– Tak długo, aż zrozumiesz swoją winę.

– Winę?

– Możesz udawać niewiniątko.

– Założmy, że już rozumiem swoją winę, czy wówczas będę mogła wrócić do domu?

– Nie chcę, żebyśmy cokolwiek zakładali! Chcę, żebyś zrozumiała!

– Ale ja naprawdę nie wiem, o co chodzi! – krzyknęła.

– Ułatwię ci zatem. Chodzi o twoje nienarodzone dziecko – powiedział mężczyzna, wbijając w ramię dziewczyny środek usypiający.

– Skąd pan to... – Dagmara Kocik nie dokończyła zdania. Środek, który jej wstrzyknął, zadziałał momentalnie.

Sprawca upewnił się, że kobieta jest nieprzytomna, naciskając na kość złamanej nogi. Gdy ta nie drgnęła, zdjął maskę z twarzy, nabierając głęboko powietrza. Usiadł na krześle, przyglądał się kobiecie i powtarzał wymyślony już wcześniej sposób nacięcia ciała tak, aby dało się je ułożyć w literę Ś. Tym razem nie musiał używać siekiery. Miał czas, a zacisze ogródków działkowych dawało mu poczucie bezpieczeństwa.

XIX

Blacha kończyła się ubierać, gdy usłyszała pukanie do drzwi łazienki i głos Żuchowskiego. Informował ją, iż na korytarzu czeka na nich człowiek z biura ochrony rządu, który ma ich zabrać na spotkanie z ministrem.

– Gotowa – powiedziała, wychodząc z łazienki.

Ed spojrzał na koleżankę ubraną w czarną kopertową sukienkę i białe trampki. Zastanawiał się, czy jego uwagę przykuwa bardziej pomieszanie stylów ubrań, które do siebie nie pasują, czy fakt, iż pierwszy raz widzi ją w rozpuszczonych włosach.

– Coś nie tak? – zapytała Blacha, widząc konsternację w oczach kolegi.

– Z czym?

– Z moim wyglądem, bo mi się tak przyglądasz.

– Absolutnie! Właśnie chciałem powiedzieć, że ładnie wyglądasz – skłamał.

– Kłamać to ty nie umiesz.

Ed nie odpowiedział. Nacisnął klamkę drzwi prowadzących na korytarz i przepuścił koleżankę.

– Dzień dobry. – Blacha przywitała się z pracownikiem BOR, chowając włosy za ucho.

– Proszę za mną – odpowiedział mężczyzna szorstkim tonem i nie oglądając się na funkcjonariuszy, ruszył w kierunku windy.

Gabinet hotelowy, w którym minister miał tymczasowe biuro, mieścił się na pierwszym piętrze. Blacha mechanicznie spojrzała w okno – pod hotelem stały wozy transmisyjne największych stacji telewizyjnych i radiowych. Policjantka nie była

zaskoczona taką liczbą dziennikarzy. Temat zabójstw w Łodzi od kilku tygodni nie schodził z ust wszystkich mieszkańców kraju.

– Dzień dobry. – Minister wyszedł z sąsiedniego pokoju.

– Dzień dobry – odpowiedziała Blacha, odwzajemniając jednocześnie uścisk dłoni polityka. Sam minister w rzeczywistości był dużo niższy niż na ekranie telewizora.

– Proszę. – Mężczyzna wskazał ręką drogę do mniejszego pokoju, który okazał się być przygotowany przez hotel dźwiękoszczelnym gabinetem.

– Nie będę państwa pytał, jak to się stało, że jeden z najgroźniejszych przestępców w historii miasta uciekł. Jak zamierzają państwo go ponownie schwytać?

– Pozwolę sobie zauważyć, że nie uciekł nam – odezwał się Żuchowski śmiało – a funkcjonariuszom, którzy go transportowali.

– Owszem, panie Żuchowski. Nie panu bezpośrednio. Miałem na myśli policjantów. Nie atakuję was. Pan i pani Urszula wykonaliście dobrą robotę i złapaliście sprawcę. Proszę więc, abyście wykonali to ponownie.

– Jeśli próbka DNA jest zgodna z tą pozyskaną spod paznokci ofiary, to nie będzie zapewne problemu, aby zdobyć nakaz aresztowania. Moglibyśmy więc wysłać list gończy do mediów.

– Tego zrobić nie możemy – minister usiadł na biurku – ktoś z komendy dał mediom cynk chwilę po zatrzymaniu Patryka Nikodemskiego. Stąd dzisiejsza konferencja.

– A nie może pan powiedzieć prawdy? – Blacha odgarnęła włosy, żałując, że ich nie związała.

– Pani Urszulo. Tkwię w polityce od wielu lat. Proszę mi wierzyć, że prawda nikogo nie interesuje. Media będą chciały winnych. Czytała pani ostatnio prasę?

Policjantka pokręciła przecząco głową.

– Otóż jest pani jedną z najbardziej rozpoznawanych śledczych w naszym kraju. Od kiedy pojawiła się pani w Łodzi, oczy wszystkich żurnalistów skupiły się na pani i panu Żuchowskim. Jak się pani domyśla, to państwo będziecie winni.

Urszula Krawczyk zastanawiała się, w jakim stopniu minister mówi prawdę, a na ile chroni swój polityczny kapitał. Z poważnego tonu wypowiedzi zrozumiała, że jakakolwiek próba przekonania go nie ma sensu. Spojrzała więc pytająco na Eda z nadzieją, że on ma jakiś pomysł.

– Patryk Nikodemski udziela się w mediach społecznościowych. Rozmawiałem rano z psychologiem, który twierdzi, że w ciągu kilku najbliższych godzin mężczyzna podejmie próbę logowania. Technicy więc obserwują jego konto.

– Z kim pan rozmawiał? Z Michalczukiem?

– Tak. Prowadzi sprawę od początku i to on pomógł wytypować i doprowadzić do zatrzymania Patryka Nikodemskiego.

– Z tego, co wiem, to pani z nim też pracowała w Częstochowie.

– Konsultowałam się z nim. Jego wskazówki okazały się bezcenne.

Polityk przytaknął głową.

– Dodatkowo – kontynuował Żuchowski – policjanci rozpoczęli obserwację mieszkania sprawcy w Piotrkowie Trybunalskim.

– Czyli czekamy na jego ruch?

– Praca operacyjna przeważnie na tym polega. Gdyby zadekował się w jakiejś małej wiosce, moglibyśmy ją przeszukać. Tutaj mówimy o blisko milionowym mieście.

– Co w tym czasie z Dagmarą Kocik?

– Jeśli to Patryk Nikodemski ją porwał, to widzę dwie opcje. Jedna optymistyczna: sprawca dotarł do miejsca, w którym ją przetrzymuje, i dziewczyna jeszcze żyje, a druga...

– Proszę nie kończyć, wiem, jaka jest druga opcja. – Minister zrobił chwilową pauzę, zastanawiając się, jak ubrać w słowa swoje myśli. – Matka Dagmary Kocik to bardzo wpływowa kobieta, o czym wczoraj mieli państwo okazję przekonać. Plotka głosi, że jej obecny mąż ma za kilka tygodni zostać odwołany ze stanowiska ambasadora i wrócić do kraju, gdzie obejmie stanowisko wicepremiera odpowiedzialnego za międzynarodowe kontakty handlowe. Nie muszę państwu tłumaczyć, że to jest tylko do państwa wiedzy.

Policjanci przytaknęli głowami.

– Przysłaliśmy do Łodzi ponad stu dodatkowych funkcjonariuszy. Większość ubrana w cywilne ubrania kręci się po mieście. Kilku przegląda nagrania z miejskiego monitoringu. Jak więc widzicie, nie zostawiam was samych sobie.

– Znaleźli coś na monitoringu?

Minister zsunął się z biurka i wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił z komputerem, na którym miał przygotowane wideo z monitoringu miejskiego.

– Następną w prawo i byłiby w areszcie – stwierdził Żuchowski, patrząc na ekran.

Minister przytaknął głową i nacisnął przycisk „play”. Auto policyjne zatrzymało się na skrzyżowaniu tuż obok stacji benzynowej Orlenu. Tylne drzwi delikatnie się uchyliły. Patryk Nikodemski wychylił głowę i wysiadł, zamykając za sobą delikatnie drzwi. Ku zdziwieniu oglądających wideo mężczyzna nie uciekał, lecz stał w miejscu.

– Czemu stoi? – rzuciła Blacha.

– Gdyby ruszył się w którąkolwiek stronę, policjanci mogliby go zobaczyć w lusterku – odpowiedział minister – a tak chowa się za autem, które odjeżdżając, traci go z pola widzenia.

Mężczyzna stał chwilę na środku skrzyżowania. Gdy policyjny samochód znalazł się za rogiem drogi, Patryk Nikodemski ruszył szybkim krokiem w kierunku cmentarza.

– Tutaj trop się urywa. – Polityk zastopował wideo.

– Nie przeszukano cmentarza? Przecież areszt jest obok – rzucił Żuchowski.

– Oczywiście, że przeszukano. Nawet wszystkie części.

Urszula Krawczyk spojrzała pytająco na Eda, który wyjaśnił jej, że ten cmentarz jest jednym z największych w Łodzi, dlatego ma wydzielonych kilka sektorów przeciętych publicznymi drogami.

– Po przeszukaniu cmentarza policjanci rozpytywali wśród mieszkańców pobliskich bloków o Nikodemskiego. W ten sposób dotarli do kobiety, która rano

spacerowała z psem i widziała mężczyznę podobnego do Nikodemskiego. Pamiętała jedynie, że poszedł w kierunku uniwersytetu.

– Na skrzyżowaniu na pewno są kamery.

– Ma pan rację, panie Żuchowski. Są i nawet mam nagranie, na którym rzeczywiście widać mężczyznę łudząco podobnego do Patryka Nikodemskiego, ale z całą stanowczością mogę stwierdzić, że to nie on.

– A może pan pokazać nam to nagranie?

Mężczyzna schylił się do monitora, żeby wybrać odpowiedni plik. Blacha spojrzała zza pleców ministra na ekran. Widząc kilkadziesiąt nagrań z porannego monitoringu, pomyślała smutno, że gdyby to ona wystąpiła o taki materiał, to formalna ścieżka trwałaby co najmniej cztery dni.

Polityk włączył wideo, na którym mężczyzna łudząco podobny do poszukiwanego wychodzi główną bramą cmentarza, kierując się w stronę stacji benzynowej. Mijając kobietę, zatrzymał się na chwilę, żeby pogłaskać jej biga, po czym odszedł spokojnym krokiem.

– Czemu pan sądzi, że to nie Patryk Nikodemski?

– Panie Żuchowski. Był wczesny ranek. Skąd niby miał nagle nowe ubrania?

Zdjął z trupa?

– Może znalazł – wtrąciła Blacha. – Czy ma pan dalszą część nagrania?

– Na dalszej części nagrania wsiada do tramwaju i odjeżdża do centrum. Zaraz państwu znajdę to nagranie. – Minister ponownie schylił się do komputera.

– O kurwa! – wykrzyknął i niemal mechanicznie odwrócił się do policjantów z przeproszającą miną. – Późno już i muszę lecieć na konferencję. Zostawię państwu jednak nagrania. Mogą sobie je państwo przejrzeć.

– Jest coś, w czym mógłby nam pan pomóc. – Blacha zastąpiła drogę wychodzącemu politykowi.

– Zamieniam się zatem w słuch. Jeśli pomoże to rozwiązać sprawę, zrobię, co w mojej mocy.

– Kilka dni temu rozmawiałam z panem na temat archiwów Instytutu Pamięci Narodowej. Pamięta pan?

– Naturalnie. Nie wiedzę jednak związku między instytucją stricte historyczną a sprawą Patryka Nikodemskiego.

– My na razie też nie. To jeden z wątków, ale nie umiem tego panu wytłumaczyć. Chciałabym jednak prosić o umożliwienie nam przejrzenia akt, które prawdopodobnie są w archiwum głównym IPN.

– Czy uważa pani, że jest sens się teraz dekoncentrować sprawą sprzed lat?

– Na dokumenty będziemy i tak czekać.

– A pan, panie Żuchowski, jak myśli?

– To tylko przeczytanie kilku stron.

– Dobrze. Zatem poproszę, aby ktoś się z państwem skontaktował w tej sprawie jeszcze dzisiaj. Tymczasem zostawiam was i liczę, że do wieczora będziemy mieli dobre wiadomości.

Minister wyszedł z pokoju, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Blacha zastanawiała się przez chwilę, czy zamknąć je z powrotem. Po chwili namysłu uznała, że urzędnik zrobił tak celowo ze względu na pozostawiony służbowy komputer.

Żuchowski usiadł za biurkiem, przysuwając do siebie komputer. Ponownie włączył film, na którym mężczyzna łudzaco podobny do Patryka Nikodemskiego wychodzi z cmentarza.

– Moim zdaniem to on. – Blacha wskazała na monitor.

– Po czym wnosisz?

– Po sposobie, w jaki idzie. Ma spokojny krok.

– Chodzi ci o to, że się nie spieszy? – dopytywał Ed.

– Nie! Chodzi o to, że idzie pewnym krokiem. Włącz jeszcze raz pierwsze nagranie.

Ed najechał kursorem na plik.

– Widzisz; tutaj się spieszy, ale i tak wie, co robi. Myślę, że wyskoczył z auta na skrzyżowaniu, na którym chciał wsiąść.

– Sądzisz, że był przygotowany na taką ewentualność? I dlatego schował ubrania na cmentarzu?

– Czy na tę konkretną, nie wiem, ale na pewno spodziewał się, że w końcu wpadniemy na jego trop.

– Widzisz? – zapytała Blacha, nachylając się do komputera.

– Co?

– Tam na cmentarzu ktoś jest. Wygląda, jakby na kogoś czekał.

– A może przyszedł do kogoś na cmentarz.

– O tej godzinie?

Ed nie odpowiedział. Klikał i przewijał kolejne filmy, które okazały się być tym samym niemym materiałem ukazującym za każdym razem tę samą scenę. Spojrzał bezradnie na koleżankę z nadzieją, że przynajmniej ona wie, co powinni dalej robić.

– Tam jest Orlen, tak?

– Tak jak widać.

– To mają monitoring. – Blacha strzeliła palcami!

Policjanci wychodzili z hotelowego gabinetu ministra, gdy usłyszeli jego głos w telewizji. Polityk zapewniał, że zatrzymany mężczyzna przebywa w areszcie śledczym. Wspominał również o tym, że kobiety w Łodzi mogą czuć się bezpieczne.

– Bo żaden polityk nie sprostą tej regule, że lepiej dać coś z siebie, potem zgarnąć całą pulę.

– Słucham? – Blacha spojrzała na Eda.

– Zawsze mi się to nasuwa na myśl, kiedy oglądam jakieś konferencje z udziałem rządzących.

Blacha uśmiechnęła się, domyślając się, że to cytat.

– Kto to napisał?

– Adam Ostrowski.

– To jakiś łódzki poeta?

– Tak jakby. Raper. Możesz go znać z radia jako O.S.T.R.

– *Kochana Polsko, dzięki za mądrość, choć idę pod prąd za ludźmi, którzy nazbyt zaufali pieniądзом.* – Blacha zaczęła nucić, rozbawiając tym kolegę do łez.

Wysiadając z auta, Blacha z zadowoleniem stwierdziła, że stacja benzynowa wyposażona jest w kamery obserwujące cztery strony świata. Spojrzała na

Żuchowskiego, który zapalając papierosa, dał znak skinieniem głowy, że też zauważył wszechobecny monitoring.

– Tu chyba nie wolno palić.

Ed zaciągnął się, ile tylko miał sił w płucach i z przepaszającą miną schylił się, żeby zgasić papierosa.

– Dzień dobry. – Młoda kobieta uśmiechała się nienaturalnie szeroko do policjantów, gdy podeszli do lady.

– Dzień dobry. – Żuchowski odwzajemnił uśmiech, pokazując lśniący aparat. – Chcielibyśmy porozmawiać z kierownikiem, czy może go pani poprosić.

– A mogę wiedzieć w jakiej sprawie? – Uśmiech kobiety zmalął.

– Jesteśmy z policji. – Ed pokazał odznakę.

– Oczywiście. Już proszę.

Kobieta zniknęła na zapleczu, zostawiając policjantów samych na pustej stacji. Wróciła po niespełna minucie w towarzystwie młodego, dobrze zbudowanego mężczyzny.

– W czym mogę pomóc? – Kierownik stacji uśmiechnął się nieśmiało.

– W związku z prowadzonym śledztwem chcielibyśmy przejrzeć monitoring. Czy może nam go pan udostępnić?

– Ale ostatnio nic nie zgłaszaliśmy.

– Nie jesteśmy tu w związku z państwa zgłoszeniem – odpowiedział Żuchowski.

– Czy mają państwo nakaz? Muszę skontaktować się z centralą, czy mogę.

– Może pan – odpowiedziała Blacha, przerywając Żuchowskiemu – może pan też dobrowolnie pokazać nam nagrania z rana teraz albo przynieść je na komendę z zarzutem utrudniania śledztwa, za co grozi trzy i pół roku – skłamała.

– Jak pani mówi, że mogę, a jest pani przedstawicielem prawa, to ja pani wierzę. Proszę za mną. – Mężczyzna przyłożył magnetyczną kartę do drzwi prowadzących na zaplecze.

W jednym z małych pomieszczeń zaadaptowanych na biuro nad biurkiem wisiły trzy monitory pokazujące obrazy z kamer. Kierownik stacji usiadł za

biurkiem.

– Z jakich godzin chcecie państwo obejrzeć nagrania?

– Od czwarta do piątej.

Mężczyzna skinął głową. Położył rękę na myszce od komputera i zaczął ustawiać zakres godzin i wyświetlać obrazy z kamer. Na pierwszy rzut oka widać było, iż Orlen dysponuje dużo lepszym sprzętem do nagrywania, aniżeli miasto używało do monitowania ulic. Cała trójka oglądała nagrania z pustej stacji benzynowej. Policjanci nie byli zdziwieni, że przez ponad trzydzieści minut nie podjechał żaden samochód.

Urszula Krawczyk wciągnęła głęboko powietrze, żeby oczyścić głowę.

– Może pan pokazać obraz tylko z kamery ustawionej z tyłu stacji?

– To jest na cmentarz? – upewnił się mężczyzna.

– Dokładnie.

– Ten sam zakres godzin?

– Od trzeciej trzydzieści do teraz.

Mężczyzna zmienił zakres i kliknął na przycisk „play”. Cała trójka wpatrywała się w nagranie, na którym jedyną zmienną był poziom jasności słońca budzącego się nad miastem.

– A może włączymy przyspieszenie? – zaproponował kierownik stacji, reagując na zniecierpliwienie policjantów.

– Jeśli można, to bardzo proszę – odpowiedziała Blacha, siląc się na uprzejmy ton. Nie chciała zwracać mężczyźnie uwagi, że mógł zaproponować to rozwiązanie dwadzieścia minut wcześniej.

Oglądali w skupieniu obraz, na którym widać było wychodzącego z cmentarza mężczyznę podobnego do Patryka Nikodemeskiego. Kiedy był na wysokości stacji benzynowej, spojrzał w kamerę znajdującą się na budynku.

– To on? – rzuciła mimowolnie policjantka.

– Łudząco podobny mimo innych ubrań i czapki na głowie.

– To Mariuszek. – Kierownik stacji zatrzymał obraz, wskazując palcem na monitor. – Taki lokalny głupek. Przychodzi czasami i pyta, ile kosztuje kropla

paliwa, a kiedy odpowiadamy, że kropla jest za darmo, pyta, czy może nakapać sobie do pełna. Kiedyś to nas mocno wkurzało. Teraz już tylko się śmiejemy. Jeśli to jego państwo szukacie, to zaświadczam, że jest niegroźny.

– Chyba nie jego, ale jakby włączył pan materiał jeszcze na chwilę, bylibyśmy wdzięczni.

Mężczyzna włączył film, a po kilkunastu minutach w bramie pojawiła się postać, której szukali.

– Proszę zatrzymać.

Mężczyzna wykonał polecenie.

– Zna pan tę kobietę?

– Ja znam – odpowiedziała energicznie Blacha.

Żuchowski spojrzał pytającym wzrokiem na koleżankę.

– To pani Kotlarska. Matka Dagmary Kocik.



Otwierając drzwi od domku letniskowego, mężczyzna rozejrzał się dookoła, jakby chciał się upewnić, że nikt go nie śledził. Pośród śpiewających ptaków słyszał w oddali warkot pracującego ciągnika. Uśmiechnął się w duchu, patrząc w stronę, z której dochodziły dźwięki.

Dagmara Kocik była półprzytomna, gdy mężczyzna kucnął przy niej.

– Obudź się! – mówił podniesionym głosem, klepiąc ją w twarz.

Kobieta mętnym wzrokiem przyglądała się swojemu zamaskowanemu oprawcy. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz niedawno wstrzyknięty środek nasenny spowodował wymioty.

Mężczyzna odskoczył do tyłu i patrzył w milczeniu na wymiotującą młodą kobietę. Żółte treści z żołądka spływały jej po brodzie, kiedy ponownie straciła przytomność.

Porywacz ponownie podszedł do kobiety i poklepał ją po twarzy. Stwierdzając, że straciła przytomność, sięgnął po sierpak leżący na stole.

Ostre niczym brzytwa ostrze rozcinało brudną od wymiocin koszulkę z logiem Guns N' Roses, ukazując foremne piersi schowane w lekko prześwitujący fiszbinowy stanik.

Mężczyzna wyciągnął rękę i położył ją na dekolcie kobiety, ocierając go z wymiocin, wsunął dwa palce za rant stanika, dotykając sutka kobiety.

– No dalej złap za nie – wymamrotała Dagmara Kocik lekko zachrypniętym głosem.

– One mnie nie interesują. – Mężczyzna oderwał rękę od dekoltu kobiety.

– A co cię interesuje? Może zrobić ci loda?

– To też mnie nie interesuje.

Oprawca, podnosząc się z podłogi, odrzucił sierpak ponownie na stół. Kobieta odprowadziła wzrokiem nóż i ponownie spojrzała na mężczyznę.

– To powiedz, czego ode mnie chcesz w końcu albo mnie zabij, ty jebany zwyrołu!

– Nie ja tu jestem zwyrodnialcem.

– A kto? Ja? Bo usunęłam ciążę? Skąd w ogóle o tym wiesz?

– Myślałaś, że twoja zbrodnia zostanie bez kary. Że nienarodzeni są umarłymi i nie mają prawa głosu zza zaświatów?

– Nic nie myślałam.

– To czemu to zrobiłaś?

– Bo nie chciałam dziecka z gwałtu.

Mężczyzna zerwał się z łóżka i jednym energicznym krokiem znalazł się blisko kobiety, uderzając ją w twarz.

– Nie kłam! – krzyczał. – Nie kłam, bo będziesz cierpieć!

Dagmara Kocik poczuła, jak stróżka krwi z nosa ścieka jej po policzku. Wysunęła język i oblizwała nim usta.

– Cierpieć? Spójrz na moje nogi! – krzyczała. – Rąk już nie czuję, tak są zakleszczone. Co mi możesz więcej zrobić? Zabić? Zrób to, ty chory pojebie!

– Mogę obdrzeć cię ze skóry, podając ci sole trzeźwiące. Będziesz cierpieć godzinami, a jak się postaram to tygodniami.

Kobieta poczuła, jak krew odpływa jej z mózgu. Chciała odpowiedzieć swojemu oprawcy, lecz ponownie straciła przytomność.

Mężczyzna sięgnął po sierpak i rozciął mechanizm krępujący ręce kobiety. Kładąc je na udach dziewczyny, zauważył, że kciuk jest ciemno fioletowy. Masował dłoń dziewczyny przez kilka minut, przywracając prawidłowe krążenie. Kiedy zauważył, że ręka wraca do naturalnego koloru, wstał, żeby ściągnąć z łóżka ciemnogrnatową narzutę i poduszkę.

– Dziękuję – usłyszał, kładąc głowę Dagmary Kocik na poduszce w azteckie wzory – nie jesteś jednak taki zły.

Mężczyzna poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Oparł się o ścianę. Tę noc postanowił spędzić z porwaną dziewczyną.

XXI

Policjant zaparkował w zatoczce dla autobusów tuż przed wejściem do hotelu, w którym zatrzymała się matka Dagmary Kocik. Wsiadając z auta, Żuchowski przyglądał się ciemnym chmurom unoszącym się nad miastem. Ed pomyślał, że zbliżająca się jesień przyjdzie do Łodzi wcześniej niż zwykle, co go w ogóle nie martwiło. Okres od września do listopada był jego ulubionym. Uważał, że Łódź może wyglądać pięknie tylko jesienią, dlatego nigdy w tym okresie nie wyjeżdżał na urlop, co chętnie wykorzystywali koledzy z komendy, którzy w poszukiwaniu dodatkowych promieni słońca wybierali afrykańskie wakacje.

Wchodząc po schodach prowadzących do hotelu, Blacha zwróciła uwagę na pomnik stojący tuż obok wejścia.

– Taki sam, jak u mnie. Wyjdę pewnie na ignorantkę, bo nie mam pojęcia, kto to.

– Julian Tuwim – odpowiedział Żuchowski bez cienia ironii.

– Wszystko co łódzkie. – Blacha puściła koledze porozumiewawcze oczko.

Hotelowe foyer okazało się dużą postindustrialną halą. Ściany z surowych cegieł i biała podłoga idealnie się uzupełniały. Uwadze policjantów nie uszły delikatne dźwięki trąbki witające gości.

– Prawie tak luksusowo, jak w twoim hotelu – zażartował Żuchowski.

Blacha uśmiechnęła się do kolegi. Była pełna podziwu dla jego spokoju i umiejętności znalezienia dystansu do sprawy.

Za ladą w recepcji stała młoda uśmiechnięta dziewczyna o kruczoczarnych włosach.

– Hello – przywitała policjantów po angielsku. – *What can I help you?*

– Dzień dobry. – Żuchowski wyciągnął odznakę. – Jesteśmy z policji i chcielibyśmy porozmawiać z Iwoną Kotlarską. Podobno się tutaj zatrzymała.

Kobieta sięgnęła po telefon. Stukając palcami o blat, prowadziła dyskretną rozmowę w języku angielskim ze swoim przełożonym. Urszula Krawczyk zastanawiała się, czy hotel naprawdę jest aż tak międzynarodowy, czy jedynie do takiego pretenduje. Bardziej jednak od treści rozmowy interesowała się paznokciami młodej recepcjonistki, która miała idealnie zrobiony francuski manicure.

– Jak państwo słyszeliście, sprawą zajął się już dyrektor. Proszę o chwilę cierpliwości i zapraszam do poczekalni na filiżankę kawy. – Kobieta wskazała dłonią kierunek. – Oczywiście całość na koszt firmy – dodała pospieszenie z uśmiechem.

Przecinając hol hotelowego lobby, Blacha zastanawiała się, czy ostatnie zdanie recepcjonistki było sarkazmem, czy uprzejmością. Chciała zapytać o to Żuchowskiego, kiedy poczuła wibrowanie telefonu.

– Pani Krawczyk? – Usłyszała w słuchawce męski zachrypnięty głos.

– Tak.

– Dzwonię w sprawie, o którą pani niedawno prosiła naszego wspólnego znajomego. Skoro pani odbiera, to ufam, że może pani teraz rozmawiać... – Blacha przytaknęła, choć zastanowiła się, dlaczego oficjalne sprawy urzędowe nie są tak szybko załatwiane jak jedno polecenie ministra sprawiedliwości. – Sprawa, o którą pani pytała, jest bardzo delikatna. Mówiąc szczerze, gdyby nie nasz wspólny przyjaciel, nie rozmawialibyśmy o tym.

– Jednak rozmawiamy.

– Tak, choć proponowałbym pani to zostawić już na tym etapie. – Mężczyzna kaszlnął.

– Dlaczego?

– Bo smród się za nią ciągnie. Rozumie pani?

– No właśnie nie do końca – odpowiedziała policjantka z udawaną naiwnością w głosie.

– Chodzi o to, że może się pani stać krzywdą, jak będzie pani wokół tego łązić.

– Czy to groźba?

– Ostrzeżenie ze względu na wspólnych przyjaciół.

– Rozumiem. Dziękuję za ostrzeżenie. Pozwoli pan jednak, że zaryzykuję i chętnie zapoznam się ze szczegółami.

– Nie przez telefon. – Mężczyzna ponownie zakaszłał. – Spotkajmy się późnym popołudniem u pani w hotelu.

Blacha spojrzała na Żuchowskiego, który siedział w towarzystwie eleganckiej kobiety. Matka Dagmary Kocik wyglądała inaczej niż poprzedniego wieczoru. Ubrana w białą sukienkę z długim rękawem i szpilki od Saint Laurenta patrzyła w oczy Żuchowskiego, wsłuchując się w każde jego słowo. Blacha przez chwilę pomyślała, że kobieta wygląda, jakby była częścią eleganckiego hotelu, a nie jedynie jego gościem.

– Dzień dobry – przywitała się policjantka, siadając w niebieskim kubełkowym fotelu.

Kobieta skinęła jedynie głową.

– Jak już pani wspominałem – kontynuował Ed – poszukiwania pani córki trwają nieprzerwanie. Aktualnie każdy policjant w mieście zaangażowany jest w te poszukiwania. Dodatkowo ściągnęliśmy posiłki z innych miast.

– Nie państwo ściągnęliście posiłki, a ja je ściągnęłam – odpowiedziała kobieta głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Niestety, jak widzę, nie na wiele to się zdało.

– Wiemy, że ma pani bardzo wpływowych przyjaciół – wtrąciła Blacha z ironią. – Nie robi to na nas większego wrażenia, jeśli mam być szczerą. Szukalibyśmy pani córki z takim samym zaangażowaniem i bez tego.

Pani Kotlarska, zdejmując nogę z nogi, pochyliła się do stolika, półszepcem odpowiedziała:

– To, co na pani robi wrażenie, a co nie, gównie mnie obchodzi. Jedyne, czego dzisiaj się od pani oczekuje, to wykonać swoją pracę i znaleźć moją córkę żywą. Zatem niech pani bierze dupę w troki i biegnie jej szukać, zamiast tu siedzieć i tracić czas.

– Wczoraj spod komendy pojechała pani prosto do hotelu? – Blacha zignorowała zachowanie kobiety.

– Nie rozumiem pytania. Co to ma do rzeczy.

– Proszę odpowiedzieć.

– Tak. Chyba widziała pani, w jakim byłam stanie. Pani sama zaoferowała mi pomoc. Chyba nie robi tego pani dla każdego.

– Czy wychodziła pani w tym czasie z hotelu?

– Nadal nie rozumiem, co to ma do rzeczy. Jeśli jednak musi pani wiedzieć, to odpowiedź brzmi nie.

Blacha uśmiechnęła się i oparła o fotel. Milcząco rozglądała się po hotelowym lobby. Przy recepcji stał starszy mężczyzna z długimi, siwymi włosami podobny do lidera zespołu rockowego Perfect.

– Pozwoli pani zatem, że zadam pytanie wprost, bo rzeczywiście dalsza ta rozmowa zaczyna być stratą czasu. Proszę powiedzieć, gdzie jest Patryk Nikodemski, z którym widziała się pani dzisiaj rano na cmentarzu?

Pani Kotlarska zacisnęła pięść i uśmiechnęła się z lekką ironią do policjantów.

– Czy pani wie, jak poważne oskarżenie pani stawia? Zdaje pani sobie sprawę z tego, że za chwilę skontaktuję się z ministrem...

Żuchowski wyciągnął telefon z kieszeni, włączając na nim ostatnie zdjęcie, które wykonał. Kładąc go na stoliku bez słowa patrzył, jak Kotlarska blednie i delikatnie osuwa się z fotela.

– Skąd macie to zdjęcie?

– Zdjęcie jest tylko małą próbką. Mamy całe nagranie, na którym widać panią i Patryka Nikodemskiego za murami cmentarza. Na nagraniu widać, jak wręcza mu pani ubranie – zablokował Ed.

Kobieta wciągnęła głęboko powietrze i skinęła na kelnera, prosząc o karafkę wody.

– Co chcecie za to nagranie? Awans? Pieniądze? Szantażujecie mnie, więc pewnie macie konkretny cel.

– Chcemy poznać prawdę – odpowiedział policjant spokojnym tonem.

– Ma pani dzieci?

Blacha pokiwała przecząco głową.

– Gdyby pani miała, wiedziałaby pani, że każda matka zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby ratować swoje dziecko. I ja właśnie zrobiłam wszystko. Pewnie pani teraz myśli, że to tani tekst z taniego kryminału, ale taka jest brutalna prawda. Gdy się kogoś kocha, to ryzykuje się wszystkim. A dziecko kocha się podwójną miłością.

– Kobieta upiła łyk wody i nabrała głęboko powietrza. – Wczoraj, gdy przesłuchanie się przedłużało, a pani i obecny tu pan Żuchowski nie potrafiliście wydobyć informacji od zatrzymanego, gdzie jest moja córka, skontaktowałam się z komendantem waszego posterunku. Był mi winien kilka przysług, więc nie było problemu, żeby wymóc na nim realizację mojego planu. Komendant miał zostać z zatrzymanym sam na sam i przekazać mu w moim imieniu, że za uwolnienie mojej córki otrzyma azyl polityczny w kraju mojego męża.

– Kiedy niby to zrobił? Przecież byłem tam i ja, i dwóch innych policjantów. – Żuchowski starał się podważyć wersję kobiety.

– Pana nie było przez cały czas, panie Żuchowski, i oboje to wiemy. Wyszedł pan zadzwonić do swojego, nazwijmy to, przyjaciela. A temat tamtych dwóch jest chyba prosty do rozszyfrowania?

– Ma pani dużą wiedzę.

– Ale nie wiem, o czym rozmawiał pan ze swoim starym znajomym.

– O klinice aborcyjnej, w której była pani córka.

– Widzę, że nie tylko ja mam dużą wiedzę. – Kotlarska zacisnęła wargi.

– Gdzie zatem są pani córka i Patryk Nikodemski? – zapytała Blacha.

– Komendant przekazał mi, że chłopak chce ze mną porozmawiać i omówić bezpośrednio szczegóły swojego wyjazdu. Sam wskazał miejsce, w którym możemy się spotkać. Czekać na niego, zaczęłam marznąć. Wróciłam więc do auta po kurtkę. Dlatego pomyśleliście, że dałam mu ubrania.

– I na co się umówiliście na tym cmentarzu?

– Patryk Nikodemski usiadł obok mnie na ławce. Patrzyliśmy oboje w nagrobek jakiejś siedemdziesięcioośmioletniej kobiety i przez dłuższą chwilę nie

rozmawialiśmy. Zachowywał się, jakby zupełnie mu się nie spieszyło, a przecież areszt śledczy, w którym miano odkryć, że uciekł, znajduje się po drugiej stronie cmentarza. Odwrócił się w moją stronę i przerywając ciszę, zapytał, czy wierzę w boga. Zastanawiałam się, czy to jakaś jego gra. Rozważałam, czy jest na to jakaś poprawna odpowiedź. Wiedziałam jednak, że nie ucieknę od tej rozmowy i muszę wziąć udział w jego rozgrywce. „Nie do końca rozumiem pytanie” – grałam na czas. „Pytanie jest bardzo proste. Czy wierzysz w boga”. „Jeśli rozumiemy boga jako opatrność, to tak. Jeśli jednak jako wszechdobrego, to nie. Gdyby był taki dobry, jak o nim piszą i mówią, nie siedzielibyśmy tutaj, a moja córka spałaby spokojnie w domu”. „Bóg jest wszechświatem. A w nim zawsze jest równowaga. Nie bez przyczyny twoja córka dzisiaj nie śpi w domu. Przechodzi odpowiednią lekcję”. „Ty jej dajesz tę lekcję? Tak samo jak wszystkim pozostałym dziewczętom?” – chciałam wiedzieć. „Prawda jest taka, że to ona sama ją na siebie sprowadziła. Ludzie ciągle negują to, co ich spotyka. Ty, siedząc ze mną na tej ławce, również myślisz sobie, że nie zasłużyłaś na ból i cierpienie, jakie przysparza ci zniknięcie twojej córki. Gdybyś miała jednak w sobie odrobinę odwagi i spojrzała na swoje życie, zrozumiałabyś, że ta lekcja i tobie się należy”. „Ty, jak mniemam, jesteś bez winy?”, „Nie ma ludzi bez winy. Ja swoje odkupuję każdego dnia”. „Jednak los się do ciebie uśmiechnął i pojawiła się przed tobą szansa dobrego i bezpiecznego życia”. „Nie pojawiła się bez przyczyny”. „Tak, masz rację. Przyczyną jest moja córka, więc powiedz, proszę, gdzie jest, a jeszcze dzisiaj będziesz poza granicami Polski. Dostaniesz nowe nazwisko, dom i pracę. Zaczнеш nowe życie” – naciskałam. „Nie wiem, gdzie ona jest. Ja nie jestem tym, którego szukacie” – odpowiedział, wstając z ławki. Patrzyłam, jak odchodzi bez słowa. Chciałam zaoponować, lecz słowa ugrzęzły mi w gardle.

Kobieta milczała, patrząc ślepo na swoich rozmówców. Nie zauważyła nawet, że łyzy kapią na jej biały kostium. Przez chwilę Blacha rzeczywiście współczuła jej i nawet chciała podejść, żeby ją przytulić.

– Ciekawą pani wysnuła opowieść – odezwał się Żuchowski, przerywając ciszę, a w jego głosie można było usłyszeć irytację. – Naprawdę traci pani nasz

czas. Pozwoli pani, że zdjęcie prześlę do ministra i niech on zajmie się dalej pani sprawą. – Ed sięgnął po telefon.

– Chciał pan znać prawdę – zaczęła kobieta piskliwym głosem – powiedziałam ją.

– Nie, droga pani! Opowiedziała pani ładną historię przygotowaną wcześniej na wypadek, gdyby ktoś dowiedział się o tym, co pani zrobiła! – Żuchowski nadal trzymał telefon w ręku. – Jeśli więc teraz nam pani powie, gdzie jest Patryk Nikodemski lub gdzie się pani z nim umówiła, zdjęcie zostanie przy pani usunięte i temat będzie zamknięty. Jeśli nadal będzie nas pani okłamywała...

– Dobrze już! – wykrzyknęła kobieta. – Umówiliśmy się, że dzisiaj w nocy spotkamy się przy stacji Radogoszcz.

– Pomnik getta łódzkiego?

– Patryk Nikodemski zaproponował to miejsce.

– O której?

– O dwudziestej trzeciej trzydzieści.

XXII

Dagmara Kocik leżała z zamkniętymi oczami, próbując odgadnąć, czy jest sama w pomieszczeniu. Nie słyszała jednak żadnych odgłosów poza deszczem uderzającym w blaszany dach domu letniskowego, otworzyła więc powoli oczy i się rozejrzała.

Była przekonana, że coś się w nim zmieniło, lecz nie potrafiła odgadnąć co.

Kobieta wyciągnęła spod ciemnogramatowej narzuty ręce. Przyglądając się swoim dłoniom, stwierdziła ze zdumieniem, że są czyste mimo strupów, które powstały po otarciach. W tym momencie Dagmara Kocik zdała sobie sprawę, że jest całkiem naga. Jednym szarpnięciem zrzuciła z siebie przykrywającą ją narzutę.

Podpierając się na przedramionach, przyglądała się swojemu ciału. Sprawca wyciągnął jej z pępka kolczyk oraz ogolił jej wzgórek łonowy, na którym zostawiała zawsze odrobinę włosów na prośbę Tomka, który „nie chciał sypiać z przedszkolakiem”.

Dagmara Kocik zamknęła oczy, żeby się wyciszyć. Zastanawiała się, czy pieczenie, które czuje w kroczu jest psychosomatyczne, czy rzeczywiście została zgwałcona. Kobieta podniosła się jeszcze wyżej, starając się dosięgnąć ręką do krocza. Dotykając swoich narządów intymnych, upewniła się, że nie została wykorzystana, a jedynie czuje pieczenie po depilacji. Odetchnęła głęboko i zaczęła liczyć od dwudziestu pięciu w dół. Pamiętała ten sposób z lekcji prowadzonych przez szkolnego pedagoga, który w ramach akcji „redukowania stresu u młodzieży szkolnej” raz na kwartał prowadził godzinne zajęcia.

– Jedenaście, dziesięć, dziewięć... – liczyła na głos, próbując rozszyfrować znaczenie czerwonych znaków, które sprawca nakreślił na jej ciele.

Kobieta poczuła paniczny strach przebiegający po plecach, kiedy zrozumiała, że dziwne malunki to miejsca, w których sprawca chce naciąć jej ciało, a subtelną zmianą, jaką zauważyła w pokoju, gdy się budziła, jest foliowy kombinezon wiszący na drzwiach wejściowych.

Serce Dagmary biło coraz szybciej. Każdej kolejnej próby uspokojenia się nie ułatwiała szalejąca burza. Przypomniła sobie, jak w dzieciństwie ze strachu przed burzą podbiegła do matki z płaczem, która ją za to skarciła i odesłała do pokoju. Miała wówczas pięć lat i tę noc spędziła schowana w zamkniętej szafie, żeby zagłuszyć dochodzące odgłosy dłońmi przyciskanymi do uszu. Początkowo nienawidziła matki za to, że była nieczułą i nietroskliwą, z czasem jednak jej uczucia przerodziły się w obojętność.

Jesteś dorosła – krzyczała na siebie w myślach. – Jesteś dorosła, do kurwy nędzy! Jakiś facet chce cię zabić, a ty się boisz pieprzonej burzy! Bierz się, kurwa, w garść! Wymyśl coś!

Rozglądała się nerwowo po pokoju. Gdy zauważyła wiszącą na łóżku męską czarną koszulkę, postanowiła w pierwszej kolejności się ubrać. Wlokąc za sobą nogi, podsunęła się do łóżka. T-shirt pachniał męskimi perfumami, które bez trudu rozpoznała.

Dagmara Kocik uniosła głowę, przyglądając się brązowej rękojeści składanego noża, który mężczyzna zostawił na łóżku. Zaciskając zęby z bólu, doczołgała się do drzwi wejściowych. Pchnęła je. Te nawet nie drgnęły. Dagmara Kocik wyciągnęła rękę w górę, próbując dosięgnąć zamka. Nie była nawet w połowie, wsadziła więc w usta drewnianą rękojeść scyzoryka i zacisnęła na niej zęby. Wypchnęła ciało do góry i poczuła, jak kość piszczelowa prawej nogi rozpruwa jej skórę. Łzy bólu płynęły jej po policzku, gdy podpierając się na pękniętej kości lewej nogi, przekręcała zamek.

Zacinający deszcz uderzył Dagmarę Kocik w twarz, gdy otworzyła drzwi na całą szerokość. Nim opadła na ziemię, zdążyła się rozejrzeć. Miała nadzieję zobaczyć jakieś zabudowania, tymczasem była pośrodku niczego. Wyciągając z ust

nóż, przyjrzała się nagryzionej rękojeści z myślą, że gdyby jej się nie udało, to przynajmniej taki ślad zostanie po jej walce.

Dziewczyna zaczęła się czołgać na wprost do lasu przylegającego do działki, na której stał domek. Nim wpełzła do gęstego lasu, spojrzała w niebo, żeby sprawdzić, czy deszcz nie skończy się za szybko. Wiedziała, że sprawca przeczeka gdzieś ulewę. Poza tym woda zmywała jej ślady.

Z każdą minutą coraz bardziej czuła, że opada z sił. Rozejrzała się za miejscem, w którym mogłaby odpocząć i schować się w razie utraty przytomności. Wyrwa po powalonym drzewie okryta sterczącymi korzeniami wydała się jej najlepszym miejscem na schronienie. Ziemia uniesiona dookoła leja po korzeniu chroniła przed wpływającą wodą, a gęste korzenie zapewniały niewidoczność. Dagmara Kocik oddychała głęboko. Nim straciła przytomność, wysunęła ostrze noża.

Kobieta ocknęła się gwałtownie, jej uwagę zwróciła cisza. Nie słychać było ani szumu wiatru, a co gorsza padającego deszczu, który maskował jej ślady. Podczołgała się bliżej wyjścia z leja. Przebijające się przez liście drzew słońce momentami oślepiało kobietę. Dagmara Kocik zastanawiała się, czy to poranek, czy po prostu rozjaśnione niebo po burzy.

Próbowała odgadnąć, w którą stronę powinna się skierować, żeby znaleźć pomoc. Po chwili przysłuchiwania się otoczeniu postanowiła ruszyć w stronę, z której dochodził warkot silnika pracującego traktora. Czołgając się w obranym kierunku, co jakiś czas oglądała się za siebie, żeby się upewnić, czy jest bezpieczna. Nie widziała nikogo, ale miała wrażenie, że jest obserwowana. Z każdym kolejnym metrem czuła, że za chwilę straci przytomność.

Słońce świeciło coraz mocniej, co utwierdziło kobietę w przekonaniu, że spędziła noc w leju po korzeniu powalonego drzewa. Przypuszczała, że porywacz dowiedział się już o jej ucieczce i zapewne jej szuka. Zastanawiała się, czy nie powinna wrócić do swojego schronienia i przemieszczać się jedynie w nocy, co niewątpliwie zwiększyłoby jej szansę na ucieczkę. Myśl tę jednak szybko porzuciła, zdając sobie sprawę z tego, że bez pomocy umrze z głodu albo od zakażenia. Dagmara Kocik chwyciła duży kij leżący przed sobą. Trzymała go w obu rękach

i czołgała się w kierunku coraz wyraźniej słyszanego warkotu silnika. Pomiedzy gęstymi drzewami zauważyła bladożółty traktor, a w nim starego mężczyznę. Uśmiechnęła się szeroko na myśl o ratunku, gdy nagle poczuła przeszywający ból wywołany kopnięciem w plecy. Poczwała się jak zgniatany karaluch.

– I zobacz, jak się ubrudziłaś. – Usłyszała znajomy głos porywacza.

– Zostaw mnie, psycholu! Zostaw mnie słyszysz, kurwa!

– Ja niby jestem psychiczny, a to ty się czołgasz w błocie!

Kobieta odwróciła się na plecy, patrząc na oprawcę ubranego w maskę.

– Chcesz mnie zabić?

Mężczyzna nie zareagował.

– To po co ci ta maska, skoro chcesz mnie zabić. Masz szpetną twarz, że się jej wstydzisz? Nie zakładam, że boisz się, że cię rozpoznam – przerwała, słysząc głośny warkot traktora. Odchyliła głowę do tyłu i zauważyła mijający ją pojazd. Mężczyzna w masce również przyglądał się ciągnikowi.

– Nie zauważy cię – odezwał się mężczyzna, gdy tylko bladożółty ursus się oddalił.

– Puść mnie i się przekonamy.

– A nie wolisz wrócić ze mną i się umyć?

– A mam wybór?

– Zawsze masz wybór.

– To wolę, żebyś mnie puścił. Nie wiem, gdzie jest twoja skrytka, więc nikogo nie przyprowadzę. Chcę po prostu żyć.

– Życ! Życ! Życ! Życ! Życ! Życ! Życ! Życ! Życ! – powtarzał mężczyzna coraz głośniejsz. – A ty dałaś szansę temu, kogo zabiłaś?

– Skąd to wiesz?

– Nie takie było pytanie!

– To ty jechałeś w pociągu i przysłuchiwałeś się mojej rozmowie! – krzyknęła

Dagmara Kocik.

Mężczyzna przykucnął obok kobiety i ściągnął maskę.

– Nie widziałam cię w pociągu, ale gdzieś już na pewno – powiedziała spokojnym głosem.

Mężczyzna pokiwał przecząco głową.

– Z twoich oczu nie zionie też nienawiść, którą spodziewałam się ujrzeć. Ostatnio mnie przykryłeś i nie związałeś rąk. Nie jesteś zły. Czemu zatem mi to robisz?

Sprawca nie odpowiedział. Patrzył w oczy Dagmary Kocik, wyciągając do niej rękę.

– Chodźmy.

– Ja mogę co najwyżej pełznąć. – Dagmara Kocik uśmiechnęła się do mężczyzny. – Ewentualnie możesz mnie zanieść.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni po strzykawkę ze środkiem usypiającym.

– Czeka! Nie chcę!

– Inaczej nie wytrzymasz z bólu, gdy cię podniosę.

– Nie chcę. Proszę! – powiedziała spokojnym głosem, siląc się na uśmiech.

– Złap mnie za szyję – powiedział, opuszczając głowę.

Dagmara Kocik jedną ręką złapała się za umięśnione ramię mężczyzny. Podciągnęła się lekko i spojrzała na jego twarz. Oczy miał zwrócone w kierunku jej stóp, wykorzystwała więc ten moment i wbiła nóż w szyję porywacza. Mężczyzna zawył z bólu i osunął się na ziemię.

Czołgając się w kierunku pola, na którym kierowca traktora zrobił sobie przerwę, słyszała łapiącego oddech mężczyznę.

– Pomocy! – krzyczała, podnosiła ręce i machała do rolnika, gdy tylko dobrnęła na skraj lasu. – Ratunku! – mamrotała, czując, że z każdym kolejnym słowem traci siły. – Niech mi pan pomoże!

Kierowca traktora spojrzał w jej kierunku. Gdy tylko zobaczył leżącą na polu postać, wyrzucił niedopałek papierosa i podbiegł do kobiety.

– Matko bosko – były to ostatnie słowa, które Dagmara Kocik usłyszała, nim straciła przytomność.

Mimo zaawansowanego wieku rolnik bez problemu przykucnął przy Dagmarze Kocik. Zastanawiając się, co powinien zrobić, przypomniał sobie niedawną rozmowę z sąsiadem, który próbował go namówić do zakupu telefonu komórkowego.

Gdyby go wtedy posłuchał, mógłby wezwać pomoc. Po chwili namysłu postanowił nie zostawiać kobiety samej na polu. Po drodze przyglądał się jej ubłoconej i podrapanej twarzy, odnosząc coraz silniejsze wrażenie, że już kiedyś ją spotkał. Upewnił się, że kobieta leży bezpiecznie na desce zamontowanej z tyłu ciągnika, która zazwyczaj służy za dodatkowe dwa miejsca do siedzenia, mężczyzna otarł jej twarz z błota.

– Anka? Aniu! Aneczko! Córciu! – krzyczał, gdy łzy zalewały jego twarz. – Wiedziałem, że do mnie wrócisz!

Dagmara Kocik obudziła się w chwili, kiedy mężczyzna kładł na jej głowie kompres. Półmrok panujący w pokoju uniemożliwił jej rozeznanie. Była jednak pewna, że nie jest to dom letniskowy, z którego uciekła. Dom, w którym teraz była, na pewno miał więcej niż jeden pokój, co stwierdziła po dochodzących dźwiękach radia.

– Kim pan jest? – wyszeptała, czując, że każde słowo przynosi piekący ból gardła.

– Nie poznajesz mnie? – Mężczyzna podszedł do łóżku i nachylił się nad dziewczyną.

– Nie znam pana. Czy jest pan lekarzem?

– Nie.

– A może go pan wezwać? – Zakaszła kilkakrotnie, czując posmak ropy w gardle.

– Był już u ciebie lekarz.

Dziewczyna przymknęła oczy. Wsłuchując się w piosenkę Anny Jantar, próbowała zebrać siły i myśli do dalszej rozmowy.

– Gdzie jestem? – wyszeptała ponownie.

– W domu!

– W domu?

– Tak! W końcu po latach jesteś w domu! – Mężczyzna schował twarz w dłoń i zaczął płakać. – Wiedziałem, że wrócisz!

– To nie jest mój dom. Czemu miałabym tu wracać?

– Aneczko! Kochanie! Nie poznajesz własnego ojca?

Rolnik zapalił nocną lampkę stojącą na stoliku tuż przy łóżku. Żółte światło rozświetliło twarz mężczyzny. Pierwszą rzeczą, na którą Dagmara Kocik zwróciła uwagę, to znaczny ubytek w czaszce mężczyzny. Nie było to jednak wklęsnięte czoło, jakie miał jej kolega w liceum, któremu lekarze wycięli część kości czołowej. Ten mężczyzna musiał doznać poważniejszego urazu, bo nie miał co najmniej jednej trzeciej czaszki.

Mężczyzna pogładził się po głowie, przyczesując swoje nieliczne siwe włosy. Uśmiechnął się, pokazując pożółkłe zęby i stał nieruchomo, jakby czekał na werdykt przed jury.

– Nie znam pana!

– Minęło kilka lat, ale nie zmieniłem się aż tak bardzo! Nie poznajesz swojego ojca?

– Coś się panu pomyliło. Przykro mi, nie jestem pana córką. – Dagmara Kocik podparła się na przedramionach, próbując usiąść.

– Nie podnoś się. Powinnaś dużo leżeć.

– Proszę mnie zawieźć do szpitala. Mam połamane nogi.

Mężczyzna podniósł kołdrę, pokazując kobiecie, że ma obie nogi w gipsie.

– Zagoją się. Lekarz twierdzi, że nic ci nie będzie, Aneczko!

– Ale ja chcę do szpitala! – krzyknęła i w tym samym momencie zaczęła się krtusić.

– Nie możesz jechać do szpitala.

Kobieta spojrzała pytająco, próbując przełknąć flegmę, którą przed chwilą odkrtusiła.

– Milicja mi ciebie zabierze, Aneczko! Pójdiesz do więzienia na długie lata, jeśli dowiedzą się, co zrobiłaś. – Mężczyzna przysunął krzesło obok łóżka i na nim

usiadł.

– A co niby zrobiłam?

– Zabiłaś własnego brata – wyszeptał, nachylając się nad twarzą dziewczyny. – Chcę, żebyś wiedziała, że rozumiem, dlaczego to zrobiłaś. Nie mam ci tego za złe! Gdyby matka żyła, też by to zrozumiała. Patryk od zawsze był o ciebie zazdrosny. Nieraz widzieliśmy z matką, jak cię podglądał w łazience. Ale nie martw się. Już jesteś bezpieczna.

Dagmara Kocik oparła głowę o poduszkę, próbując zorientować się w sytuacji. Pamiętała, że dźgnęła nożem mężczyznę, który ją porwał. Z opowieści starego człowieka wywnioskowała, że zabiła swojego oprawcę, syna mężczyzny, który bierze ją za swoją zaginioną córkę.

Otworzyła usta, chcąc opowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło. A przede wszystkim to, kim był jego syn. Widząc jednak obłęd w brązowych oczach mężczyzny, uznała, że im dłużej będzie on uważać ją za swoją córkę, tym dłużej będzie bezpieczna.

– Jaki dziś dzień? – zapytała.

– Dzień twojego powrotu do domu, Aneczko! – odpowiedział mężczyzna ze wzruszeniem.

– Czyli to nasz dzień. Tato.

Wyciągnęła rękę w kierunku mężczyzny, który od razu ją chwycił i zaczął całować.

– Nie płacz – powiedziała najcieplejszym głosem, na jaki umiała się zdobyć. – Już tutaj jestem i cię nie opuszczę.

XXIII

Zachodzące słońce wpadało przez szyby hotelu, gdy starszy mężczyzna ubrany w popielatoszary garnitur wchodził do środka. Mimo że już kilkakrotnie upewniał się, czy nikt go nie śledzi, ponownie obejrzał się za siebie. Mijając uśmiechniętego recepcjonistę, skinął głową na przywitanie i udał się wprost do windy. Nie było dla niego zaskoczeniem, że aby uruchomić urządzenie, będzie potrzebna hotelowa karta. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął namagnesowany plastik i przyłożył do czytnika. Winda sunęła do góry, gdy mężczyzna czytał wywieszone menu z hotelowej restauracji. Pomyślał, że „halibut na piure z zielonego groszku” brzmi smacznie i gdyby nie służbowy charakter jego wizyty, chętnie by go skosztował.

Na hotelowym korytarzu przystawał od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy ktoś za nim idzie. A potem już przed pokojem przysłuchiwał się odgłosom dochodzącym zza ściany, wyliczając w głowie: dwie osoby, mężczyzna i kobieta, nie są parą, rozmawiają o czymś, co jest dla nich ważne.

– Klinika aborcyjna? – zapytała kobieta nazbyt piskliwym głosem, jakby sama nie wierzyła w to, co mówi.

– Tak. Podobno wszystkie ofiary były jej klientkami. Jeśli mogę tak to określić.

– To już nie wygląda na przypadek, Ed...

Kobieta ściszyła głos, dodając coś jeszcze, lecz dla mężczyzny stojącego za drzwiami było to już niesłyszane. Z nadzieją na podsłuchanie kilku dodatkowych zdań mężczyzna dopiero po dłuższej chwili zdecydował się zapukać do drzwi. Otworzył je dobrze zbudowany mężczyzna w średnim wieku ubrany w spodnie w pepitkę i czarny golf.

– Tak?

– Dzień dobry – odezwał się mężczyzna zachrypniętym głosem – do pani Krawczyk.

– Proszę. – Ed Żuchowski otworzył drzwi na oścież, wpuszczając go do pokoju.

– Dzień dobry, pani Krawczyk. – Mężczyzna spojrzał na stojącą przy biurku młodą kobietę. Choć wiedział o niej niemal wszystko, uznał, że na zdjęciach wyglądała znacznie starzej. Ubranej w dopasowane jeansy i białą podkoszulkę policjantce dałby co najwyżej dwadzieścia siedem lat.

– Dzień dobry, panie...

Blacha wyciągnęła rękę na przywitanie. Mężczyzna odwzajemnił uścisk dłoni. Miał delikatną skórę właściwą dla osób starszych, które całe życie przepracowały za urzędowym biurkiem.

– Nowak.

– Mnie pan już zna, a to mój kolega, Ed Żuchowski.

Mężczyzna uniósł kąciuki ust, co policjanci odczytali jako uśmiech. Poważna mina i czujna postawa, jaką miał mężczyzna, wzbudzały w Urszuli Krawczyk strach. Zastanawiała się, czy on gra, czy naprawdę ma tak poważne informacje.

– Proszę się nie gniewać, pani Krawczyk, ale nasz przyjaciel wspominał mi tylko o pani.

– Pracujemy razem – odparła stanowczo Blacha. – Jeśli pan chce, może zadzwonić do ministra i go o to zapytać.

– Nie ma potrzeby się złościć – odpowiedział półszeptem – tak samo jak nie ma potrzeby używać nazwisk i funkcji.

– Ed zostaje i kropka!

Mężczyzna o pożółkłych włosach spojrzał na policjanta i skinął głową.

– Proszę zatem usiąść wygodnie, panie Żuchowski.

Podchodząc do biurka, przy którym jeszcze przed chwilą stała Blacha, odpiął marynarkę i przesunął krzesło, ustawiając je tak, żeby siedzieć przodem do drzwi. Siadając, rozpiął popielatą marynarkę i odchylił na tyle głęboko, że policjanci mogli zauważyć zawieszoną pod jego pachą broń.

Blacha uśmiechnęła się do swoich niedawnych myśli, stwierdzając, że człowiek, którego ma przed sobą, jednak nie gra.

Nowak usiadł wygodnie na krześle, zarzucając prawą nogę na lewą. Splecione dłonie położył na kolanach i zaciągnął się głęboko powietrzem.

– Dlaczego interesuje państwa Brzeziński?

– Leopold Brzeziński pojawił się przypadkiem, jeśli mogę tak powiedzieć w toku śledztwa – odpowiedziała spokojnym tonem Blacha. – Nas bardziej interesuje Osiedle Gwiazdy?

– Brzeziński lub Komendant, bo tak na niego mówiliśmy, to sprawa sprzed czterdziestu lat. – Mężczyzna przełknął ślinę i kontynuował: – A z tego, co wiem, państwo nie pracujecie w archiwum policyjnym...

– Powiedział pan, że tak na niego mówiliście. – Blacha podjęła wątek znajomości mężczyzny z komendantem milicji, ignorując całkowicie jego pytania. – Czy to znaczy, że pan i Leopold Brzeziński się kolegowaliście?

– A pani ma kolegów w wydziale?

– Możliwe.

– Kto? Czyżyk?

– Lubię go, to fakt, ale co ma mój szef do tego?

– Jak pani myśli, dlaczego pani nie zwolnił, gdy zasnęła pani z aktami sprawy i pół Europy mogło zapoznać się z dokumentami operacyjnymi?

– Dał mi po prostu szansę? A może mnie lubił? – Blacha poczuła, że się czerwieni.

– Z całym szacunkiem, ale gówno prawda.

– Zatem proszę mi powiedzieć dlaczego? – odparła Urszula Krawczyk z poirytowaniem w głosie.

– Dawno pani do niego nie dzwoniła. On również zamilkł...

– Co to ma do znajomości w wydziale, bo nie rozumiem?

– Cztery sprawy o molestowanie i dwie ukryte kamery w damskiej łazience.

Blacha zaczęła się śmiać nerwowo.

– I to ma być dowód na to, że mnie wtedy nie zwolnił? Sugeruje pan, że z nim sypiałam.

– Absolutnie! W tamtym czasie była pani z niejakim Michałem, a Czyżyk jest obleśny. Nie zwolnił pani, bo chciał w ten sposób zmusić panią do odwzięczenia się. – Mężczyzna nakreślił znak cudzysłowu, podnosząc dłonie.

– Minęło sporo czasu i gwarantuję panu, że nawet nie próbował. – Blacha odcięła się z nieukrywaną złością w głosie.

– Bo stała się pani medialna. Myśli pani, że dlatego dzisiaj tutaj jest.

– Bo jest dobra – wtrącił Żuchowski, chcąc uciąć niepotrzebną jego zdaniem dyskusję.

– Niewątpliwie i tego pani nie ujmuję. Niemniej jest pani tutaj, bo zadecydowali tak politycy, a oni pomiędzy rozwiązaniem sprawy a dobrym wizerunkiem zawsze wybiorą to drugie. Innymi słowy, ściągnięto panią, żeby użyć pani podczas kolejnej spektakularnej akcji. Jeśli nie złapiecie Łowcy, to nie pan Żuchowski za to odpowie, a pani. Po to właśnie pani tutaj jest.

Blacha zastanawiała się nad tym, co przed chwilą usłyszała. Z każdą kolejną myślą czuła, jak odpływa jej energia. Politycy nie wierzą w powodzenie akcji, więc przysłali ją jako kozła ofiarnego, żeby móc powiedzieć: „Zrobiliśmy wszystko, co się dało, przysyłając najlepszego detektywa w kraju”. To samo, choć mniej dobitnie, powiedział jej wcześniej minister.

– Innymi słowy, nie przyjaźniliście się z Leopoldem Brzezińskim? – Policjantka przerwała ciszę.

– Przyjaźnić to można się z psem. Pan Żuchowski ma kota i powie pani, że to nie to samo.

Ed otworzył szeroko oczy. W pierwszej kolejności chciał zapytać, skąd starszy mężczyzna wie o nich tak dużo. Po chwili jednak wolał zamilknąć, bojąc się, że mężczyzna zna jego sekret. Uśmiechnął się więc jedynie do rozmówcy i skinął, doceniając w ten sposób jego wiedzę.

– Zatem – starszy mężczyzna kontynuował – w czym mogę państwu pomóc?

– Gdzie są brakujące strony akt Leopolda Brzezińskiego?

Mężczyzna podniósł prawą rękę, przykładając palec wskazujący do czoła.

– Pan wyrwał te strony?

– Nie. Zrobił to człowiek, który dzisiaj jest senatorem. Nie chciał, żeby jego nazwisko wypłynęło kiedykolwiek w tej sprawie.

– W tej sprawie?

– W sprawie osiedla z gwiazdą vel gwiazdy. Zależy, z kim się rozmawia.

– Czyli potwierdza pan to, co się mówi o tym osiedlu?

– A co się mówi? – Mężczyzna zakaszłał.

– Nudzi mnie to! – Blacha podniosła się z kanapy, na której siedziała. – Przyjeżdża pan tutaj nie wiadomo skąd, tylko po to, żeby wysądować, czy wiemy coś na temat handlu organami przez uprzednią władzę. Jak pan widzi, wiemy. Mogę zapewnić, że dużo. Mamy nawet świadków z tamtego okresu – blefowała. – Mam zatem dla pana, jak mniemam, intratną propozycję. Otóż, pan przestanie grać z nami w kotka i myszkę, opowie nam o Leopoldzie Brzezińskim i jego porąbanej siekierą kochance, a my w zamian zapomnimy o pieprzonym handlowaniu narządami. Pan oczywiście nadal będzie mógł podglądać Eda, jak bawi się z kotem, a mnie gdy randkuję, i wszyscy będą zadowoleni.

Mężczyzna uśmiechnął się, delikatnie rozglądając się po pokoju, jakby czegoś szukał.

– Tutaj nie wolno palić – obwieścił Ed, rozszyfrowując mężczyznę.

– Szkoda.

– Długo znał pan Leopolda Brzezińskiego?

– Mogę powiedzieć, że całe życie, z Komendantem znaliśmy się od czasów przedszkolnych. Wiecie państwo, że już w podstawówce tak na niego mówiliśmy? – zapytał mężczyzna, nie oczekując jednak odpowiedzi. – Miał w sobie pierwiastek przywódcy. Po latach wiem, że z tym się człowiek po prostu rodzi. Mieszkaliśmy w jednej kamienicy przy Limanowskiego pod numerem pierwszym dokładnie. Wiecie państwo, co się mieściło w tym budynku w czasie drugiej wojny?

– Jeśli to ta kamienica u zbiegu Zgierskiej i Limanowskiego, to była tam siedziba gestapo...? – Żuchowski bardziej zapytał, niż odpowiedział.

– Historia miejsca, w którym dorastaliśmy, miała na nas ogromny wpływ. W kamienicy mówiło się, że krzyki torturowanych nie milkną. Ludzie bardziej bojaźliwi twierdzili, że słyszą stukot oficerskich obcasów w nocy.

– A pan też je słyszał?

– Kiedyś na śmietniku znaleźliśmy stare wojskowe buty. Komendant czasami w nocy je zakładał i spacerował po korytarzu. – Mężczyzna zakaszał. – A odpowiadając na pani pytanie, już całkowicie poważnie. Tak słyszałem te głosy, bo ludzie, którzy przeżyli piekło getta i wojny, byli moimi sąsiadami. W getcie zginęła niemal cała moja rodzina. Leo poza matką i ojcem też nikogo nie miał.

– To dlatego postanowiliście pracować dla komunistów?

– Panie Żuchowski, a czy pan pracuje dla takiej czy innej formacji politycznej?

Ed uśmiechnął się jedynie ze zrozumieniem.

– Sam więc pan widzi. W oczach ludzi z getta komuniści byli wybawieniem. Nagle można było iść za mur. Wie pan, jak wcześniej można było opuścić Bałuty?

– Pociągami do obozu zagłady?

Mężczyzna zaśmiał się, po czym zakaszał.

– Rozbawił mnie pan, panie Żuchowski, choć ma pan niewątpliwie rację. Z getta przechodziło się drewnianymi kładkami. Jedna z nich szła tuż pod moimi oknami. Tak więc, dla ludzi z mojej kamienicy, a tym samym dla mnie, komuniści byli wybawieniem.

– Komendant pana wciągnął więc w pracę dla służb bezpieczeństwa...

– To nie było naszym marzeniem. Od wczesnych lat chcieliśmy się zaciągnąć do wojska. Wtedy wszyscy czekali na wybuch kolejnej wojny, a my obiecaliśmy sobie, że nie pozwolimy, aby piekło getta wróciło do naszego miasta. Zaraz po liceum zgłosiliśmy się do WKU. Co prawda wstępna selekcję przeszliśmy, ale testy sprawnościowe wykazały, że Komendant ma coś z płucami. Pamiętam, że wtedy pierwszy i ostatni raz w życiu widziałem mojego przyjaciela, jak płacze. – Mężczyzna skrzywił usta, jakby przywołany obraz wzbudził w nim niesmak. – Zaproponowano mu pracę w garnizonie, mnie zaś w kontrwywiadzie. „Idź i dbaj o bezpieczeństwo naszego miasta za nas dwóch” – namawiał mnie, gdy wracaliśmy

z komendy uzupełnień. „Bez ciebie się nie wybieram. Poza tym kontrwywiad? Mam kapować na swoich kolegów” – pytałem. „To nie kapowanie. To szukanie wrogów, którzy sprzedają tajemnice naszego państwa”. „A komuchy niby nie sprzedają?” – pytałem, nie oczekując odpowiedzi. Znałem ją. Tego dnia pierwszy raz obaj zrozumieliśmy, że nasze drogi się rozchodzą, mimo że żaden nie powiedział tego na głos. „A może milicja?” – rzuciłem. „I będziesz pisał mandaty za złe przejście przez ulicę?”, „Przynajmniej będziemy razem to robić” – wymierzyłem mu sójkę w bok, a on mnie serdecznie uściskał i krzyknął do ucha *Idź!* Następnego dnia zgłosiłem się do WKU i rozpocząłem szkolenie. Komendant poszedł na studia prawnicze. Tam rozpoczął pracę w służbach specjalnych, o czym dowiedziałem się z akt sprawy, które któregoś dnia pojawiły się na moim biurku.

– Nie spotykaliście się od tego czasu? – zapytała Urszula Krawczyk z ciekawością w głosie.

– Spotykaliśmy się na tyle, na ile było to możliwe. Leo tłumaczył to brakiem czasu i trudnymi studiami, ja zaś pracą w wojsku, szkoleniami i wyjazdami. Prawda jednak była taka, że nigdy nie pogodził się z tym, że wtedy go posłuchałem. – Mężczyzna zamilkł i spojrzał za siebie, przyglądając się przejeżdżającemu za oknem tramwajowi.

– Powiedział pan, że akta Leopolda Brzezińskiego znalazły się na pańskim biurku. Czy wówczas pracował pan w kontrwywiadzie? – Żuchowski przerwał ciszę.

– Tam się pracuje całe życie. Nie można przejść do innego działu. Jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

Ed Żuchowski skinął głową.

– Komendant nie odzywał się do mnie od ponad pięciu lat. Oczywiście z racji mojej pracy wiedziałem, kim jest i co robi. Gdy dowiedziałem się, iż się ożenił, zrobiło mi się nawet przykro, że mnie nie zaprosił na ślub. Z drugiej zaś strony cieszyłem się, że jego żoną została nasza wspólna koleżanka. Jako dzieciaki kochaliśmy się w niej szalenie.

– Wspomniał pan jednak, że kazano panu inwigilować Leopolda Brzezińskiego? – drążyła Blacha, żeby przerwać kolejną sentymentalną opowieść mężczyzny.

– To było środowe popołudnie. Pamiętam, bo w środy przeważnie wychodziłem z biura o czternastej, a tego dnia wyszedłem wyjątkowo po północy. „Tutaj macie dokumenty wywrotowca” – mój ówczesny szef mówił grubym tonem, podając mi dokumenty. Po dziś dzień ten bas dudni mi w uszach. „Zajmijcie się nim”. W owym czasie dokumenty kontrwywiadu nie były ładnie opakowane w brązową teczkę, jaką znacie państwo z dzisiejszych archiwów Instytutu Pamięci Narodowej. Ja dostałem gruby plik dokumentów porozrzucanych w cztery strony świata i musiałem sobie z nimi poradzić. Otworzyłem skoroszyt, w którym powpinane były papiery. Na pierwszej stronie widniało nazwisko: Brzeziński Leopold, pseudonim operacyjny Komendant. „Dobrze się czujecie?” – zapytał mnie szef, bo w jednej sekundzie odpłynęła mi cała krew z mózgu i zbladłem. „Tak” – skłamałem i niemal wybiegłem do swojego gabinetu mieszczącego się na drugim końcu budynku. Otworzyłem biuro i wyjąłem pół litra czystej wódki. Proszę mi wierzyć, że nigdy nie piłem i nie piję do dziś, ale tego dnia wlałem w siebie szklankę wódki, jakbym pił wodę. Dokumenty leżały na moim biurku. Mijały godziny, a ja zastanawiałem się, co mam z nimi zrobić. Rozwahałem, czy nie przekazać sprawy komuś innemu, ale wtedy odezwała się we mnie przyjacielska solidarność mówiąca, że gdyby coś, będę mógł chronić kolegę. Po kolejnej szklance wódki otworzyłem skoroszyt ponownie. Tego dnia dowiedziałem się o wszystkim, co działo się na Osiedlu Gwiazdy oraz o tym, jak mój przyjaciel z dzieciństwa został zdrajcą narodu. – Mężczyzna podniósł się z krzesła. – Przepraszam muszę zapalić – powiedział, oblizując delikatnie wargi. – Zaraz wrócę.

– Proszę palić tutaj! – zaproponowała Blacha zdecydowanie za głośno. Wiedziała, że po powrocie ich rozmówca może nie być już tak wylewny.

– Tu zdaje się nie można. – Starszy człowiek wskazał na tabliczkę stojącą przy biurku.

– Można. – Żuchowski wyciągnął paczkę Marlboro w kierunku mężczyzny.

Nowak zaciągnął się papierosem z przymkniętymi powiekami. Widać było, że palenie sprawia mu ogromną przyjemność. Blacha ze zdziwieniem stwierdziła, że z każdym kolejnym wciągnięciem dymu w płuca mężczyzna kaszle coraz mniej.

– Co było w tych dokumentach?

– Informacje o moim przyjacielu. Z akt dowiedziałem się, że mają trójkę dzieci. Ubodło mnie to, że Komendant wykorzystał nasz żart młodzieńczy, żart na imiona.

– To znaczy?

– W liceum śmialiśmy się, że gdy będziemy mieli dzieci, nazwiemy je kolejno literami PZPR, żeby móc wołać: „pzpr na obiad”. Komendant prawie sam to zrobił, dając kolejno imiona: Patrycja, Zofia, Patryk.

Widząc, że żart nadal bawi mężczyznę, policjanci uśmiechnęli się do niego z grzeczności.

– Czego jeszcze się pan dowiedział?

– Leo skończył prawo z wyróżnieniem. Kilka dni po inauguracji odezwał się do niego człowiek z tajnej służby bezpieczeństwa i zaproponował intratną pracę. Pozwolą państwo, że pominę szczegóły. Niemniej Komendant się zgodził, co wiecie z dokumentów, które przeczytaliście w łódzkim IPN.

– I co było dalej?

– Zapoznałem się z resztą dokumentów. Kolejne strony nie wnosiły niczego znaczącego. Pomyślałem nawet przez chwilę, że ktoś chce spuścić Komendanta. Nie mogłem ot tak umorzyć sprawy, więc postanowiłem poobserwować mojego przyjaciela. – Nowak sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyciągnął srebrną papierośnicę i pytająco spojrzął na Blachę, która zmusiła się do uśmiechu i skinęła głową na znak, że nie ma nic przeciwko, aby zapalił kolejnego papierosa.

– Zapali pan?

Żuchowski pokręcił przecząco głową, zdając sobie sprawę z tego, że dym z dwóch papierosów na pewno wywołałoby alarm przeciwpożarowy.

Starszy mężczyzna zaciągnął się papierosem bez filtra i spojrzął na swoich rozmówców, zastanawiając się, czy są świadomi, jak dużą wiedzę na ich temat posiada. Zawsze robił wywiad na temat ludzi, z którymi miał się spotkać. Nauczył

się tego od kolegi z tajnych radzieckich służb. Większość zarzucała mu nadgorliwość, ale on wiedział, że gruntowna wiedza na temat rozmówców to podstawa do wyważania tego, co i komu wolno powiedzieć. Według niego Żuchowski był człowiekiem, któremu absolutnie można zaufać. Mimo drobnych nieścisłości w życiu prywatnym i niepewnej orientacji seksualnej był człowiekiem nieskazitelnie czystym. Ze względu na polityczne kontakty Blacha nie była w jego mniemaniu aż tak pewnym rozmówcą. Przyjechał do hotelu z zamiarem wybadania wiedzy policjantów oraz ich zmylenia. Upartość i nieustępliwość Urszuli Krawczyk przekonały go do tego, że kobieta nie jest świadoma swoich koneksji politycznych, dlatego postanowił nie zabierać wiedzy o swoim przyjacielu do grobu i raz na zawsze zrzucić z siebie ciężar milczenia, jaki dźwigał przez ostatnie dekady.

Nowak zaciągnął się resztką papierosa. Wydmuchując dym, spojrzał ponownie na swoich rozmówców, upewniając się, że podjął dobrą decyzję. Blacha patrzyła na park za jego plecami. Żuchowski siedząc z nogą założoną na nogę, oparty o szarą kanapę oddychał spokojnie, delikatnie się uśmiechając.

– Pierwszy dzień obserwacji, którą podjąłem – starszy mężczyzna przerwał ciszę, gasząc papierosa – przypadał akurat w pierwszym dniu wakacji. Pamiętam, że z nieba lał się żar. Zaparkowałem swój samochód, a raczej powinienem powiedzieć „Malucha” na Żubardziu przy pawilonach handlowych. W tamtych latach stała tam jeszcze czynna fontanna. Po dziś pamiętam zapach chloru, który unosił się w powietrzu. Byłem tam ostatnio, wicie państwo... Fontanna jest zasypana, ale pawilon handlowy nadal stoi.

Policjanci skinęli głowami i jak na komendę uśmiechnęli się do mężczyzny. Rozumiejąc, że jego opowieść nie odbędzie się bez sentymentalnej wycieczki po czasach jego młodości.

– Hałas i harmider dzieci wówczas mnie drażnił. Dzisiaj tego już nie ma na podwórkach i jak na ironię tęsknię za tym, gdy mam otwarte okno balkonowe. – Mężczyzna zakaszał. – Przeszedłem przez plac pawilonu handlowego, mijając kąpiące się w fontannie dzieci. Proszę mi wierzyć, że było tak gorąco, że im zazdrościłem z całego serca. Idąc wzdłuż bloku, rozglądałem się po okolicy.

W owym czasie nie było tam tylu aut co dzisiaj. Stało kilkanaście pojazdów. W zależności od marki mogłem z niemal stuprocentową pewnością odgadnąć, czym zajmuje się właściciel. Maluchy należały do pracowników naukowych, dużymi fiatami głównie jeździli dyrektorzy i kierownicy państwowych zakładów, ładami pracownicy służb bezpieczeństwa. Jeden samochód zwracał uwagę. Była to białoniebieska syrenka należąca właśnie do Komendanta. W aktach, które czytałem dzień wcześniej, była wzmianka o samochodzie. Przeszło mi nawet przez myśl, a może powinienem powiedzieć, że miałem nadzieję, iż Leo sprzedaje nieznaczące informacje za dobre pieniądze. Dużo oficerów wówczas tak robiło. Usiadłem na ławce pod blokiem i podwinąłem rękawy koszuli. Była godzina dziesiąta rano, a upał stawał się nie do wytrzymania. Po około trzydziestu minutach z bloku wyszedł Leopold. Ubrany w cywilny strój lekko podchmielony wsadził trójkę swoich dzieci do auta i odjechali.

– Nie śledził ich pan? – wyrwało się Żuchowskiemu.

– Nie chciałem tego robić. Wiedziałem doskonale, jaki Komendant ma rozkład dnia. Odwoził dzieci, a następnie jechał do komendy. Tam miał swój gabinet i zajmował się sprawami, które nawet do mnie dotarły zakreślone czarnym mazakiem. W tamtych czasach nie było jeszcze domofonów, więc na klatkę schodową wszedłem bez najmniejszego problemu. W środku było przyjemnie chłodno. Do dziś zresztą w starych blokach jest chłodno. Lastrykowe schody nie nagrzewają się od słońca wpadającego przez okno. Leo mieszkał na trzecim piętrze. Jego mieszkanie rzucało się w oczy od razu. Jako jedyne zabezpieczone było metalowymi drzwiami z potrójnym zamkiem. Jak państwo przypuszczacie wejście do środka nie było większym problemem. Otwarcie zamków rumuńskiej produkcji zajmowało mniej niż wdrapanie się po schodach na trzecie piętro. W mieszkaniu panował bałagan. Na ziemi leżała sterta ubrań spakowanych do czarnej sportowej torby. Innymi słowy; widać było, że w domu nie mieszka kobieta. Leo wtedy był już wdowcem.

– Wie pan, co się stało z jego żoną? – zadała pytanie Blacha.

– Jak już powiedziałem, w mieszkaniu panował bałagan. – Nowak zignorował pytanie policjantki. – W przedpokoju leżały porzucone buty. Każdy z domowników miał swój pokój. Zajarzałem do wszystkich, nie wiedząc, czego tak naprawdę szukam. Po krótkich oględzinach wiedziałem jednak, że Leopold ma dużo pieniędzy. Pozostawało pytanie skąd.

Blacha chciała zapytać, czy taki był cel misji Nowaka. Postanowiła jednak milczeć i dać mężczyźnie opowiedzieć swoją historię do końca. Wiedziała, że czas na pytania jeszcze przyjdzie.

– Wieża stereo, dwa telewizory, telefon, dwa aparaty fotograficzne i dolary schowane pod łóżkiem. Do tego ten przeklęty samochód, przez który myślałem, zaczęła się inwigilacja Leopolda. – Mężczyzna zrobił pauzę i przypalił kolejnego papierosa. – Po godzinie spędzonej w mieszkaniu nie znalazłem absolutnie niczego, co mogłoby wskazywać na to, że handluje informacjami. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że odpowiedzi mam przed nosem. Wróciłem do mojego biura. Wszystkie sprawy, które wówczas prowadziłem, oddałem moim podwładnym. Wiedziałem, że jeśli sam zajmę się sprawą mojego przyjaciela, to może uda mi się wybronić go od kary śmierci.

– Proszę wybaczyć, ale nie rozumiem – odezwał się Żuchowski spokojnym tonem. – Nie wiedział pan, o co go podejrzewają, a mimo to wiedział pan, że grozi mu kara śmierci...

Mężczyzna wykrzywił usta i zmienił pozycję, w której siedział.

– Panie Żuchowski – zaczął – pracowałem w kontrwywiadzie, wiedziałem od razu, o co go podejrzewają i wiedziałem doskonale, co z takimi delikwentami robiła ówczesna władza. Nie było sprawy w sądzie, adwokatów, prokuratorów i tak dalej. Była opinia pracownika kontrwywiadu i jeśli padał choć cień podejrzenia, to klient miał wizytę smutnych panów w ciemnych garniturach, którzy wywlekali go do jakiegoś podmiejskiego garażu i walili młotkiem w łeb. – Mężczyzna przypalił papierosa. – Rozumie pan już, dlaczego chciałem zająć się sprawą osobiście...

Ed przytaknął skinięciem głową.

– Rozłożyłem wszystkie dokumenty dotyczące Komendanta, jakie miałem w posiadaniu. Na jednej małej karteczce zapisanej drobnym pismem znajdowała się informacja dotycząca kobiety, z którą spotykał się Leo.

– Anka! – powiedziała na głos Blacha.

– Dokładnie rzecz ujmując, Anna Maria Tomczyk. Komendant był osobiście odpowiedzialny za bezpieczeństwo transportów wysyłanych z Osiedla Gwiazdy. Tam poznał ojca swojej przyszłej kochanki.

Blacha nabrała głęboko powietrza i otworzyła usta, chcąc ponownie zapytać o handel narządami przez ówczesną władzę.

– Proszę dać mi skończyć, nim zada pani pytanie. – Mężczyzna wymownie spojrzał na policjantkę, dając jej do zrozumienia, że wie, jakie pytanie ciśnie jej się na usta.

Blacha przytaknęła skinieniem głowy.

– Anka była całkowitym przeciwieństwem zmarłej żony Komendanta. Nie będę jej opisywał, bo nie odda to jej urody. Powiem jednak, że była prześliczna! I proszę mi wierzyć na słowo, rzadko tak mówię o jakiegokolwiek kobiecie. – Nowak spojrzał na Blachę. – Proszę mi wybaczyć bezpośredniość. Romans tych dwojga był bardzo burzliwy. Dziewczyna mimo młodego wieku, a miała zaledwie dwadzieścia lat, gdy zaczęli się ze sobą spotykać, była bardzo dojrzała i nie pozwalała sobie na przedmiotowe traktowanie. Nie raz i nie dwa chlapnęła Komendanta w twarz. Wyobrażacie państwo sobie taką sytuację w dzisiejszym świecie? Większość kobiet bałaby się, że absztyfikant jej odda. Burzliwość związku, częste kłótnie i sprzeciw ojca Anki doprowadziły Leo na skraj wycieńczenia psychicznego i zaczął pić.

– W tamtych czasach to chyba nic nadzwyczajnego – wtrącił zgryźliwą uwagę Żuchowski.

– W dzisiejszych również, panie Żuchowski – odpowiedział Nowak bez ironii w głosie.

– Nie zaczął pić po śmierci żony, a zmusiła go do tego jakaś młódka?

– Otóż to, pani Krawczyk! – Mężczyzna pstryknął palcami. – Miałem podobną refleksję, dlatego nie uwierzyłem, że Leo zaczyna dzień od kieliszka wódki przez

kobietę. Nawet jeśli jest najśliczniejsza.

– Problemem nie był Leopold Brzeziński, a jego kochanka? – Swoim pytaniem Blacha ponownie trafiła w punkt.

– Już wiem, dlaczego jest pani tak rozchwytywana. – Mężczyzna uśmiechnął się, pokazując pożółkłe od papierosów zęby. – Służba bezpieczeństwa obserwowała Komendanta, sądząc, że to od niego wypływają informacje. Tymczasem okazało się, że Anka jako młoda dziewczyna zorientowała się, czym tak naprawdę zajmuje się jej kochanek. Myślę, że go nie kochała, a jedynie wykorzystała jego pozycję do zabezpieczenia swojej osoby.

– Myśli pan, że Leopold Brzeziński wiedział, kim jest jego kochanka...

– Na pewno wiedział. I godził się na to, łamiąc wszelkie zasady.

– Dlaczego zaryzykował wszystko i z nią został? – Żuchowski kontynuował zadawanie pytań.

– Bo ją kochał! – odpowiedziała Blacha.

– Kochał to mało powiedziane. Był gotów oddać za nią życie, co potwierdził mi podczas naszego, jak się później okazało, ostatniego w życiu spotkania.

Policjanci spojrzeli pytająco na mężczyznę, któremu szklify się oczy.

– W środy Leo wracał do domu około czternastej. Nie udało mi się odkryć dlaczego, ale była to zawsze ta godzina. Czekałem na niego w jego własnym domu. „Czołem, panie Komendancie” – odezwałem się do niego naszym dziecięcym przywitaniem, gdy tylko przekroczył drzwi. „Czołem, żołnierzu” – odpowiedział, jakbyśmy widzieli się wczoraj, a nie lata temu. „Pewnie zastanawiasz się, co tu robię?” – zapytałem, kiedy skończyliśmy się ściskać. „Widuję cię od dłuższego czasu. Nie dziwi mnie, że w końcu rozmawiamy” – odpowiedział obojętnym głosem i zaproponował mi wódki. „Słaby ze mnie myśliwy”. „Albo ze mnie za dobra zwierzyna! To chcesz tej wódki, czy nie?” – ponaglał. „Lej” – odpowiedziałem i nim się zorientowałem, przede mną stała szklanka wódki. Na każdą moją jedną Leo wypił dwie. „To jak już tak sobie miło spędzamy czas, to powiedz, przyszedłeś mnie skasować?”, „Wręcz przeciwnie. Przyszedłem cię ostrzec”. „Powiedz jeszcze, że ze względu na stare czasu” – zaśmiał się gorzko i upił kolejny łyk wódki. „W firmie

myślą, że się sprzedałeś”. „A ty co myślisz?” „A ja mam zdjęcia, na których twoja kochanka przekazuje mikrofilmy mężczyźnie, którego służby namierzyły już dawno jako podwójnego agenta”. Siedzieliśmy na dwóch różnych fotelach przedzielonych ławą, kiedy mu to mówiłem. Nie zdążyłem nawet przełknąć śliny, a on doskoczył do mnie, łapiąc mnie za koszulę i grożąc, że mnie zabije. „Puść mnie” – odtrąciłem jego rękę. „Przychodzę do ciebie w imię starej przyjaźni, żeby powiedzieć ci, że w firmie tylko ja znam prawdę. Co jest plusem i minusem, jak się domyślasz”. Puścił moją koszulę i usiadł na ziemi tuż przy moim fotelu. Przyciągnął nogi do klatki piersiowej i schował głowę pomiędzy nimi. „Powiedz w firmie, że to ja i mnie odstrzel, ale ją zostaw. Ona ma przed sobą całe życie”. Nie odpowiedziałem. Położyłem jedynie dłoń na jego ramieniu i wyszedłem. Nazajutrz napisałem obszerny raport, wskazując w nim, iż kochanka mojego eksprzyjaciela z młodości działa na rzecz obcego mocarstwa. Tak to się wówczas pięknie nazywało. – Starszy mężczyzna zacisnął wargi i przymknął oczy, wciągając powietrze przez nos.

W pierwszej chwili policjanci pomyśleli, że próbuje stłumić kaszel, który notorycznie przerywał każdą jego wypowiedź. Widząc jednak łzy ciekące po policzku, zrozumieli, że starszy mężczyzna traktuje ich spotkanie jako spowiedź z grzechu, który nosił w sobie przez całe życie.

– Co wydarzyło się później? – Blacha postanowiła wykorzystać słabość, na jaką pozwolił sobie mężczyzna.

– Dwa dni później dowiedziałem się, że Anna Maria Tomczyk została poćwiartowana siekierą na własnym osiedlu.

– Czy wiadomo, kto to zrobił?

– Służba bezpieczeństwa, panie Żuchowski.

– Nie o to pytam. Chodzi mi o to, czy personalnie kogoś skazano.

– To było hermetyczne środowisko. Ludzie, którzy tam mieszkali, byli z tak zwanych elit. Rozumie mnie pan?

Żuchowski przytaknął skinieniem głowy.

– Nie była przypadkową ofiarą. Zabił ją ktoś z wewnątrz i nie pokwapił się nawet o posprzątanie po sobie. Zostawił ją przywiązaną i porąbaną w piwnicy.

Blacha spojrzała wymownie na Żuchowskiego, który dyskretnym skinieniem głowy dał jej do zrozumienia, że zauważa analogię do piątej ofiary Łowcy.

– Pamięta pan może, w którym to było bloku? – Ed Żuchowski sięgnął po paczkę Marlboro i poczęstował swojego rozmówcę.

– Doskonale to pamiętam. – Mężczyzna zaciągnął się papierosem. – Blok dwadzieścia osiem, a piwnica siedemnaście. Dlaczego pan pyta?

– Bo w tym samym bloku i w tej samej piwnicy znaleźliśmy porąbaną młodą dziewczynę.

– Co pan nie powie... – Nowak uniósł brwi i spojrzał pytająco na policjantów, jakby czekał na dalszą część opowieści.

– Czyli sprawcy nigdy nie znaleziono? – Żuchowski zadał pytanie, udając, iż nie zauważył pytającej miny mężczyzny.

– Nawet nie szukano. Sprawa poszła do umorzenia szybciej niż jest pan sobie w stanie to wyobrazić.

– Jak to możliwe? Nawet w PRL dbano o pozory praworządności.

– W aktach sprawy napisano, że dziewczyna się prostytuowała, co łatwo było umotywić jej romans z o wiele starszym mężczyzną i kilkoma prezentami, które jej rzekomo przekazał za usługi seksualne. Pamiętam, że sprawę zamykał jakiś niespełniony pisarz, bo w aktach napisał, iż dziewczyna była nieczysta.

– Takimi właśnie słowami: n-i-e-c-z-y-s-t-a?

– Dokładnie tak, pani Krawczyk.

– Jest pan pewien?

– Owszem. Czy to też wiąże się z państwa podejrzanym?

– Tak. – Policjanci przytaknęli niemal jednocześnie.

– Zabójca Anki musiał mieć ponad czterdzieści lat. Dzisiaj więc byłby naprawdę sędziwym staruszkiem, jeśliby żył... – Mężczyzna zakaszał mocniej niż wcześniej, wypluwając krew na chusteczkę.

– Skąd pan wie, ile miał lat, skoro mówi pan, iż sprawcy nigdy nie znaleziono?

– Żeby zabijać dla służb, trzeba było przejść odpowiednie szkolenie, które trwało trzy lata, a minimalny wiek to czterdzieści. Zresztą, w dzisiejszych

jednostkach specjalnych w wojsku jest dokładnie to samo. Kandydaci muszą mieć odpowiedni wiek, wykształcenie, rodzinę...

– Innymi słowy, ma im zależeć na powrocie do domu. Po to ta rodzina.

– Nie, panie Żuchowski. Rodzina jest najcenniejszym zakładnikiem i poprzez nią można w łatwy sposób wywierać wpływ na żołnierza, który bierze udział w powierzonym zdaniu.

– Rodzina! – Blacha poderwała się z miejsca i pstryknęła palcami. – Powiedział pan, że Komendant miał trójkę dzieci. Co się z nimi stało?

– Tego nie mogę państwu zdradzić. – Mężczyzna ściszył głos i spojrzał na drzwi wejściowe. – Po wyjeździe Komendanta do Moskwy rodziną zaopiekowały się służby specjalne.

– Czy Leopold Brzeziński wyjechał do Moskwy z własnej woli?

– Tak – odpowiedział mężczyzna spokojnym głosem, co zdziwiło rozentuzjasmowaną policjantkę. – W dniu, w którym zabito jego kochankę, wsiadł w samolot i odleciał do Moskwy.

– Żyje?

– Nie. – Mężczyzna pokręcił przecząco głową. – W Rosji był przez kilka miesięcy głodzony, pozbawiony snu, podtapiany i bity. Po kilku miesiącach skonał w agonii.

– Skąd pan to wie?

– Komendant napisał list pożegnalny do swojej rodziny. List został odnaleziony po latach w jego aktach. To był czas wielkich reform w bloku wschodnim, więc ktoś przesłał kopertę do IPN.

– Dlaczego musiał zginąć? – tym razem pytanie padło z ust Żuchowskiego.

– Bo znał tajemnice państwowe, które zdradził wrogom ówczesnej władzy.

Blacha spojrzała na starszego mężczyznę. Po skruszonym jeszcze przed chwilą staruszką nie było śladu. Znowu siedział przed nią były żołnierz Polski Ludowej. Chciała zadać mu jakieś pytanie, które pomogłoby zrozumieć jej historię sprzed kilku dekad, lecz nie wiedziała, jak je sformułować. Spojrzała na Żuchowskiego, który patrzył ślepo w czarno-biały obrazek wiszący na ścianie.

Mężczyzna podniósł się ze swojego miejsca i zapiął marynarkę.

– Mam nadzieję, że wyczerpałem temat osiedla z gwiazdą, które państwa interesowało. Liczę, iż nasza rozmowa zostanie pomiędzy nami.

– Był pan zazdrosny o to, że ona wybrała Leopolda Brzezińskiego? – zapytała Blacha spokojnym głosem, nie patrząc na mężczyznę.

– Pani wybaczy, ale kto?

– Żona Komendanta. Pańska wielka miłość, którą przyjaciel panu odebrał. W zamian za to postanowił pan się na nim zemścić, wrabiając Annę Tomczyk, co w konsekwencji przyczyniło się do jej zabójstwa.

Mężczyzna zakaszał i spojrzał na zdeorientowanego Żuchowskiego, który wzruszył ramionami.

– Sam pan porąbał Ankę w piwnicy, czy zlecił to pan komuś?

– Pani Krawczyk! – Mężczyzna uniósł głos. – To, co pani mówi, mnie nie tylko obraża, ale i pozwala mi porozmawiać o tym z naszym wspólnym znajomym!

Blacha poczuła ulgę. Gdyby mężczyzna nie uniósł głosu i nie zaczął jej grozić, nie wiedziałaby, że znalazła się blisko prawdy. Postanowiła nie odpowiadać. Spojrzała w oczy Nowaka, który cofnął się o pół kroku.

Cała trójka milczała. Nowak spojrzał ponownie na Żuchowskiego i Blachę, po czym schylił się do postawionej przy drzwiach aktówki, której odłożenia na podłodze policjanci nawet nie zarejestrowali.

Nowak wyciągnął poźółkły zeszyt i przyglądał się mu w milczeniu, jakby podejmował najważniejszą w życiu decyzję. Po chwili niepewności zrobił krok w przód i stanął przed Urszulą Krawczyk, wręczając jej bez słowa brulion.

Jak słusznie oceniła Blacha, zeszyt był poźółkły z pięciolinia na tytuł. Pamiętała identyczne, które jej matka trzymała w piwnicy na pamiątkę chodzenia do liceum. Na okładce widniał odręczny napis „Irenka”.

Policjantka spojrzała na wychodzącego z pokoju Nowaka, po tym na Żuchowskiego, który wpatrywał się z zaciekawieniem w zeszyt.

– Nie otworzysz? – zapytał Ed, kiedy tylko starszy mężczyzna zamknął drzwi.

XXIV

IRENKA

Najtrudniejsze w życiu człowieka jest przyznać się przed samym sobą do popełnionego błędu? Raczej nie... Myślę, że najtrudniej przyznać się do tego, że nie ma się szans u swojej miłości.

Wczoraj, mimo niechęci, a wręcz otwartej nienawiści do kościoła, poszedłem na mszę. Po obrzędku podszedł do mnie młody ksiądz.

– Szczęść boże – powiedział, uśmiechając szeroko.

Na oko mógł mieć z trzydzieści, nie więcej, lat. Lekki, starannie przystrzyżony zarost i łysiejąca głowa. Bił od niego spokój i pewność siebie.

– Dzień dobry – odpowiedziałem zmieszany.

– Pierwszy raz? – zapytał, siadając obok mnie.

Nie odpowiedziałem. Uśmiechnąłem się jedynie wymijająco i wzruszyłem ramionami. Musiałem mieć jednak pytajnik wypisany na twarzy, bo ksiądz kontynuował.

– Pewnie zastanawia się pan, skąd wiem?

– Pewnie zna pan swoich wiernych.

Zaczął się śmiać szczerze i kręcić przecząco głową.

– Nie zgadł pan. Jestem tutaj na zastępstwie i nie znam absolutnie nikogo. Zgadłem, jak mniemam dlatego, że podczas gdy wszyscy wykonują mechanicznie najważniejsze momenty nabożeństwa, pan się zastanawiał, przypatrywał i widać było, że nie jest pan przekonany do klękania.

– Ma pan słusność. To znaczy ksiądz – przeprosiłem lekko zmieszany – jestem pierwszy raz i jeśli mam być szczery, nie bardzo wiem, po co tutaj jestem.

– A czy trzeba wszystko wiedzieć? Przyszedł pan, bo tego potrzebował. Zapewniam pana, że w tym miejscu każdy jest mile widziany.

– Dziękuję – odpowiedziałem zmieszany, zastanawiając się, czy gdyby mój rozmówca wiedział, co robiłem z jego kolegami jeszcze za czasów komuny, to byłby taki otwarty i uśmiechnięty.

– Jak się zatem panu podobało?

– Podobało?

– Nie zakładam, że przyszedł pan się pomodlić, a podpatrzeć na razie. Później pójdzie pan do domu i zastanowi się, czy to panu odpowiada i czy na pewno dobrze pan zrobił. Rozważy pan zapewne plusy i minusy. Zakładam również, że oceni pan swój stan emocjonalny i wówczas podejmie decyzję, czy przyjść kolejny raz.

– Ma pan, to znaczy ksiądz, rację. I zastanawiam się, dlaczego ksiądz tak dobrze mnie rozszyfrowuje. – Ostatnie zdanie dodałem niechętnie, będąc zdzwiony swoją otwartością względem obcego człowieka.

Mój rozmówca jednak się nie odezwał. Spojrzał na mnie porozumiewawczo, potem puścił mi oczko i spojrzał w górę.

– A! Czyli to boska sprawa?

– Może boska, a może zwykły przypadek. Ważne jednak, że siedzimy razem i sobie miło dyskutujemy. Jak się zatem panu podobało?

– Sama idea jest mi znana jak pan, to znaczy ksiądz, może się domyślać. Najbardziej podobała mi się część, w której ksiądz opowiadał o miłosierdziu boga i przebaczeniu, gdy bardzo się żałuje za grzechy.

– W kościele to się nazywa kazaniem. To jedna z najważniejszych części mszy świętej.

– Naprawdę tak jest, że wystarczy żałować i można robić, co się chce? – zapytałem z udawaną naiwnością, a ksiądz się ponownie roześmiał.

– W ogromnym skrócie tak jest, jak pan mówi.

– A w nie ogromnym? – zapytałem.

– To jeśli pan naprawdę będzie czegoś żałował, to ból po jakimś występku będzie tak duży, że następnym razem, robiąc coś nieprzyzwoitego będzie się pan bał odczuwać ten ból po raz kolejny. Tym oto sposobem uniknie pan kolejnego grzechu.

Spojrzałem w piwne oczy mojego rozmówcy, szukając w nich cienia zwątpienia w to, co mówi. Wówczas nie sądziłem, że można się bać tak błahej rzeczy. On jednak nie czekając na moją odpowiedź, kontynuował, jakby czytał ze mnie niczym z otwartej księgi.

– Pewnie się pan zastanawia, jak można się bać czegoś tak błahego jak grzech? Przytaknąłem.

– Jeśli nawet byłby pan osobą, która neguje istnie boga i o grzechu, czyli złym występku, wiedziałyby tylko pan, to ostatecznie wyrzuty sumienia i ból po tym wydarzeniu, jakie towarzyszyłyby panu przez resztę życia, zmusiłyby do refleksji i skutecznie odstraszyły przed zrobieniem tego samego.

Nie chciałem przyznać, ale pierwszy raz zrozumiałem, o co chodzi w żałowaniu za grzechy, o których tak często słyszałem od mojej ciotki dewotki.

– Jest pan bardzo mądrym człowiekiem mimo tak młodego wieku – wypaliłem i od razu pożałowałem swoich słów. Na szczęście ksiądz nie zareagował i uśmiechnął się jedynie przypatrując obrazom świętych nad ołtarzem.

Przeczytałem imiona: św. Marek, św. Mateusz, św. Jan, św. Łukasz i zapytałem.

– Dlaczego akurat tych świętych wybraliście do eksponowania nad ołtarzem?

– Szczerze?

– A wolno panu, to znaczy księdzu kłamać?

– Wybrano ich z przypadku.

– Z przypadku?

– Dla nas każdy święty jest tak samo ważny.

– Czyli nie dokonali niczego wielkiego.

– Byli uczniami samego Jezusa. To mało?

– Z tego, co się orientuję, to według Kościoła katolickiego każdy jest jego uczniem – odpowiedziałem, pamiętając wypowiedź jednego z przesłuchiwanym przeze mnie księży w czasie stanu wojennego.

– Chrześcijanie są spadkobiercami nauk Jezusa. Uczniowie Jezusa zaś mogli zadawać mu pytania. Spisali te odpowiedzi, zostawiając je ludziom.

Milczałem przez chwilę, przyglądając się karlicy przechodzącej przez środek kościoła. Spojrzała na mnie i księdza z serdecznym uśmiechem. Ze smutkiem pomyślałem, że nikt nigdy się tak szczerze i bezinteresownie do mnie nie uśmiechnął.

Mój rozmówca spojrzał na kobietę i skinął głową na do widzenia. Rozejrzałem się po pustym kościele. Nie licząc postaci świętych patrzących na nas z witraży, zostaliśmy sami.

– Pójdę już – powiedziałem, podnosząc się z miejsca. – Nie będę księdzu kradł czasu.

– I co pan będzie robił, jak pan stąd pójdzie? – zapytał bezceremonialnie.

– Położę się w domu przed telewizorem i pewnie zasnę – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Nadal z tymi samymi wyrzutami i bólem?

– Jeśli o ból idzie, to kark mnie boli i trochę w krzyżu – odparłem zgryźliwie, lecz mężczyzna nie zareagował na moją zaczepkę. Nadal miał tę samą pogodną twarz.

– A co panu się podobało najbardziej w kazaniu?

– Sztuka oratorska. Mówił pan, to znaczy ksiądz, tak przekonująco, jakby to były jego własne słowa.

– Bo to były moje słowa i moje przekonanie.

– Sam pan, to znaczy ksiądz, napisał to kazanie?

– Nie.

– To jak mogły to być księdza słowa?

– Słowa, z którymi się zgadzam, stają się moimi.

– Z całym szacunkiem, ale to już pachnie indoktrynacją instytucji – zaoponowałem.

– A poza oratorskim kunsztem, co pana przekonało do zostania po mszy i kontemplacji?

Wzruszyłem ramionami, próbując się wykpić od odpowiedzi. Wiedziałem, że mogę odejść, miałem jednak przeczucie, że oto właśnie w moim życiu pojawia się niepowtarzalna szansa na uwolnienie się od ciężaru tajemnic. Wbrew sobie, wbrew wojskowemu wyszkoleniu i wbrew jakiegokolwiek logice spojrzałem prosto w oczy młodego księdza i wypaliłem.

– Oczyszczająca moc spowiedzi – zacytowałem. – Tak ksiądz to nazwał?

– Jeden z moich przyjaciół, poetów, napisał kiedyś, że „pisanie pamiętnika zmusza do refleksji tego, co pisze, nie tego, co czyta”. Myślę, że tak jest właśnie ze spowiedzią. Zawierzając bogu swoje grzechy, myślimy o nich, o konkretnej sytuacji i wówczas dopiero możemy zobaczyć swój błąd.

– A jeśli są różne błędy, a nie jeden?

– To wówczas widzimy te błędy. – Ksiądz przełknął ślinę i kontynuował: – Widzi pan, grzech to suma czynności, których się dopuszczamy. Większość wiernych, których spowiadam, wymienia poszczególne wydarzenia, a przecież one mają preludium, interludium i postludium.

– Czyli można grzeszyć całe życie i o tym nie wiedzieć? – wtrąciłem niegrzecznie pytanie.

– Powiedziałbym raczej, że można żyć w grzechu i o tym nie wiedzieć.

Zamilkłem i przymknąłem oczy, zastanawiając się nad tym, co powiedział ksiądz. Chciało mi się kaszleć, ale nie wiedziałem, czy to dlatego, że przed kilkoma godzinami zdiagnozowano u mnie raka płuc i lekarz omawiający moje wyniki badań uprzedzał, że natarczywe kaszle się pojawią, czy dlatego, że dawno nie zapaliłem papierosa i mój rak się go domagał.

Otworzyłem oczy i zdałem sobie sprawę, że naprzeciwko mnie nie siedzi młody mężczyzna, który przed chwilą dawał popis swoich oratorskich umiejętności, lecz mój przyszły spowiednik.

– Jak ksiądz się nazywa?

– Śliwiński – odpowiedział jednym słowem.

– Ładnie.

– Moja dziewczyna w liceum też mi tak mówiła. – Puścił mi oczko, a ja nie wiedziałem, co to oznacza. – Dlaczego pan pyta?

– A ma ksiądz trochę czasu?

Skinął głową i uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Zatem pytam, bo chcę wiedzieć, jak się nazywa człowiek, któremu zamierzam się wyspowiadać.

Kiedy kończyłem ostatnie słowo, w kościele rozbrzmiały organy. Pomyślałem nawet przez chwilę, że to bardzo filmowa scena, której nie powstydziliby się nawet mój ulubiony Kawalerowicz. Otworzyłem usta po raz kolejny, chcąc się upewnić, czy tajemnica spowiedzi nie pozwala przekazać jakichkolwiek informacji poza naszą dwójkę, lecz dźwięk organów skutecznie zagłuszał każde moje słowo.

– Będę zaszczycony móc być pana spowiednikiem. – Ksiądz Śliwiński nachylił się do mnie, krzycząc niemal mi do ucha. – Niestety jest próba organowa i musimy zmienić miejsce.

Muzyka, którą słyszałem, bardzo mi się podobała. Nie irytowała mnie. Nie kradła chwili. Nadawała jej smaku czekania na coś, co miało się wydarzyć, i wiedziałem, że to będzie tego dnia.

– Czy długo potrwa? – zapytałem głośno księdza i zakaszlałem.

– Około trzydziestu minut.

– Możemy zatem posłuchać?

Ksiądz Śliwiński skinął głową i zamknął oczy, wsłuchując się, jak mi później wyjaśnił, w Fugę G-moll Jana Sebastiana Bacha.

Muzyka była zniewalająca. Rytmiczna i o ile można tak powiedzieć, harmonijna. Co kilkanaście sekund pojawiała się ta sama sekwencja piszczałek.

Słuchaliśmy w milczeniu próby młodego organisty, który na zakończenie swojego koncertu wyrzwał zza balustrady i pomachał do księdza Śliwińskiego, który klasnął kilkakrotnie w rękę.

– Młody człowiek, który dla nas zagrał, jest muzykiem w łódzkiej filharmonii.

– A tutaj sobie dorabia? – zapytałem z przekorą.

– Gra za darmo – odparł poważnie mój rozmówca, dodając pośpiesznie pół żartem – ale pogrzeb też będzie miał za zero złotych.

Nie wytrzymałem i zacząłem się śmiać, dziwiąc się sobie, jak człowiek spogląda na życie beztrosko w obliczu wyroku nadchodzącej śmierci.

– Teraz już na pewno jesteśmy sami – podjął ksiądz – jeśli pan chce nadal się wypowiadać, to służę – zakończył bardzo poważnie.

– Chcę i będę wdzięczny za wysłuchanie. Nie liczę, że ksiądz mnie rozgrzeszy, ale liczę, że nasza rozmowa i wszystko, co powiem, zostanie między nami dwoma.

– Trzema. – Ksiądz podniósł wzrok ku górze.

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową, dając do zrozumienia, że rozumiem żart.

– Tylko od czego mam zacząć?

– Najlepiej od początku.

– Z tym, że początek sięga tak daleko, że zajmę księdzu cały dzień.

– Pan zakopałby się przed telewizorem, ja zaś poszedłbym w pańskie ślady. A tak obaj zrobimy coś dobrego.

Wziąłem głęboki oddech i zatrzymałem powietrze w płucach. Przyglądałem się księdzu Śliwińskiemu; patrzył przed siebie, czekając na mój ruch. Był niczym szachista, który wysunął już pierwszego pionka i nie zamierza poddać tej partii do ostatniej figury. Wiedziałem, że nie odezwie się do mnie ani słowem. Wiedziałem, że mi nie przerwie i wiedziałem, że jedyne, na co mogę liczyć z jego strony, to modlitwa. Miałem jeszcze cichą nadzieję na kilka dobrych słów, ale nie mogłem być ich pewien po tym, co zamierzałem opowiedzieć.

Zastanawiałem się jednak przez chwilę, jak zacząć. Nie chciałem zabrzmieć patetycznie. Tylko czy moja historia nie miała być patetyczna sama w sobie? Oto dorosły człowiek opowiada o swojej młodości. W mojej głowie dochodziło do walki dorosłego mnie, który uważał, że babranie się w przeszłości to tylko kolejny cios zadany samemu sobie. Z drugiej strony był ten młody, który w końcu chciał przemówić.

Schyliłem głowę, szukając odpowiednich słów. Ksiądz Śliwiński położył mi rękę na ramieniu i się uśmiechnął. Nie ponaglał mnie, a jedynie dodawał otuchy.

Pomyślałem przez chwilę, czy mój ojciec również zachęcałby mnie do działania, gdybym go znał. Poczułem ogromną chęć przytulenia się do tego człowieka. Walcząc z irracjonalną chęcią, nie zauważyłem nawet, że naciekły mi do oczu łzy.

A więc mały chłopiec wygrał walkę z dorosłym nawykiem milczenia, pomyślałem i mimowolnie uśmiechnąłem się. Wraz z otwarciem ust poczułem jak kamień, który dźwigałem na sercu, zaczyna powoli toczyć się w dół.

Mój pokój, o ile tak można powiedzieć o jedenastu metrach kwadratowych, miał okno na zachodnią część miasta. Jako nastolatek często przesiadywałem w oknie i przyglądałem się przechodniom i tramwajom.

Z największą wnikliwością i dociekliwością zerkałem na elegancko ubranych mężczyzn, zastanawiając się, czy któryś byłby dla mnie dobrym ojcem. Innym razem, czy znał mojego ojca, a może to za niego zginął w obozie. Pewnego niedzielnego przedpołudnia jak zwykle o tej porze wisiałem w oknie, bo wówczas było najwięcej elegancko ubranych ludzi zmierzających do kościoła. Tym razem jednak nie zauważałem żadnych mężczyzn, lecz blondynkę ubraną w niebieską, prostą sukienkę. Włosy miała przewiązane wstążką w kolorze swojej sukienki. Choć nie było możliwości, abym mógł zauważyć z góry, już wtedy mogłem się założyć, że jej oczy są błękitniejsze od wstążki i sukienki.

Szła ze starszą od siebie elegancką kobietą. Obie patrzyły pod nogi, omijając błoto zalegające na drodze po wieczornej burzy. Szły powoli w kierunku kościoła.

Podbiegłem do szafy, zrzuciłem z siebie poplamioną koszulkę na ramiączka, w której przeważnie chodziłem po domu. Dyżurna koszula wyjściowa wisiała uprasowana i wykrochmalona przez moją matkę. Spiesząc się, zapomniałem założyć pod spód koszulkę, co skończyło się piekielnymi otarciami. Zbiegłem po starych schodach kamienicy i spotkałem mojego przyjaciela.

– Dokąd tak pędzisz? Pali się?

– Cześć – odpowiedziałem i machnąłem ręką, nie chcąc tracić czasu na wyjaśnienia.

Wszedłem do kościoła i rozejrzałem się po jego wnętrzu. Pamiętałem z opowieści w kamienicy, że w czasie wojny budynek był przeznaczony na warsztat

produkujący buty dla Wehrmachtu. Zaciągnąłem się, żeby wyczuć zapach skóry, lecz poczułem jedynie stearynę z palących się przy wejściu świeczek. Skręciłem w prawą nawę i nerwowo rozejrzałem się za dziewczyną w niebieskiej sukience. Kiedy stwierdziłem, że jej tam nie ma, zawróciłem i poszedłem do lewej nawy. Tutaj też jej nie było.

W odbiciu jednego z witraży zobaczyłem swoją postać. Ubrany w za dużą, wykrochmaloną białą koszulę, czarne sztruksowe spodnie i popękane buty – uśmiechnąłem się do swojego odbicia i chciałem wyjść z kościoła, gdy nagle rozległ się odgłos dzwonek sygnalizujących, że msza się właśnie rozpoczyna. Wszyscy się podnieśli i zaczęli coś śpiewać. Przyglądałem się ludziom, którzy mnie otaczali. Przymknięte oczy i lekko pochylone głowy. Wydawali się być pewni tego, że przyszli w odpowiednie miejsce. „A więc zapomnieli już, jaki los zgotował im niedawno ich bóg”, myślałem dalej, wypatrując dziewczyny, której piękno mnie pochłonęło do granic rozsądku.

Gdy śpiew ucichł, a ludzie zaczęli zajmować miejsca w ławkach, spojrzałem w prawo i zobaczyłem, że zza filaru wystaje kawałek niebieskiej sukienki.

Nie bacząc na wrogie spojrzenia ludzi, przeszedłem przez kościół dookoła i zatrzymałem się tuż za dziewczyną, która miała stać się moją obsesją. Oparta o filar spoglądała na ołtarz. Ziewała czasami, chowając w dłoniach swoją twarz.

– Przekażcie sobie znak pokoju – powiedział ksiądz prowadzący mszę i wtedy dziewczyna odwróciła się od razu w moją stronę. Jej błękitne oczy były szczęśliwe. Patrzyła na mnie przez chwilę, przyglądając się moim podartym butom. Uśmiechnęła się, nie pokazując zębów, dzięki czemu jeszcze bardziej uwydatniła swoje pełne usta i skinęła głową.

Kiedy wchodziłem do kościoła, myślałem, że jestem w nim, bo chcę zobaczyć z bliska ładną dziewczynę. Kiedy z niego wychodziłem, nie chciałem już widzieć nikogo poza nią. Czekałem pod kościołem. Mijający mnie ludzie uśmiechali się do siebie. Inni zapraszali wzajemnie na kawę i spacer. Pośród wychodzących zauważyłem nawet jednego milicjanta, który kilka miesięcy wcześniej złapał mnie i mojego przyjaciela na kradzieży jabłek w pobliskim sadzie. On też mnie chyba

poznał, bo pokręcił przecząco głową, jakby chciał powiedzieć „nie podchodź”. Nie zamierzałem. W owym czasie nie miałem zbyt dobrego zdania o milicji, którego zresztą nie zmieniłem nigdy. Ponadto wiedziałem, że chcę zostać żołnierzem, a więc jakiegokolwiek konflikty z prawem odpadały.

Byłem tak przejęty i zestresowany, że nie spostrzegłem nawet, że wszyscy się rozeszli i stoję sam przed wejściem do kościoła, z którego w tym samym momencie wyszła dziewczyna w niebieskiej sukience. Szła w moją stronę, a ja stałem jak sparaliżowany. Kiedy chciałem uciec, usłyszałem jej delikatny głos

– Ty jesteś Nowak. Prawda?

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową. Skąd wiedziała, jak na mnie mówią?

– Jestem Irena. – Podała mi delikatną dłoń, którą ścisnąłem zdecydowanie za długo, chcąc przedłużyć ten moment.

– Nie zastanawia cię, skąd się znamy?

Ponownie skinąłem głową. Nadal trzymałem jej dłoń. Świat wirował, a poziom adrenaliny był tak wysoki, że zaschło mi w gardle.

– Mieszkam naprzeciwko ciebie – dodała.

– Ale naprzeciwko mnie nie ma domu.

– Dobrze, zatem po lekkim skosie od ciebie.

Wiedziałem, o którą kamienicę chodzi, nie bardzo umiałem przeciągnąć rozmowę, więc spojrzałem tylko, pytająco unosząc brew. Widziałem to u mojego nauczyciela od matematyki i w tamtym czasie był to rodzaj tik.

– Pomagałeś mojej mamie wnieść rzeczy, jak się przeprowadziliśmy do Łodzi. Mnie wtedy jeszcze nie było w mieście i dlatego się nie poznaliśmy.

Przypomniałem sobie, że pod koniec wakacji matka mojego przyjaciela kazała nam iść do kamienicy u zbiegu ulicy Limanowskiego i Zachodniej pomóc wdowie po sierżancie Wojska Polskiego wnieść rzeczy na górę. Pamiętam, że dziwiło nas wówczas, że jedna kobieta dostała tak duże mieszkanie.

– Myślałem, że twoja mama mieszka sama.

– Nie. Mieszkamy we dwie. Choć mama dużo przebywa poza domem i często czuję się, jakbym mieszkała sama.

– Może byśmy czasami poszli na spacer? – wypaliłem, czując, jak się czerwienię.

– Jutro po szesnastej?

Skinąłem głową i odwróciłem się na pięcie, chcąc jak najszybciej zniknąć.

Po drodze do domu przyglądałem się fasadom poniszczonych budynków. Tamtej niedzieli wyglądały na mniej poranione wojną. Reszta niedzieli minęła mi na drapaniu całego korpusu poranionego krochmalem ciała.

Kolejne dni miały nam na codziennych spotkaniach. Z każdą chwilą, którą spędziłem razem, chciałem dwa razy tyle. Nie istniała szkoła, przyjaciele, koledzy i rodzina. Nie chodziłem nawet na patrole osiedla z moim przyjacielem Komendantem, z którym wspólnie wybieraliśmy się do wojska. Była tylko ona, słodko pachnąca siedemnastoletnia koleżanka o pełnych ustach i grubych włosach. Zakochałem się pierwszy i jak się okazało ostatni raz w życiu, stałem się uzależniony od jej towarzystwa. Szykowałem się na spotkanie z Irenką, kiedy do mojego jedenastometrowego pokoju wszedł mój przyjaciel.

– Czołem, żołnierzu!

– Czołem, panie Komendancie – odpowiedziałem naszym zwyczajem, stając na baczność.

– Co się z wami dzieje, żołnierzu? Unikacie mnie od dłuższego czasu. Czy coś wam zrobiłem?

– Nie unikam, panie Komendancie. Mam po prostu inne zajęcia, które pochłaniają mój czas.

– Nie mieć czasu dla przyjaciela, to jakby nie mieć czasu na oddychanie.

Zabolały mnie te słowa. Miał rację. Spędziliśmy wspólnie osiemnaście lat życia. Do tej pory robiliśmy wszystko razem i nigdy nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic. Nagle, ja, od kilku tygodni znikam i wychodzę z domu zaraz po szkole i wracam późnym wieczorem, skradając się niczym złodziej po schodach naszej poniemieckiej kamienicy.

– Przepraszam. To moja wina.

– Coś się stało?

– Pamiętasz, jak w wakacje na Limanowskiego wnosiliśmy rzeczy dla wdowy po weteranie?

– Ba! Ciężka była ta maszyna jak skurwysyn. Do dziś dnia mnie plecy bolą.

– Ta kobieta ma córkę Irenę. I to właśnie z nią spędzam ostatnio dużo czasu.

Skinął głową, a ja zrozumiałem, że mój przyjaciel wie, ale wolał usłyszeć prawdę ode mnie.

– Zakładam, że wiesz również o moich cotygodniowych wizytach w kościele?

Ponownie skinął głową.

– Nie jest tam tak źle, jak nam mówili.

Wzruszył ramionami i nabrał powietrza.

– Może wybrałbyś się z nami?

– Gdzie? Do kościoła?

Tym razem ja przytaknąłem.

– Po co?

– Nie wiem. Może zobaczyć, jak tam jest?

– Wiem, jak tam jest. Byłem kilka razy. Nie podobało mi się.

Spojrzałem na zegarek. Irenka od dziesięciu minut czekała na mnie, a ja stałem ubrany jedynie w białe slipy.

– Idziemy z chłopakami na Bracką. Myślałem, że się z nami wybierzesz, ale widzę, że się spieszysz.

Skinąłem głową. Komendant wyszedł bez słowa. Bez naszego wojskowego pożegnania. Serce mi krwawiło. Sięgnąłem po lornetkę i spojrzałem na okna mieszkania Irenki. W mieszkaniu było ciemno. Pomyślałem, że poszła na spacer beze mnie, karząc mnie w ten sposób za moje spóźnienie. Ten wieczór spędziłem w domu.

Następnego dnia po południu bez obiadu pobiegłem do Irenki. Zapukałem do mieszkania. W kamienicy panowała przerażająca cisza. Usiadłem na schodach i oparłem się o ścianę. Czekanie znużyło mnie na tyle, że zasnąłem. Ze snu wybudziło mnie szarpnięcie za ramię. Zerwałem się na równe nogi. Przede mną stała matka Irenki. Miała podpuchnięte oczy i rozczochraną fryzurę. Była ewidentnie zmartwiona.

– Co się stało? Gdzie Irenka?

– W szpitalu!

Mimowolnie uniosłem brew w pytający sposób.

– Wejść do środka. – Kobieta otworzyła drzwi do mieszkania. Na podłodze leżał rozbity wazon. Krzesło stojące przy maszynie, której ciężar mój przyjaciel nadal odczuwał, leżało przewrócone. Mieszkanie było zdemolowane.

– Co tu się stało? Co z Irenką? – krzychałem.

– Irena była w mieszkaniu sama. Myśląc, że to ty przyszedłeś, otworzyła drzwi. Nie zerknęła przez wizjer. Do mieszkania wpadł mężczyzna, który... – Kobieta osunęła się na ziemię, chowając twarz w dłoniach. Zdołała powiedzieć, że jej córka została zgwałcona przez nieznanego milicji sprawcę. Gdybym miał opisać jednym słowem, co wówczas poczułem, to nienawiść do siebie samego.

Po kilku latach od tego zdarzenia dowiedziałem się, że w dniu, w którym Irenka została zgwałcona, chciała przeżyć ze mną swój pierwszy raz. Dlatego nie zamknęła domu i dlatego była ubrana, że tak powiem, nieadekwatnie do pory roku. Co prawdopodobnie ułatwiło gwałt.

Matka Irenki wzięła leki uspokajające i zasnęła. Posprzątałem całe mieszkanie i usiadłem w pokoju mojej dziewczyny. Drzwi od dużej dębowej szafy były otwarte. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, była wisząca na wieszaku niebieska sukienka.

Następnego dnia nie poszedłem do szkoły. Wraz z matką Irenki pojechaliśmy do niej do szpitala. Była osłabiona i oszołomiona. Miała podrapaną twarz. Najbardziej jednak martwił mnie brak życia w jej niebieskich oczach. Wówczas zrozumiałem, że dla niej to już koniec życia. Dzisiaj być może dostałaby jakąś pomoc. Wówczas nie dali jej nawet środków uspokajających. Trzymałem jej dłoń. Nie patrzyła na mnie ani na swoją matkę. Zdawało się, że nie widzi nikogo. Nie zamieniliśmy ani słowa. Zbierając się do wyjścia, nachyliłem się, żeby ją pocałować w policzek, a ona wyszeptała mi do ucha.

– To twoja wina, gdybyś się nie spóźnił... Nie chcę cię znać!

Zbiegając po schodach szpitalnego budynku, nie widziałem niczego ani nikogo. Łzy rozpaczły zalały mi oczy. Wybiegłem na ulicę i widząc nadjeżdżający tramwaj

rzuciłem się wprost pod jego koła. Wolałem umrzeć, niż żyć bez niej.

Do dziś nie wiem, czy to było szczęście, czy też jego brak, tramwaj zdążył zahamować. Milicja odwiozła mnie do domu. Chwilę po tym bez pukania pojawił się Komendant.

– Czołem, żołnierzu!

Spojrzałem na niego z nienawiścią. Gdyby dwa dni wcześniej nie przyszedł do mnie i nie zabrał głupich dziesięciu minut, wszystko byłoby w porządku. Moje życie potoczyłoby się inaczej.

– Wypierdalaj! Czego tutaj stoisz? Wypierdalaj stąd, skurwysynu! To twoja wina! – Rzuciłem się na niego z rękami, lecz zdążył odskoczyć.

– Moja wina, że ktoś skrzywdził twoją dziewczynę?

– A czyja? Gdybyś nie przylazł tutaj i nie ukradł mi tych cholernych dziesięciu minut... – rozpłakałem się.

Schowałem głowę w kolana i płakałem. Nie wiedziałem, czy źle mi z powodu tego, co spotkało Irenkę, czy też słów, którymi mnie pożegnała, czy w końcu dlatego, że tracę przyjaciela.

Komendant usiadł obok mnie i objął z całej siły.

– Przysięgam ci, żołnierzu, że znajdziemy winnego i odpowie za swoje czyny.

Przez kilka kolejnych dni próbowałem dostać się do szpitala. Matka Irenki jednak zakazała wpuszczać kogokolwiek. Raz udało mi się ją spotkać pod szpitalem.

– Dzień dobry!

– Słuchaj, Irena wychodzi jutro ze szpitala i będzie w domu. Wiem, że to nie twoja wina i nie mam do ciebie pretensji, ale proszę cię, nie przychodź na razie do niej. Pozwól jej stanąć na nogi. Za kilka miesięcy ona się uspokoi i wtedy na pewno z tobą porozmawia.

Ostatnie słowa były jak uderzenie młotkiem. Miałem czekać kilka miesięcy na rozmowę z kimś, bez kogo nie umiałem oddychać. Od dnia, w którym zobaczyłem Irenkę, nie wyobrażałem sobie popołudnia bez niej. Zасыpiając marzyłem, że będziemy razem aż do końca życia, a tu nagle taka informacja.

Z oczu kobiety wyczytałem, że mówi poważnie. Skinąłem więc głową i odszedłem bez słowa.

Snując się po mieście przyglądałem się łodzianom. Nie byli już tacy piękni jak tego dnia, gdy poznałem Irenkę. Nienawidziłem ich i w każdym z nich widziałem winnego swojej krzywdy.

Tramwaj, którym jechałem, zbliżał się do mojej kamienicy. Zza okna wagonu widziałem Komendanta otoczonego największymi zbrojnymi z okolicy. W pierwszej chwili pomyślałem, żeby jechać dalej. Bałem się, że przyszli mnie pobić za to, że zwyzywałem Komendanta. Kiedy tramwaj odjeżdżał, wyskoczyłem z niego i podszedłem do nich, napinając mimowolnie brzuch.

Komendant spojrzał mi prosto w oczy.

– Mamy go, żołnierzu.

– Skąd wiecie, że to on?

– Sam się przyznał, po pijaku opowiedział całe zajście ze szczegółami na melinie. A że był tam też ojciec Grubego, to...

– Gdzie jest? – Zacisnąłem pięści.

– Chłopaki trzymają go związanego na cmentarzu na Brackiej.

– Chodźmy we dwóch.

Komendant skinął głową. Był niekwestionowanym szefem na Bałutach. Nie musiał więc powtarzać. Myślę też, że reszta chłopaków nie chciała iść. Mieli swoje za uszami, ale nie byli mordercami.

Idąc w kierunku żydowskiego cmentarza, nie rozmawialiśmy ze sobą. Spojrzałem na skupionego Komendanta. Przy pasku przypięty miał ponemiecki nóż, którym obcinaliśmy łby złowionym na stawach rybom.

Zmierzchało, gdy przechodziliśmy przez ogrodzenie. Spojrzałem za siebie, upewniając się, że nikt nas nie śledzi.

Komendant zagwizdał. Zza jednego z kamiennych pomników wyszedł chłopak o pseudonimie Gruby. Jak na ironię ważył około pięćdziesięciu pięciu kilo przy wzroście sto siedemdziesiąt centymetrów.

Gruby zaprowadził nas do wybebeszonego przez szabrowników grobowca. Na ziemi siedział związany mężczyzna. Cuchnął moczem i oparami spirytusu. Miał zarośniętą twarz.

– Co, do chuja, chcecie? – odezwał się zachrypniętym głosem.

– To ty?

– Co ja?

– Ty już wiesz, co! Nie udawaj! Pytam, czy to ty zgwałciłeś młodą dziewczynę?

– A co ty z milicji?

Komendant nie odpowiedział. Kopnął siedzącego na ziemi mężczyznę obcasem swojego oficerskiego buta w twarz. Krew trysnęła na ścianę grobowca.

– To ty?

– Nie wiem, o czym mówisz, gnoju!

Ponowny cios.

Spojrzałem za siebie. Po dwóch chłopakach pilnujących mężczyzny nie było śladu. Zostaliśmy we trzech.

– O gwałcie na młodej dziewczynie, którego dokonałeś!

– Chciałem zapytać, czy da mi coś zjeść. Jej matka często mnie karmiła. A ona była na wpół naga. Sama chciała się pieprzyć, więc ją wyruchałem.

Odepchnąłem Komendanta i doskoczyłem do mężczyzny siedzącego na ziemi, wbijając mu palce w oczy. Wgniatając dłonie coraz mocniej poczułem, jak spływa po nich krew. Wydłubałem mu gołymi dłońmi gałki oczne. Krzyczał przeraźliwie, wijąc się z bólu. Podniosłem się i zacząłem go kopać z całych sił. Biłem ślepo po całym ciele. Pragnąłem zemsty i nie zamierzałem się cofnąć nawet na krok.

Skopany mężczyzna majaczył od ilości zadanych uderzeń. W ciemności spojrzałem na Komendanta, który trzymał wyciągnięty w moją stronę poniemiecki nóż.

– Ty chcesz to zrobić, czy ja? – zapytał.

Sięgnąłem po sztylet i podciąłem gardło mężczyźnie, który skrzywdził moją dziewczynę. Wił się w agonii i próbował złapać powietrze, a my patrzyliśmy na jego bezimienną twarz.

Komendant wyszedł z grobowca i gwizdnął. Po chwili pojawili się ci sami chłopcy, którzy pilnowali mężczyzny. Bez słowa wynieśli ciało i zabrali do rozkopanego wcześniej grobu. Zamordowany przeze mnie mężczyzna spoczął w mogile z jakimś żydem.

Przez kilka kolejnych tygodni nie widziałem nikogo z bandy, która złapała gwałciciela. Nawet Komendant zapadł się pod ziemię. Było mi to nawet na rękę, bo mogłem spokojnie siedzieć w oknie i przez lornetkę podglądać Irenkę.

Snuła się po domu z opuszczoną głową. Czasami zerkała w okno, jakby chciała się upewnić, czy jeszcze ją obserwuję.

Wielokrotnie rozważałem nawet, czy nie pójść do niej i opowiedzieć jej, że pomściłem jej krzywdę. Za każdym razem jednak uznawałem to za zły pomysł, bojąc się, że weźmie mnie za potwora. Zabiłem przecież człowieka.

Któregoś wieczoru nie wytrzymałem i poszedłem do niej do mieszkania. Zapukałem, nasłuchując stukotu drewnianej podłogi. Usłyszałem męskie kroki i się cofnąłem. Na klatce panował półmrok, z mieszkania zaś biła jasna poświata, mimo to rozpoznałem postać stojącą w drzwiach. Komendant patrzył na mnie ślepo. Był napięty, jakby czekał na atak. Staliśmy w milczeniu. Za jego plecami usłyszałem dobrze znane mi kroki. Irenka podeszła do drzwi, stając przed moim przyjacielem.

Przez kilka miesięcy nic się nie zmieniła. Na twarzy nie miała śladu od walki z gwałcicielem. Ubrana w lekko przylegającą do ciała szarą sukienkę uwydatniającą każdy jej kształt była oszałamiająco piękna. Pachniała tak samo słodko jak w dniu, w którym ją poznałem.

– Leo – powiedziała delikatnym głosem – możesz nas zostawić samych.

Komendant skinął głową i wyszedł, mijając mnie bez słowa. Wszedłem do środka. W mieszkaniu nic się nie zmieniło. Na maszynie leżały spodnie przeznaczone do naprawy, które bez problemu rozpoznałem. Komendant zakładał je bowiem za każdym razem, gdy szliśmy na ryby.

– Usiądź, proszę. – Irenka wskazała mi miejsca na kanapie. – Nie będę kłamała, że to nie tak, jak myślisz, że Leo jest u mnie. Wiedziałam, że ten dzień nadejdzie, i cieszę się, że właściwie w końcu się pojawiłeś. Widziałam cię codziennie, jak

podglądasz mnie przez lornetkę. Zastanawiałam się, czy go widziałeś. Nie przychodziłeś, więc zapewne nie.

Pokręciłem przecząco głową, przypatrując się jej jasnej skórze na twarzy. Mimowolnie wciągałem mocniej powietrze, żeby czuć jej słodki zapach. Chciałem jej dotknąć, lecz siedziałem w bezruchu, milcząc.

– Leo opowiedział mi o wszystkim. Wiem, że znalazł sprawcę, i wiem, że wspólnie mnie pomściliście. Powinniście byli zostawić to milicji. Niemniej, dziękuję.

– Komendant powiedział ci, że ten człowiek nie żyje?

– Tak. Opowiedział mi wszystko.

– I jak się z tym czujesz?

– Na początku było mi źle i zastanawiałam się długo, czy nie powinnam zgłosić tego milicji. Po kilku dniach jednak uznałam, że tak jest lepiej.

– Dawno nie widziałem cię w kościele.

– Bóg mnie oszukał. Nie zamierzam więc tam chodzić.

– A może doświadczył?

– Czemu mnie nie odwiedziłeś w szpitalu ani w domu, tylko podpatrywałeś przez lornetkę? – Udała, że nie słyszy mojego pytania o boga.

– Twoja matka powiedziała, że tego sobie nie życzysz.

– I ty jej tak po prostu posłuchałeś?

– Uznałem, że wie, co dla ciebie najlepsze. Kocham cię ponad wszystko i postanowiłem dać ci czas i spokój.

– A nie pomyślałeś, że potrzebowałam wsparcia? Poczucia bezpieczeństwa? Żeby był ze mną ktoś, gdy mojej matki nie ma w domu.

– Nie – odpowiedziałem jednym słowem, przyznając w duchu, że Irenka ma rację.

Wstała z fotela i usiadała obok mnie na kanapie. Patrząc mi prosto w oczy, położyła rękę na moim kolanie.

– Leo przyszedł do mnie chwilę po tym, jak wróciłam ze szpitala i powiedział o tym, co dla mnie zrobiłeś. Zastrzegł, że gdybym wydała cię milicji, to on weźmie

winę na siebie! Potem odwiedzał mnie coraz częściej. Przynosił mi zeszyty do odpisania, bo nie mogłam wychodzić z domu. Czasami po prostu siedział w salonie z książką, gdy kładłam się w swoim pokoju. On myślał, że śpię, a ja wyglądałam przez okno, wypatrując ciebie i twojej lornetki.

– Mogłaś po mnie posłać.

– Chciałam, ale zobaczyłam cię przez okno, jak idziesz z jakąś dziewczyną. Kilka tygodni temu. Śmiałeś się do niej. Wyglądaliście na szczęśliwych i zakochanych.

– To moja siostra cioteczna. Przyjechała do nas na kilka dni na praktyki w jakimś urzędzie. Komendant wiedział, kim ona jest. Mogłaś go zapytać.

Zamilkła. Ścisnęła moją dłoń i patrzyła mi prosto w oczy. Nie widziałem w nich jednak radości, którą pamiętałem ze spotkania pod kościołem, nie widziałem w nich chęci życia.

Irenka pocałowała mnie, ściskając za szyję. Rzuciła mnie na łóżko i zaczęła rozbierać. Jednym ruchem dłoni zrzuciła z siebie sukienkę, która delikatnie opinała jej ciało. Po wszystkim leżeliśmy obok siebie, nie patrząc na siebie.

– Dlaczego nie przyszedłeś? Przechodziłeś tyle razy pod moim domem! – Uderzyła mnie pięścią. Kiedy chciała zrobić to po raz kolejny, przytuliłem ją mocno.

– Kocham cię i nigdy nie przestałam, wiesz? – szeptała. W jej głosie dało się słyszeć płacz. – Kochałam cię nawet wtedy, gdy...

– Gdy...?

– Gdy ja i Leo to robiliśmy pierwszy raz.

Poczułem, jak przyspiesza mi serce. Chciałem zerwać się na równe nogi. Chciałem krzyknąć, a mimo to przytuliłem ją mocno.

– Czemu płaczesz? – zapytała, czując moje łzy na swoim czole.

– Kochasz go?

– Nie!

– To co będzie z nami dalej?

– Jestem w ciąży – wyszeptała.

Tego dnia widziałem miłość swojego życia po raz ostatni. Schodząc po schodach, minąłem się z czekającym na półpiętrze Komendantem. Miał spuszczone głowę. Ubrany w swoje oficerskie buty stał, opierając się o ścianę.

Tego samego dnia spakowałem walizkę i nie żegnając się nawet z matką, wyjechałem z miasta. Przez kolejnych kilka lat piąłem się po szczeblach kariery w wojsku. Jako dojrzały mężczyzna dostałem rozkaz przeniesienia się do Łodzi. Oczywiście próbowałem zmienić lokalizację i objąć pracę w innym biurze, nawet kosztem utraty awansu. Moi ówczesni szefowie nie chcieli jednak tego słuchać.

Do Łodzi wjechałem służbowym fiatem sto dwadzieścia sześć. W jednej chwili wróciły do mnie wszystkie najczarniejsze wspomnienia. Mimo upływu lat nie wyleczyłem się z miłości do Irenki.

Jednym z przywilejów bycia dojrzałym jest świadomość samego siebie. Nie chcąc więc odkładać swojej konfrontacji ze znienawidzonym miastem, podjechałem pod moją starą kamienicę. Wsiadłem z auta i przyglądałem się przechodniom, mimowolnie szukając dziewczyny w niebieskiej sukience.

Spojrzałem w okna Irenki. Świeciło się w nich światło, więc szybkim krokiem poszedłem w kierunku jej mieszkania. Zapukałem. Po chwili drzwi otworzyła starsza kobieta, która przyglądała mi się z uwagą.

– Nowak? To pan?

– A od kiedy mówi mi pani na pan?

Matka Irenki nadal była elegancką kobietą. Mimo upływu lat nie związała się z nikim. Być może w głębi duszy czekała na powrót swojego męża z wojny, nigdy nie godząc się z jego śmiercią.

– Wejdź! Zjesz coś?

Rozejrzałem się po mieszkaniu, które wyglądało niemal identycznie jak w dniu, w którym z niego wyszedłem po raz ostatni.

– Pamiętam ciężar tej maszyny. – Postukałem lekko palcami po blacie.

– Ożeniłeś się?

– Absolutnie. Nie popełniłem nigdy tego błędu – powiedziałem, siląc się na żart.

– A dzieci chociaż masz?

Pokręciłem przecząco głową, nadal rozglądając się po mieszkaniu. Moje oczy zatrzymały się na drzwiach do pokoju Irenki.

– Za wiele się tam nie zmieniło. Czasami Leopold podrzuca dzieciaki, więc biurko i łóżko, jak znalazł.

Serce mi przyspieszyło. A więc nadal są razem i mają dzieci?

– Czyli jest pani babcią – zawyrokowałem. – Jak się pani z tym czuje?

– Przyjechałeś na pogrzeb Ireny? – Zignorowała moje pytanie, strzelając bezpośrednio.

Spojrzałem, pytająco unosząc brew. Mimo upływu lat nie oduczyłem się tego tiklu i w końcu się do niego przyzwyczaiłem.

– Czyli nie wiedziałaś...

– Co się stało?

– Rak – matka Irenki zawyrokowała – za dwa dni pogrzeb na cmentarzu przy Brackiej.

– Przy Brackiej?

– Taka była ostatnia wola mojej córki. Mnie też to dziwi, ale nie zamierzam z nią dyskutować. Leopold wszystko załatwił.

– Mogę zajrzeć do jej pokoju?

Kobieta wzruszyła ramionami i przypaliła papierosa, odwracając wzrok w kierunku okna.

Matka Irenki minęła się z prawdą, mówiąc, że w pokoju za wiele się nie zmieniło, bowiem nic tak naprawdę się w nim nie zmieniło. Na oknie wisiała nadal lampka nocna, którą Irenka zapalała, dając mi sygnał, że myśli o mnie.

Usiadłem na jej łóżku i zacząłem łkać, zdając sobie sprawę, że pozwoliłem miłości mojego życia odejść bezpowrotnie. Tę noc spędziłem w łóżku Irenki.

W dniu pogrzebu przyjechałem na cmentarz ponad dwie godziny przed planowanym pochówkiem. Od grabarzy dowiedziałem się, w której mogile ma być złożone ciało Irenki. Nie zdziwiło mnie, że wybrała ten właśnie grobowiec.

Komendant zapewne pokazał jej miejsce, w którym zabiliśmy mężczyznę, który ją zgwałcił.

Stałem na uboczu. Chowając się za drzewem. Komendant stał z niewzruszoną miną, podtrzymując pod ramię swoją teściową. Nie było z nim dzieci. Być może nie chciał ich traumatyzować pogrzebem matki.

Ku mojemu zdziwieniu przed złożeniem ciała w grobie dwóch grabarzy otworzyło wieko trumny, pozwalając żałobnikom na ostatnie pożegnanie ze zmarłą osobą.

Na widok twarzy Irenki poczułem, jak ziemia obsuwa mi się pod nogami. Objąłem oburącz drzewo, żeby nie upaść. Łapiąc głęboko oddech, mimowolnie przyglądałem się kobiecie, którą kochałem przez całe swoje życie. Mimo choroby i walki z nią, która musiała być wycieńczająca, nadal była prześliczną istotą. Ubrana w ciemnoszarą sukienkę z białym kołnierzykiem miała splecione ręce na piersi. Nie zauważyłem jednak, aby trzymała w ręku różaniec czy inny atrybut chrześcijaństwa. Pomyślałem wówczas, że pokłóciła się z bogiem na dobre. Lekko rozwarte usta i odchylona do tyłu głowa budowały we mnie nadzieję, że po prostu śpi. Uwielbiała tak zasypiać, gdy byliśmy nastolatkami.

Matka Irenki podeszła do trumny i nachyliła się nad ciałem córki. Pocałowała ją w czoło, po czym wyciągnęła z kieszeni niebieską wstążkę i położyła na dłoniach. To była ta sama wstążka, którą Irenka miała związane włosy, gdy pobiegłem za nią do kościoła po raz pierwszy.

Komendant nie podeszedł do trumny. Spojrzał jedynie po twarzach żałobników, jakby kogoś szukał. Tylko kogo? Mnie? Ceremonia trwała jeszcze kilkanaście minut. Gdy wszyscy się rozeszli, podeszedłem do grobowca i położyłem bukiet konwalii, ulubionych kwiatów Irenki.

Tę noc również spędziłem w jej pokoju. Tym razem nie pozwoliłem, aby najbliższa jej osoba została sama. Kolejne półtora roku w Łodzi minęło mi w miarę spokojnie. Odwiedzałem regularnie cmentarz, zostawiając kwiaty przy mogile. Czasami zastanawiałem się, czy nie robię tego, żeby wynagrodzić jej te wszystkie

bukiety, których jej nigdy nie dałem. Czasami spotykałem matkę Irenki i szliśmy razem na kawę albo staliśmy przy grobie.

Pewnego dnia do mojego biura wszedł mój szef. Położył grube akta na biurku i wydał rozkaz: „Od dzisiaj to wasz numer jeden. Rozumiecie?”, „Tak jest!”. Podniosłem pierwszą stronę akt, a tam na środku napisano: „Leopold Brzeziński, pseudonim Komendant”. Nie potrafię opisać, co dokładnie poczułem. Z jednej strony wiedziałem, że oto los pozwala mi się odegrać na człowieku, który zrujnował mi życie. Z drugiej zaś nie chciałem się ponownie babrać w tej znajomości. Walczyłem ze sobą przez chwilę, lecz ciekawość zwyciężyła. Rozłożyłem dokumenty po całym pokoju i je posegregowałem. Akta personalne Leopolda i jego rodziny odłożyłem na jedną kupkę, życie zawodowe na drugą, prywatne na trzecią i tak dalej. Wiedziałem, że mój dawny przyjaciel studiował prawo, że współpracował ze służbą bezpieczeństwa. Każdy, kto w owym czasie chciał robić karierę, musiał współpracować. Z akt wynikało, że aparat państwa zainteresował się Komendantem, gdy ten był już na pierwszym roku studiów. Była oczywiście wzmianka o tym, że został ojcem i się ożenił, przeprowadzając się z żoną do domu dziadków pod miastem. Obserwacji Irenki zaniechano z racji tego, że spędzała całą dobę na wsi z dzieckiem.

Mimo posiadania rodziny Komendant pozwalał sobie na hulaszczy tryb życia. Prywatki w domu akademickim, seks z koleżankami z roku. Na jednej ze stron znalazłem wzmiankę, że jego własna rodzina wezwała na pomoc milicję, gdy wrócił z jednej z zabaw i pobił żonę. Cisnąłem dokumentami o ścianę i sięgnąłem po butelkę wódki. Tym razem zapragnąłem zemsty naprawdę. I mogłem tego dokonać. Wypiłem pół kieliszka wódki i odłożyłem butelkę na miejsce. Wolałem rzeczowo zapoznać się z aktami, by dobrze rozegrać tę partię.

Mój przyjaciel z dzieciństwa był współpracownikiem tajnych służb, wysoko postawioną figurą w państwie i zlikwidowanie go, ot tak po prostu nie wchodziło w grę. Przyglądałem się jego życiu przez długi czas z ukrycia.

Komendant rozpoczynał dzień od zabezpieczenia swoich dzieci. Celowo tak mówię, bo ewidentnie ich nie kochał, tak jak nie kochał ich matki. Miał względem

nich obowiązek i wywiązywał się z niego. Odwoził je do szkół, przedszkoli. W piątek wieczorem zazwyczaj odwoził je na Limanowskiego do matki Irenki. Wracał wówczas do swojego mieszkania oddalonego niespełna cztery i pół kilometra od naszej kamienicy. Przeważnie spotykał się z tymi samymi osobami, aż pewnego dnia podjechał pod dom z prześliczną dziewczyną. Kobieta miała około dwudziestu lat. Blond włosy i bardzo często ubierała się w zwiewne sukienki. Choć nie była kopią Irenki, miała z nią wiele wspólnych cech.

Przyglądałem się tym dwojgu przez kilka miesięcy. Spędzali ze sobą popołudnia i weekendy. Dziewczyna jeszcze studiowała, więc Komendant odbierał ją czasami z uczelni i zabierał prosto do siebie. Patrzył na nią takimi samymi oczami, jakimi ja patrzyłem na Irenkę.

Zaniechałem obserwacji mojego przyjaciela. Wiedziałem, że jego jedyną zbrodnią jest to, że zakochał się w dużo młodszej od siebie dziewczynie. Ona zaś była córką bardzo ważnego dla ówczesnej władzy człowieka. Szybko więc zrozumiałem, że obserwacja jest pro forma i nikt nie liczy, że znajdę cokolwiek, co mogłoby być dowodem na działanie przeciwko państwu.

Zdając sobie z tego sprawę, postanowiłem się ujawnić i pozwolić zostać zauważonym przez mojego przyjaciela. Parkowałem bliżej jego domu, siedziałem na ławce, gdy wychodził z mieszkania. Po kilku dniach mnie zauważył. Czy rozpoznał? Może, ale nie dał tego po sobie poznać. Pewnego letniego popołudnia włamałem się do jego mieszkania. W środku był istny chlew. Walające się buty, brudna bielizna i porozrzucane ubrania, brudne naczynia i pełno butelek wódki. Widząc ten obraz, pomyślałem, że moja intryga zadziałała. Mój przyjaciel wiedział, gdzie pracuję i zdał sobie sprawę, że jest obserwowany. Wybranka jego serca również się zorientowała, że jej się przyglądam. To budowało w nich napięcie. Nagle wszystko, co mieli, mogło zostać obrócone w pył.

Siedziałem na kanapie i przyglądałem się mieszkaniu, gdy zamek w drzwiach załomotał. Komendant wszedł do środka lekko podпиты. Nie był zdzwiony moją obecnością.

– Wiedziałem, że przyjdiesz – powiedział na przywitanie i podszedł do barku. Nalał dwie szklanki wódki i podał mi jedną. – Za stare czasy. – Uniósł szklankę. Wypił szklankę wódki jak większość ludzi wody. W tym czasie ja sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjmując zdjęcia.

– Ładną masz dziewczynę. Kochasz ją?

Wzruszył ramionami i wyduł usta.

– A żonę kochałeś?

– A więc o to ci chodzi – krzyknął. – O Irenę!

Patrzyłem na niego w milczeniu, pozwalając mu krzyczeć.

– Trzeba było nie wyjeżdżać frajerze, to wychowywałbyś z nią moje dziecko! Nigdy o tobie nie zapomniała! Kochała cię nawet wtedy, gdy rodziła kolejną dwójkę. Powiem ci więcej: każdego roku w dniu, w którym się poznaliście, czekała na ciebie pod tym samym kościołem, wplatając we włosy tę pieprzoną niebieską wstążkę, którą matka włożyła jej do trumny.

Przełknąłem głośno ślinę. Czułem, jak kręci mi się głowie.

– Czemu milczysz, żołnierzu? Nie chcesz mnie kropnąć! Strzelać, skurwysynu! Wiem, że po to za mną łazisz od kilku miesięcy! Myślałeś, że się nie dowiem? A może uważałeś, że cię nie widzę?

Wyjąłem kolejne zdjęcie i położyłem na stole.

– A tu jest twoja ukochana, która wręcza mikrofilmy z pracowni ojca człowiekowi, którego zidentyfikowałem jako tajnego agenta.

– Wszyscy wiedzą, że to kłamstwo! I nikt ci nie uwierzy!

– Mężczyzna ze zdjęcia leci właśnie do Moskwy – odparłem i bez słowa wyszedłem z mieszkania, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

Komendant krzyczał coś jeszcze pod moim adresem, obrzucając mnie epitetami i grożąc mi, ale nie interesowało mnie to zbytnio. Odjeżdżając, spojrzałem we wsteczne lusterko. Komendant stał na balkonie i dopijał wódkę z butelki. Załamał się.

Osiedle, na którym mieszkała wybranka mojego przyjaciela, nazywano Osiedlem Gwiazdy z racji charakterystycznej zabudowy w kształcie krzyża. Tam

mieszkali sami wybrańcy władzy, których dobrze pilnowano. Wiedziałem jednak, że w środy wieczorem milicjanci mają zmianę warty i nie wykonują ostatniego objazdu osiedla. Niezauważony przez nikogo wszedłem na osiedle i jak gdyby nigdy nic usiadłem na ławce pod blokiem, czekając na Annę Marię Tomczyk, wybraną serca mojego przyjaciela.

– Dobry wieczór, sąsiadko!

– Dobry wieczór – odpowiedziała delikatnym głosem.

– Jak się pani miewa w taki piękny wieczór?

– Przepraszam, ale się spieszę.

– Może jednak znajdzie pani chwilę dla mnie, gdy powiem, że mamy wspólnego przyjaciela.

– Słucham?

– Przysłała mnie Leopold.

Kobieta zrobiła kilka kroków w przód i podeszła do mnie, a ja jej pokazałem zdjęcie, które przed kilkoma godzinami pokazywałem Komendantowi.

– Pan Leopold wie, że jest pani tajnym współpracownikiem i z racji tego, że panią kocha, przysłała mnie, aby pani pomóc.

– Ale, ale... ja nie jestem.

– Nie mnie oceniać – odpowiedziałem z udawaną obojętnością. – Mam jedynie panią stąd zabrać, żebyście mogli razem uciec.

– Uciec?

– Za około dziesięć minut w pani mieszkaniu zjawią się tajne służby. Oni najpierw strzelają, potem pytają. Ma pani wybór: albo wyjechać ze mną i spotkać się z panem Leopoldem, albo wyjechać z nimi.

– Dobrze. Proszę mnie zatem zabrać do Leo.

– Musi się pani przebrać. Mam na klatce torbę z ubraniami i peruką. Proszę wejść i się przebrać.

Kobieta weszła do klatki. Kiedy schylała się do czarnej torby leżącej na podłodze mój podkomendny wyszedł cicho zza drzwi prowadzących do piwnicy, wciągając ją do środka. Szarpnięta za włosy spadła po schodach w dół i uderzyła

głową o ścianę, gdzie zostawiła czerwony ślad krwi. Ku naszemu zdziwieniu nie straciła przytomności. Wyjąc z bólu, zaczęła się czołgać. Nadepnałem na jej złamaną nogę. Odwróciła się do mnie.

– Kim pan jest? Czego pan chce?

Milczałem. Z dziką żądzą patrzyłem na jej młode ciało. Zastanawiałem się, czy tak właśnie wyglądała Irenka, pełna strachu i lęku, gdy Komendant wracał pijany i gwałcił ją nocami, robiąc kolejne dzieci. Złapałem ją za włosy i pociągnąłem w kierunku otwartej wcześniej komórki lokatorskiej. Szamotała się, więc uderzyłem ją z pięści w twarz. Przy trzecim uderzeniu straciła przytomność. Zakneblowałem jej usta i przywiązałem do ściany.

– Czego stoisz? – krzyczałem do mojego podkomendnego. – Wynoś się stąd!

Odszedł, a ja przyglądałem się przywiązanej kobiecie. Pamiętam, że zapaliłem papierosa, czekając, aż się ocknie. Chciałem, aby cierpiała. Chciałem, żeby widziała zbliżającą się do jej ciała siekiere.

Nie musiałem czekać długo, bo nawet nie zdążyłem dopalić papierosa. Trzymając niedopałek w ustach wymierzyłem jej pierwszy cios. Krew trysnęła na moje ubranie. Po chwili całe pomieszczenie było we krwi. Uderzałem nawet wtedy, gdy wiedziałem, że nie żyje.

Położyłem siekiere obok ciała i ruszyłem do torby leżącej na klatce. Przebrałem się, zakładając czarną perukę.

Tego samego wieczoru wkradłem się ponownie do mieszkania mojego przyjaciela. Jak zakładałem, spał pijany i nie zauważył nawet mojej obecności. Zakrwawione ubrania, które ukradłem mu podczas popołudniowego włamania, włożyłem do pralki. Później pojechałem do mojego szefa, informując go, że Leopold Brzeziński odkrył, iż jest obserwowany, oraz pokazałem mu to samo spreparowane zdjęcie wymiany domniemanego mikrofilmu.

Mój szef wykonał telefon nakazujący areszt Anny Marii Tomczyk. Służby szukały dziewczyny w jej domu, na uczelni i w klubokawiarni, w której sobie dorabiała. Potem pojechali do domu Komendanta, gdzie znaleźli ślady krwi, a w jego pralce ubrudzone ubrania. Znalezienie ciała było kwestią chwili.

Kiedy Leopold Brzeziński wylatywał do Rosji, gdzie przesłuchiowano wrogów narodu, stałem na cmentarzu przy Brackiej w towarzystwie matki Irenki. Opowiedziałem jej zmyśloną historię o sprzedaży przez Leopolda informacji.

– A co z dziećmi? – zapytała.

– Pani się nimi zajmie.

– A może ty? W końcu to był twój przyjaciel.

Kilka tygodni później rozpocząłem procedurę adopcyjną. Po rozwiązaniu ważnej dla państwa sprawy spora część moich szefów otrzymała awans. Odwdzięczyli mi się, pomagając adoptować dzieci Irenki.

Po roku niemal już nie pamiętałem makabry, jakiej się dopuściłem. Dzieci zaczęły się do mnie przekonywać, a dorastająca Zosia wyglądała niemal identycznie jak jej matka. Różniły się jedynie kolorem włosów, który dziewczyna odziedziczyła po ojcu. Myślę, że to dlatego z nią głównie spędzałem najwięcej czasu.

Pewnego dnia wybraliśmy się do parku. Mała grała w piłkę z rówieśnikami, a ja paliłem papierosa na ławce. Nagle obok mnie usiadł młody mężczyzna.

– Ładna ta pana córka – powiedział.

– A skąd pan wie, która jest moja?

– Po prostu wiem.

Poderwałem się z miejsca i stanąłem nad młodym mężczyzną, łapiąc go za kołnierz.

– Co powiedziałaś, gnoju? Wiesz, z kim rozmawiasz?

– Z mordercą mojej siostry – wycedził przez zęby i uderzył mnie w brzuch tak mocno, że straciłem oddech.

– Ona była w ciąży, skurwysynu!

Nim zdążyłem się podnieść, po mężczyźnie nie było ani śladu. Następnego dnia sięgnąłem do akt morderstwa Anny Marii Tomczak. Opis sekcji zwłok zawierał dwie strony. O ciąży nie było wzmianki. Dotarłem również do raportu milicjanta ochraniającego osiedle. Z lakonicznej notatki wynikało, że ojciec Anny Marii Tomczyk wpadł w szał. Biegając z bronią w ręku po osiedlu, odgrażał się, że pozabija wszystkich sąsiadów. Milicjant, który był na miejscu, strzelił do

nieszczęśnika kilka razy, raniąc go w twarz. Do dziś nie wiem, co się z nim stało. Nie interesowało mnie to.

Zamilkłem. Ksiądz Śliwiński spojrział na mnie. Miał w oczach wypisaną tę samą dobroć i to samo zrozumienie dla świata. Wykonał gest krzyża i mnie pobłogosławił.

– Czyli to jest rozgrzeszenie?

– A czujesz ulgę po opowiedzeniu mi tej historii?

– Tak.

– Czyli spowiedź spełniła swoje zadanie. A odpuszczenie ci bardzo ciężkich grzechów może spotkać cię na sądzie ostatecznym, gdy w obliczu boga będziesz żałował tego, czego się dopuściłeś.

Uśmiechnąłem się, spojrziałem w boczną nawę, zastanawiając się, czy ksiądz Śliwiński wie, że to właśnie o jego kościół chodzi.

XXV

Blacha potarła oczy, nie zważając na makijaż. Wiedziała, że o tej godzinie została już resztką tuszu nałożonego rano. Spojrzała na zegarek. Dochodziła dwudziesta trzecia. Za trzydzieści minut miało dojść do spotkania Patryka Nikodemskiego z matką Dagmary Kocik.

– Myślisz, że jest sens jechać?

– Gdzie? – Żuchowski ziewał, starając się ukryć zmęczenie.

– Na stację Radogoszcz.

– A mogę być z tobą szczerzy?

– A do tej pory nie byłeś?

– Nie wierzę zbyt w te testy DNA, tak jak już wcześniej o tym rozmawialiśmy.

– Nie wierzysz w genetykę?

Żuchowski się uśmiechnął.

– Nie wierzę w wyniki, jakie przywiózł nasz przyjaciel.

– Mam podobne odczucie. Poza tym nie wierzę zbyt, że Patryk Nikodemski się pojawi na miejscu.

Policjantka podeszła od okna i rozsunęła zasłony. Migające niebieskie światła służb ratunkowych rozświetliły pokój. Urszula Krawczyk przyglądała się kilku zastępom straży pożarnej, policji i pogotowia. Za plecami usłyszała Żuchowskiego rozmawiającego z kimś przez telefon.

– Co się dzieje na Piłsudskiego?

Spojrzała pytająco, gdy Ed zakończył połączenie.

– Jakieś samobójstwo.

Nie czekając na windę, policjanci zbiegli po schodach. Niemal wszyscy mieszkańcy hotelu stali przed budynkiem i komentowali wydarzenie.

Żuchowski wyjął odznakę i pokazał policjantowi zabezpieczającemu miejsce zdarzenia.

– Co się stało?

– Jakiś starszy facet albo skoczył z kładki, albo został wypchnięty wprost pod nadjeżdżający tramwaj.

Blacha podeszła bliżej i przyjrzała się ciału. Bez trudu rozpoznała mężczyznę, z którym niespełna godzinę temu rozmawiała.

– To Nowak – szepnęła do Eda.

– Czy to nie miało się wydarzyć, gdy miał dwadzieścia lat?

Urszula Krawczyk wzruszyła ramionami. Była zbyt zmęczona, aby zrozumieć ironiczne poczucie humoru Żuchowskiego. Bez odpowiedzi ruszyła w kierunku hotelu. Po drodze przyglądała się zaciekawionym gapiom. W głębi duszy nie szanowała takich ludzi. Miała ich za pasożytów żerujących na cudzej tragedii.

Przy barze w patio poprosiła kelnera o butelkę białego wina i dwa kieliszki. Wiedziała, że Ed nie odjedzie bez słowa pożegnania i omówienia tego, co wspólnie przeczytali. Żuchowski, wchodząc do hotelu, rozejrzał się w poszukiwaniu koleżanki. Szybko dostrzegł ją pochyloną nad barem i zrobiło mu się jej żal – zmęczona, zgarbiona i masująca obolałe plecy. Pomyślał z ironią, że media miałyby pożywkę. Już widział nagłówki lokalnych gazet krzyczące, że policjanci piją alkohol zamiast szukać zabójcy.

– Przepraszam za ten głupi żart. Czasami to silniejsze ode mnie.

– Widocznie tak rozładowujesz emocje.

– Coś w tym jest. Na pogrzebach bliskich mi osób również się śmieję. To dziwne! Pracuję z ludzką krzywdą od dawien dawna, statystycznie raz w tygodniu oglądam ludzkie zwłoki, a śmierć kogoś z rodziny mnie peszy. Jeśli mogę tak powiedzieć.

– To, co widzisz w pracy, odciska na tobie piętno, ale nie dotyka cię osobiście. Ostatecznie wracasz do domu i zajmujesz się swoimi sprawami. Jedni odrabiają

lekcje z dziećmi, inni gotują obiad, a jeszcze inni po prostu kładą się spać.

– Ksiądz Bednarek, u którego byliśmy niedawno, wspominał, że jedyne pogrzeby, na jakich płacze i których się boi, to pogrzeby jego bliskich.

– Za życie! – powiedziała Blacha, dając tym do zrozumienia, że jest zbyt zmęczona na filozoficzne dywagacje.

– Za miłość!

– Poruszyła cię opowieść Nowaka?

– Momentami było mi go szkoda. Jeśli jednak wierzyć w przeznaczenie, to miał to, na co sobie zasłużył.

– W moim odczuciu to smutny i skrzywdzony człowiek. Najpierw ktoś niszczy mu życie, gwałcąc jego nastoletnią dziewczynę. Potem jego przyjaciel mu ją odbiera. To może skrzywić spojrzenie na życie.

– Tak jak śmierć córki?

– Albo siostry – zawyrokowała.

– Jutro rano namierzemy rodzinę Anny Marii Tomczyk.

– O ile ojciec jeszcze żyje.

– O ile żyje.

Zapadła cisza. Urszula Krawczyk przyglądała się winu w swoim kieliszku. Podniosła je pod światło, następnie upiła łyk i ponownie podniosła pod światło. Ktoś mógłby odnieść wrażenie, że policjantka degustuje wino jak znawca. Ją jednak pociągał pryzmat światła załamującego się w pełnym naczyniu. Zajmowanie się prostymi przyjemnościami pozwalało odpocząć głowie. Co się zaś tyczy win, to nigdy nie poznała się na szczepach i gatunkach. Trunki dzieliła na te, które jej smakowały bądź nie. To było lekko kwaskowe i orzeźwiające, co przypadło jej do gustu.

W tym samym czasie Ed Żuchowski wyciągnął z kieszeni telefon, żeby sprawdzić, czy są nowe informacje o zatrzymaniu Patryka Nikodemskiego. Cisza w telefonie upewniała go w przekonaniu, że podjęli słuszną decyzję, nie jadąc na akcję. Tak jak przypuszczali, Patryk Nikodemski nie miał zamiaru się pojawić. Ed

włączył aplikację do randkowania, na której poznał domniemanego Łowcę. Konto zostało usunięte.

XXVI

Ból pleców obudził Eda Żuchowskiego. Rozejrzał się po pokoju hotelowym i zdał sobie sprawę z tego, że spędził noc w pokoju Blachy na kanapie. Wieczorem był tak zmęczony i zniechęcony, że wolał zostać na dziko niż ryzykować powrót do domu.

Urszula Krawczyk spała w sąsiednim pokoju. Żeby jej nie budzić, Ed podszedł zamknąć drzwi od jej sypialni. Blacha spała na boku, ściskając między nogami kołdrę. Mężczyzna mimowolnie zawiesił wzrok na wypiętym tyłku koleżanki ubranym w ciemnoszare figi. Poczł dreszcz przebiegający po plecach i zastanawiał się, czy kobieta domyśla się jego sekretu – kolejny raz nie próbował nawet jej pocałować. Mimo że wysyłała jasne sygnały, że ma na to ochotę. Ed miał nadzieję, że Blacha zrzuciła to na karb jego profesjonalizmu i uwierzyła, że nie sypia z koleżankami z pracy, o czym zresztą wspominał jej podczas któregoś spotkania. Żuchowski podniósł słuchawkę hotelowego telefonu, wciskając jednocześnie przycisk opisany jako „restauracja”.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, chciałbym zamówić dwie kawy i dwa śniadania.

– Poproszę numer pokoju.

– Numer pokoju? – Poczł się skrępowany. – Przepraszam, ale nie wiem, jaki jest.

– Trzysta dwadzieścia trzy – usłyszał głos Blachy za sobą.

– Trzy dwadzieścia trzy – powtórzył.

– Przyjąłem. Zamówienie będzie niedługo.

Odłożył słuchawkę bez słowa i spojrzł na koleżankę. Ubrana w za duży hotelowy szlafrok przeczesywała włosy. Nie zdążyła jeszcze zrobić makijażu,

a mimo to wyglądała tak samo jak wieczorem. Większość kobiet zazdrościłoby jej gładkiej cery.

Blacha podeszła do okna i przyglądała się miejscu samobójczej śmierci Nowaka. Po kładce przechodziła starsza pani z dzieckiem, a pod nimi przejeżdżał tramwaj.

– Jakby nigdy nic się nie stało – zauważył Ed, rozszyfrowując, o czym myśli.

Blacha skinęła głową i ponownie przeczesła włosy.

– Zastanawiałam się nad spotkaniem Nowaka z bratem Anki.

Żuchowski spojrzał pytającym wzrokiem.

– Przed przyjściem Nowaka wspominałeś, że ofiary były w klinice.

– Myślisz, że Łowcą jest mszczący się brat Anki?

– Trzeba go o to zapytać. – Blacha puściła oczko.

Ed Żuchowski sięgnął po telefon komórkowy leżący na stoliku. W pamięci urządzenia wybrał numer wpisany jako „mama”.

– Cześć, stary. Jesteś u siebie? Będziemy.

Po wyjściu z hotelu Żuchowski przypalił papierosa. Przejeżdżający tramwaj przypomniał mu zmiażdżoną twarz Nowaka i powiedzenie babci, która po śmierci jakiegoś człowieka zwykła mawiać, że w końcu nieszczęśnik się nie męczy.

Dochodząc do volkswagena, Ed Żuchowski spojrzał na mały zwitek papieru za wycieraczką, który nie wróżył niczego dobrego. Wyciągnął kartkę i upewnił się, że dostał mandat za nieopłacony parkometr.

– Ile zapominalstwo kosztuje w Łodzi? – zagała Blacha.

– Pięćdziesiąt złotych. A w Krakowie?

– Nie wiem. Nie mam samochodu.

– Ale prawko masz?

– Po wydarzeniach w Częstochowie nie mogłam siedzieć. Jak musiałam się gdzieś przemieścić, to wybierałam komunikację miejską. W autobusie czy tramwaju można stać. Na zwolnieniu chorobowym nie ma premii i żadnych dodatków, więc stwierdziłam, że taniej będzie sprzedać auto niż do niego dokładać.

– Logiczne.

- Poza tym nie lubię prowadzić. I tak zawsze wybierałam pociąg.
- Dlaczego?
- Można w nim poznać bardzo ciekawych ludzi.
- Proszę zatem zapiąć pasy i delektować się podróżą. Nasz samochód wyposażony jest w cztery wyjścia awaryjne – żartował Ed, parafrazując znaną regułkę słyszaną tuż przed startem samolotu.

Volkswagen Żuchowskiego wyjechał na główną drogę Łodzi. Blacha przysłuchiwała się pracującemu silnikowi. Słońce świeciło nieprzysłonięte żadną chmurą. Czuła, że są blisko rozwiązania sprawy.

XXVII

Leżąc na łóżku Dagmara Kocik przyglądała się starszemu mężczyźnie, który próbował wynieść skórzany fotel. Już otwierała usta, żeby zapytać, po co to robi, gdy usłyszała dobiegający z sąsiedniego pokoju głos swojej matki apelującej do porywacza o uwolnienie jej córki. Poczowała ściskający ból w krtani. Spojrzała na mężczyznę, który wydawał się być obojętny na wiadomości z radia.

– Coś się stało, Anulko?

Pokręciła przecząco głową.

– Widzę przecież, że masz zatroskaną minę? Boli cię noga? Potrzebujesz czegoś?

– Pomyślałam, że może udałoby się przynieść mi tutaj telewizor?

– Nie pamiętasz, że nie mamy telewizora?

– To może radio, żebym lepiej je słyszała.

Mężczyzna bez słowa wyszedł z pokoju i przyniósł radiodbiornik.

– Postawię go tutaj, żebyś mogła włączać i wyłączać, kiedy tylko chcesz.

Dagmara Kocik uśmiechnęła się do mężczyzny ciepło. Nie winiła go za to, że ją przetrzymuje. Wiedziała, że jest nieświadomy tego, co się właściwie dzieje.

– Dziękuję!

– Zaraz wystawię ten piekielny fotel na zewnątrz i będziesz mogła posiedzieć wygodnie przed domem, Anulko.

– Przed domem?

– Tak. Jest ładne, bezchmurne niebo i ciepło. Posiedzisz przed domem.

– A twój syn? To znaczy... to znaczy mój brat... Może lepiej, żeby mnie nie widział.

– Nie pamiętasz już, Anulko, że go zabiłaś tam w lesie?

– Na pewno nie żyje?

– Na pewno! I nie mówmy o tym już więcej! – krzyknął.

– Nie krzycz na mnie! – odcięła się mimowolnie. – Widziałeś ciało?

Nie odpowiedział. Dźwignął zdecydowanie fotel i z nim wyszedł z pokoju.

Na zewnątrz słońce oświetlało twarz Dągmara Kocik. Spojrzała na nogi leżące na krześle. Gips już dawno wyschł. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek doczeka się jego zdjęcia. A jeśli już, to czy będzie mogła jeszcze chodzić.

Starszy mężczyzna karmiący kury na podwórku odwrócił się do niej i pomachał. Był szczerze szczęśliwy. Wierzył, że odzyskał dawno utraconą córkę. Dągmara Kocik odmachała i przesłała buziaka. Zamierzała poczekać do zdjęcia gipsu. Wówczas będzie mogła spróbować uciec. Wyobrażała sobie ten dzień i poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Czas, pomyślała, teraz potrzebny mi czas.

Z myśli wyrwał ją pisk otwierającej się furtki. Nim zdążyła się zorientować, co się właśnie dzieje, stary mężczyzna leżał na ziemi powalony jednym uderzeniem kija. Porywacz z zabandażowaną szyją stał przy ciele mężczyzny konającego w agonii i się uśmiechał. Pomachał jej i ruszył w jej stronę. Dągmara Kocik zsunęła się z fotela i poczołgała do domu. Mężczyzna wyciągnął rękę, chcąc zablokować drzwi. Zdążyła zamknąć mu je tuż przed twarzą. Przekręciła klucz w zamku w tej samej chwili, w której morderca nacisnął klamkę. Oddychając szybko rozejrzała się po pomieszczeniu. Szukała narzędzia, którym mogłaby się bronić. W metalowym wiadrze, tuż obok pieca, stał metalowy pogrzebacz. Kobieta podsunęła się do niego. Wyciągając narzędzie z wiadra, usłyszała brzęk furtki.

Zatkała sobie usta, próbując wysłuchać, co się dzieje na zewnątrz.

– Panie Tomczyk, co się stało? – usłyszała męski głos. – Panie Tomczyk! Jezus Maria!

Dągmara Kocik położyła się na ziemi w sieni i przyglądała się listonoszowi przez szparę w drzwiach.

– Na pomoc! Ratunku! – krzyczała, otwierając drzwi.

Listonosz spojrzał w kierunku, z którego dochodziły krzyki. Mechanicznie sięgnął do kieszeni po gaz, który kupił do odstraszania niebezpiecznych psów na wsi.

Nie zdążył go jednak użyć, gdy został powalonym ciosem w głowę.

Dagmara Kocik zamknęła szybko drzwi i ponownie sięgnęła po pogrzebacz. Podczołgała się do małego pokoju bez okien przeznaczonego na spizarnię i zaryglowała się od środka, podkładając szczapkę drewna pod drzwi. Siedziała w milczeniu i czekała na rozwój wypadków.

XXVIII

W lokalnym radiu spiker przedstawiał oferty zatrudnienia dla mieszkańców Łodzi i powiatu, jakie można znaleźć w Urzędzie Pracy. Blacha przysłuchiwała się ogłoszeniom, zastanawiając się, dlaczego żaden organ samorządowy w Polsce nie ma do zaproponowania nigdy pracy biurowej. Jeszcze bardziej zdziwiła się, gdy usłyszała, jakie stawki proponuje się za pracę fizyczną.

– Przecież to poniżej wszelkiej krytyki!

Żuchowski spojrział na koleżankę ze zdziwieniem.

– Słucham?

– No te stawki.

– Jakie stawki?

– Słuchasz w ogóle tego radia?

– Leci sobie w tle. Nie skupiam się na nim. Szczególnie gdy muszę omijać dziury.

Blacha przyznała rację koledze. Droga, po której jechali, była w opłakanym stanie, co jeszcze bardziej podniosło poziom jej irytacji. Na miejscu rozejrzała się po osiedlu. Ciąg równo ustawionych kamienic z gruntową drogą i cienką stróżką wody cieknącej przy krawężniku.

– Nie ma tutaj kanalizacji?

– Skąd takie pytanie?

Wskazała na wodę płynącą po drodze.

– Tam, dokąd idziemy, jest.

Policjanci weszli do jednej z kamienic. Niemiły odór moczu uderzył ich nozdrza w chwili przekroczenia oficyny.

– Kanalizacja – wyszeptała Blacha pod nosem i skręciła w pierwsze drzwi po prawej.

Drewniane, nierówne schody pachniały wilgocią. Klatka wbrew temu, czego można się było spodziewać po wejściu, była czysta i zadbana. Świeżo odmalowane ściany wolne były od jakichkolwiek napisów. Na półpiętrach stały kwietniki. Urszula Krawczyk rozpoznała kilka gatunków, które pamiętała z mieszkania swojej babci. Szczególną uwagę zwróciła na bardzo wysoką jukę.

Ed Żuchowski zapukał mocno w drewniane dwuskrzydłowe drzwi. Po krótkiej chwili zamek zatrzeszczał i jedno ze skrzydeł się otworzyło, uwalniając zapach dymu nikotynowego.

– Cześć, stary. – Ed wszedł pierwszy do mieszkania, ściskając serdecznie dłoń dużo starszego od siebie mężczyzny. – To moja partnerka, Urszula Krawczyk.

– Dzień dobry – uśmiechnęła się policjantka.

Znajomy Żuchowskiego się nie odezwał. Uścisnął rękę kobiety i przypatrywał się jej. Uwadze Blachy nie uszedł fakt, że mężczyzna zatrzymał wzrok na jej piersiach.

– Wejdźcie.

Znaleźli się w pokoju, który był istnym centrum dowodzenia starszego mężczyzny. Na dużym, jasnobrązowym segmencie stały segregatory opisane latami. Urszula Krawczyk szybko policzyła, że najstarsza data, jaką zauważyła, sięgała ponad pięćdziesięciu lat wstecz.

– IPN miałby z pana pożytek – stwierdziła kobieta.

Mężczyzna spojrzał na Żuchowskiego karcącym wzrokiem. Ewidentnie nie lubił odwiedzin, a zwłaszcza osób, które mogły zagrozić jego zbiorom.

– Kawa. – Wskazał na czarną ławę.

Cała trójka usiadła przy stole. Starszy mężczyzna wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował najpierw Blachę, która odmówiła, potem Żuchowskiego.

Panowie zapalili papierosy i przypatrywali się sobie wzajemnie. Blacha milczała, bo czuła coraz większe napięcie.

– Czego chcecie? – Gospodarz przerwał w końcu ciszę, wydając z siebie wibrujący, wręcz gardłowy dźwięk.

Blacha wzdrygnęła się, a Żuchowski parsknął ze śmiechu.

– Zawsze to przerabiamy, kiedy przychodzi ktoś nowy. Udajesz takiego gbura. Po co?

– A po co silić się na bycie miłym? Ludzie ciągle udają miłych. Oglądasz telewizję i jakaś sympatyczna pani chce ci sprzedać proszek. Słuchasz radia i jakiś miły pan mówi ci, że mimo ogromnej niechęci musi podnieść podatki. Uprzejmy Ed jest sztuczny.

– Twoja gburowatość też.

– On nie ma racji, pani Krawczyk. Proszę go nie słuchać.

Blacha przytaknęła z uprzejmością, próbując upić łyk kawy, która ku jej zaskoczeniu okazała się bardzo dobra.

– Mam rację czy nie, teraz nie ma to większego znaczenia. Chciałbym, żebyś się skupił i postarał się sobie przypomnieć człowieka o nazwisku Nowak.

– Na litość boską, Ed! Czy ty wiesz, ilu jest Nowaków w tym kraju?

– Wątpię, żeby to było prawdziwe nazwisko. Myślę, że to raczej pseudonim, którym się posługiwał. Facet pracował w służbach specjalnych, konkretnie w kontrwywiadzie. Mniej więcej czterdzieści lat temu porąbał dziewczynę na Osiedlu Gwiazdy.

– A! Ten skurwiel! Myślałem, że już dawno nie żyje.

– Tak się składa, że od dzisiejszej nocy już nie żyje.

– Szczęściarz.

– Rzucił się pod tramwaj. Nie wiem, czy to takie szczęście. – Blacha włączyła się do rozmowy.

– Liczy się, pani Krawczyk, rezultat. Nie sposób, w jaki się coś osiągnęło. Pracuje pani tyle lat w policji i jeszcze się tego nie dowiedziała...

– Nauczy się. – Ed przerwał, nie chcąc tracić czasu na wymianę nieuprzejmych uwag. – Młoda jest.

– Dobrze. Trzymam cię za słowo, Ed, że ją nauczysz.

Mężczyzna puścił do Blachy oczko i się uśmiechnął. Policjantka odwzajemniła uśmiech.

– A co do Nowaka, to znałem skurwiela jeszcze z czasów kontrwywiadu. Kawał chuja. Kiedy nas wszystkich chcieli wyjechać po upadku komunizmu, on wyniósł wywrotowe dokumenty na tych samych ludzi, którzy ten komunizm obalali.

– Mazowiecki? Wałęsa?

– A po co sięgać tak daleko i tak wysoko, kiedy w mieście się ma swoich prominentów, pani Krawczyk? – odpowiedział mężczyzna i zapalił kolejnego papierosa. – Co na kogo miał, to już nie jest ważne. Istotne, że był uczciwym skurwielem i nie pozwolił wywalić całego swojego wydziału.

– W tym i pana – dodała Blacha.

– Tak. Pracowaliśmy z Nowakiem w czasach kontrwywiadu. W pewnym momencie konkurowaliśmy ze sobą o najwyższy stołek. I wtedy przyszedł ten jebany upadek komunizmu, a mnie zostało to. – Wskazał na segregatory. – Trzymanie ich w domu może nie jest najlepszym pomysłem, ale mnie już nie zależy. Stary jestem.

– Jaki był?

– Kawał chama, który udawał dobrego człowieka, adoptując trójkę dzieci swojego przyjaciela, gdy ten... no wiecie...

– Wiemy.

– Właśnie za tego przyjaciela dostał awans i nasz wyścig się skończył. Wiedział, że jestem dla niego zagrożeniem i przeniósł mnie do innego wydziału, w którym o sprawie operacyjnej mogłem jedynie poczytać z raportów krawężników.

– Pamiętasz może, kto był jego zastępcą?

– Zastępcą?

– No takim podkomendnym.

– To podkomendnym czy zastępcą?

– W swoim zeszycie pisze, że był z podkomendnym – wtrąciła się Blacha – więc raczej ta osoba nas interesuje.

– W swoim zeszycie?

– Jego wspomnienia.

– Macie go przy sobie?

Żuchowski sięgnął do kieszeni marynarki po zeszyt zwinięty w rulon.

– Nam już nie będzie potrzebny.

Mężczyzna przyglądał się z zaciekawieniem pamiętnikowi swojego rywala. Obliznął wargi i przewrócił kilka stron.

– Co chcesz za niego, Ed?

– Znasz mnie, stary. Wiesz, że uważam cię za przyjaciela, więc nie chcę niczego.

– W naszej branży nie ma przyjaciół, Ed! Pamiętaj o tym!

– A nazwisko tego podkomendnego?

– Adamski. Seweryn Adamski.

– Nie wiesz, czy żyje?

– Jezus Maria, Ed. Za kogo ty mnie masz? Myślisz, że ja pracuję w urzędzie stanu cywilnego i odhaczam zgony i narodziny ekspracowników służby bezpieczeństwa?

Ed uśmiechnął się wymownie, na co starszy mężczyzna rzucił zeszytem na ławę i wstał, podchodząc do jednego z segregatorów. Wertował kartki, po czym wyjął jedną.

– Proszę.

Policjanci przyglądali się dokumentowi meldunkowemu Seweryna Adamskiego z lat dziewięćdziesiątych, zastanawiając się, czy nadal mieszka w przydzielonym mieszkaniu na Księżym Młynie.

– Masz kartkę i coś do pisania?

– Zrób zdjęcie telefonem. Chyba że w policji nie dają takich zaawansowanych.

– Na raty sobie kupiłem – stwierdził Ed.

W drodze do wyjścia Blacha zajrzała do kuchni. Na blacie leżała strzelba i dwa podręczne pistolety. Pomyślała ze smutkiem, że znajomy Żuchowski musi mieć naprawdę wielu wrogów.

– Jak się poznaliście? – zagała Blacha, gdy tylko wsiedli do samochodu.

Ed wzruszył ramionami i odpalił volkswagena. W radiu leciała piosenka „Voyage Voyage” grupy Desireless. Na miejscu Blacha stwierdziła:

– Inaczej wyobrażałam sobie Księży Młyn.

– Myślałaś, że będą i księża, i młyn.

– Wcale mnie to nie bawi – powiedziała Blacha ze śmiechem. – Choć co do jednego masz rację. Myślałam, że będzie młyn.

– Naprawdę interesuje cię to miejsce.

Blacha rozejrzała się wokół. Choć nie była romantyczką, to te jednopiętrowe ceglane domy z powystawianymi w oknach kwiatami, ciągnące się w szeregu wzdłuż wybrukowanych alejek poruszały ją bardzo mocno.

– Jeśli coś wiesz, to możesz mi opowiedzieć.

Ed Żuchowski wciągnął mocno powietrze i ruszył w kierunku domu podkomendnego.

– Kompleks, w którym się właśnie znajdujemy, to najstarszy pofabryczny skansen. Ewenement na skalę światową. Kiedyś mieszkali tutaj robotnicy pracujący w fabryce, która znajduje się na końcu tej alei. W latach dziewięćdziesiątych...

Blacha przestała słuchać kolegi. Przymknęła oczy, bo poczuła zapach świeżo pieczonego ciasta. Z jednego z zielonych okien leciała muzyka. Wytężyła słuch, lecz poza dźwiękami fletu nie potrafiła rozpoznać niczego więcej.

– ... a nazwa Księży Młyn wzięła się stąd, że w połowie dziewiętnastego wieku jakiś pleban miał tutaj młyn na rzece. – Ed wskazał palcem.

Policjanci podeszli do szczytu budynku. Żuchowski nacisnął klamkę i przepuścił koleżankę w drzwiach. Fotokomórka wyłapała ruch, natychmiast rozświetlając klatkę. Wszystkie drzwi prowadzące do mieszkań były identyczne. Stylizowane na dziewiętnastowieczne raziły taniością wykonania. Na schodach Blacha usłyszała ponownie dźwięki fletu. Były coraz wyraźniejsze. Przed drzwiami do mieszkania człowieka, z którym mieli się za chwilę spotkać, stwierdziła, że to właśnie z jego mieszkania dochodzi muzyka.

Żuchowski nacisnął dzwonek. Dźwięk fletu umilkł i słychać było szybkie kroki. Za szybkie jak na człowieka, który ponad czterdzieści lat temu był milicjantem

w sile wieku.

Drzwi otworzyła kilkunastoletnia dziewczynka. Niewidoma. Uśmiechała się do nich, zadzierając głowę ku górze.

– Dzień dobry – odezwała się Blacha spokojnym głosem. – Czy tutaj mieszka Seweryn Adamski?

– Dzień dobry! To mój dziadek.

– Możesz go poprosić?

– Dziadek teraz słucha, jak gram i jest zajęty.

Blacha wzruszyła ramionami, spoglądając bezradnie na kolegę.

– To może my też posłuchamy. Trochę się znam na muzyce.

– Dobrze. Tylko proszę zdjąć buty. Dziadek nie lubi, kiedy ma ręce w piachu.

Łysy mężczyzna siedzący na wózku inwalidzkim spojrzał na wchodzących policjantów. Przeczesał głowę lekko drżącą ręką i uśmiechnął się do swojej wnuczki.

– Zostawiasz mnie z naszymi gośćmi samych?

– Oni przyszli na mój koncert, dziadku!

– To może innym razem im zagrasz, kochanie?

– Jutra może nie być. Sam tak mówisz.

– Proszę cię, Weroniko, zostaw nas samych.

– To ja cię proszę, dziadku! Chcecie, żebym zagrała, czy nie? – zwróciła się do policjantów.

– Bardzo chętnie – odpowiedziała Blacha, siadając na fotelu.

Dziewczynka przystanęła przed słuchaczami i się ukloniła. W tym samym momencie jej dziadek zaczął bić brawo, zachęcając wzrokiem policjantów, aby uczynili to samo.

Przykładając metalowy flet do ust, dziewczynka spoważniała. Blacha pomyślała, że młoda artystka szuka w sobie odpowiednich uczuć i emocji, które mają towarzyszyć wygrywanej melodii.

Dźwięki płynące z instrumentu imitowały trele ptaka, aby po chwili przejść w obraz całej ptaszarni. Policjanci spojrzeli na siebie. Żuchowski uniósł brwi

z uznaniem i puścił porozumiewawcze oczko do koleżanki. Dziadek dziewczynki siedział z przymkniętymi oczami. Drżał.

Młoda flecistka urwała wpół dźwięku. Wciągnęła powietrze i skierowała głowę w kierunku Blachy.

– Proszę nie uciekać głową – powiedziała. – To, że pani nie widzę, nie znaczy, że nie czuję pani skrępowania.

– Przepraszam – rzuciła Blacha z zawstyżeniem.

– Proszę zamknąć oczy. Tak czuje się muzykę najlepiej.

Policjantka nie wiedziała, czy ma to sens, ale zastosowała się do rady. Być może Dagmara Kocik walczy gdzieś o życie, a ona traci czas na słuchanie muzyki u człowieka, który może pomóc rozwiązać sprawę.

Muzyka wypełniająca pomieszczenie przerwała przemyślenia funkcjonariuszki. Urszula Krawczyk czuła, jak dreszcz emocji przepływa jej od stóp aż do głowy. Czuła, że ma ciarki na plecach, gdy dziewczyna zagrała preludium sopranowe. Pod zamkniętymi powiekami, otoczona powolnymi dźwiękami, mimowolnie zaczęła sobie wyobrażać, jak spaceruje po miejscu, w którym się znalazła ze swoim eksnarzeczonym. Miejsce na pewno przypadłoby mu do gustu. Pośród mieszkalnych domów schowane były kawiarnie i restauracje, w których mogliby się zaszyć. Oboje lubili patrzeć, jak wiatr zrzuca z drzew żółtoczerwone liście, a ilość drzew na Księżym Młynie dostarczyłaby im widowiska.

Muzyka umilkła. Blacha poczuła na sobie spojrzenia. Pograżona w tęsknocie za związkiem i poczuciem bezpieczeństwa nie zauważyła nawet, że płacze. Podeszła do młodej flecistki i ją przytuliła.

– Dziękuję. To było piękne – wyszeptała.

– Polecam się.

Dziewczynka wyszła z pokoju zgodnie z wcześniejszą umową ze swoim dziadkiem. Po chwili słychać było dźwięk telewizora. Zdziwiło to policjantkę, która zastanawiała się, jak niewidome dziecko ogląda telewizję.

– Świetnie gra – pochwaliła.

– Jej rodzice byli muzykami. Uczyli ją grać od czwartego roku życia.

– Byli?

– Zginęli w katastrofie lotniczej. Samolot wodował... Nieważne. Co was sprowadza?

– Nie pyta pan, kim jesteśmy.

– Jesteście z policji. To widać na kilometr.

Żuchowski uśmiechnął się smutno. Również potrafił rozpoznać policjanta bez munduru.

– Nowak.

– Tak myślałem, że to w jego sprawie przychodzicie. Jak tylko przeczytałem w gazecie, że nie żyje, miałem silne przeczucie, że ktoś mnie odwiedzi.

– I co nam pan o nim powie, jako jego prawa ręka.

– Zawsze trzymał mnie na dystans, a od kiedy rozpoznano u mnie chorobę, nie mam z nim kontaktu. Innymi słowy, nie widziałem go od jakiś dwudziestu lat.

– Rozczarujemy pana, bo nie przychodzimy w sprawie śmierci Nowaka. A Anny Marii Tomczyk – dodała Blacha, przyglądając się pilnie mężczyźnie, lecz jego drżące ciało nie zdradziło żadnych emocji.

– Kogo?

– Kobiety, którą wraz z Nowakiem jakieś czterdzieści lat temu porąbaliście w piwnicy pod jednym z bloków tak zwanego Osiedla Gwiazdy.

– Poważne oskarżenia pani rzuca.

– Nowak przyznał się do tego w swoim pamiętniku.

– Pisał pamiętnik? To do niego niepodobne.

– Może na starość chciał się wyświadczyć.

– Może.

– Pisał, że to pan zepchnął dziewczynę do piwnicy.

– Pani komisarz, nie wiem, w co pani gra. Nie wiem nawet, jak się państwo nazywacie, i nie wiem, czy mam ochotę z wami rozmawiać.

– Nie musimy rozmawiać tutaj. – Żuchowski podniósł się z miejsca. – Możemy pana zaprosić na komisariat, ale kto w tym czasie zajmie się małą?

– Grozi mi pan?

- Nie śmiałym!
- Chcemy jedynie poznać pana wersję zdarzeń i już nas nie ma.
- Po co wam to?
- Uważamy, że pomoże nam to rozwiązać bieżącą sprawę.
- Wie pani, po jakim czasie przedawnia się morderstwo?
- Wiem.
- Czyli wie pani, że przyznanie się Nowaka niczego nie zmienia.
- Wiem.
- Zatem, co chcecie wiedzieć.
- Co się wydarzyło tamtego wieczora.

Seweryn Adamski spojrział na ścianę, zza której słuchać było dźwięk telewizora. Nie umknęło to Urszuli Krawczyk, która już wcześniej zauważyła, iż odbiornik jest włączony zdecydowanie za głośno jak na wrażliwy i wyczulony słuch muzyka.

Wcześniej Blacha jedynie pomyślała, że ktoś regularnie odwiedzał jej dziadka i odbywał z nim podobne rozmowy. Teraz miała pewność, że dziewczynka musiała być nauczona tego schematu. Zastanawiała się, czy tym kimś był Nowak.

– Przed dniem zabójstwa Nowak wezwał mnie do swojego pokoju. Pamiętam, że kazał mi zamknąć za sobą drzwi. Było to dziwne, bo zawsze rozmawiał otwarcie o sprawach wydziału. Potem poczęstował mnie papierosem i zapowiedział, że następnego dnia będziemy pracować razem. Był nad wyraz uprzejmy. Pierwszy i ostatni raz, mówiąc między nami. Następnego dnia, późnym popołudniem dotarłem na umówione miejsce. Nowak w przebraniu spojrział na mnie i bez słowa wskazał palcem Osiedle Gwiazdy. Nigdy nie byłem zbyt bojaźliwy, ale tym razem przełknąłem ślinę, czując suchość w gardle. Skoro państwo znają Nowaka, to i pewnie znają historię osiedla?

– Tak – odpowiedzieli chóralnie.

– Specyficzna budowa osiedla pozwalała wjechać na nie z jednej strony i wyjechać z drugiej. W labiryncie chodników można było się pogubić, a jeśli było się tam pierwszy raz, można było odnieść wrażenie, że kręci się w koło, bo każde

następne podwórko wyglądało jak poprzednie. Nowak szedł przez osiedle pewnie. Widać było, że ma obrany cel i wie, dokąd idzie. W ręku miał czarną, sportową torbę. Raz obejrzał się za siebie i uśmiechnął się do mnie. Miał na twarzy wypisany obraz triumfu. Nigdy wcześniej nie widziałem go takiego szczęśliwego. Doszliśmy pod wybraną przez niego klatkę. On usiadł na ławce, a mnie kazał wejść do środka. Na pytanie, co mam robić, odpowiedział, że się zorientuję. Na osiedlu panowała przerażająca cisza. Miałem wrażenie, że nikt tam nie mieszka. Nie wiem, ile czasu stałem pod drzwiami, skupiając się na swoim oddechu, gdy usłyszałem, że Nowak z kimś rozmawia. Przyczałem się przy otwartych drzwiach do piwnicy. Chwilę potem drzwi się otworzyły i do środka weszła młoda, zgrabna i wręcz prześliczna kobieta. Schylając się do torby Nowaka, została przez niego popchnięta na mnie. Pociągnąłem ją za włosy. Do dziś pamiętam ich amoniakowy zapach. Mężczyzna przerwał opowieść i spojrzał za okno. Blacha pomyślała, że mężczyzna z chorobą Parkinsona, który siedzi, lekko drżąc, jest jak drzewa kołysane wiatrem za oknem. Z każdym kolejnym słowem ból rysujący się na jego twarzy był coraz wyraźniejszy. Kobiecie zrobiło się go żal.

– Co było potem? – Żuchowski przerwał ciszę.

– Nowak jednym susem skoczył na dół i rzucił się z pięściami na kobietę. Był jak wściekły pies. Bił na oślep. A ja stałem i się temu przyglądałem. Kiedy upewnił się, że kobieta straciła przytomność, zawlókł ją do przygotowanej wcześniej komórki lokatorskiej. Do tego momentu myślałem, że chce ją tam jedynie zamknąć. Kiedy zaczął ją przywiązywać, a zza komina wentylacyjnego wyjął siekierę, uciekłem. – Mężczyzna skrył twarz w cienkich jak pergamin dłoniach i zaczął płakać. – Ja naprawdę nie wiedziałem, co on zamierza zrobić.

– Nie próbował pan go powstrzymać.

– Miałem żonę, dziecko i to mieszkanie z przydziału. Gdybym sprzeciwił się w tamtym czasie przełożonemu, nie wyszedłbym z mamra. Moja rodzina by została bez dachu nad głową. Nie mogłem nic zrobić. – Płakał, wycierając ciekące gile o ciemnoszary koc, którym miał przykryte nogi.

– Czy Nowak rozmawiał z panem o tym później?

– Po około roku albo półtora ponownie wezwał mnie do siebie i ponownie kazał zamknąć za sobą drzwi. Kazał mi znaleźć ojca i brata dziewczyny, którą zamordowaliśmy. Tak to nazwał; „zamordowaliśmy”.

– I znalazł pan?

– Po zabójstwie sprawdziłem, kim była dziewczyna, którą pomogłem zabić. Mimo iż Nowak zatarł za sobą wszystkie ślady, trafiłem na kilka jego raportów...

– I?

– I mogę powiedzieć z całą stanowczością, że Anna Maria Tomczyk była jedynie przynętą. Nowakowi ewidentnie chodziło o wysoko postanowionego Leopolda Brzezińskiego.

– Skąd pan to wie?

– Domyśliłem się, gdy Nowak zaprosił cały wydział do restauracji Europa, żeby uczcić przyznanie mu praw rodziny zastępczej do trójki dzieci jego tragicznie zmarłego przyjaciela. Tak przynajmniej brzmiała oficjalna wersja.

– Poznał pan te dzieci?

– Nie, nigdy. Przypominam pani, że byłem podkomendnym. Ja słuchałem, a on mówił. Myślę, że w wojsku niewiele się zmieniło w tej kwestii. Pani pracuje w podobnej strukturze i wie zapewne, o czym mówię.

– Wie pan, gdzie teraz mieszkają?

– Nowak wywiózł je gdzieś do Rosji zaraz po tym, jak średnia dziewczynka, bodajże Zofia, cudem uciekła młodemu mężczyźnie, który próbował ją porwać.

– I dzień po tych wydarzeniach Nowak kazał szukać brata Anny Marii Tomczyk – stwierdziła Blacha.

– Mniej więcej. Spakował ich w samolot i schował gdzieś w Moskwie. To wielkie miasto pozwala zachować anonimowość.

– A pan? Znalazł pan brata Tomczyków?

Mężczyzna skinął głową potwierdzająco.

– Najpierw znalazłem ojca dziewczyny.

– A on nie został zastrzelony?

– Taka była oficjalna wersja i jej się trzymałem. Przez przypadek trafiłem jednak na kolegę pracującego w tamtym czasie w szpitalu. Wspominał, że do niego na oddział przywieźli profesora, który go uczył. Miał poharataną twarz i uszkodzoną część mózgu. Podobno cudem uniknął śmierci. Wiedziałem, że Nowak mi nie daruje, jeśli tego nie sprawdzę. Od mojego kolegi dowiedziałem się, że po wypisaniu ze szpitala karetka zawiozła go do Dobronia pod Łodzią. Jakaś rodzina ze wsi się nim zajęła.

– Pojechał pan tam?

– Tak. Profesor Tomczyk mieszkał w domu położonym pośród lasów. Pamiętam to doskonale, bo szukałem go przeszło trzydzieści minut. Wy, młodzi, tego nie zrozumiecie. Wpisujecie sobie w gie-pe-esach Dobroń dwadzieścia dwa i jedziecie wprost do celu. Zastałem go karmiącego kury. Miał na sobie granatową kufajkę brudną od ptasich odchodów. Przez płot zapytałem go o drogę. Długo się mi przypatrywał, a gdy w końcu odpowiedział, nie umiał składnie wypowiedzieć słowa. Opluł się cały. Pamiętam, że zapytał mnie, czy widziałem po drodze jego córkę Anulkę. Mówił, że ona niedługo do niego przyjedzie. Zostawiłem tego nieszczęśnika w spokoju. – Mężczyzna westchnął i patrzył na twarze policjantów. Bez trudu wyczytał, że interesuje ich dalsza część. – Brat Anny Marii Tomczyk uciekł na Śląsk. Początkowo pracował na kopalni, gdzie zarobił tyle, że kupił sobie dokumenty na nowe nazwisko.

– Pamięta je pan?

– Doskonale.

– Zatem?

– Patryk Jaskólski.

– J-a-s-k-ó-l-s-k-i? – Żuchowski powtórzył literując.

– Tak.

Blacha spojrzała na kolegę, przypominając sobie, jak podczas akcji na dworcu Łódź Kaliska zatrzymali mężczyznę o tym nazwisku i pozwolili mu spokojnie wsiąść do taksówki i odjechać.

– Mówi państwu coś to nazwisko?

– Nie – skłamacie chóralsnie. – Rozmawiał pan z nim?

– Nie. Zostawiłem go w spokoju. Chłopak zaczynał studia medyczne. Szedł w ślady ojca, a ja uznałem, że jestem mu to winien.

Cała trójka milczała. Zza ściany dobiegał odgłos wydobywający się z telewizora. Przez gęste korony liściastych drzew przebijało się słońce. Blacha wyjrzała na wybrukowaną alejkę i chwilę przyglądała się kobiecie, która z trudem pchała dziecięcy wózek.

– Musi panu być ciężko spacerować na wózku po osiedlu.

– Nie byłem na spacerze od kilku lat. Nie ma ani windy, ani platformy dla wózków. Czasami myślę, że to moja kara za to, co złego zrobiłem w życiu.

– Kontaktował się pan później z Patrykiem Jaskólskim?

– Gdy zdiagnozowano u mnie chorobę i wiedziałem, że będę odchodził, wykorzystałem służbowe kontakty i go znalazłem. Był lekarzem ginekologiem w Katowicach. Odetchnąłem wówczas z ulgą, że chociaż jemu się udało.

Policjanci wkładali buty przy drzwiach i wsłuchiwali się w dźwięki telewizora. Blacha bez trudu rozpoznała głos prowadzącego program „Milionerzy”. Kalectwo przyspiesza dojrzewanie, pomyślała smutno, spoglądając na Żuchowskiego wychodzącego z mieszkania. Wiedziała, że pierwsze, co zrobi jej kolega, to przypalenie papierosa. Wiedząc, że ma czas, nasłuchiwała prawidłowej odpowiedzi na zadane pytanie. Uśmiechnęła się, gdy dziewczynka wybuchła spontaniczną radością, krzycząc na pół osiedla, że miała rację.

W końcu Blacha wyszła z mieszkania i zdecydowała, że napisze w imieniu Seweryna Adamskiego podanie o platformę do wózków. Okolica sprzyjała spacerom, a dziewczynka na pewno nieraz chciałaby wyjść na dwór z dziadkiem.

W tym czasie Żuchowski zaciągał się papierosem i rozmawiał przez telefon.

– J–a–s–k–ó–l–s–k–i – literował, a Blacha domyśliła się, kto będzie sprawdzał dla nich informacje.

Narastało w niej uczucie melancholii, więc odeszła kawałek od Żuchowskiego. Jej uwagę przykuły dwie opony pomalowane na różowo obsadzone na betonowych słupkach z dorysowanymi minkami; smutną i radosną.

– Taka właśnie jest Łódź – powiedział Ed Żuchowski za jej plecami.

– Różowa?

– Smutna albo radosna. Nie ma tutaj pośrednich stanów.

– Nie ma obojętności.

Ed wzruszył ramionami.

– Godzina do dwóch. Tyle zajmie sprawdzenie, co dzieje się z bratem Anny Marii.

– Myślisz, że to ten sam Jaskólski, którego wypuściliśmy na dworcu?

– Może to być zbieg okoliczności, a poza tym oprócz tego, że straszył Nowaka, iż ma czuwać nad córką, niczego jeszcze nie oznacza. Nie jest powiedziane, że to on jest Łowcą.

– Wspólny mianownik, Ed.

– Słucham?

– Lekarz ginekolog. Wszystkie ofiary jadą tym samym pociągiem z południa. Wszystkie ofiary wracają z kliniki zajmującej się aborcją.

Ed Żuchowski wiedział, że ma rację. Zbiegów okoliczności było zbyt wiele i jeśli człowiek, którego zatrzymali na dworcu kaliskim, okaże się tym samym, którego aktualnie szukają, znalezienie go będzie jeszcze łatwiejsze. Policjant koordynujący akcję na pewno spisał jego dane z dowodu osobistego.

– Zobaczymy. I tak musimy poczekać.

– Albo pojechać do tej wsi.

– Do Dobronia?

Blacha skinęła głową.

– Po co? Stary pewnie już nie żyje. A jeśli nawet, to szkoda go męczyć.

– Telewizor, Ed.

– Mówisz dzisiaj szyframi. Co telewizor?

– Nie dziwi cię, że niewidoma dziewczynka nieproszona przez nikogo włącza sobie na cały regulator telewizję?

– Myślisz, że to nie pierwsza wizyta u jej dziadka?

– Nie wiem. Nie chcę czekać bezczynnie.

– Zatem Dobroń dwadzieścia dwa.

Żuchowski wyciągnął z kieszeni spodni telefon i wpisał w nawigacji adres. GPS wskazał, że będą jechali na miejsce około trzydziestu minut. Idąc do samochodu, Blacha spostrzegła szyld z napisem „Cafe Kreatoora”. Nie pytając kolegi o zdanie, skręciła w lewo i już po chwili była w środku. Mężczyzna w średnim wieku ściszył odrobinę rockową muzykę i przeczesał czarne włosy.

– Co dla ciebie?

– Mała czarna. Podwójna i ciastko.

– A dla palacza na zewnątrz? – Puścił porozumiewawczo oczko.

– To samo.

Blacha przyglądała się miejscu, w którym się znalazła. Poza zapachem kawy, która okazała się pyszna, nie miało ono zbyt wiele wspólnego z krakowskimi kawiarniami. Mocna rockowa muzyka, różne stoły, płyty winylowe wiszące na ścianie były bardziej odpowiednie dla baru.

– Nie jesteś z Łodzi?

– Z Krakowa – musiała krzyczeć.

– Byłem niedawno.

– Podobało ci się?

– Tak se.

– A tobie Łódź?

– Tak se. – Tym razem Blacha puściła oczko i się uśmiechnęła.

Wychodząc z małej, zdecydowanie za głośnej kawiarni, podała kubek kawy koledze.

– Ciekawy człowiek.

– Nawet bardzo.

– Znasz go?

– Tak.

– Znasz wszystkich w Łodzi?

– Przecież to moja praca i moje miasto.

Jadąc przez miasto, policjanci milczeli. Mimo wypitej kawy Blacha czuła się senna. Oparła głowę o zagłówek i wsłuchiwała się w muzykę płynącą z radia. Ed zmienił stację na RMF Classic, które nadawało koncert gitarowy. Zasypiała, gdy duet grał Gioacchino Rossiniego.

Wybudzona z sennego letargu rozejrzała się dookoła. Zmierzchało.

– Coś się tam pali? – odezwała się zaspanym głosem i wskazała dym unoszący się znad nieskoszzonej łąki.

– Może wypalają trawy?

– Przecież nie wolno.

– Kraść też nie, a zobacz, ilu polityków chodzi wolno.

Blacha uśmiechnęła się półgębkiem do kolegi.

Ed spojrział na GPS. Gdy uświadomił sobie, że dym i coraz jaśniejsza poświata ognia dochodzą z domu, do którego jadą, wcisnął pedał gazu do oporu. Silnik starego volkswagena zawył, wgniatając policjantów w fotele.

XXIX

Dagmara Kocik ocknęła się przerażona, zdając sobie sprawę z tego, że zasnęła. Nasłuchiwała odgłosów. Na zewnątrz panowała cisza. Nie sądziła, że morderca odszedł. Być może siedział za drzwiami i napawał się chwilą, w której wejdzie i jednym uderzeniem w głowę odbierze jej życie.

Rozejrzała się po pomieszczeniu za czymś, do czego mogłaby się wysikać. Spojrzała na wiadro z ogórkami kiszonymi. Chwilę walczyła ze sobą, lecz chęć oddania moczu wygrała. Wydawało jej się, że ktoś puka do drzwi wejściowych. Przyłożyła ucho do drzwi i nasłuchiwała. Pukanie stawało się coraz mocniejsze i coraz bardziej natarczywe. Otworzyła drzwi spiżarni, w której się zaryglowała. Za oknem kuchni zauważyła jasną poświatę. Dom się palił. Nie słychać było ani straży pożarnej, ani ludzi. Kiedy zdała sobie sprawę z tego, że to pułapka, było za późno. Morderca dopadł do niej, ściskając ją za gardło.

Dagmara Kocik sięgnęła po pogrzebacz, który leżał w zasięgu jej ręki. Wbijając ostry koniec narzędzia w nogę porywacza, usłyszała, jak syknął z bólu. Poluzował jednak uścisk. Kobieta złapała oddech i ponownie uderzyła sprawcę w nogę. Tym razem osunął się z niej, wyjąc z bólu. Dagmara Kocik wymierzyła mężczyźnie jeszcze kilka uderzeń w głowę.

Nie wypuszczając z ręki pogrzebacza, poczołgała się w kierunku drzwi wyjściowych.

Na dworze panował półmrok, lecz palący się coraz szybciej dom oświetlał podwórko na tyle, że bez trudu zauważyła, że ciała starego rolnika i listonosza zniknęły.

Usiadła na ziemi i przyglądała się drzwiom wejściowym. Ściskając w rękę pogrzebacz, czekała na atak. Nie zamierzała się poddać bez walki.

Widząc światła samochodu podjeżdżającego pod bramę, spojrzała w prawo. Pierwsza w jej kierunku zaczęła biec kobieta. Mężczyzna będący tuż za nią trzymał w ręku pistolet.

– Policja – krzyknęła kobieta.

– Policja – powtórzył za nią mężczyzna.

– Ratunku!

– Dagmara Kocik? – Policjantka zapytała, klękając obok poranionej kobiety.

– Pomocy! Błagam! On jest w środku! Zabijcie go!

Ed Żuchowski zastanawiał się, czy wejść do palącego się domu. Pękające od gorąca okna szybko go od tego pomysłu odwiodły. Ściskając w ręku broń i rozglądając się wokoło, sięgnął po komórkę.

– Wsparcie i pogotowie już w drodze – powiedział uspokajająco do kobiety.

Urszula Krawczyk spojrzała na krzaki obok volkswagena.

– Ed! – krzyknęła, wskazując na wybiegającą z zarośli postać.

Żuchowski wystrzelił w kierunku postaci. Huk, jaki wydała z siebie policyjna beretta, ogłuszył siedzącą na ziemi Dagmarę Kocik, która jeszcze mocniej zacisnęła dłonie na pograbaczu i nie wypuszczała go z ręki. Blacha poderwała się do pościgu za oddalającą się w mroku postacią. Nie zauważyła, że Ed Żuchowski nie ruszył za nią. Wyciągnęła broń.

– Stój! Policja! – krzyczała, lecz postać przed nią oddalała się, nie zważając na jakiegokolwiek wezwania.

Policjantka strzeliła w kierunku uciekającego. Chybiła.

Mężczyzna skoczył przez rów i skrył się w przydrożnym zagajniku. Mimo iż zalesienie było niewielkie, ciemność w nim panująca była niemal dwukrotnie większa niż na drodze.

Blacha skryła się za drzewem i nasłuchiwała. Wiedziała, że nie ma możliwości, aby mężczyzna dalej biegł bezszelestnie. Cisza oznaczała, że on też czeka. Próba cierpliwości, pomyślała wpatrując się w ciemność.

Wyciągnęła broń w stronę, z której dochodził chrupot łamanych gałęzi. Wystrzeliła. Kiedy odgłos nie umilkł, zrobiła to ponownie. Tym razem trafiła. Upadek

i głośny oddech były dla niej wystarczającym świadectwem.

Potknęła się o wystającą z ziemi gałąź i upadła obok maski, którą przed kilkoma dniami morderca zdjął, pokazując swoją twarz Dagmarze Kocik. Podniosła się, ściskając w ręku służbowy pistolet. Oddech konającego był coraz wyraźniejszy. Podchodząc bliżej, zauważyła, że to co trafiła, to dzik. Jeden celny strzał wystarczył, aby powalić kilkusetkilogramowe zwierzę. Nie zdążyła się schować, gdy poczuła szarpnięcie za nogę i upadła na ziemię. Ze zwierzęcym sprytem z leja po powalonym drzewie wyskoczył postawny mężczyzna.

Blacha przerzuciła się na bok, żeby uniknąć uderzenia w głowę. Morderca zaklął przez zaciśnięte zęby. Podniósł się i próbował wymierzyć kolejny cios. Tym razem policjantka była szybsza. Pocisk ze służbowej beretty Urszuli Krawczyk przeszył mężczyznę. Upadł na ziemię, plując krwią. Blacha skierowała broń w jego głowę, zastanawiając się, czy dobić go. Skierowała broń na korpus mężczyzny i wycofała się nieco. Pamiętała, że w Częstochowie Wampir rzucił się na nią resztką sił i omal nie straciła życia. Tym razem nie chciała ryzykować.



Dźwięk hotelowego telefonu wybudził Urszulę Krawczyk z głębokiego snu. Leżała na plecach i wsłuchiwała się w piszczący odgłos, który zwiększał poziom jej irytacji. Gdy wróciła do hotelu, już świtało. Chciała nawet poprosić, żeby z nikim jej nie łączyć i nie sprzątać pokoju. Nie miała jednak sumienia, żeby wybudzić drzemiącą za kontuarem młodą kobietę.

Telefon przestał dzwonić. Położyła się na boku i próbowała zasnąć z powrotem, gdy irytujący dźwięk powrócił.

– Słucham? – wymamrotała do słuchawki.

– Pani Krawczyk, ma pani gościa.

– Kto to?

– Żuchowski – usłyszała w tle kolegę.

– Pan mówi, że nazywa się...

– Słyszałam. Proszę go wpuścić.

Blacha odłożyła słuchawkę ze złością. Przyglądała się grubym zasłonom wiszącym w oknach, które oddzielały ją od świata zewnętrznego. Zastanawiała się, która może być godzina. Czuła się, jakby spała dopiero godzinę.

Słyszając pukanie do drzwi, podniosła się powoli z łóżka. Odsłoniła okna. Na zewnątrz panował mrok. Spała cały dzień.

– Czy ty nigdy nie odpoczywasz? – zapytała, wpuszczając kolegę do środka.

Ed Żuchowski ubrany w ciemnobordowy golf i czarną marynarkę uśmiechał się, pokazując czerwone gumki aparatu. W ręku trzymał filiżankę z kawą.

– Zdajesz sobie sprawę, że odsypiasz od dwóch dni.

– Poważnie? Jaki dzisiaj jest dzień?

– Rozumiem, że bieganie po lasach męczy – zażartował Ed.

– Za tę kawę ci wybaczam, że mnie obudziłeś. Coś się stało?

– Niejaka Kotlarska zaprasza nas na obiad.

– Nas?

– Ciebie, mnie i twojego przyjaciela ministra. Oficjalnie w podziękowaniu za uratowanie jej córki.

– A nieoficjalnie?

– Myślę, że chcą wysondować, co wiemy, i zmusić nas do milczenia o Patryku Nikodemskim.

– A co wiemy?

– A nie wolisz się najpierw ogarnąć?

Ed spojrzał na wpół odwiązany szlafrok, w który była ubrana kobieta.

– Za pół godziny na dole?

Policjant uśmiechnął się i wyszedł bez słowa, pozostawiając za sobą lekką nutę cytrusowych perfum. Blacha wciągnęła głęboko powietrze. Męski zapach ją podniecił. Idąc pod prysznic, zrzuciła z siebie szlafrok, a patrząc w lustro, dotknęła prawej piersi, która od zawsze wydawała się jej większa.

Hotelowa restauracja była pełna gości. Z przytłumionych rozmów nie dało się zrozumieć niczego. Przechodząc obok stolika Włochów, jeden z nich cmoknął na nią i powiedział jakiś komplement. Jedyne, co Blacha zrozumiała, to bella Ragazza.

– Teraz zadzwoni do mamy, że piękna dziewczyna z Polski go nie chciała. – Ed puścił porozumiewawczo oczko, gdy Urszula Krawczyk siadała do stolika.

– W stereotypach jest ziarno prawy.

– Co podać? – zapytała młoda kelnerka.

– Jajecznice, herbatę i coś słodkiego.

– A dla pana?

– Wodę niegazowaną.

Kobieta skinęła głową i zniknęła bez słowa. Blacha przyglądała się, jak odchodzi w obcisłej spódnicy. Zazdrościła jej, że z taką lekkością i gracją porusza się na szpilkach.

– Naprawdę spałam blisko dwa dni.

- Nie dziwię ci się. Stres był ogromny.
- Udało się ocucić Patryka Jaskólskiego?
- Zmarł dzisiaj w nocy.

Urszula Krawczyk spojrzała na Włocha wychodzącego z restauracji. Gdy tylko zauważył, że na niego patrzy, wyprostował się i jej pomachał. Stał tak przez chwilę, czekając na reakcję, która nie nadeszła.

– Słuchaj, wiem, co czujesz. – Ed przerwał ciszę. – Sam kilka lat temu zabiłem człowieka i wiem, że nie przechodzi się nad tym do porządku dziennego. Pomyśl jednak, że to tylko praca.

- Tylko praca – powtórzyła.
- Wiem, jak to brzmi, ale niestety taka jest prawda.
- Gdybyśmy go wtedy zatrzymali na dworcu...
- To nie znaleźlibyśmy Dagmary Kocik żywej. Pomyśl w ten sposób.

Blacha przyznała koledze rację. Gdy znaleźli dziewczynę, miała zagipsowane obie nogi. Czekając na helikopter medyczny, opowiedziała policjantom, jak została uprowadzona z pociągu i leżała z połamanymi nogami, słysząc semafor dworca kolejowego.

– Czyli sprawa zamknięta. – Blacha spojrzała na kolegę z nadzieją, że jej przytaknie.

– Obawiam się, że nie do końca... Podczas twojej chwilowej rekonwalescencji poszperaliśmy trochę. Patryk Jaskólski rzeczywiście był bratem zmarłej Anny Marii Tomczyk. Faktycznie skończył ginekologię i pracował w klinice aborcyjnej.

- Miał więc motyw i sposobność.
- Owszem. To nie ulega najmniejszej wątpliwości.
- Ale?
- Technicy z Katowic zabezpieczyli nagrania wideo z kamer przemysłowych na dworcu.

– Niech zgadnę – przerwała. – Jaskólski wsiada do pociągu za ofiarami.

Ed uniósł delikatnie kąciki ust i przytaknął skinieniem głowy.

– Za każdym razem, nim wsiądzie do pociągu, rozmawia z jakąś kobietą.

– Kobieta? Przecież to nie ma sensu, Ed. Mamy to nagranie?

– Wgrywa się na serwer.

Blacha przewróciła wymownie oczami. Jedno, czego w życiu naprawdę nienawidziła, to czekać.

– Jest jeszcze coś – kontynuował Żuchowski, gdy kelnerka oddaliła się od ich stolika. – Wiemy, że Patryk Jaskólski spotkał się z Sewerynem Adamskim na przestrzeni ostatnich kilku tygodni.

Policjantka poczuła, jak ściska się jej żołądek. Kiedy myślała, że sprawa jest już rozwiązana, pojawiły się nowe wątki tajemniczej kobiety i spotkań Patryka Jaskólskiego ze współsprawcą mordercy jego siostry.

Wysiadając z volkswagena Żuchowskiego, Blacha rozejrzała się po Księżym Młynie. Skansen w półmroku oczarowywał ją jeszcze bardziej. Na wybrukowane alejki padała poświata świateł z klimatycznych żeliwnych latarenek. Pnie niektórych drzew okalały ledowe lampki, jakich używa się do oświetlenia choinek na Boże Narodzenie. Policjantka mimowolnie pomyślała o świątecznym czasie.

W drodze do mieszkania Seweryna Adamskiego przez chwilę zapomniała, po co tak naprawdę przyjechała do Łodzi. Przez moment była na zwykłym spacerze.

Światło na klatce załączyło się natychmiast. Kilkoma szybkimi susami policjanci znaleźli się pod drzwiami Seweryna Adamskiego. Nasłuchiwali. W domu panowała idealna cisza. Ed zapukał kilkakrotnie. Za każdym razem mocniej.

– Nie ma go?

– Niemożliwe.

Blacha nacisnęła klamkę. Drzwi od mieszkania się otworzyły. Wózek inwalidzki stał na środku pokoju, a na nim siedział, ze spuszczoną głową, Seweryn Adamski.

– Śpi pan?

– Panie Adamski.

Żuchowski podszedł bliżej i poklepał mężczyznę po ramieniu. Ciało osunęło się na ziemię. Urszula Krawczyk pobiegła do pokoju obok. Wołając wnuczkę

Adamskiego, cięła swoim głosem ciszę panującą w budynku.

Ed przykucnął przy mężczyźnie. Przykładając głowę do klatki piersiowej, nasłuchiwał, czy oddycha. Szybko odskoczył, gdy usłyszał, że mężczyzna, którego uznał za zmarłego, zaczął kaszleć. Policjant zaczął się zbliżać do leżącego na podłodze Seweryna Adamskiego. Nagle dotarł do niego krzyk z sąsiedniego pokoju.

– Zostaw ją!

Żuchowski mechanicznie sięgnął po służbową broń i zerwał się do biegu. Kiedy stanął za plecami Blachy, zobaczył ciemnowłosą kobietę przyciskającą nóż kuchenny do szyi niewidomej dziewczynki. Wycelował broń w głowę kobiety.

– Puść ją! – powtórzyła policjantka spokojniejszym tonem.

Kobieta spojrzała na policjantów. Miała obłąkany wzrok. Uśmiechała się.

– Ona jest ostatnia – wyszeptała.

– Ostatnia?

– Tak. A potem już będzie spokój. Obiecuję!

– Co masz na myśli?

– Ona jest już ostatnia! Wyjdźcie z pokoju. Nie musicie tego oglądać.

– Dlaczego chcesz ją skrzywdzić?

Niewidoma dziewczynka zaciskała zęby. Drżała, gdy kobieta wciskała jej nóż w szyję. Gdy pierwsza stróżka krwi pociekła po jej karku, zaczęła płakać.

– Robisz jej krzywdę – powiedziała spokojnym głosem Blacha. – Spójrz, że leci jej krew.

– Ona niczego nie poczuje. Obiecuję. Jest ostatnia.

– Odłóż nóż.

Żuchowski mierzył cały czas w głowę kobiety, która nawet nie próbowała się chować za ciałem dziewczynki.

– Odłóż nóż – powtórzyła Blacha. – Nic ci się nie stanie.

– Ona będzie ostatnia! – krzyknęła kobieta, przeciągając nóż po szyi niewidomej dziewczynki.

Ed Żuchowski nacisnął spust. Huk wystrzału był ogłuszający. Trafiona kulą kobieta padła na ziemię. Targana przez konwulsyjne drgawki pluła krwią. Tuż obok

niej upadła wnuczka Seweryna Adamskiego. Blacha podbiegła do dziecka i nacisnęła ranę na szyi. Dziewczynka miała otwarte oczy, jakby patrzyła w dal. Policjantka zacisnęła ręce na ranie jeszcze mocniej, patrząc, jak źrenice nastolatki się zwężają.

– Zrób coś! – krzyczała na kolegę.

Ed Żuchowski trzymał w jednym ręku pistolet, a w drugim wybierał numer alarmowy. Cały czas patrzył bezradnie.

Blacha rozejrzała się za czymś, czym mogłaby zatamować krew. Jednym ruchem ściągnęła z siebie białą bluzkę, obwiązała nią szyję dziewczynki. Zwężanie się źrenic zwolniło.

– Nic ci nie będzie, mała. Słyszysz! Nic ci nie będzie! Przyjdę na twój koncert! – mówiła to bardziej do siebie niż do umierającej flecistki.

Ponownie spojrzała na Żuchowskiego, który dyktował adres dyspozytorowi pogotowienia ratunkowego.

Ed rzucił telefon na ziemię i przyklęknął obok dziewczynki. Widząc, jak krew przesiąka przez bluzkę koleżanki, uniósł głowę dziewczynki, która zakwiliła z bólu.

– Nie wolno ci się poddać, kochanie – powiedział Ed spokojnym głosem, przykładając drugą rękę do wyciekającej rany.

Policjanci czuwali przy wykrwawiającej się dziewczynce przez kilka najdłuższych minut w ich życiu. Po czym Ed wybiegł po ratowników, żeby nie błądzili.

Młody sanitariusz ubrany w czarno-pomarańczowy kombinezon przykucnął obok leżącej dziewczyny. Po kilku sekundach rekonesansu odwrócił się do kolegi stojącego w drzwiach.

– Korczak!

Ed Żuchowski zrozumiał, że mężczyźni chcą zabrać dziewczynę do dziecięcego szpitala imienia Janusza Korczaka. Odskoczył na bok, gdy drugi sanitariusz przebiegał w drzwiach z noszami.

– Musi pani puścić jej szyję.

Blacha oderwała zakrwawioną dłoń od szyi niewidomej dziewczyny. Nie miała siły się podnieść. Gdy tylko sanitariusze zniknęli za drzwiami, spuściła wzrok i zaciągnęła się powietrzem. Kiedy ponownie podniosła głowę, żeby zapytać Eda o stan Seweryna Adamskiego, kolegi nie było już w pokoju. Żuchowski próbował obrócić na bok kalekiego mężczyznę.

– Musimy położyć go na boku, bo się udusi.

Blacha położyła zakrwawione dłonie na boku mężczyzny.

– Dziękuję – wymamrotał Seweryn Adamski.

W tym samym momencie do mieszkania wbiegło kilku funkcjonariuszy policji wraz z ratownikami medycznymi.

– Dusi się – powiedział Ed do lekarza stojącego za policjantami z prewencji.

Lekarz przecisnął się pomiędzy funkcjonariuszami i sięgnął do torby po strzykawkę z lekiem ułatwiającym oddychanie.

– Zabieramy go do szpitala – zawyrokował lekarz po osłuchaniu Adamskiego. – Pomóżcie go podnieść.

Dwóch dobrze zbudowanych policjantów chwyciło mężczyznę pod pachami i jednym szarpnięciem usadowiło na wózku inwalidzkim.

Seweryn Adamski patrzył otępiąłym wzrokiem dookoła.

– Co się stało? – zapytał zachrypniętym głosem. – Gdzie moja wnuczka?

– Walczy o życie w szpitalu Korczaka. – Blacha nachyliła się nad mężczyznę.

– Jak to?

– Panie Adamski! – krzyknęła. – Wiemy, że spotykał się pan regularnie z Patrykiem Jaskólskim.

Mężczyzna zrobił się czerwony na twarzy i zaczął się dusić. Wyciągnął drżącą dłoń w kierunku lekarza.

– Wystarczy. Zabieramy go do szpitala.

Blacha położyła zakrwawioną dłoń na nadgarstku lekarza próbującego popchnąć wózek.

– Nie. On nigdzie nie pojedzie, dopóki nie powie nam, kim była kobieta, która próbowała zabić jego wnuczkę. – Urszula Krawczyk spojrzała wymownie na

Adamskiego, którego oddech się uspokoił.

– Dobrze – powiedział drżącym głosem. – Tą kobietą jest Zofia Brzezińska.

– Córka Leopolda Brzezińskiego? Co ją łączyło z Jaskólskim i morderstwami kobiet?

– Chciała się zemścić.

– Zemścić? Na kim?

– Zofia Brzezińska wraz z dwójką rodzeństwa chwilę po śmierci ojca została adoptowana przez Nowaka i wywieziona do Moskwy.

– Nowak wywiózł dzieci do Moskwy w obawie przed zemstą Jaskólskiego.

– Czasami Nowak zapraszał mnie do siebie na nocne picie wódki. Robił tak zawsze, gdy samotność dawała mu mocno w kość. Pewnej nocy wyciągnął zdjęcie Irenki, jak nazywał matkę dzieci i swojej przysposobionej córki. Były jak dwie krople wody. Nowak mówił, że w końcu odzyskał swoją zabraną miłość. Jeśli wiecie, co mam na myśli?

Policjanci skinęli głowami potakująco.

– Zofia Brzezińska uciekła z Moskwy, gdy tylko skończyła osiemnaście lat. Nie mając pieniędzy, wykształcenia i rodziny, poszła do jednego miejsca, które przygarniało takich jak ona. Armia, wówczas jeszcze radziecka, bardzo chętnie przyjmowała młode, atrakcyjne i samotne kobiety. Po odpowiednim przeszkoleniu były idealnym narzędziem do inwigilowania.

– Przecież Nowak był wysoko postawionym wojskowym. Nie mógł znaleźć córki?

– Znalazł, panie Żuchowski, ale było już za późno. Armia radziecka nie chciała jej oddać. Pracowała więc dla obcego wywiadu przez kilkanaście lat. Zbudowała kontakty oraz zdobyła doświadczenie w oddziaływaniu na innych. Sowieci nauczyli ją sztuki manipulacji. Byli w tym naprawdę dobrzy. Pewnej lipcowej nocy zjawiła się u mnie w mieszkaniu. Znała mnie z czasów, gdy piłem wódkę z jej ojczymem. Nie raz i nie dwa słyszała, jak Nowak mi się zwierza. Stąd pierwsze kroki skierowała do mnie.

– Opowiedział jej pan o wszystkim...

– Tak. Opowiedziałem jej o tym, jak Nowak uszył intrygę z Anną Marią Tomczyk, żeby pozbyć się jej ojca. O tym, jak na moich oczach zabił Ankę, i o tym, że na rozkaz Nowaka odnalazłem rodzinę zamordowanej dziewczyny.

– I o tym, że w raporcie napisał pan, że Anna Maria Tomczyk była nieczysta – wyszeptała Blacha, rozumiejąc, że Zofia Brzezińska nakłoniła brata zamordowanej dziewczyny do wymierzenia zemsty, żeby wysłać komunikat do Nowaka, że przysłała pora zemsty.

– Dlaczego po prostu go nie zabiła?

– To byłoby zbyt proste. Chciała, żeby cierpiał psychicznie tak jak ona. Chciała, żeby wiedział, że jego utracona miłość wróciła i jest w pobliżu. Jaskólski nadawał się do tego idealnie. Sam nigdy nie pogodził się ze śmiercią siostry i utraconą karierą ojca.

Żuchowski spojrział na drgające od choroby ciało mężczyzny. Blacha smutno patrzyła przez okno i przyglądała się kołyszącym za oknem drzewom lipy oświetlanym niebieskimi światłami reflektorów policyjnych radiowozów. Prowadzona przez nich sprawa dobiegła końca. Oboje sprawcy nie żyli.

XXXI

Kończąc śniadanie w hotelowej restauracji, Blacha spojrzała na zegarek wiszący na ścianie. Do odjazdu zostały ponad dwie godziny. Wystarczająco dużo czasu, żeby przespacerować się po parku naprzeciwko hotelu.

Po drodze przyglądała się miastu skąpanemu w słońcu. Stała przez chwilę na środku i zastanawiała się, czy przyjąć propozycję Eda Żuchowskiego i zostać jednak kilka dni, żeby poznać miasto, które niosło ze sobą tak wiele historii.

Wibrujący w kieszeni telefon wytrącił ją z rozmyślań, a warszawski numer ministra pokazujący się na wyświetlaczu przyspieszył odrobinę puls.

– Dzień dobry, panie ministrze – powiedziała, przykładając ucho do słuchawki.

– Dzień dobry, pani Krawczyk! Jak się pani ma?

– Próbowałam wczoraj do pana zadzwonić, ale pańska komórka była wyłączona.

– Ale ja naprawdę pytam, jak się pani ma. Proszę się nie tłumaczyć. – Minister się zaśmiał. – Cieszy się pani, że wraca do domu?

– Cieszę...

– A skąd to zawahanie? Przecież rozwiązała pani sprawę.

– Nie do końca, jeśli mam być szczerą.

– Co ma pani na myśli?

– Patryk Nikodemski.

– Z tego, co wiem, pani koledzy go szukają.

– Raczej zastanawiam się nad zgodnością DNA, której przecież być nie mogło.

– To akurat wyjaśniam ja osobiście – powiedział minister ostrym tonem. – Dam pani znać, jak tylko czegoś się dowiem.

Blacha otworzyła usta, żeby dopytać ministra o szczegóły, lecz usłyszała w słuchawce charakterystyczne piknięcie informujące o zakończonej rozmowie. Wiedziała, że minister nie przyzna się nigdy do sfałszowania wyników DNA i że z tego samego względu za kilka tygodni sprawa Patryka Nikodemskiego zostanie umorzona. Schowała telefon i spojrzała ponownie na miasto. Postanowiła wyjechać.

Spacerując po parku, przyglądała się wczesnojesiennym drzewom. Od dzieciństwa zastanawiała się, dlaczego tak się dzieje, że niektóre drzewa zmieniają barwę liści na żółtą, a inne na czerwoną. I tym razem tego nie sprawdziła w internecie. Ta mała ignorancja pozwalała wrócić jej bezkarnie do dzieciństwa. Zawsze jesienią dziadek zabierał ją do parku, w którym rosły same kasztanowce. Całe przedpołudnie zbierali kasztany, żeby resztę dnia spędzić na budowaniu armii kasztanowych ludzików.

Kręte i wąskie alejki, którymi snuła się teraz po łódzkim parku, przypomniały jej czas, kiedy dochodziła do siebie w Paryżu. Usiadła na ławce i przymknęła oczy, aby słońce ogrzało jej twarz. Delektowała się tą chwilą, w głowie słysząc niemal uderzające o siebie kule staruszków grających w bule.

Gdy tylko słońce schowało się za chmurami, podniosła się z miejsca. Zegarek wskazywał, że ma ponad godzinę do odjazdu pociągu. Postanowiła ostatni raz obejść park dookoła. Idąc betonową, szeroką drogą prowadzącą na wprost do hotelu, przystanąła przy mężczyźnie sprzedającym kawę z rowerowego wózka.

– Małą czarną? – zagaił mężczyzna.

– Raczej dużą białą.

Uśmiechali się do siebie, patrząc sobie w oczy. Blacha poczuła lekkie ukłucie w żołądku. Po raz kolejny podczas pobytu w Łodzi przypomniawszy sobie, jak bardzo jest samotna. Chciałaby teraz mieć kogoś obok siebie, kto objąłby ją ramieniem i pocałował w czoło. Drobnym gestem, który od zawsze uważała za oznakę ciepła i troski.

– A dla mnie czarną z cukrem.

Z rozmyślań nad swoją samotnością Blachę wyrwał głos Żuchowskiego. Odwróciła się. Policjant uśmiechał się, pokazując niebieskie gumki aparatu

ortodontycznego.

- Nie sądziłaś chyba, że pozwolę ci wyjechać bez pożegnania.
- Skąd wiedziałeś, że mnie tutaj znajdziesz?
- Recepcjonista powiedział, że widział, jak wchodzisz na kładkę.
- Ludzie widzą wszystko.
- Czasami wręcz za dużo.
- Za dużo – odpowiedziała, upijając łyk kawy zrobionej przez przystojnego

studenta.

Po kilku krokach wspólnego spaceru Blacha przystanęła, przyglądając się czarnej tabliczce z napisem: *Obiekt monitorowany*.

– To groby radzieckich żołnierzy. – Ed Żuchowski wskazał palcem ciemne nagrobki wystające z ziemi. – Miasto postawiło kamery, bo wandalę bezczęścili nagrobki durnymi napisami.

Blacha nie odpowiedziała. Grzejąc dłonie w kubku gorącej kawy, pomyślała smutno o Zofii Brzezińskiej, która uciekając od pedofilskich zapędów swojego ojczyma, znalazła schronienie w radzieckim wojsku. Zaciągnęła się głęboko zimnym powietrzem, które mówiło wprost, że jesień zagościła w Łodzi na stałe.

XXXII

Siadając na fotelu numer sto piętnaście, Blacha wyrzała przez okno i przyglądała się Żuchowskiemu, który trząśł się z zimna. Pomachała mu, a on odmachął trzymającą w ręku paczką Marlboro. Patrzyli sobie w oczy, gdy Ed zapalał papierosa. Uśmiechnęła się do niego i pokazała palcem na wiszący nad jego głową zakaz palenia.

Policjant wzruszył ramionami i puścił jej oczko. Uśmiechnęła się do niego szczerze, tak samo jak miała nadzieję, że dana przed paroma minutami obietnica o utrzymaniu stałego kontaktu zostanie dotrzymana.

Podczas tego krótkiego pobytu w Łodzi polubiła Żuchowskiego na tyle, że zaprosiła go do Krakowa. Teraz gdy głośny świst konduktorskiego gwizdka komunikował wszystkim wokoło, że pociąg jest gotów do odjazdu, pomyślała o tych wszystkich niedotrzymanych obietnicach, jakie jej składano w życiu.

Pociąg szarpnął delikatnie, nabierając prędkości. Pomachała Żuchowskiemu po raz kolejny i oparła głowę o fotel. Wyglądała przez okno, przyglądając się miastu, które przez kilka ostatnich tygodni było jej drugim domem.

Wiedziała, że nie będzie tęsknić...

POSŁOWIE

Pierwsza wersja „Łowcy” została wydrukowana w 10 egzemplarzach i bez jakichkolwiek poprawek trafiła do najbliższych mi osób, którym chciałbym podziękować z tego miejsca za uwagi, komentarze, słowa aprobaty i prawdziwe emocje oraz zaszklone oczy, gdy czytaliście poszczególne fragmenty ze mną.

Chciałbym szczególnie podziękować dwóm osobom; Uli Kaczmarek, która mimowolnie stała się pierwowzorem Blachy, a której zachowania i słowa można znaleźć na kartach niniejszej powieści, oraz Pauli Mikołajczyk za całonocne, internetowe dyskusje na temat fabuły i osobowości postaci. Dziękuję, że chciałaś zobaczyć Łódź moimi oczami. Może kiedyś przeniesiemy się do Twojego Rzymu... Może...

Do zobaczenia na kolejnych stronach. Niebawem bowiem wybuchnie w Krakowie bomba i drogi śledztwa znów poprowadzą Blachę do Łodzi...

Z wyrazami głębokiego szacunku i psem na kolanach

Autor
Łódź, 2023-05-23